



JENNIFER EGAN

NIEWIDZIALNY  
CYRK



# Egan Jennifer

## Niewidzialny cyrk

*Phoebe O'Connor, latem roku 1978 osiemnastolatka, jest zbyt młoda, by pamiętać czasy dzieci-kwiatów, ale wystarczająco dorosła, aby wyczuwać ich niepokojący wpływ. Dręczy ją obsesja na punkcie starszej, charyzmatycznej siostry Faith, tragicznie zmarłej we Włoszech w roku 1970. Poszukując prawdy o życiu i śmierci Faith, Phoebe postanawia odtworzyć jej ostatnią podróż po Europie, aż do miejsca jej śmierci. Owe poszukiwania prowadzą jednak do odkrycia prawd bardziej złożonych i niepojętych, niż sobie tego życzyła, a dotyczących nie tylko siostry, ale i całego jej pokolenia.*

„...w obecnej erze, kiedy obraz ważniejszy jest od tematu, kopia od oryginału, imaginacja od rzeczywistości, a pozory od istoty rzeczy... sama iluzja jest w tych czasach świętością, prawda zaś profanacją... tak więc najwyższa forma iluzji jest najwyższą formą świętości”.

— *Ludwig Feuerbach*

„Euforia jest wędrówką wewnętrznej duszy ku morzu, poza domy — poza przyładki — ku głębokiej Wieczności — ...”

— *Emily Dickinson*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Phoebe poznała po ciszy, że się spóźniła. Idąc przez bujny, spowity mgłą park, nie słyszała niczego poza kapaniem kropeł spływających po liściach paproci i palm. Kiedy wyszła na otwartą przestrzeń, widok rozległej pustki zbytnio jej nie zaskoczył.

Trawa świeciła denerwująco jaskrawą zielenią. Usłana była śmieciami — słomkami i niedopałkami papierosów — a tu i ówdzie widać było brudne, porzucone, nasiąknięte deszczem koce.

Phoebe wcisnęła ręce do kieszeni i ruszyła na przełaj przez rozległą polanę, starannie omijając nagie plamy błota. Trawiasta połać otoczona była wieńcem drzew typowych dla wybrzeża: wygiętych od wiatru i sękatych, a jednocześnie zaskakująco symetrycznych; podobnych do postaci z trudem utrzymujących równowagę pod brzemieniem ciężkich tac.

Na dalekim krańcu pola widać było kilka sylwetek w wojskowych kurtkach, zajętych rozbieraniem sceny. Raz po raz jedna z nich zniknęła między drzewami, niosąc elementy konstrukcyjne w stronę alejki, na której Phoebe dostrzegła ciemny kształt ciężarówki.

Podeszła do mężczyzny i kobiety trzymających na ramionach zwoje pomarańczowych przewodów. Phoebe czekała grzecznie, aż skończą rozmawiać, ale miała wra-

zenie, że w ogóle nie zwracają na nią uwagi. Wycofała się nieśmiało i zbliżyła się do mężczyzny, który niósł deskę.

— Przepraszam — powiedziała. — Spóźniłam się?

— Owszem — odparł. — Koncert był wczoraj. Od południa do północy — dodał, mrużąc oczy, jakby nagle wyszło słońce.

Wydawał się Phoebe dziwnie znajomy. Zastanawiała się przez chwilę, czy mógł znać jej siostrę. Zawsze zadawała sobie to pytanie.

— Zdawało mi się, że to dzisiaj — powiedziała raczej niepotrzebnie.

— To dlatego, że źle wydrukowano mniej więcej połowę afiszów. — Uśmiechnął się, błyskając oczami w odcieniu chemicznego błękitu, przywodzącego na myśl napoje Snocone.

Była sobota, osiemnastego czerwca. Dziesięć lat wcześniej, w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, na tej samej parkowej polanie odbył się „Festiwal Księżyców”. Nowe plakaty obiecywały „Odrodzenie Księżyców”, toteż Phoebe zorganizowała sobie pracę na inną zmianę, z niecierpliwością oczekując ponownego przeżycia tego, czego nie przeżyła poprzednim razem.

— Jak było? — spytała.

— Niezbyt tłoczno — odparł i zaśmiał się sardonicznie.

— Cieszę się, że nie tylko ja się spóźniłam. Mężczyzna odłożył deskę i palcami roztarł oczy. Proste, jasne włosy sięgały mu do ramion.

— Wiesz — odezwał się — strasznie mi przypominasz dziewczynę, którą kiedyś znałem.

Phoebe popatrzyła na niego z obawą. Blondyn znowu mrużył oczy.

— Właściwie to wyglądasz identycznie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Kocimiętka — powiedziała, zaskakując samą siebie. Mężczyzna cofnął się o mały krok.

— Przyjaźniłeś się z Faith O'Connor, prawda? — dodała z rosnącym podnieceniem. — Jestem jej siostrą.

Kocimiętka spojrzał gdzieś w bok, a potem znowu na Phoebe. Pokręcił głową. Tak, teraz go pamiętała, choć dawniej wydawał jej się znacznie wyższy. I piękniejszy tą intensywną, delikatną urodą, którą widuje się niekiedy u chłopaków z ogólniaka, ale nigdy u dojrzałych mężczyzn. Swego czasu dziewczyny nie umiały się oprzeć jego urokowi — stąd przezwisko.

Kocimiętka wbił wzrok w dziewczynę.

— Nie do wiary — mruknął.

Kiedy wrócił do kolegów z brygady, by zwolnić się z dalszej pracy, Phoebe z trudem zapanowała nad płytkim oddechem. Przez całe lata wyobrażała sobie właśnie taką sytuację: że któryś z przyjaciół Faith rozpozna ją po latach, dorosłą, i powie, jak bardzo jest podobna do siostry.

Szła przez pole razem z Kocimiętką, czując coraz większe zdenerwowanie. Jasne pasemka zarostu lśniły na jego twarzy.

— To co, pewnie chodzisz teraz do ogólniaka? — zagaił.

— Już skończyłam — odpowiedziała. — W zeszłym tygodniu. — Nie była nawet na zakończeniu roku.

— Właściwie to mam na imię Kyle. Od lat nikt już nie nazywa mnie Kocimiętką — przyznał z tęskną nutą w głosie.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć. A ty?

— Osiemnaście.

— Osiemnaście — powtórzył i roześmiał się. — Cholera, kiedy ja miałem osiemnaście, dwadzieścia sześć zalatywało geriatrię.

Kyle właśnie skończył drugi rok studiów prawniczych.

— W poniedziałek zaczynam letnią pracę — powiedział, naśladowując dwoma palcami ruch nożyczek obcinających włosy.

— Naprawdę? I każą ci ściąć włosy? - Pomysł wydał jej się godny Armii.

— Nie muszą — odpowiedział. — Sam wiem, że trzeba. W miarę jak zbliżali się do granicy Golden Gate Parku,

odgłosy ulicy stawały się coraz głośniejsze. Phoebe czuła się jak dziecko pozostawione pod opieką jednego z przyjaciół Faith i obarczone niełatwym zadaniem podtrzymywania konwersacji.

— Myślisz niekiedy o tamtych czasach? I o mojej siostrze? — spytała.

Kyle milczał przez chwilę.

— Jasne — odparł wreszcie. — Jasne, że tak.

— Ja też.

— Faith wciąż jest dla mnie... niesamowicie realna.

— Myślę o niej bez przerwy — przyznała Phoebe. Kyle skinął głową.

— W końcu była twoją siostrą.

Zanim dotarli do Haight Street, mgła przerzedziła się na tyle, że w górze pojawiły się błękitne skrawki nieba. Phoebe zastanawiała się, czy warto byłoby wspomnieć o tym, że pracuje zaledwie o dwa kwartały stąd — i że byłaby w pracy, gdyby nie „Odrodzenie Księżyców” — ale uznała, że to nie ma znaczenia.

— Mieszkam tu, niedaleko - powiedział Kyle. - Wpadniesz na kawę?



Mieszkanie przy Cole Street rozczarowało ją nieco. Miała nadzieję na nostalgiczną podróż w czasie, a okazało się, że w pokoju gościnnym dominują smukła, czarna kanapa i bardzo nowoczesny, długi i szklany stolik do kawy. Wiszące na ścianach, abstrakcyjne litografie zdawały się lewitować za szybkami z pleksiglasu. I tylko w jednym z okien wisiał samotny pryzmat, a na podłodze leżało kilka poduszek krytych nierównomiernie farbowanym materiałem. Phoebe wyczuła też delikatny zapach goździków lub pieprzu, który również kojarzył się jej z przeszłością.

Usiadła na podłodze, z dala od czarnej kanapy. Kiedy Kyle zrzucił wojskową kurtkę, zauważyła pod T-shirtem niezłą muskulaturę. Wyjął skręta z papierośnicy Lucite stojącej na stoliku i zapalił go, po czym usiadł na podłodze obok dziewczyny.

— Wiesz — odezwał się chrapliwym głosem, powoli wypuszczając dym i podając skręta Phoebe — nieraz sobie myślałem, że warto by było wpaść do ciebie i twojej mamy. Zobaczyć, jak sobie radzicie. — Trzeba było to zrobić — odpowiedziała. Spoglądała na skręta z wahaniem, zastanawiając się intensywnie, czy powinna się zaciągnąć. Palenie trawki zawsze wprawiało ją w niepokój, a parę razy skończyło się wręcz paraliżującym strachem przed nagłą śmiercią. Teraz jednak pomyślała o siostrze; o tym, jak chętnie Faith sięgała po wszelkie zakazane owoce, a także o tym, że Kyle na pewno spodziewa się po niej tego samego. Na początek zaciągnęła się niezbyt głęboko. Kyle pochylił się nad obrotowym stojakiem z płytami. Po chwili ciszę zagłuszyła muzyka z *Surrealistic Pillow*, z głębokim, dziwnym wokalem Grace Slick.

— Twoja mama wyszła za mąż po raz drugi? — spytał, wracając na miejsce.

— O, nie — zaprzeczyła Phoebe, omal nie parszkając śmiechem. — Nie. — Czuła rosnące zażenowanie, kiedy Kyle patrzył tak na nią zza szarej chmury dymu. - Zdaje się, że tę fazę życia ma już za sobą — wyjaśniła.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Szkoda.

— Ona nie ma nic przeciwko temu — powiedziała Phoebe, zastanawiając się jednocześnie, czy sama wierzy w to, co mówi. — Era romansów już minęła, to wszystko.

Kyle zmarszczył brwi, łykając sporą porcję dymu.

— Ile ona ma lat?

— W najbliższy weekend będzie miała urodziny. Czterdzieste siódme.

Kyle roześmiał się i zakaszłał głośno, prychając dymem na wszystkie strony.

— Czterdzieste siódme — powtórzył, kiedy się uspokoił. — Nie jest stara, Phoebe.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, zdziwiona wybuchem śmiechu.

— Nie mówiłam, że jest stara. - Trawka coraz mocniej mąciła jej umysł.

Mężczyzna nie przestawał mierzyć jej wzrokiem. Dym wisiał w powietrzu obłokiem o skomplikowanych kształtach, wsiąkając powoli jak śmietanka w kawę.

— A ty? - spytał Kyle. - Jak sobie radziłaś?

— Nieźle, dzięki — odpowiedziała ostrożnie.

Kiedy kończyli skręta, miała już wrażenie, że cały pokój pulsuje. Słyszała echo bicia własnego serca.

Kiedy odchyliła się do tyłu i oparła o poduszkę, wydawało jej się, że materiał pachnie cynamonem.

Kyle położył się na plecach, skrzyżował w kostkach wyprostowane nogi, a dłonie wsunął pod głowę.

— Chciałbym o tym rozmawiać — powiedział, nie otwierając oczu — ale nie wiem jak.

— Ja też — odparła Phoebe. — I nigdy nie rozmawiam. Kyle otworzył oko.

— Nawet z mamą? Ani z bratem?

— Sama nie wiem, dlaczego tak jest. Kiedyś rozmawialiśmy.

Meandrujący i jakby zamglony utwór *Plastic Fantastic Lover* wdarł się do umysłu Phoebe, generując rozbłyśki fluorescencyjnych barw. Przez chwilę oboje słuchali w milczeniu.

— Czy... dowiedzieliście się w końcu, co się stało? — spytał wreszcie Kyle.

— Chodzi ci o to, jak zginęła?

— Tak. Jak to właściwie było.

Jak zawsze, gdy konwersacja skręcała w stronę Faith, Phoebe poczuła odprężenie. Oddychała teraz wolno i głęboko.

— Wszyscy twierdzą, że skoczyła. Kyle westchnął ciężko.

— We Włoszech, prawda? Kiwnęła głową.

— Wierzysz w to? — spytała po chwili.

— Sam nie wiem. Z tego, co słyszałem — a ty powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie — akurat w tamtym miejscu raczej trudno byłoby spaść przez przypadek.

— Tylko że nikt nie widział, jak to było.

Kyle podniósł się na łokciach i spojrzał na Phoebe. Odpowiedziała bardzo mętym spojrzeniem, wciąż próbując ustalić, co tak naprawdę zmieniło się w Kyle'u, jakim znała go z dawnych czasów.

— Ale dlaczego miałyby to robić? — spytał. — Może ty wiesz dlaczego?

Wyglądał tak uczciwie, tak szczerze, jakby był pierwszym człowiekiem, który zadał to pytanie w taki sposób. Phoebe zaśmiała się, najpierw dyskretnie, a potem wręcz konwulsyjnie, tak że po jej policzkach spłynęły łzy.

— Przepraszam — powiedziała, wycierając je rękawem. Ciekło jej także z nosa. — Przepraszam.

Kyle dotknął jej ramienia.

— Zastanawiam się po prostu, jak wygląda prawda — powiedział.

— Tak — mruknęła, pociągając nosem. — Ja też. — Śmiech przyniósł jej taką ulgę, jaką zwykle daje płacz.

— Uważasz, że to był wypadek - stwierdził Kyle.

— Nie jestem pewna.

Skinął głową. Sprawa wyglądała na zamkniętą, a Phoebe miała przykre wrażenie, że straciła szansę na coś. Za karę, pomyślała, za to, że się śmiała.

Zapadła cisza. Kciuk i środkowy palec dłoni Phoebe lepiły się od żywicy. Kyle znowu zapalił skręta, a kiedy podał go dziewczynie, przyjęła bez wahania. Wreszcie rzucił niedopałek na podłogę i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, przyciskając dłonie opuszkami palców.

— Jesteś do niej podobna — powiedział. — Pewnie ciągle to słyszysz.

— Wcale nie słyszę - odparła Phoebe i przez moment zastanawiała się dlaczego. - Chyba dlatego - dodała parszkając śmiechem, gdy zrozumiała — że już nikt nie widuje nas razem.

Kyle trzepnął się ręką w czoło z wyraźnym zakłopotaniem.

— Szkoda, że tego nie słyszę — dodała ciszej.

Kyle zostawił ją, by podejść do okna. Phoebe, ubrana w luźne ogrodniczki i traperki, przeciągnęła się, wypychając ręce ku sufitowi, aż poczuła rwanie mięśni między żebrami. Była już bardzo naćpana, ale akurat tego dnia nie widziała w tym nic zdrożnego. Czuła nawet coś w rodzaju przekornej pewności siebie, kiedy tak leżała na boku, obserwując Kyle'a, który zmrużonym okiem spoglądał przez pryzmat wiszący w oknie na pojedynczej, nylonowej nitce. Mężczyzna obrócił szklaną bryłę, rozpraszając smugi tęczowego światła, przy wtórze *Moon-child* King Crimson.

— Mam takie dziwne wrażenie — powiedział.

— Jakie?

— Pomyślałem sobie, że gdybyś oznajmiła mi teraz, że jesteś Faith, to bym ci uwierzył.

Phoebe odwróciła głowę, żeby ukryć zadowolenie. Wciąż jeszcze nosiła od czasu do czasu ubrania należące do Faith: wystrzępione džinsy, koronkowe bluzki kupowane na targowisku oraz wymiętą, aksamitną marynarkę z guzikami w kształcie gwiazd. Żadna z tych rzeczy nie pasowała na nią idealnie — starsza siostra musiała być szczuplejsza, może wyższa, a może po prostu miała dłuższe, czarne włosy. Coś w tym było. Bez względu na to, jak bardzo Phoebe starała się wypełnić przepaść dzielącą ją od Faith, zawsze pozostawały jakieś różnice. Wierzyła jednak, że pewnego dnia wszelkie rozbieżności znikną. Z niecierpliwością oczekiwała tego dnia transformacji. Do tej pory miała nadzieję, że zmiana nastąpi z chwilą ukończenia szkoły.

— Niedługo wyjeżdżam do Europy — skłamała, ogarnięta nagłym pragnieniem zrobienia wrażenia na Kyle'u. — W długą podróż.

- Naprawdę? - odpowiedział, nie ruszając się spod okna. - A dokładnie dokąd?

- Jeszcze nie wiem. Pomyślałam, że tak po prostu pojedę, wiesz? Że będę spontaniczna. — Było w tym ziarno prawdy; Phoebe naprawdę zamierzała pewnego dnia wybrać się do Europy i podążyć śladem siostry. Zawsze wiedziała, że to zrobi. Teraz jednak zapisała się na semestr jesienny w Berkeley, wybrała pięć przedmiotów i nawet zarezerwowała sobie miejsce w akademiku.

- Popieram spontaniczność - stwierdził Kyle z nutą zazdrości w głosie. Ojciec Phoebe był tego samego zdania. W testamencie próbował zaakcentować ten pogląd, zapisując córkom i Barry'emu po pięć tysięcy dolarów na to, by po ukończeniu szkoły średniej mogli poznać świat. „Zróbcie to najpierw”, mawiał, „zanim utkniecie na dobre. Róbcie takie rzeczy, o których będziecie mogli opowiadać przez resztę życia”.

- Tak po prostu jadę, wiesz? - brnęła w kłamstwo Phoebe. — Spadam stąd. Kyle podszedł do niej, jego gołe stopy lepiły się do wypolerowanej podłogi. Strzelił kolanami, przyklekając na poduszce obok leżącej dziewczyny, która zamknęła oczy.

- Jesteś piękna - powiedział, dotykając jej twarzy. Phoebe otworzyła oczy i natychmiast z powrotem je zamknęła. Czowała zawroty głowy, jakby cały pokój - idąc w ślady pryzmatu - kołysał się na żyłce. Kyle pochylił się i pocałował ją w usta. Oddała pocałunek, jakąś częścią siebie pragnąc pójść na całość. Była jeszcze dziewicą. Usta Kyle'a były słodkie jak mus jabłkowy. Mężczyzna poprawił poduszki i ułożył się obok niej. Kiedy dotykał przez koszulkę jej piersi, wyczuła jego pew-

ność, która pomogła jej się zrelaksować. Położył chłodne dłonie na jej skroniach, a wtedy Phoebe usłyszała szum podobny do tego, który dobiega z morskich muszli. Kyle położył się na niej.

Przycisnęła dłonie do jego pleców, nawet przez ubranie wyczuwając gorąco obcego ciała. Jego twardy, pofałdowany brzuch poruszał się nieznacznie przy każdym oddechu; Phoebe wyczuwała udem jego erekcję. Otworzyła oczy, żeby spojrzeć na Kyle'a, i przekonała się, że jego powieki są zaciśnięte, jakby w duchu formułował właśnie jakieś życzenie.

— Czekaj... czekaj — powiedziała, wyślizgując się spod niego.

Kyle opierał się jej przez chwilę, a potem zniemacka zerwał się na równe nogi, jakby w pokoju pojawił się ktoś obcy. Phoebe słyszała jego płytki, szybki oddech. Usiadła i skuliła się z kolanami pod brodą. Mężczyzna przysiadł na końcu kanapy.

— Cholera — powiedział.

Ale Phoebe już nie zwracała na niego uwagi. Usilnie próbowała coś sobie przypomnieć. Zamknęła oczy i przycisnęła czoło do kolan. Po chwili zobaczyła Faith i jej przyjaciół połykających coś, co wyglądało jak małe skrawki papieru. Wkrótce potem wszyscy zaczęli śmiać się do łez, a szlochająca Faith wylądowała w ramionach narzeczonego — Wilka, jak nazywano go z powodu brązowej skóry i białych zębów. Trzymając brązowe dłonie na twarzy jej siostry, powtarzał „ciii”, gładząc włosy Faith, jakby była kotem. Pod miękką, skórzaną kamizelką nie miał nic, a Phoebe patrzyła na wyrzeźbione mięśnie jego brzucha, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że przypominają skorupę żółwia. Patrzyła też — z coraz większym zażenowaniem — na Faith, która uspokoiła się i zaczęła całować swojego

chłopaka. „Chodź”, powiedziała starsza z sióstr i spróbowała wstać, ale się jej nie udało: wyglądała na chorą, w jej oczach płonęła gorączka. „No, chodź”, powtarzała. I dalej całowała Wilka, ale on przypomniał sobie właśnie o siedzącej obok Phoebe i spojrzał jej głęboko w oczy.

„Faith, zaczekaj”, powiedział. „Zaczekaj chwilę”.

Wreszcie pomógł jej wstać i wyszli, a Phoebe podążyła za nimi na korytarz. Patrzyła, jak znikają za białymi drzwiami do sypialni matki. Potem zapadła cisza. Phoebe czekała cierpliwie, aż otworzą się znowu, i z każdą minutą ogarniało ją coraz silniejsze przerażenie. Jej siostra była przecież chora, ledwie mogła chodzić! Odkąd ojciec zachorował, te drzwi zawsze pozostawały zamknięte, a w korytarzu rozchodził się słodkawy zapach lekarstw. Phoebe rzuciła się w rozpacz na dywan i jakby w transie trwała w pozycji leżącej przez długi czas. Wydawało jej się, że mijają godziny, a biała połać drzwi wciąż wypalała dziurę w jej umyśle. Wreszcie poderwała się, podbiegła do nich i przytuliła policzek do pomalowanego drewna, ale nie odważyła się dotknąć klamki. Za bardzo się bała.

A potem usłyszała kroki. Odskoczyła gwałtownie, kiedy siostra otworzyła drzwi. Oczy Faith były czarne i szeroko otwarte, a po jej rzęsach spływały krople wody. Mocno przytuliła Phoebe. „Skarbie”, powiedziała, kołyszac ją lekko. „Skarbie, co ci się stało?” Pachniała mydłem. Czyżby brała prysznic? Wilk, bohater, spoglądał na młodszą z sióstr w taki sposób, z takim bólem na twarzy, jakby zrobił jej krzywdę. Nie, chciała powiedzieć Phoebe, nie, nie. Ale jak mogła to zrobić, skoro nic nie rozumiała? Skoro wszyscy dokoła byli tacy tajemniczy?

A teraz patrzyła na Kyle'a, siedzącego na odległym o całe mile końcu kanapy. Zawsze tak było — coś, co ko-



niecznie musiała sobie przypomnieć, ciągnęło ją do tyłu, jak cofające się fale w czasie odpływu. Białe drzwi odgradzały ją od świata, przypominając, że jej teraźniejsze życie jest nierealne i pozbawione znaczenia. To, co liczyło się naprawdę, było niedostrzegalne. Niekiedy nienawidziła swojej pamięci; chciała rzucić się głową w dół w coś nowego, własnego, i zatracić się w tym bez reszty. To jednak nie było możliwe. Jedyna droga naprzód prowadziła przez te białe drzwi.

- Brakuje ci jej? - przerwała ciszę Phoebe.

Kyle z trudem podniósł się z kanapy i spryskał wodą liście wątlých krzaczków marihuany pnących się w stronę ultrafioletowej lampy. Rośliny utrzymywały równowagę dzięki palikom, do których umocowano je cienką nicią.

- Czasem czuję się tak, jakby ona nadal tu była - odpowiedział. - Jakby było wtedy. I brakuje mi tego jak diabli.

- Mnie też - podchwyciła Phoebe, czując ból w piersi. - Nawet jeśli tak naprawdę nie było mnie tu w tamtych czasach.

- Przecież byłaś.

- Nie. Byłam mała. Milczeli przez długą chwilę.

- Mnie też tu nie było - odezwał się w końcu Kyle. - W każdym razie nie całkiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Krążyłem, pojawiałem się, ale nigdy jakoś nie byłem w centrum.

Phoebe poczuła się nieswojo, usłyszawszy to wyznanie.

- Ależ byłeś, Kyle - powiedziała krzepiaco. - Zdecydowanie byłeś.

Rozpromienił się, wyraźnie pocieszony, i posłał w smu-

gę światła chmurę kropelek z ręcznego spryskiwacza. Phoebe usłyszała wystrzał armatni, który każdego dnia

o siedemnastej oddawano w bazie wojskowej Presidio.

— Lepiej już pójdę - powiedziała, wstając chwiejnie. Czuła, że jedna jej noga zapadła w sen. Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy. Chłopak Faith, Wilk, mieszkał teraz w Europie. Matka Phoebe od lat nie miała od niego wiadomości.

Kyle czekał z rękami w kieszeniach.

— Zadzwoń do ciebie.

— Jasne — odpowiedziała Phoebe, wiedząc, że tego nie zrobi.

Powoli i ostrożnie zeszła po schodach aż na ulicę, na wszelki wypadek mocno trzymając się poręczy.

Promienie słońca rozświetlały korony drzew. Ciszę przerywał tylko daleki stukot tramwaju.

— Hej! - usłyszała głos dobiegający z góry. Kyle wychylał się przez okno. - Zapomniałem, że chciałem ci coś dać na wypadek, gdybyś trafiła do Monachium. Mam tam kuzyna.

Phoebe osłoniła oczy przed słońcem. Zdążyła już zapomnieć o zmyślonej historii z Europą i teraz ze strachem myślała o powrocie do sprawy, która tymczasem nabrała cech faktu.

— Wróć na chwilę — dodał Kyle.

Phoebe wróciła. Kyle podał jej skręta w różowej, fluorescencyjnej bibułce, który wydał się jej dziwnie lekki

i suchy.

— Powiedz mi, że to ten sam towar, który paliliśmy w Boże Narodzenie — powiedział, przepisując dane z kalendarza na tylną stronę paragonu. „Steven + Ingrid Lake”, przeczytała Phoebe. Dalej był jeszcze adres i oso-

bliwie krótki numer telefonu. Zawinęła skręta w karteczkę z danymi i wsunęła do portmonetki.

— Powiedz Steve'owi, żeby trzymał się z daleka od mrowisk — dorzucił Kyle i roześmiał się, stojąc w otwartych drzwiach. — On będzie wiedział, o co chodzi.

Schodząc po kamiennych stopniach po raz drugi, Phoebe czuła dziwne podniecenie. Kyle był przekonany, że czeka ją podróż do Europy — może za tydzień, a może już jutro — i myśl ta nie przestawała jej zdumiewać. Miała wrażenie, że teraz naprawdę wszystko może się zdarzyć.

Stanąwszy na chodniku, zadarła głowę. Kyle patrzył na nią z okna, w zamyśleniu trącając szklany pryzmat.

— Kiedy wyjeżdżasz? — spytał.

— Wkrótce — odparła, tłumiąc śmiech. — Może w przyszłym tygodniu — dodała, odwracając się.

— Przyślij mi pocztówkę! — zawołał.

Phoebe szła, uśmiechając się do kościstych, wiktoriańskich domów. Europa, pomyślała. Ptaki, białe kamienie i długie, ciemne mosty. Wyprawa do wszystkich miejsc, które odwiedziła Faith. Komplet kartek pocztowych od siostry wciąż leżał pod łóżkiem, w pudełku po butach. Phoebe pamiętała, z jaką niecierpliwością czekała na listonosza od pierwszego dnia, gdy Faith i jej chłopak wyjechali w letnie popołudnie tak podobne do tego. Pognali na lotnisko ciężarówką Wilka, w towarzystwie dziewczyny, która już zapłaciła mu za wóz. Phoebe stała na chodniku jeszcze długo po tym, jak odjechali, zastanawiając się, co też z nimi będzie. Od tamtej chwili myślała o tym bez przerwy.

Jej siostra zginęła 21 listopada 1970 roku na skałach poniżej Corniglii, maleńkiej wioski na zachodnim wybrzeżu północnych Włoch. Faith miała wtedy siedemna-

ście lat, Phoebe dziesięć. We krwi martwej dziewczyny wykryto śladowe ilości narkotyków — amfy i LSD — ale ich niskie stężenie wskazywało na to, że w chwili śmierci była trzeźwa. Przeżyłaby, jak mówiono, gdyby nie złamanie kręgow szyjnych.

Gdyby zaś Phoebe umiała zebrać w całość wszystkie godziny, które spędziła, rozmyślając o tym zdarzeniu, z pewnością ułożyłyby się w całe lata. Zatraciła się w tych kontemplacjach tak dalece, że jej własne życie rozpadło się niepostrzeżenie. Tonęła w bezdennej studni nieobecności siostry. Im dłużej myślała, tym większej nabierała pewności, iż zaszło jakieś piramidalne nieporozumienie. Jeżeli Faith rzeczywiście odebrała sobie życie, to zrobiła to bez śladu poczucia beznadziei i porażki, które implikowało hasło „samobójstwo”. Ilekroć Phoebe zastanawiała się nad tajemniczą śmiercią siostry, zawsze czyniła to z dziwnym, wewnętrznym przekonaniem, że Faith została przeniesiona do innego, bardziej interesującego królestwa, do miejsca tak dalekiego, że można było dotrzeć doń, jedynie wyrzekając się własnego życia. Jedynie kopniakiem odrzucając za sobą drabinę. Czy w czymś takim mogło być znamię porażki?

Matka Phoebe, Gail, poleciała do Włoch i wróciła z urną z prochami Faith. Wraz z młodszą córką i Barrym rozsypała je z wysokiego urwiska opodal mostu Golden Gate. czyli z miejsca, w którym całą rodziną bywali na piknikach. Phoebe zapamiętała, że wpatrywała się z niedowierzaniem w szarawe bryłki podobne do suchego mułu lub pozostałości po ognisku. Ciskała je w powietrze spoconymi rękami, czując, jak najmniejsze drobiny popiołów wciskają się w zmarszczki na skórze dłoni. Bez względu na to, jak bardzo się starała otrzepać ręce, ślady pozostawa-

ły. Nieco później zamknęła się w pokoju i przez długi czas spoglądała na swoje otwarte dłonie. W domu panowała cisza. Wreszcie Phoebe wysunęła język i szybko przebiegła nim po skórze. Poczła kwaśny i słonawy smak. Przerażona pobiegła do łazienki i długo płukała w umywalce usta oraz dłonie. Zerkając na muszlę klozetową, marzyła skrycie, żeby zrobiło się jej niedobrze. Dopiero później przyszło jej do głowy, że poczuła smak własnego potu.

Białe drzwi na końcu korytarza. „Chodź”, powiedziała Faith, wyciągając ręce do Wilka. Zamknęli je za sobą.

A Phoebe spacerowała nerwowo na zewnątrz, wbijając palce stóp głęboko w puszysty dywan.

Przerażona — czym? Tym, że siostra zniknęła. Że drzwi nigdy się nie otworzą. A kiedy wreszcie to się stanie, zostanie sama w jasnym, pustym pokoju.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jadąc porsche Barry'ego, w milczeniu grali w tchórza: Barry stale przyspieszał, wiedząc, że Phoebe I boi się coraz bardziej. Chciał, żeby poprosiła go, by zwolnił. Phoebe jednak wolałaby skoczyć wprost w paszczę śmierci, niż dać mu tę satysfakcję. Kiedy jeździli we dwoje, powolnemu ruchowi wskazówki prędkościomierza towarzyszyło coraz bardziej ponure milczenie. Phoebe błagała wtedy Boga o czerwone światło na najbliższym skrzyżowaniu. Jak długo może to potrwać, myślała, zanim naprawdę coś się nam przydarzy? Lecz mimo obaw nie poddawała się.

— Opanuj się, kochanie — powiedziała matka, kiedy Barry zaczął wyciskać z silnika resztkę mocy o trzy kwartały przed zjazdem do domu. — Chciałabym przeżyć jeszcze parę urodzin.

Dzień był ciepły i bezchmurny, co w czerwcu należało w San Francisco do rzadkości. Barry wyglądał na przepisowo szczęśliwego. Planował urodziny matki od wielu tygodni: najpierw zaproponował długi weekend na Hawajach, potem przelot balonem na rozgrzane powietrze i w końcu całodniowy rejs wynajętym jachtem.

— Jestem twoją matką, a nie prezesem Sony — upomniała go wtedy Gail, próbując śmiać się w miarę łagodnie, by nie zrozumiał opacznie jej intencji. — Może wystarczy zwykły piknik?

Dwudziestotrzyletni brat Phoebe był milionerem. Nasieniem, z którego wyrosła jego fortuna, było pięć tysięcy dolarów pozostawione w spadku przez ojca, pomnożone dzięki roważnym inwestycjom podczas studiów w Berkeley. Opuściwszy progi uczelni, Barry otworzył firmę programistyczną, w której - gdy Phoebe pytała po raz ostatni - znalazło już zatrudnienie pięćdziesięciu siedmiu ludzi. Był właścicielem domu o czterech sypialniach na wzgórzach opodal Los Gatos i zawsze na święta obsypywał Phoebe prezentami, za które była mu wdzięczna aż do bólu: dostała między innymi rakietę tenisową Prince, zegarek cyfrowy oraz sznur prawdziwych pereł świecących na różowo w odpowiednio dobranym świetle. Barry często wymieniał nazwiska znanych ludzi, których miał okazję poznać na przyjęciu. Zawsze starał się akcentować to, że to oni go szukali, by choć przez chwilę zaznać niepowtarzalnej wspólnoty z jego niezwykłą osobą. Mawiał też, że jego pracownicy to czołówka krajowych geniuszy informatycznych, a jego produkty są tak fenomenalne, że klienci wprost mdleją przy swych komputerach. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Phoebe od czasu do czasu wierzyła w to, co mówił, chwilowo przyjmując jego punkt widzenia, wedle którego stolicą świata nie były ani Nowy Jork, ani Paryż, ani Waszyngton, tylko siedziba pewnej firmy software'owej w pobliżu Palo Alto.

- Dokąd jedziemy? - zawołała z tylnego siedzenia, gdy porsche minęło bramę Golden Gate Parku.
- Zobaczysz - odparł Barry, zajęty rozmową z matką. Mówił właśnie o procesorach i bajtach.

Phoebe uchyliła okno, by odetchnąć wilgotnym, eukaliptusowym zapachem parku. Minał równy tydzień od spotkania z Kyle'em dokładnie w tym samym miejscu. Jak

większość wspomnień powstałych pod wpływem trawki, i to miało jedynie szkicowy, półsenny charakter. Nie mogła zapomnieć tylko o jednym: o tym, że Kyle uwierzył w jej wyjazd do Europy. Wyciągnęła rękę w stronę przedniego fotela, na którym siedziała matka, i dotknęła jej siwiejących włosów. Phoebe zdawała sobie sprawę z jej urody, ale miała i tę świadomość, że piękno matki jest cokolwiek staroświeckie i w otaczającym je świecie sprawia wrażenie nieco stłumionego, pasywnego. Uwielbiała ten stan rzeczy. Denerwowały ją natomiast stare zdjęcia, na których Gail - młoda i olśniewająca - uśmiechała się pogodnie spod rond kapeluszy. Pamiętała jeszcze, jak rodzice byli razem i to, jak ojciec lubił kłaść głowę na kolanach matki albo pieszczotliwie klepać ją w tyłek. Pamiętała też Claude'a, jedyne prawdziwego kochanka Gail w całym jej wdowim życiu wypełnionym mnóstwem nic nie znaczących spotkań z mężczyznami. Tylko przy nim matka otwierała się w pełni, a napięcie, które wytwarzało się między nimi, było niemal wyczuwalne, jak ładunek elektryczny. Phoebe pamiętała o tym wszystkim, lecz najbardziej podobała jej się matka taka, jaka była teraz: zadumana, oderwana od rzeczywistości i skora do śmiechu ze smutną nutą, jakby rozmaite sprawy bywały zabawne wbrew samym sobie. Postrzegała ją jako wciąż oplakującą ojca i hołubiła poczucie bezpieczeństwa, które dawał jej ten stan. Czowała się tak, jakby mogła spać spokojnie, bo ktoś inny zawsze pozostawał czujny w jej imieniu i nigdy nie schodził z wachty. Barry zaparkował wóz w pobliżu gaju drzewek owocowych, których liście były tak świeże, że wyglądały na jeszcze mokre. Zaczął wyładowywać prowiant, niecierpliwym gestem zbywając oferty pomocy. Był wysoki i ciemnowłosy, a jego oczy zaskakiwały głęboką i czystą czernią, jak gdyby źrenice rozszerzyły się kiedyś w chwili paniki i nigdy nie wróciły do zwykłych rozmiarów. Efekt



sprawdzał się doskonale na fotografiach: „To twój brat? Boże, jaki przystojniak”, powtarzały od lat przyjaciółki Phoebe na widok zdjęć, ale rzeczywistość nie była aż tak doskonała. Barry poruszał się jak wielki dzieciak, z pochyloną głową i luźno zwieszonymi ramionami, jakby zawsze był gotowy wykonać unik.

Rozłożył na trawie przebogata kolekcję serków brie, czerwonych gruszek, pieczonej wołowiny, bagietek i winogron. W pojemniku z lodem chłodził się dom perignon, a obok stała miseczka z kawiozem z białym. Matka zrzuciła sandały i sącząc szampana, ugięła i prostowała blade palce stóp. Skóra na jej łydkach była tak sucha, że lśniła jak porcelana.

— Mogłabym tak spędzić parę dni — powiedziała.

Kiedy zjedli po kawałku ciasta marchewkowego upieczonego przez Phoebe, Barry poszedł do samochodu i wrócił z naręczami prezentów. Ułożył przed matką wszystkie pakunki, owinięte w złocistą folię i przewiązane zielonymi wstążkami.

— Mój Boże — jęknęła.

Prezent od Phoebe zmieścił się w kieszeni sztruksów: był to srebrny naszyjnik od Tiffany'ego na dwudziestą piątą rocznicę ślubu rodziców, która wypadła w najbliższy wtorek.

— Zaczynaj, Barry — odezwała się, wiedząc, że tego właśnie pragnął.

Barry wybrał pierwsze pudełko. Matka otworzyła je wolno, pieczołowicie ratując błyszczący papier. Zawsze rozwijała prezenty z taką ostrożnością, by później bez

zastanowienia zmiąć nienaruszone opakowanie i wyrzucić do śmieci.

- Zestaw do makijażu - powiedziała, odchylając złotą przykrywkę.

- Najnowsze kolory - dodał Barry. - Pełna paleta. Rzędy barwnych owali błyszcząły jak farbki wodne, których Phoebe używała w dzieciństwie.

- Od lat się nie maluję - powiedziała matka.

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją Barry, podając drugi pakunek, tym razem długi i płaski. Pod papierem ukryta była karta.

- Bon towarowy - przeczytała. - Na komplet zabiegów pielęgnacyjnych?

- Chodzi o to - wpadł jej w słowo Barry - żeby fachowcy sprawdzili, w czym ci będzie najlepiej, i pokazali, jak korzystać z tego zestawu.

- W moim przypadku wystarczyłaby papierowa torba na głowę - odparła Gail, otaczając syna ramieniem. -Widzę, kochanie, że nie żałowałaś czasu na przygotowania.

W kolejnym opakowaniu znalazła następny bon, tym razem do salonu fryzjerskiego. Czułym gestem zmierzwiła włosy Barry'ego.

- Przepraszam bardzo, ale powinieneś wiedzieć, że moja fryzura była szczytem mody w sześćdziesiątym piątym.

Barry jakby jej nie słyszał. Pochylał się nad matką i podawał jej paczki tak szybko, jak nadażala z otwieraniem. Phoebe z wściekłością spoglądała w dal, na świeże, zielone liście drzew. Szczyt bezczelności, myślała, przecież to obraza! Czy on oszalał?

Matka wyjęła z opakowania kolejny bon towarowy, tym razem z Centuriona, sklepu z odzieżą przy Union Street.

— Tego już za wiele — powiedziała. — Naprawdę przesadziłeś!

— A teraz — rzekł Barry, wręczając jej kolejne pudełko — prezent numer pięć, który pomoże ci skorzystać z poprzednich.

Gail rozwinęła papier i zmarszczyła brwi.

— Koordynator mody? — mruknęła. — Brzmi to jak nazwa maszyny.

— Nie, nie, to człowiek — wyjaśnił Barry. — Weźmiesz go ze sobą na zakupy, a on pomoże ci wybrać. Zna się na tym, co najmodniejsze.

Zapadła cisza. Matka uniosła wzrok ponad gąszcz złotych papierów. Phoebe dostrzegła ślady niepokoju na twarzy Barry'ego, jakby nagle przytłoczyła go waga tak wielu hojnych darów.

— Naprawdę nie miałem złych intencji... — bąknął.

— Jasne, że nie — odpowiedziała Gail, zwracając się do Phoebe. — Barry ma rację, prawda? Zaniedbałam się ostatnio.

— Wcale nie jesteś zaniedbana — zaproponowała Phoebe.

— Mam nadzieję, że naprawdę skorzystasz z tego wszystkiego — odezwał się Barry. — Ze nie wrzucisz tego do szafy i nie zapomnisz — dodał, spoglądając przeciągle na siostrę, jakby przeczuwał jej chęć przeprowadzenia małego sabotażu.

— Właściwie to nawet zabawne — powiedziała matka. — Od miesiący myślałam sobie po cichu, że warto by było... odświeżyć trochę mój wygląd.

— Naprawdę? — spytała zdumiona Phoebe.

— Naprawdę. Tylko nie bardzo wiedziałam, od czego zacząć. Przyznaję, że wyczułeś mnie niezawodnie, Barry.

Phoebe przetrwała jej reakcję z niemałym wysiłkiem.

Minęło kilka chwil, zanim przypomniała sobie o własnym prezencie i wyciągnęła go z kieszeni.

- Znowu prezenty? - zawołała matka. - Mam wyjątkowo ekstrawaganckie dzieci.

Barry przyglądał się im w milczeniu. Phoebe doskonale wyczuwała jego niechęć, a nawet strach przed tym, że mogłaby jakoś przyćmić jego hojność. Matka powoli 'odwinęła bibułę, uchyliła pudełko i wyjęła firmową, błękitną sakiewkę od Tiffany'ego.

- Jaki śliczny woreczek - powiedziała. - Na pewno mi się przyda. - Celowo mówiła niespiesznie, by znaleźć punkt równowagi między licznymi darami od Barry'ego a jedynym prezentem od Phoebe. Nie chciała, by rozpakowanie trwało zbyt krótką chwilę.

Poluzowała rzemyk zamykający sakiewkę i wyjęła z niej wnętrza naszyjnik: masywną kroplę srebra na cieniutkim łańcuszku.

- Och - szepnęła. - Phoebe, jakie to piękne. Pomóż mi założyć. - Uniosła nieco włosy, a Phoebe zapięła łańcuszek na jej karku. Kropla srebra spoczęła w płytkim zagłębieniu między obojczykami.

- Ładny - skomentował Barry, wierząc się niecierpliwie na trawie. - Naprawdę ładny, Pheeb.

- Przepiękny - skorygowała Gail, całując córkę w policzek.

Phoebe poczuła kwaskowaty zapach limetowych perfum spod jej bluzki. Matka zawsze pachniała tak samo

Dziewczyna nie spuszczała z niej oka, czekając, aż Gail pojmie właściwe znaczenie tego prezentu.

Podejrzała, że Barry nawet się nie zorientuje, że wystarczy jedno spojrzenie, które przypomni matce i córce o latach, które zostały daleko w tyle i bezpowrotnie zniknęły.

Gail zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Phoebe patrzyła na nią tak długo, aż siłą woli uniosła jej powieki.

— O co chodzi? — spytała matka, siadając prosto. Phoebe wciąż spoglądała na nią bez słowa. Gdzieś daleko pobrzmiwał rytm wybijany na bębnach.

— Skarbie, czy coś się stało? — Oczy dziewczyny nadal były szeroko otwarte. — Phoebe?

— Nie rozumiesz? — wykrzyknęła Phoebe z rozpaczą.

— Nie ro...

— Srebro. — Nie mieściło się jej w głowie, że musiała wypowiedzieć na głos to słowo.

Matka dotknęła naszyjnika.

— Tak. Ja... przepadam za srebrem.

— Pomyśl: sre-bro — powtórzyła wyraźnie Phoebe, przeciągając sylaby. — Nie do wiary, że nie rozumiesz, o czym mówię!

— A co tu jest do rozumienia? — zawołał Barry. — Jezu, Phoebe, przecież powiedziała, że jej się podoba.

Gail chwyciła łańcuszek obiema dłońmi.

— Srebro! Na waszą dwudziestą piątą!

Lecz nawet teraz twarz matki nie zmieniła wyrazu. Phoebe poczuła w żołądku zimny uścisk strachu.

— Ach, rozumiem — zawołała Gail z widoczną ulgą. — Nasza dwudziesta piąta. Oczywiście. Tylko że to było w zeszłym roku.

Phoebe wyprężyła się jak struna.

— W zeszłym? Jakim cudem?

— Co było w zeszłym roku? — wtrącił zdezorientowany Barry.

— Pobraliśmy się w pięćdziesiątym drugim.

— Drugim!? Myślałam, że w pięćdziesiątym trzecim!

- To nieważne, kochanie. Naprawdę nie widzę żadnej różnicy. - Matka sprawiała wrażenie nieco wytraconej z równowagi. - Mój Boże, aleś mnie nastraszyła - dodała po chwili.

- Stop! Stop! - odezwał się Barry. - Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co ten naszyjnik ma wspólnego z waszym małżeństwem?

- Srebro - odpowiedziała Gail. - Klasyczny prezent na dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Barry odchylił się nieco i spojrzał na wierzchołki odległych drzew.

- Rozumiem — powiedział.

- Moim zdaniem to naprawdę urocze - powiedziała matka, ale bez przekonania, na które Phoebe tak bardzo liczyła.

Barry się nie odezwał. Phoebe podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła długi, tęczy latawiec unoszący się tuż nad drzewami. Tylko jeden mięsień w policzku jej brata drgał nieznacznie.

- Nie złość się, Bear - powiedziała.

- Ach, rozumiem. Teraz to moja wina.

Ramiona matki opadły bezwładnie. Phoebe wyczuwała w niej gorycz porażki i w myślach winiła samą siebie o całe to zamieszanie. Znowu spojrzała na drzewa i na starszego mężczyznę, który opalał klatkę piersiową i twarz, zasłoniwszy oczy liśćmi. W tle widziała jednak coś innego: wydarzenia z przeszłości; trwałą strukturę, na której terazniejszość rozciągała się niczym skóra. Błąd konstrukcyjny, który ktoś popełnił w owej strukturze, pozbawił sensu cały terazniejszy świat - chmury, psy, dzieci ze świecącymi jo-jo - gdzie było ich miejsce? Jakie było ich znaczenie?

— Pięćdziesiąty drugi — powiedziała Phoebe, siłąc się na spokój. — Kto by pomyślał, że to pięćdziesiąty drugi.

Barry otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i wolno wypuścił powietrze. Gail chwyciła rękę córki szczupłą i ciepłą dłonią, okrytą siateczką wyraźnie widocznych żył. Phoebe rozluźniła się nieco. Matka dostrzegała tę samą niewidzialną strukturę; dostrzegała wszystko.

Zbliżała się pora powrotu do biura. Gail często pracowała w weekendy, przez co Barry wpadał w szal na samą myśl o jej szefie, Jacku Lamencie. W milczeniu podjechali pod bramę budynku przy Post Street, w którym pracowała.

— Mam najcudowniejsze dzieci na świecie — powiedziała matka, całując oboje.

Kiedy wyszła z wozu, Phoebe została na tylnym siedzeniu. Pomknęli po Pine Street, o pół sekundy wyprzedzając zmiany świateł z czerwonych na zielone. Zamknęła oczy, próbując ustalić, kiedy właściwie po raz pierwszy zwrócili się z bratem przeciwko sobie. Jednak bez względu na to, jak daleko sięgała myślą wstecz, wzajemna niechęć już istniała.

Barry wprowadził samochód na podjazd i wyłączył silnik.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedział i ruszył pierwszy w stronę domu.

Phoebe przez całe życie mieszkała z rodziną właśnie tu, w wiktoriańskim domu przy Clay Street. W ostatnich latach budynek stracił nieco na uroku — farba na elewacji zbladła i zaczęła się łuszczyć, a nadmiernie wyrośnięte drzewa chyliły się jak pijane ku oknom. Trzecie piętro domu od dawna było oddzielone od pozostałych; rodzina wynajmowała je jako osobne mieszkanie.

Barry poszedł za Phoebe do kuchni.

- Siadaj - powiedział, wskazując na krzesło. Usłyszała, czując przyspieszone bicie serca. - Trzeba z tym skończyć, Phoebe. Dobrze o tym wiesz.

- Z czym? - spytała, choć Barry miał rację: wiedziała.

- Mówię o tobie i o mamie - odparł. - O tym, jak żyjecie.

- Przecież rzadko tu bywasz.

- Zgadza się - podchwycił z zapalem Barry. - A to dlatego, że czuję fizyczny ból, wchodząc do tego domu! Jezu, Phoebe, mijają lata, a tutaj nic się nie zmienia! Jak w *Wielkich nadziejach*.

Phoebe słuchała go z lękiem. Ma rację, pomyślała, na pewno ma rację. Czytała *Wielkie nadzieje*, ale nie miała pojęcia, o którą część chodzi bratu.

- O ciebie się nie martwię - ciągnął Barry. - Wstępujesz do college'u, ale mama... Jezu, zostanie sama w domu, a ten dupak, jej szef, wciąż będzie kradł jej czas. Ona ma czterdzieści siedem lat, Phoebe.

Pomyśl o tym. Czterdzieści siedem.

- Ale ja jej nie zostawię - jęknęła Phoebe. - Nigdy nie będzie sama.

To nie była prawidłowa odpowiedź. Barry podszedł do niej z wściekłością w oczach.

- Phoebe, czy ty nic nie kapujesz? - krzyknął. - Przecież właśnie o to chodzi, do ciężkiej cholery, żebyś się stąd wyniosła! Ona już cię nie potrzebuje.

- I dlatego dałeś jej te wszystkie prezenty? - spytała rozsierdzona Phoebe. - Po to, żeby znalazła sobie męża, zanim będzie za późno?

- Mówiąc po chamsku: tak. - Nastąpiła cisza. Kiedy Barry odezwał się ponownie, mówił już znacznie ciszej: -



Kiedy Faith odeszła, mama... sam nie wiem. Jakby ją zamrozili. To po prostu tragiczne.

— Mówisz o tamtym facecie?

— O jedynym, którego miała po śmierci taty! Przecież mama kochała tego Claude'a...

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— ...a kiedy zabrakło Faith, zwyczajnie...

— Przestań, Bear. — Phoebe zasłoniła uszy, ale i tak słyszała każde słowo.

— ...go odsunęła. Tak, jakby ubzdurzyła sobie, że już nie ma prawa do szczęścia. Jakby to była jakaś kara.

Barry nigdy wcześniej nie mówił takich rzeczy. Phoebe była zdumiona.

— Mama spotyka się z mężczyznami — powiedziała wreszcie, wbijając wzrok w słomiankę. — Umawia się.

— Tak, umawia — powtórzył z wyrzutem Barry. — A potem wraca do ciebie, do tego domu i...

— Przecież tu mieszkamy! Co innego miałyby zrobić?

— Odsunąć sobie — powiedział cicho. — Po prostu odsunąć.

— Co? — spytała ze strachem. — Nas?

— Wszystko. Tatę, Faith, cały ten bajzel. Po prostu — Barry rozłożył ręce, błyskając białymi dłońmi — odsunąć.

Phoebe oparła głowę o blat stołu. Barry podszedł bliżej i dotknął jej włosów. Coś w niej pękło i nagle poczuła się spokojniejsza, ufniejsza.

— Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jakie to proste — powiedział.

— A jeśli my nie chcemy?

Zaskoczyło go to pytanie. Phoebe uniosła głowę i usiadła prosto.

— Niby dlaczego miałybyśmy to zrobić? - dodała. - Dla ciebie? Dlatego że tak sobie powiedziałeś?

— Jasne, że nie dla mnie. Dla siebie — wyjaśnił Barry. — Dla ciebie i dla mamy.

— Jesteśmy bardzo szczęśliwe. To tobie coś się nie podoba, Bear. Zaraz, zaraz... - Phoebe odsunęła krzesło i wstała, bo zaświtała jej w głowie pewna myśl. - Wiem, dlaczego mówisz mi o tym wszystkim: chodzi o Faith.

— Gówno prawda — mruknął z zakłopotaniem Barry.

— Chcesz, żeby zniknęła - mówiła Phoebe z narastającą pasją. — Chcesz ją wymazać!

Barry otworzył usta, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Phoebe miała już pewność, że trafiła.

— Chcesz, żeby odeszła w zapomnienie, bo wtedy ty będziesz ulubieńcem wszystkich. Ślad zarostu na twarzy jej brata zdawał się mieć niebieskawy odcień.

— Nie wiesz, co mówisz — odparł.

— Boisz się - ciągnęła Phoebe. - Widzę to. Mierzyli się wzrokiem z przeciwległych kątów kuchni. Phoebe czuła swoją władzę nad Barrym, która jednak szybko topniała.

— Zapomnij o tym, Bear - powiedziała, podchodząc do niego.

Objęli się i przytulili. Była to jedna z niewielu chwil odprężenia; zazwyczaj ich uściski były pełne napięcia. A potem Barry odepchnął ją nagle.

— Pieprzę to, Phoebe. Nie dotarło do ciebie ani jedno słowo z tego, co mówiłem.

— Dotarło. Próbowałam pojąć. Roześmiał się cicho.

— Ty nawet nie chcesz słuchać — powiedział. - Co zresz-

tą bardzo mnie dziwi, bo co macie do stracenia? — spytał i umilkł na moment. — Nic! Nie rozumiesz? To jest wielkie nic. Siedzicie obie na wielkim nic — dodał i wyszedł.

— Wcale nie! — zawołała za nim Phoebe, ale Barry był już przy drzwiach frontowych. Zamknął je za sobą z hukiem, od którego zadrżała podłoga. Phoebe słyszała wycie silnika, nawet gdy samochód minął kilka przecznic. Wyobrażała sobie to poczucie wolności, które musiało ogarniać Barry'ego, gdy pruł autostradą w stronę Los Gatos, słuchając na cały regulator muzyki z radioodtwarzacza. Żałowała, że sama nie umie prowadzić.

Pewnej niedzieli, dwa lub trzy miesiące po śmierci ojca, Barry doszedł do wniosku, że pora opróżnić schowek w piwnicy i urządzić w nim warsztat wynalazcy. Ciasną klitkę wypełniały obrazy ojca: setki płócien, w większości namalowanych w ostatnich miesiącach życia. Niemal wszystkie były portretami Faith. Barry uznał, że trzeba je wyrzucić.

Wepchnął pierwszą porcję do ogromnego kartonu, który wyciągnął na ulicę. Faith była na podwórku; przycinała bluszcz wielkim sekatorem. Phoebe przykucnęła obok niej, na rozgrzanym chodniku z cegieł, i kręciła uciętymi łodygami jak śmigłami. Puszczala je, by obserwować ich krótki, wirujący lot.

— Co masz w tym pudle? — spytała Faith, widząc, jak Barry zmaga się z ciężarem.

— Stare rzeczy po tacie.

Faith podeszła do kartonu z sekatorem w dłoni i zajrzała do środka. Wyciągnęła jeden z obrazów — jej portret w scenerii podwórka. Ojciec uwiecznił na płótnie jej szeroki uśmiech.

— Bear, co chcesz z nimi zrobić?

— Wyrzucić.

Faith wyglądała na zdezorientowaną. Ostatnio prawie nic nie jadła, toteż masywny sekator wyglądał w jej szczupłej dłoni potężnie i groźnie.

— Odłóż je tam, skąd je wzięłeś — poleciała.

— Nie ma miejsca.

— Odłóż je, Bear. Z powrotem do piwnicy.

— Wyrzucam je!

— Należały do taty! — wrzasnęła Faith.

Barry przecisnął się obok niej, ciągnąc za sobą po chodniku ciężkie, przeraźliwie skrzypiące pudło.

— Przestań! - krzyknęła Faith. - Oddaj mi je! Ale Barry'emu coś się stało.

— Chcę je wywalić! — wybuchnął. — Niedobrze mi się robi, kiedy na nie patrzę!

Na jego policzkach pojawiły się łzy. Wyrwał z kartonu jeden z obrazów i z rozmachem cisnął go na ulicę: malowana Faith spoczęła twarzą na betonie. Dziewczyna krzyknęła, jakby fizycznie odczuła upadek swojego portretu. Barry chwycił następne malowidło, chcąc rozerwać je w rękach. Phoebe podbiegła do brata i chwyciła go za ramiona, ale strząsnął ją z siebie bez wysiłku. Wyjął z pudła kolejne trzy płótna i rzucił jak najdalej. Dwa odbiły się radośnie od ziemi, zanim znieruchomiały.

Barry był energicznym i krzepkim chłopakiem; potrafił poruszać się szybko. Wkrótce ulica była już usłana portretami Faith: pastelami, akwarelami i jakby mokrymi olejami.

Faith płakała. Wreszcie stanęła przed Barrym, wymachując sekatorem.

— Przestań! — wrzasnęła. - Przestań albo cię zabiję!

Barry zawahał się. Spojrzał na sekator i uśmiechnął się, a potem spróbował złamać na kolanie ramkę kolejnego płótna. Faith z rozmachem wbiła ostrze we własne udo.

Nagle wszystko znieruchomiało. Twarz Barry'ego w jednej chwili stała się zupełnie biała — Phoebe pomyślała, że jej siostra zabiła i siebie, i jego. Stan niemal leniwego zawieszenia trwał nedorzecznie długo i tylko płynący gdzieś obok dzień przyprawiał całą trójkę o dziwne mrowienie.

A potem wydarzenia potoczyły się niemal jednocześnie. Faith padła na ziemię. Barry zdarł z siebie koszulkę i zrobił z niej opaskę uciskową na udo siostry. Phoebe dobijała się zaciekle do drzwi sąsiadki, pani Rose, która swym rozklekotanym kombi zawiozła całą trójkę do szpitala dziecięcego. Później były zastrzyki, szwy i nie kończące się pytania. Choć nie umawiali się wcześniej i nie dyskutowali na ten temat, odpowiadali zgodnie, że chodziło o zabawę, w której posunęli się o krok za daleko.

Spoglądając na tamte chwile z perspektywy czasu, Phoebe nabrała pewności, że właśnie wtedy coś się nieodwracalnie zmieniło między nimi. Patrząc na bladą z upływu krwi Faith, leżącą na szpitalnym łóżku, widziała w jej oczach zdumienie potęgą własnego czynu. Była wiosna 1966 roku. Jesienią Faith miała zacząć naukę w szkole średniej, a po roku zanurzyć się w tym, co później definiowano ogólnikowym zwrotem „lata sześćdziesiąte”. Kiedy jednak walczyła z Barrym, wydarzenia te należały jeszcze do przyszłości. Faith miała trzynaście lat i nosiła zielone, bawełniane spodnie. Nic nie wiedziała o narkotykach. Pierwszy z jej jakiegokolwiek chłopaków nie przekroczył jeszcze progu ich domu.

Od tamtej pory Barry unikał Faith. Obserwował ją, utrzymując bezpieczny dystans; śledził każdy jej ruch swymi ciemnymi oczami. Bał się jej. A Faith, począwszy od owego dnia, nie bała się już niczego. Phoebe poszła na górę, do dawnego pokoju siostry, i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy Faith zginęła, matka próbowała opróżnić te kąty, ale Phoebe podniosła taki raban, że trzeba było odłożyć te plany najpierw o kilka miesięcy, rok, potem dwa... A potem Gail uznała, że jest już za późno na zmiany. Phoebe sypiała tu od trzech lat. Ubrania i przedmioty osobiste zostawiła w swoim pokoju, w głębi korytarza. Wiedziała, że matka nie aprobuje tego układu; poznała to po tym, że Gail przestała przychodzić i przysiadać na łóżku, by porozmawiać z nią jak dawniej.

Faith pokryła sufit płachtami błękitnego batiku. Na półkach stały szklane piramidy, kulki, skarabeusze i miniaturowe, złote naczynia do spalania kadzidełek. Za oknem wisiał tandetny zestaw dzwonek — zaśniedziałych, metalowych dysków w kolorze brzoskwini, podobnych do płatków hostii. Jakby ktoś wyciągnął je z dna morza, pomyślała Phoebe. Kiedy wiał wiatr, odzywały się nierównym dźwiękiem, przypominającym dziecięcy śmiech lub odgłos pękającej cienkiej porcelany.

Phoebe, nie zdejmując butów, padła na łóżko. Słuchała dzwonek Faith za oknem i czuła, że dom zamyka się wokół niej, jak zawsze, gdy odchodzili obcy ludzie. Pokój jej nieżyjącej siostry był pełen zdjęć — bezzębnych uśmiechów, choinek i tortów urodzinowych zawieszonych nad zadartymi główkami dzieci w śmiesznych kapelusikach.

Faith uwielbiała obrazy - wszystko jedno, czy były to fotografie, czy rysunki ojca. Zachowywała się tak, jakby pragnęła w każdym momencie napawać się odbiciem fragmentów własnego życia. Przedmioty tłoczyły się też na półkach w szafie Faith: był tam meksykański, słomkowy kapelusz ozdobiony wyszywanymi kwiatami, portfel z wołowej skóry, bukiet uschniętych kwiatów zebranych na zalanych deszczem polach opodal St. Louis i tak dalej, i tak dalej, aż wreszcie, na samym dnie leżało... Co? Phoebe nie wiedziała. Ale na pewno było to coś. Klucz do zagadki pogrzebanej wśród zapomnianych chwil z życia jej siostry, z czasów, gdy Faith stawała w drzwiach swego pokoju albo kładła się na łóżku i nastawiała budzik. Kiedy Phoebe zostawała sama w domu, słyszała często daleki szum, ślad czyjejś obecności otaczającej ją ze wszystkich stron. Pokój Faith był bramą do innego świata.

Utrzymanie w nim porządku nie było łatwe. Zdjęcia spadały ze ścian, a na batiku gromadził się kurz - Phoebe strącała go od czasu do czasu, a kiedy chmury pyłu opadły, sprzątała je odkurzaczem z dywanu. Dwukrotnie zdecydowała się zdjąć materiał z sufitu i wyprać ręcznie, a następnie wysuszyć na podwórzu, po czym zawiesić dokładnie tak samo, jak wisiał przedtem. Lecz mimo jej wysiłków pokój dotykało coś w rodzaju erozji. Przedmioty kurczyły się, odkształcały i blakły, a Phoebe nie miała mocy, by zatrzymać ten proces.

Phoebe rzadko wpuszczała do domu znajomych, mając świadomość, że wezmą ją za zdrowo stukniętą. Nie rozumiała tego - dlaczego mieszkanie w pokoju nieżyjącej siostry miało być większym szaleństwem niż otaczanie się naturalnej wielkości plakatami Rogera Daltreya

wrzeszczącego do mikrofonu (jak czyniła jej przyjaciółka Celeste), śledzenie prywatnego życia Starsky'ego i Hutch'a czy spanie na krawężniku tylko po to, by zdobyć przyzwoite bilety na koncert Paula McCartneya? Obsesja na punkcie zupełnie obcych ludzi była uważana za coś całkowicie normalnego, Phoebe zaś podczas owych nielicznych okazji, gdy do pokoju Faith trafiały osoby z zewnątrz, przez krótką chwilę widziała samą siebie ich oczami i była przerażona. Wołała więc trzymać znajomych na dystans.

Barry czuł się podobnie. W jego słowach było wiele prawdy, dom istotnie był pełen materialnych śladów przelotnych flirtów matki: dziwacznych płatków śniadaniowych pozostawionych przez specjalistę prowadzącego badania rynkowe czy płyt gramofonowych porzuconych przez młodego punk-rockowca, pobrzmiwających ponurymi dźwiękami rodem z fabrycznej taśmy produkcyjnej. Jednak dla Phoebe i Gail te pamiątki „romansów” były jedynie przyczynkami do anegdot, z których śmiały się bez końca — jak z tej o facecie, który twierdził, że w poprzednim wcieleniu był pieskiem pokojowym Królowej Matki. „Wyobrażasz sobie?”, mówiła matka, płacząc ze śmiechu, podczas gdy Phoebe zwijała się na łóżku w pa-roksyzmach dzikiej radości. „Psem? I przyznaje się do tego?” Gail wracała do domu nie później niż o dwudziestej drugiej trzydziści i słuchała opowieści Phoebe o znajomych biorących LSD, ścigających się samochodami na autostradzie i uprawiających seks w krzakach za szkolnymi boiskami. Zdradzając każdy z tych sekretów, dziewczyna powtarzała, że to nie ona, tylko oni, na pewno nie ona, jakby chciała przekonać matkę o tym, że jest ostrożna, inna niż rówieśnicy i zapewne będzie żyć wiecznie.



Często czuła, że łączy ją z Gail niepisany układ, na którego mocy obie zyskują coś bardzo ważnego, trzymając na wodzy swoje życie zewnętrzne. Nieraz spędzały wspólnie sobotnie poranki w biurze matki, gdzie Phoebe odrabiała lekcje przy biurku szefa. Potem jadały spóźniony lunch w eleganckim lokalu, piły po kieliszku chardonnay, a później szły do samochodu przez parking smagane oceanicznym wiatrem - właśnie wtedy Phoebe czuła prawdziwą magię ich życia i wspaniałej przyszłości, która je czekała.

To była prawdziwa tajemnica: coś, co bezgłośnie pulsowało w piwnicy i dźwięczało w uszach Phoebe wyłącznie w tym pokoju. Coś, co stało się z Faith.

Lata sześćdziesiąte już dawno opisano i nazwano. Phoebe spędziła długie godziny w bibliotece publicznej, przeglądając naukowe i dziennikarskie opracowania na temat „Pokolenie Miłości”.

Czytaniu towarzyszył jednak rosnący niepokój, podejrzenie, że wszystkie te analizy raczej oddalają ją od jądra zagadki, niż przybliżają. Zamiast więc zagłębiać się w nie zbyt, czasami nieświadomie zaczynała wertować magazyny mody - „Vogue'a” czy „Harper's Bazaar” - z których stronic leniwie piękna modelka, Lisa Taylor, Patti Hansen, a może Janice Dickinson, oglądała się bezsensownie przez ramię, podczas gdy mały, czarny sznaucer ciągnął ją na smyczy przez wąską uliczkę. Dokąd szła?

Dokąd wszystkie one zmierzały, tak wspaniale i roztargnione, pośród kwitnących drzew? Tak, myślała Phoebe, z przyspieszonym oddechem przeglądając czasopisma. Tak. Z tych zdjęć wyzierał inny świat. Wertowała strony, podświadomie oczekując, że zobaczy fotografię Faith.

Zwinęła się w kłębek na łóżku i zamknęła oczy, pra-

gnąc snu, ale dzwonki za oknem nie milkły. Barry jest w błędzie, pomyślała. Racja jest po mojej stronie. Mojej i matki. Przecież wszystko to ma sens. Phoebe rzucała się po posłaniu, szukając w myśli tego samego wzburzenia, które czuła w kuchni, przy Barrym. Nie znalazła go. Jego miejsce zajęło coś innego: mdlący zawrót głowy, który czuła już tego dnia — w chwili, gdy matka nie zrozumiała znaczenia srebrnego naszyjnika. Phoebe otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju Faith. Patrzyła na zdjęcia i świecidełka, które z takim wysiłkiem chroniła od lat. To ja mam rację, pomyślała. Wszystko ma sens. A potem: Jak długo jeszcze można tak żyć?

Szef wypuścił Gail o siódmej. Była zadowolona, opalona.

— Boże, zamarzałam na śmierć w tym cholernym sweterku — powiedziała, rzucając ubranie na łóżko i kierując się w stronę łazienki.

Phoebe przysiadła na sedesie i przez całą kąpiel prowadziły krzyżowaną konwersację. Para wodna unosiła delikatny zapach mydła. Powrót matki przyniósł dziewczynie ulgę. Mgła otoczyła dom, ocierając się zimno o tafle okien. Phoebe zamknęła żaluzje.

Matka włożyła dres i razem zeszły na dół, by upiec suflet serowy. Phoebe darła liście sałaty — nigdy nie nauczyła się gotować, ale była niezłą pomocnicą.

Na zmianę ubijały białka jaj w poobijanej, miedzianej misie, zagłuszając rozbrzmiewający w całym domu koncert fortepianowy Brahmsa. Phoebe zauważyła złoty, skręcony łańcuszek na nadgarstku matki.

— Nośłaś już kiedyś tę bransoletkę? — spytała. Matka uniosła trzepaczkę nad miskę.

- Ładna, prawda? - powiedziała. - Leżała na moim biurku, pięknie zapakowana.
- Od Jacka? - spytała z niedowierzaniem Phoebe. Szef pamiętał wyłącznie o tych urodzinach Gail, o których osobiście mu przypomniała.
- Wiem, wiem. Sama o mało nie padłam.
- A on tak po prostu patrzył, jak otwierasz prezent?
- Nie, zniknął na chwilę. Chyba się wstydził.
- Może to nie od niego?
- Od niego. Podziękowałam mu później. Sympatyczny gest, nieprawdaż?

Po kolacji zaniósł na górę miseczki z lodami Haagen-Daz i ułożyły się na olbrzymim łóżku matki, żeby obejrzeć powtórkę *The Rockford Files*. Jim Rockford jak zawsze zakochał się w kobiecie, którą miał chronić, a jakieś zbiry napadły na jego ojca obok srebrzystej przyczepy. Phoebe długo walczyła z sennością i w końcu przegrała.

Obudziła ją matka.

- Jesteś nieprzytomna - stwierdziła. - Idź do łózka.
- Zaraz, chcę zobaczyć końcówkę - wymamrotała dziewczyna, siadając i rozcierając oczy. Spojrzała na ekran, mętym wzrokiem szukając Rockforda.
- Film już się skończył, kochanie - powiedziała Gail. - Teraz lecą wiadomości. Skończył się, kiedy spałaś.

### ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy ojciec malował jej siostrę, Phoebe starała się czasem czynić jak największy hałas, by przyciągnąć uwagę. Jeśli na przykład byli na spacerze, próbowała jak najgłośniej szeleścić liśćmi. Ojciec patrzył wtedy na nią, ale tylko przez moment.

Próbowała też znikać, wpadać bosymi stopami w najgęstsze krzaki albo chować się gdzieś w swoim pokoju i czekać, aż ktoś ją zawoła. Nikt nie wołał.

Wreszcie, sfrustrowana, wracała do nich. Faith wyciągała do niej ręce, nie poruszając głową — w pozowaniu do obrazów była naprawdę dobra. Phoebe wtulała się w nią i nagle, zupełnie niespodziewanie, znowu była szczęśliwa. Ojciec uśmiechał się wtedy. „Ignorujesz nas, wiewióreczko”, mawiał.

Phoebe podbiegała do płótna, mając nadzieję, że znajdzie się na obrazie choć raz, ale tam zawsze królowała Faith. Czasem zresztą nawet i ona nie była w pełni widoczna — wśród plam kolorów pojawiał się zarys jej twarzy, cień; niekiedy nie było jej wcale. Lecz nawet wtedy Phoebe dostrzegała swą siostrę ukrytą wśród drzew, za oknami albo w abstrakcyjnych wzorach, jakby była zaszyfrowaną w nich tajemnicą. Zawsze Faith.

- To gest - powiedział ojciec. - Słowo wyrażone ciałem.

Lekcje nurkowania. Gigantyczny, turkusowy basen pływacki pełen wody, która w gęstym, letnim słońcu wyglądała jak syrop. Trzy trampoliny. Ze szczytu wieży wielkiej jak drapacz chmur skakali tylko najbardziej doświadczeni nastoletni śmiałkowie - chłopcy podobni do psów, o krótkich nogach i długich, smukłych tułowiach oraz dziewczęta, których chude ciała mknęły do wody jak drapieżne ptaki, wywołując na powierzchni rozprysk tak mały, jakby wynurzały się, a nie wpadały w niebieską ton.

-To zrozumiałe, że się boisz - mówił ojciec. - Nie walcz z tym; na tym polega cały trick. Wejź w swój strach. Zostaw wszystko za sobą, a przekonasz się, że dostaniesz to z powrotem, kiedy skoczysz.

Obiecuję.

Phoebe słuchała, niewiele pojmując. Była zbyt mała, by skakać do wody - chyba że z brzegu basenu.

Ojciec wspiał się na najniższą trampolinę i podskoczył. Dobrze wyglądał w swych wyblakłych kąpielówkach; jego muskularne ciało bardziej przypominało sylwetki chłopców, niż na pół rozlane kształty innych ojców. Wciąż potrafił zrobić półtora salta, choć dawniej umiał znacznie więcej

\_ Nie walcz ze strachem! Pozwól, żeby cię połknął -zawołał, nie przestając skakać. Wszyscy troje poruszali głowami w takt jego odbić. Nagle przestał podskakiwać i znalazł się w powietrzu, poza krawędzią deski. -Biedactwa! - krzyknął. - Chcecie tylko zmoknąć, nic więcej!

Później już tylko patrzył na ćwiczące dzieci, ułożywszy się na leżaku. Obojętnie przytulał Phoebe na swych kolanach, nawołując nad jej głową Faith i Barry'ego.

— Na to jeszcze nie pora — powiedział, kiedy Faith ruszyła w stronę drabinki na środkową skocznię. Mimo to spróbowała. Zderzyła się z powierzchnią zbyt mocno wygiętymi do tyłu nogami. — Lubi się popisywać. Ale to nie wystarczy — mruknął do Phoebe i roześmiał się cicho. — Szkoda. Każdego lata spędzali dziesięć dni w St. Louis, u babci i dziadka, w rezydencji, w której dorastała ich matka. Kiedy ona grała w brydża ze starymi przyjaciółmi lub w golfa z dziadkiem, ojciec zabierał trójkę do klubu rekreacyjnego, na basen otoczony połącią gęstej trawy. Jeśli mieli ochotę, mogli zjeść lunch pod gołym niebem — twarożki, sałatki... Nigdy nie potrzebowali pieniędzy, wystarczyło, że napisali małym, żółtym ołówkiem „3342”, a rachunek automatycznie trafiał do babci i dziadka. Wczesnym wieczorem, opalony i wykapany, z kieliszkiem martini w dłoni, ojciec brał Phoebe na barana i razem czekali na matkę na tarasie klubu. Kiedy tak spoglądał w dół, na trawiaste pagórki i owalne kwietniki, dziewczynka wyczuwała jego szczęście. Cykanie świerszczy przerywały rytmiczne uderzenia tenisowych piłek, podobne do bicia serca. Powietrze było ciepłe i miało słodki zapach ściętej trawy. Ojciec naprawdę był szczęśliwy. Phoebe piła swoją shirley tempie, zostawiając wisienkę na deser. Wieczne słońce przyjemnie ogrzewało jej ramiona i napełniało niebo dziwnymi, zmyślonymi barwami. W takich chwilach niebo zasługiwało raczej na miano niebios. Ojciec nie malował wtedy zbyt często. Rozstawiał sztalugi na trawie i z podziwem spoglądał w górę, na dorodne wiązy i orzechowce górujące nad domem dziadków. Wszyscy wycofywali się dyskretnie, by zapewnić mu samotność i spokój.

- W głowie się nie mieści, że tak mało zrobiłem - mawiał z paniką, gdy okazywało się, że spędził wakacje na picciu koktajli oraz na czarowaniu klubowych żon swym osobistym urokiem, którego ważnym czynnikiem był fakt pochodzenia z innych, dalekich stron. Chwile swobody dobiegały jednak końca. Nazajutrz mieli wracać do domu.

\_ Zaprowadzę dzieciaki do klubu - powiedziała matka. - Ty zostań i maluj. - Ale on się uparł, że pójdzie z nimi. Robił wszystko, by uciec.

Usiadł na brzegu basenu i zamknął oczy. Phoebe, Barry i Faith stanęli bezradnie wokół niego, przerażeni światem, który jakimś sposobem wzbudził w ich ojcu taką rozpacz Phoebe wpatrywała się intensywnie w jego stężoną, nieszczęśliwą twarz i bardzo chciała pomóc, ale czuła się taka mała.

Nawet jej nie dostrzegał.

Faith także spoglądała na ojca, obracając w palcach paski kostiumu kąpielowego. Wreszcie wstała i z lękiem w oczach podeszła do drabinki, by wspiąć się na najwyższą wieżę. Na szczycie wyglądała na jeszcze mniejszą niż w rzeczywistości - miała dopiero jedenaście lat - ale Phoebe dobrze widziała jej szczupłą sylwetkę, głęboką opaleniznę i odrobinę iksowate nogi. - Tato - odezwał się Barry.

Ojciec otworzył oczy i roztarł je dłońmi, po czym podążył wzrokiem za spojrzzeniami Phoebe i Barry'ego. Wyprostował się niemal natychmiast, nieświadomie naprężając mięśnie karku. Faith już od dłuższej chwili stała na końcu trampoliny. Kilkoro nastolatków niecierpliwiło się poniżej i wyciągało szyje, by dojrzeć, kto zablokował skocznię. Proszę, zrób to, pomyślała Phoebe. Proszę cię, zrób Faith odbiła się niepewnie, a potem znielacka jej ruchy stały się płynne: skoczyła wysoko, rozpostarła ra-

miona i pięknym łukiem runęła pionowo w dół, wyprężając chudą witkę swego ciała w locie ku turkusowej głębinie. Rozprysk był minimalny, wejście idealne. W następnych latach Faith już nie powtórzyła tak perfekcyjnego skoku, co doprowadzało ją do szewskiej pasji. Ojciec zerwał się na równe nogi.

— To jest to! — krzyknął. — Boże, widzieliście, jak ona to zrobiła?!

Promieniał; po smutku nie został nawet ślad, a Phoebe wiedziała już, że ten dzień jednak nie będzie zmarnowany.

Faith także musiała o tym wiedzieć. Wskoczyła z wody, zostawiając chlorowane ślady na betonowym obrzeżu basenu, i ruszyła w stronę bliskich z szerokim uśmiechem na ustach. Phoebe poczuła nagłą złość. Dlaczego ona? Dlaczego zawsze ona? I wtedy, bez ostrzeżenia, czerwony płyn popłynął z nosa jej siostry, po brodzie, szyi i dalej, na mokry beton, jakby Faith przypadkiem odetchnęła krwią, a nie powietrzem. Dziewczyna zmarszczyła brwi i uniosła dłoń do twarzy.

— Oj — powiedziała i na moment zapanowała konsternacja. Potem ojciec rzucił się w stronę córki, ułożył ją delikatnie na trawie i wysłał Barry'ego po lód i mokry ręcznik.

Kiedy krwotok wreszcie ustał, Faith zasnęła na bite trzy godziny. Ojciec przeniósł ją ostrożnie w cień drzewa. Była zbyt wyczerpana, by się obudzić.

Phoebe i Barry poszli popływać, a potem zamówili kanapki z serem z grilla. Patrząc na szczupłą, nieruchomą postać śpiącej Faith, Phoebe czuła przykre poruszenie w żołądku i szczerze wstydziła się tego, że w myślach kazała siostrze skoczyć.



Fragmentaryczne wspomnienia o ojcu zawsze denerwowały Phoebe. Uważała, że powinna była obserwować go uważniej i uczyć się na pamięć całych dni z jego życia. Pamiętała siłę jego ramion i łatwość, z jaką unosił ją i przyciskał do piersi - w roztargnieniu, jakby była kotem, którego chciał przełożyć w inne miejsce - a potem podrzucał wysoko w górę lub dawał klapsa tak niespodziewanie, że na krótką chwilę zapominała, iż powinna się rozplakać.

Jego ciemne wąsy były zaskakująco miękkie. Rano, kiedy rodzice leżeli jeszcze w łóżku, Phoebe lubiła sadowie się między nimi, napawając się mlecznym ciepłem ich ciał, wciąż miękkich po długich godzinach snu.

Babcia i dziadek O'Connor nadal mieszkali w południowej Kalifornii, w mieście, w którym dorastał ojciec Phoebe. Mirasol było kolonią marynarki wojennej - dziadek był niegdyś żandarmem - a mały, oliwkowy domek O'Connorów chyba nie mógł bardziej kontrastować z rezydencją w St. Louis, należącą do rodziców Gail. Ale Mirasol miało jeden niezaprzeczalny atut: ocean. Silny wiatr znad oceanu grzechotał drzwiami niedalekiego kościoła, strząsając drobiny piasku ze świętych ksiąg. Obserwując księdza łamiącego hostię, Phoebe myślała nieraz: To mógłby być mój ojciec. Przecież omal nie został kapłanem. Phoebe wyobrażała sobie jego silne ramiona unoszące złoty kielich, usta pijące krew Jezusa i palce umieszczające bladą hostię na językach parafian, odpowiadających „Amen” na jego „Ciało Chrystusa”. Lecz je) ojciec, ku nieustającemu żalowi rodziców, zrezygnował z nauki u Ojców Świętego Krzyża w Notre Dame i pojechał studiować w Berkeley. Wybrał specjalność „inżynier elektryk” i bywał na uczelni za dnia, nocami zaś zmieniał się w ar-

tystę — szkicował nagie modelki w zbryzganych farbami atelier.

Przeprowadziwszy się w rejon San Francisco, zamieszkał w North Beach i podjął pracę na budowie. Wkrótce potem zaczął tracić słuch w lewym uchu. W weekendy rozkładał sztalugi na tyłach Muzeum Morskiego i malował niebieskookich Włochów grających w bocci. Tam właśnie spotkała go matka Phoebe, która w prezencie z okazji ukończenia szkoły dostała od rodziców wycieczkę do San Francisco, w którą wybrała się z przyjaciółmi z Bryn Mawr. Po ślubie ojciec przyjął posadę inżyniera w zakładach koncernu IBM — posadę, która zdaniem Phoebe kosztowała go życie.

Phoebe dorastała w otoczeniu niezliczonych portretów Faith: w szpitalu (w ramionach matki), w domu (w dzieciennym łóżeczku), na króliczej skórce, w kąpielni, w wysokim krzeselku, w foteliku samochodowym, w kojcu... Patrząc na ten barwny zapis dzieciństwa siostry, własne życie widziała raczej w odcieniach szarości, a fakt ten zdumiewał ją i drażnił nieustannie. Siedem lat młodsza, musiała znosić nie kończące się opowieści o tym, jak Faith wyciągała niegdyś swe dzieciinne dłonie ku wszystkiemu, co zobaczyła: pszczołom, szerszeniom, kawałkom szkła czy brylantowym kolczykom. Wszyscy rozprawiali o jej odwadze — na przykład o tym, jak zagrzewała ojca do wysiłku, kiedy bujał ją na huśtawce, wołając: „Wyżej! Wyżej!”, aż wreszcie siedzisko stanęło w najwyższym, pionowym położeniu i czteroletnia Faith runęła na piasek.

Matka krzyknęła z przerażenia i zerwała się z ławki, na której siedziała, kołysząc wózkiem Barry'ego, i pobiegła w stronę małej.

— Gene, jak mogłeś rozhuścić ją tak mocno? — zawołała.

— Sama chciała — odparł wstrząśnięty i zawstydzony. — Powtarzała: „Wyżej!”

Twarz Faith była blada, a usta suche. Spomiędzy włosów sypał się piach.

— Spójrz na nią — powiedziała Gail, podnosząc córkę w ramionach. — Na miłość boską, Gene, ona ma cztery lata.

— Nie boli — szepnęła Faith. — Nie boli — powtórzyła uparcie, kiedy rodzice spojrzeli na nią sceptycznie.

Ileszcze wiele lat później dziadkowie podpuszczali ją, mówiąc: „Boli? Boli?”, na co zawsze odpowiadała ze śmiechem: „Wcale”. Słyszała z takich odzywek.

Phoebe starała się małymi kroczkami dorównać odwadze siostry, próbując swoich sił na trójkołowcu albo w starciach z psem sąsiadów, ale Faith była starsza i zawsze ją wyprzedzała. Kiedy dzikie wyczyny sprowadzały na jej głowę kłopoty, Phoebe czuła niezdrową satysfakcję. Pewnego razu Faith wróciła z ojcem do domu z polowania w Sonomie, przyciskając do piersi martwego królika.

— Jasne, że jest martwy. Na Boga, przecież sama go zastrzeliłaś! — wykrzyknął wreszcie zirytowany ojciec.

Faith nie chciała tego zrobić. Uwielbiała strzelanie do glinianych gołębi, ale nigdy przedtem nie była na prawdziwych łowach i jakoś nie zdawała sobie sprawy, że kula posłana w stronę przemykającej w trawie plamy brązowego futerka może oznaczać śmierć. Pogrzebała królika na podwórku, wśród ukochanych zwierzaków rodziny. „Zabity przeze mnie”, brzmiało epitafium, wypisane markerem na kawałku deski. Poniżej widniał dopisek: „Prze-

praszam, Króliczku". Jeszcze po latach Faith wspominała to zdarzenie i biednego zwierzaka, którego niechcący zastrzeliła.

Niedziela nad Osage River: śliski, drewniany pomost i Faith przepychająca się na nim z gromadą dzieciaków. Wreszcie jeden z chłopców szarpnął nią tak, że wpadła do wody w kapeluszu, na oczach stojących na brzegu rodziców. Wyszła z płytkiej wody, zanosząc się od śmiechu pod przemoczonym kapeluszem. Odczekała, aż napastnik przestanie zwracać na nią uwagę, podkraśliła się bliżej i uderzyła w niego całym ciałem, spychając go do wody. Chłopak huknął głową w krawędź pomostu i poszedł pod wodę z wielką raną tuż nad lewym okiem. Widok krwi na jego twarzy przeraził Faith. Wszyscy rodzice jak na komendę zerwali się z białych, plastikowych krzeseł. Zaraz też otoczyli chłopaka, który straciłby oko, gdyby deska uderzyła o centymetr niżej. Ktoś zawiózł go do szpitala, podczas gdy Phoebe w milczeniu ruszyła za siostrą w najdalszy kąt nadrzecznej polany, nie umiejąc uciszyć jej szlochu. Wystraszył ją ten zły uczynek Faith, która wkrótce potem przepadła gdzieś na resztę dnia. Znaleźli ją dopiero po zmierzchu, śpiącą, zwiniętą w kłębek w pustej sypialni domku letniskowego. Ojciec zaniósł ją do samochodu. W domu babci i dziadka Phoebe stanęła pod drzwiami pokoju rodziców i usłyszała ich kłótnię.

— Mówię ci, przestań ją zachęcać — mówiła matka. — Widzisz, jak to się kończy.

— O co ci chodzi? Niby jak ją zachęcam?

— Wszystko, co robi, robi dla ciebie. Te jej szaleństwa... Daj spokój, Gene. Doskonale wiesz, że to dla ciebie.

Głos ojca był cichy, ale pełen pasji.

— Uważasz, że kazałem jej zepchnąć tego dzieciaka do

rzeki? — spytał. — Na miłość boską, przecież nie mówię jej, że ma szaleć! Po prostu to robi i tyle. — Nie musisz jej mówić — odparła matka. — Każdy głupi widzi, że jej wyczyny sprawiają ci radość. Wspominając ojca, Phoebe zawsze wyobrażała sobie człowieka próbującego nieść zbyt wiele rzeczy naraz — walizki, dzieci, płótna malarskie. Oczami duszy widziała, jak skacze ze schodów do garażu, spóźniony na kolację po wieczorze z poezją któregoś z ulubionych bitników — jego dobrymi znajomymi byli Lawrence Ferlinghetti, Gregory Corso i Michael McClure. Uczestniczył nawet w legendarnym, nocnym spotkaniu, podczas którego Allen Ginsberg wyzwał jednego z krzykaczy i kazał mu zrzucić odzież, po czym sam się rozebrał na oczach oszołomionej publiczności. Często malował późną nocą, kradnąc jeszcze godzinę lub dwie po tym, jak wszyscy domownicy zapadli w sen. Następnego dnia pierwszy był na nogach, z głębokimi cieniami pod oczami, starannie ogolony i pachnący limetą. Całował najbliższych na do widzenia i jechał do miasta, do swego drugiego życia, którym gardził.

W weekendy taszczył sztalugi, płótna i pudło z farbami na urwiska opodal mostu Golden Gate. Kiedy Phoebe postarała się iść wystarczająco wolno, brał i ją na ramiona. Matka zostawała w tyle, dźwigając koc, aparat fotograficzny i kosz z prowiantem, a do tego pilnując Faith i Barry'ego. Dopiero kiedy skończyli jeść, ojciec rozkładał płótno na sztaludze i stawał przed nim z niepokojem. Często nie był w stanie malować, nie mógł nawet zacząć i wreszcie, zrezygnowany, kładł się z głową na kolanach żony. Czasem jednak wystarczyło, że Faith pojawiła się

w pobliżu i dała mu błyszczący, fioletowy kwiatek znaleziony na łące, by nastrój ojca zmienił się diametralnie. „Skarbie, mogłabyś postać tak przez chwilę?”, pytał wtedy, a ona zawsze się zgadzała. Phoebe nie przypominała sobie, by jej siostra kiedykolwiek odmówiła, woląc powrócić do przerwanej zabawy z Barrym czy wspólnego budowania zamku, choć przecież nieraz musiała mieć na to ochotę... A może nie? Może nic nie mogło się równać z tym, że ojciec potrzebował Faith, jej niepowtarzalnej i chyba nieskończonej mocy ratowania go?

Barry wynurzał się niekiedy ze swego pokoju po długich godzinach spędzonych w samotności, niosąc maszynę, którą koniecznie chciał pokazać ojcu. Phoebe zawsze patrzyła na to z obawą, bo choć ojciec naprawdę starał się wyglądać na zainteresowanego, to maszynami, z którymi na co dzień miał styczność w pracy, szczerze gardził.

— Budowałeś coś takiego w szkole, prawda, tato? — pytał Barry, z początku zawsze z nadzieją. — Wiesz może, jak mógłbym ją przerobić, żeby pracowała też w drugą stronę? — Kiedy wreszcie docierało do niego, że ojciec słucha tylko jednym uchem, milkł nagle. — Nieważne — mówił, odwracał się na pięcie i wracał do siebie. Ojciec spoglądał za nim ze strachem, nie mając pojęcia, na czym polegał jego błąd. „Nie!”, chciała krzyknąć Phoebe, stając przed drzwiami pokoju brata. Nie, nie, nie! On tylko pogarszał sprawę. Czuła straszny ból, wiedząc o tym, że tak będzie za każdym razem i że nic nie może na to poradzić. Było jej niedobrze, kiedy z litością myślała o bracie, i nie chciała więcej oglądać jego słabości.

Ojciec zawsze sprawiał wrażenie zmagającego się z czymś, zmęczonego, ale nadszedł w końcu czas, kiedy wszystko to, czym się zwykle zajmował, zaczęło sprawiać mu jeszcze większą trudność, a napady niewyjaśnionego wyczerpania stały się częstsze. Worki pod jego oczami były teraz jeszcze ciemniejsze i wilgotne jak glina. Nawet skóra wyglądała na słabszą; przy najlżejszym uderzeniu pokazywały się na niej sińce. Phoebe, Barry i Faith już nie rzucali się na niego, kiedy wracał z pracy. Obejmowali już tylko jego nogi i ściskali mocno, przekazując im swoją siłę; odnawiając to, co zabrał IBM.

Kiedy Phoebe miała pięć lat, pewnego wieczoru spojrzała ponad stołem i zobaczyła, że ojciec zasnął. Matka z Faith pochylały się nad piekarnikiem, wbijając wykałaczkę w ciasto czekoladowe. W kuchni było bardzo ciepło; języki pary zakryły wszystkie szyby okienne.

— Tatusiu — odezwała się cicho Phoebe. Nie poruszył się. Jego usta były białe. — Tatusiu?

Barry usiadł obok ojca i zaczął wysypywać sól na obrus, by widelcem formować z niej pagórki i drogi. Zazwyczaj ojciec przerywał mu tę zabawę — toczyli regularne bitwy o solne górki — toteż tym razem Barry uśmiechnął się triumfalnie, ale i z niedowierzaniem, kiedy stwierdził brak reakcji. Raz po raz spoglądał na ojca, który siedział nieruchomo z głową zwieszoną na bok. Oboje z Phoebe słyszeli jego ciężki oddech. Barry wyszczerzył zęby w uśmiechu i pociągnął za włoski na przedramieniu ojca.

Faith przygalopowała do stołu, trzymając w grubych, czerwonych rękawicach naczynie z gorącym ciastem. Znieruchomiała, na widok ojca.

— Mamo — powiedziała.

— Dobry Boże — jęknęła matka, opadając na krzesło

i przytulając ojca. Jego głowa przetoczyła się bezwładnie na jej ramię. — Zaprowadzę cię do łóżka. — Skinął głową, podnosząc się bardzo wolno.

Kiedy rodzice wyszli, troje dzieci spojrzało po sobie, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Barry wciąż uśmiechał się niepewnie. Faith wyglądała na przestraszoną, a Phoebe czuła się podobnie - jakby lodowata woda ściekała po jej plecach. Zapomniane ciasto wciąż wisiało w uścisku starszej siostry. Nazajutrz była niedziela, a w poniedziałek ojciec miał iść do lekarza. W powietrzu wyczuwało się fałszywą wesołość, przejawiającą się w odrobinę zbyt głośnych rozmowach i zbyt perlistych śmiechach.

Po mszy pojechali na Baker Beach. Zazwyczaj fale były spore i przelewały się po piasku z odgłosem przypominającym syk tłuszczu na patelni, ale tego dnia ocean był spokojny i srebrzysty jak wielkie jezioro.

Matka usiadła i oparła się o drewniany pal, ramieniem obejmując ojca. Faith i Barry podwinęli spodnie i brodzili w wodzie. Phoebe biegła za nimi, uciekając przed falami i piszcząc, gdy woda dotykała jej stóp. Barry chciał, żeby ojciec poszedł z nim aż na koniec plaży, gdzie na skałach widać było wielkie muszle i rozgwiazdy.

— Chyba nic z tego, Bear — odpowiedział ojciec. — Nie dzisiaj. — Barry wyglądał na załamane, więc matka zaproponowała, że pójdzie z nim. Ruszyli, mozolnie brnąc przez grząski piach.

— Chcesz, żebym ci pozowała? — spytała Faith.

— Jestem wykończony — odparł ojciec. — Może dla odmiany ty mnie narysujesz?



— Dobrze — zapaliła się Faith. Usiadła i ułożyła wielki szkicownik na kolanach. Trzymając w dwóch palcach kawałek węgla, spojrzała na ojca. Oboje zachichotali nieśmiało. — To trudne — powiedziała. — Żebyś wiedziała — przytaknął ojciec, zamykając oczy i opierając głowę o pal. — Po prostu rysuj to, co widzisz.

Phoebe przytuliła się do siostry. Razem spoglądały na bladą, zmęczoną twarz ojca. Faith drżącą ręką nakreśliła kilka linii. Im dłużej oczy ojca pozostawały zamknięte, tym większe było zdenerwowanie córek. Musiały pilnować, żeby był przytomny.

Faith wstała. Szkicownik upadł na piasek i ojciec natychmiast uchylił powieki.

— Idę popływać — rzuciła Faith na bezdechu. Phoebe rozejrzała się zaskoczona. To nie była plaża dla pływających.

— W ubraniu? — spytał ojciec.

— Mam na sobie strój. — Faith w pośpiechu zdjęła sweter i elastyczne spodnie, ukazując jednocześnie błękitny strój z falbanką w dolnej części. Podmuch wiatru przyprawił ją o dreszcz. Ojciec usiadł prosto.

— Cholera — mruknął. — Gdybyś mnie uprzedziła, wziąłbym kąpielówki.

— Przecież jesteś zmęczony — przypomniała Faith.

— Nie aż tak.

Phoebe poczuła ulgę. Faith dreptała niecierpliwie po chłodnym piasku.

— Popatrzysz na mnie?

— Jasne, że popatrzę. Tylko nie odpływaj za daleko.

— Ale patrz. — Faith zawsze prosiła, żeby na nią patrzył. Osiągnęła już ten wiek, w którym człowiekowi real-

ne wydaje się tylko to, co dzieje się przy udziale publiczności.

Dziewczyna ruszyła w stronę morza.

— Wariatka — powiedział ojciec i roześmiał się. — Twoja siostra to stuprocentowa wariatka.

Oboje patrzyli na Faith, która wolno wchodziła do wody. Miała dwanaście lat; jej delikatne ciało dopiero zaczynało dojrzewać: małe wypukłości, które pojawiły się na jej klatce piersiowej, nie przestawały zdumiewać Phoebe, ilekroć miała okazję je zobaczyć. Teraz jednak myślała przede wszystkim, że woda musi przerażać Faith, sądząc po tym, jak długo trwało to wejście. No to co, pomyślała niecierpliwie. Właż.

Ojciec oparł się znowu o pal i wciągnął Phoebe na kolana. Czubek jej głowy idealnie pasował pod jego brodę. Razem obserwowali Faith brodzącą w coraz głębszej wodzie.

— Pewnie jest zimna jak diabli — zauważył. Faith odwróciła się, żeby na nich spojrzeć.

— Patrzycie?

— Patrzymy - odkrzyknął. -I zastanawiamy się, kiedy wreszcie zanurzysz głowę!

Ledwie zdążył to powiedzieć, a Faith zanurkowała i zaczęła płynąć. Poruszała się równolegle do brzegu, najpierw kraulem, a potem żabką. Po chwili zawróciła i popłynęła na plecach, a później boku. Co pewien czas zatrzymywała się i nawoływała, by mieć pewność, że patrzą. Phoebe odkrzykiwała razem z ojcem - była szczęśliwa, bo Faith nie pozwalała mu zasnąć.

— Zaraz zamarzniesz na śmierć! — wołał ojciec.

— Nieprawda - krzyczała Faith, dzwoniąc zębami. -Gorąco tu jak na pustyni!

W końcu jednak Phoebe poczuła, że głowa ojca ciąży jej coraz bardziej. Faith płynęła właśnie motylkiem.

- Widzisz go? - zawołała, ale wiatr był silny, a głos Phoebe wąty. Ojciec na pewno już zamknął oczy, pomyślała.

- Tatusiu? — krzyknęła Faith.

Phoebe uniosła rękę, ale siostra jej nie widziała.

- Tato? - zawołała znowu Faith. Odpowiedzi nie było, więc skoncentrowała się na pływaniu. Tym razem poruszała się szybciej i była coraz dalej od brzegu. Prędzej, pomyślała Phoebe. Prędzej! Czowała, że nie może się ruszyć, jakby była w stanie działać jedynie poprzez Faith, jakby była elementem ruchów wykonywanych przez starszą siostrę. Płyn, płyn, myślała, obserwując coraz mniejszą sylwetkę Faith. Świetnie! Teraz ojciec na pewno wstanie.

Kiedy Faith zatrzymała się ponownie, była już bardzo mała. Jeżeli krzyczała, to nawet cień jej głosu nie docierał do Phoebe. Przez moment unosiła się w miejscu, spoglądając w stronę brzegu, jakby na coś czekała. Phoebe była gotowa zerwać się i podbiec do wody, krzycząc, że ojciec znowu zasnął i że Faith musi coś zrobić. Czowała jednak, że paraliżuje ją ciężar bezwładnego, śpiącego mężczyzny -do tego stopnia, że miała wrażenie, iż opuściła własne ciało. Dalej, myślała. Nie zatrzymuj się. Jakby słysząc jej myśli, Faith znowu popłynęła. Jej głowa stała się ledwie widoczna wśród srebrnych rozbłysków na powierzchni oceanu. Phoebe miała wrażenie, że jej siostra przestała się oddalać, ale nie była pewna.

Udało się. Ku jej niewymownej uldze ojciec drgnął i poruszył się nieznacznie. Roztarł oczy, potrząsnął głową i spojrzał na morze, a potem na plażę.

- Gdzie jest Faith? - spytał.

- Pływa.

Poderwał się z ziemi, trzymając Phoebe pod ramiona. Odstawił ją na wilgotny piasek.

- Jezu Chryste - jęknął. - Gdzie?

Phoebe jakoś nie pomyślała o tym, że Faith mogła być w niebezpieczeństwie. Dopiero teraz nieprzyjemne poczucie winy wpłynęło do jej żołądka. Kiedy ojciec pobiegł na brzeg, wolno ruszyła za nim.

- Faith! - wykrzyknął z wszystkich sił. - Faith! - Jego głos przeciął wiatr, ale wywołał gwałtowny atak kaszlu. - Faith! - krzyknął znowu, a potem jeszcze wiele razy. Wreszcie stanął, osłaniając oczy dłonią, i zapatrzył się w daleki punkt oceanu. - Chyba ją widzę - powiedział. - Tak, to chyba ona.

Odwrócił się w stronę Phoebe, która stała lekliwie na brzegu. Jego spodnie były mokre aż po uda.

Podszedł bliżej, chwycił córkę za ramię i wymierzył jej serię mocnych klapsów tak szybko, że zanim się zorientowała, było już po wszystkim.

- Jak mogłaś pozwolić, żeby odpłynęła tak daleko? - krzyczał bezradnie. - Dlaczego mnie nie obudziłaś?!

Phoebe zaczęła płakać. Nie miała pojęcia, dlaczego tego nie zrobiła.

Ojciec znowu zaczął wykrzykiwać imię Faith. Wrzeszczał tak długo, aż niemal zupełnie stracił głos, a potem kaszlał i kaszlał, po czym, ku przerażeniu Phoebe, schylił się i wymiotował do wody.

Wytarłszy usta, na nowo zaczął wołać Faith.

Płynęła z powrotem. Phoebe widziała jej chude ramiona młójące morską wodę. Twarz ojca była szara; wyglądał tak, jakby miał za chwilę paść nieprzytomny. Wyszedł

z wody, ciężko oddychając. Phoebe przywarła do jego nogi, a on machinalnie położył dłoń na jej głowie.

— Wracaj — powiedział. — Widzisz ją?

Faith wreszcie wynurzyła się z wody, drżąc i wyczerpana, z trudem łapiąc oddech. Musiała się domyślić po minie ojca, że zafundowała sobie poważne kłopoty.

— Powiedziałeś, że będziesz patrzył — odezwała się bez przekonania.

Ojciec uderzył ją w twarz. Rozległ się głośny, mokry dźwięk. Faith wyglądała na oszołomioną, a po chwili jej oczy wypełniły się łzami.

— Nie bolało — powiedziała.

Uderzył ponownie, tym razem mocniej. Phoebe, stojąca na uboczu, zaczęła zawodzić żałośnie.

Faith trzęsała się z zimna i strachu, od stóp do głów pokryta gęsią skórą. Przy każdym oddechu żebra sterczały z jej ciała jak dłonie obejmujące korpus.

— Nie bolało — wyszeptała.

Znowu uderzył. Policzek był tak mocny, że Faith wygięła się do tyłu. Przez moment bała się poruszyć. Phoebe wyła.

Wreszcie ojciec wziął Faith w ramiona i podniósł. Objęła go, pociągając nosem. On także płakał, czym mocno przeraził Phoebe, która nigdy nie widziała jego łez.

— Jak mogłaś tak mnie nastraszyć? — jęczał. — Przecież wiesz, że moje serce należy do ciebie...

Przecież wiesz. — Mówił tak, jakby chciał je odzyskać.

Phoebe objęła oboje jak najmocniej: mokre spodnie ojca i śliskie łydki Faith. Przez długi, długi czas stali bez ruchu spleceni ramionami.

Wreszcie ojciec opuścił Faith na piasek. Zadarła głowę i spojrzała na niego, głośno szcękając zębami.

- Tatusiu, czy ty umrzesz? - spytała. Ojciec milczał przez chwilę.

- Jasne, że nie - odpowiedział. - Nic mi nie jest.

- I nie boisz się?

- Nie boję. Dlaczego pytasz? Ty się boisz?

Faith przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią Phoebe pomyślała o tym, jak strasznie ojciec kaszlał i jak wymiotował do wody. Żałowała, że musiała być świadkiem czegoś takiego.

- Nie - odparła wolno Faith. - Nie boję się. Umarł, zanim minął rok.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Po śmierci ojca Phoebe snuła się wśród innych drugoklasistów jak lunatyczka, zupełnie nie zainteresowana radosnymi zabawami piłką na uwieży, skakanką czy grą w klasy. Miała wrażenie, że jej nogi są niesłychanie ciężkie. Głowa też była ciężka. Phoebe miała ochotę zdjąć ją z ramion i zostawić gdzieś. Nigdy nie wierzyła, że ojciec umrze. Kiedy zachorował, codziennie chodziła z Faith do kościoła. Siadały razem w ławce i od tej chwili zadowalała się machaniem nogami, oglądaniem ukrzyżowanego Zbawiciela i liczeniem pięknych świec, podczas gdy Faith brała na siebie ciężar modlitwy. Phoebe prawie nie próbowała się modlić, a kiedy już to robiła, to zazwyczaj z dość niskich pobudek: nieustannie myślała o laleczkach Kiddles, które znajdowało się w plastikowych buteleczkach z perfumami. Każda miała swój zapach — Phoebe miała już Lilię i Lawendę, ale brakowało jej Róży. O ojca prawie się nie martwiła. Nie była w stanie mu pomóc, toteż czuła się zwolniona z odpowiedzialności; Faith działała w imieniu obu córek. Phoebe wychodziła z kościoła oczyszczona gorączkową modlitwą siostry i przekonana — podobnie jak Faith — że ojciec wkrótce wróci do zdrowia.

Kiedy umarł, Faith przestała czesać włosy, które szybko zamieniły się w wielki kołtun z tyłu głowy.

Nie miało

to dla niej żadnego znaczenia. Kiedy matka próbowała je rozczesać, po twarzy dziewczyny bezgłośnie spływały łzy. Prześladowały ją uporczywe bóle żołądka, które kazały doktorowi Andrewsowi ograniczyć jej dietę do gotowanego ryżu i słonych krakersów. Zrzucała kilogramy jak kolejne warstwy odzieży. Znikała. Dopiero wtedy Phoebe zrozumiała, do jakich cudownych, magicznych światów bramą była dawna Faith. To ona była niegdyś duszą spontanicznych, podwórkowych zabaw w rzeźbiarza, ziemniaka czy podchody, wypełniających radosne godziny między powrotem ze szkoły a kolacją. Dom był dawniej labiryntem ukrytych przejść, których Faith poszukiwała z niesłabnącym entuzjazmem, ostukując deski podłogowe i zaglądając za panele w gorliwej wierze, iż lada chwila ściana rozsunie się, odsłaniając podziemne miasta i skrzynie pełne skarbów, pereł i srebra. Barry próbował zastąpić siostrę, organizując pewnej soboty podwórkową wyprawę na poszukiwanie skarbów, ale nic z tego nie wyszło. Brakowało mu charyzmy. Drużyna z sąsiedztwa rozpraszała się z wolna, a Barry zaszył się w swoim pokoju, boleśnie zraniony tą porażką.

Całej rodzinie dokuczała otepiająca jednostajność dni. Podłogi i ściany domu nie kryły już tajemnych przejść - dom był tylko domem. Ulica była ulicą, pokój Phoebe zaś zwykłym pokojem, a nie plastrem miodu pełnym kryjówek - Matka nieustannie przytulała dzieci i gładziła je po głowach, ale przy tym poruszała się jak nurek w głębokiej wodzie i była tak blada, że Phoebe dostrzegała błękitne żyłki na jej skroniach. Wydawało się, że tracąc ojca, stracili też siebie nawzajem - drzwi pokoju Barry'ego zawsze były zamknięte, a Faith samotnie wylegiwała się przed telewizorem. Wszyscy silili się na wesołość przy kolacji,

ale prędzej czy później zwyciężała cisza, która wsysała wszelkie rozmowy tak, jak mgła pochłaniała każdego wieczoru ich dom, zasłaniając wszystkie sąsiednie budynki. Phoebe chciała krzykiem zabić tę ciszę na dobre, ale czuła się tak, jakby pogrzebały ją żywcem codzienne życiowe sprawy — kartony mleka, kostki masła — niczym cegły układane jedna na drugiej. Z czasem zaczęła się zamykać w swoim pokoju i zatracać w lekturze *Opowieści z Narnii*, *Alicji w krainie czarów* i *Piotrusia Pana* — w magicznych światach, które mimo wszystko wydawały jej się mniej czarodziejskie od tego, który Faith stwarzała wokół siebie przed śmiercią ojca.

Podążanie wstecz jego śladami Faith uważała za jedną z nielicznych form aktywności, które były jeszcze warte uwagi. Phoebe lubiła odwiedzać z nią miejsca w North Beach, w których ojciec bywał jeszcze w kawalerskich czasach.

— Tata siadywał na tej ławce — powiedziała Faith, kiedy trafiły na plac Waszyngtona, naprzeciwko kościoła świętych Piotra i Pawła, którego fasadę ojciec uwielbiał szkicować. — Leżał tu, na tej trawie. — Mała Phoebe podzielała fascynację siostry i z nabożeństwem dotykała przedmiotów, których i on niegdyś dotykał. Ojciec zniknął na zawsze, a jednocześnie był wszędzie. Cudownie było mieć to uczucie.

Młodzi ludzie, którzy zbierali się wówczas na placu, nosili barwne stroje, palili i grali na gitarach. Faith była zbyt nieśmiała, by się do nich zbliżyć, ale fascynowali ją. Przypuszczała, że są malarzami albo poetami-bitnikami, których ojciec tak lubił. Używała Phoebe jako rekwizytu, wożąc ją na barana wokół placu Waszyngtona, żeby lepiej przyjrzeć się okupującej go gromadzie. Po śmierci ojca były to dla Phoebe najszcześniejsze chwile.



W marcu następnego roku, 1967, matka po raz pierwszy wybrała się w podróż służbową na festiwal filmowy do Tucson. Odleciała pełna najgorszych przeczuc, zostawiając Phoebe, Barry'ego i Faith pod opieką starej przyjaciółki babci O'Connor, pani McCauley — uroczej, acz nieco głuchej damy, która nalegała, by dzieci zjadały wszystko, co miały na talerzach. Pani M. (jak nazywała ją trójka podopiecznych) już pierwszego wieczoru lekceważącym gestem zbywała wyznania Faith o kłopotach żołądkowych i spokojnie podała jej dodatkową porcję peklowanej wołowiny. Faith powoli dochodziła do siebie; wciąż jeszcze była wychudzona i dziwnie milcząca, ale zaczęła naukę w ogólniaku i nawet znalazła sobie chłopaka, Wilka, w którego domu jadła kolacje aż do powrotu matki.

Czasem po kolacji Phoebe przechadzała się nerwowo po cichym korytarzu, mijając drzwi pokoju brata, które zawsze były zamknięte. Pewnego wieczoru, bardzo już zdesperowana, zapukała. Barry uchylił drzwi na cal lub dwa i wyjrzał przez szparę.

— Cześć, Pheeb — powiedział.

Odwrócił się i zniknął, zostawiając jednak półotwarte drzwi. Phoebe zawahała się, ale doszła do wniosku, że to coś w rodzaju zaproszenia. Pokój Barry'ego nie wyglądał znajomo. Czerwony dywan i pękate akwarium... Nie przypominała sobie, kiedy była tu po raz ostatni.

Barry usiadł przy biurku.

— O co chodzi?

— O nic.

Choć miała zaledwie siedem lat, a Barry dwanaście, była między nimi nieufność, która zdawała się trwać od zawsze.

— Co robisz? — spytała Phoebe. — Lekcje?

— Nie, już skończyłem. — Chłopak przyglądał się czemuś na biurku, a kiedy jego siostra podeszła bliżej, pochylił się, jakby bardzo chciał to coś zasłonić. Phoebe rozmyśliła się i stanęła przed akwariem. Było w nim osiem lub dziewięć rybek, z czego dwie czarne z ohydnyimi, wyłupiastymi ślepiami — to były jej ulubione.

— Mogę pokarmić? — spytała.

— Już to zrobiłem.

— Jasne. — Phoebe w milczeniu przyglądała się rybom, czując, jak narasta w niej rozpacz. Rośliny falowały w jednym końcu zbiornika, poruszone bąblami powietrza, które umykały ku powierzchni i znikwały.

— Właściwie to... możesz, jeśli chcesz — odezwał się Barry po chwili. — Nakarm je.

Małym kluczykiem otworzył szufladę w szafce, na której stało akwarium. Ku zaskoczeniu Phoebe była w niej tylko karma dla ryb. Wzięła kilka drobin i wrzuciła je do czystej wody, starając się nie nadużyć łaski, którą wyświadczył jej brat. Dopiero gdy ryby połknęły wszystkie okruchy, odważyła się dosypać więcej.

— Widzisz, Bear? — powiedziała. — Są głodne.

O dziwo, napięcie między rodzeństwem jakby opadło. Phoebe zaczęła zwiedzać pokój, który — mimo iż Barry zazdrośnie strzegł swej prywatności — urządzony był tak, jakby miały go odwiedzać wycieczki. Była tam miniaturowa hodowla mrówek, model domu na plantacji z amerykańskiego Południa, otoczony polem sztucznej kukurydzy, mózg jakiegoś zwierzęcia zamknięty w słoju, plastikowe dinozaury wśród plastikowych drzewek, a nawet mini-chmury z surowej bawełny — całe półki pełne eksponatów.

Phoebe czuła, że ciemne oczy brata śledzą jej każdy ruch i że wyziera z nich zadowolenie z faktu, iż udało mu się

przykuć uwagę siostry. Poczynała sobie coraz śmielej: zbliżała się do półek, a nawet dotykała eksponatów, czując rozpaczliwą potrzebę sprawienia Barry'emu przyjemności. Wypytywała o modele samolotów transportowych i pancerników, które sam zbudował, modulując głos w taki sposób, jak czyniła to matka, kiedy Barry był młodszy i jeszcze miał ochotę chwalić się swymi dziełami przed rodziną.

— Mam tu jeszcze coś, co jest lepsze niż cała reszta razem wzięta — odparł Barry, wracając do biurka.  
- Ale to tajemnica. Musisz przysiąc, że będziesz milczeć.

— Przysięgam na Biblię - zadeklarowała Phoebe i podeszła bliżej. Na blacie leżały arkusze cieniutkiego, sfatygowanego i najwyraźniej dość starego papieru, pokryte tajemniczymi, niebieskimi rysunkami. Phoebe słyszała nad sobą oddech brata.

— Należały do taty - powiedział półgłosem. - Zrobił je jeszcze na studiach.

Phoebe przyglądała się szkicom. Czowała, że Barry w napięciu oczekuje jej reakcji, i to ją speszyło.

— Spróbujesz zbudować coś takiego? — spytała.

Barry uśmiechnął się od ucha do ucha. Otworzył szufladę biurka i z zadowoleniem wyjął płytkę wielkości portfela, pełną maleńkich gałek i drucików. Jeden z nich, długi i czarny, zwisał jak ogon szczura. Barry wetknął go do gniazdka ponad biurkiem. Poruszył małym przełącznikiem, a wtedy zapaliła się niebieska lampka i urządzenie odezwało się przenikliwym głosem syreny alarmowej.

Uśmiechając się zawzięcie, Barry ruszył potencjometrem. Głos syreny stał się bardziej brzęczący. Chłopak popatrzył dumnie na siostrę.

Odpowiedziała pytającym spojrzeniem.

— Co to jest?

— Generator dźwięku — odparł Barry. — W czasach, kiedy tata chodził na studia, potrzebne były do tego lampy. Teraz mamy tranzystory, więc całość jest znacznie mniejsza i nie psuje się tak często.

— Jak go zbudowałeś? — spytała, przekrzykując brzęczyk.

— Nie było to łatwe — odpowiedział wyraźnie zadowolony Barry. — Musiałem zamówić części aż w New Jersey, w sklepie „Edmund Scientific”. A potem... po prostu rozszyfrowałem szkice taty.

Z wypiekami na twarzy wpatrywał się w niepozorne urządzenie. Pokręcił gałką i brzęczenie zmieniło się w donośne dzwonięcie.

— Pomyśl tylko — zawołał, nie przejmując się hałasem. — Pomyśl, Pheeb.

Phoebe była pod wrażeniem — głównie dlatego, że znalazła kolejny, wąty ślad ojca, który udało jej się dostrzec tylko dzięki chwilowemu, niepewnemu jeszcze zbliżeniu do Barry'ego i który lada chwila mógł zniknąć jej z oczu.

— Zbuduję je wszystkie — oświadczył chłopak z ponurą determinacją. — Co do jednej.

Phoebe skinęła głową, uśmiechając się do brata. Bolała ją głowa. Bardzo pragnęła dzielić uniesienie Barry'ego, ale zdecydowanie wolała, by wyłączył tę maszynkę. Próbowwała wyobrazić sobie ojca w tym pokoju i jego reakcję na dzieło syna, stworzone na podstawie starych rysunków. Wiedziała doskonale, że miałby gdzieś sukces Barry'ego.

— Co o tym myślisz? — spytał brat, zbliżając się do niej.

— Wspaniała rzecz — odparła Phoebe. Poczowała nagle paniczną chęć ucieczki przed nim.

— Naprawdę? — Z żałośnie chudą szyją i wątymi, brudnymi rękami Barry wyglądał tak nędznie, że Phoebe po-

czuła litość — dla niego i dla siebie przy okazji. — Naprawdę, Pheeb? Nie mówisz tego tak sobie? — Jest super — skłamała. Chciało jej się płakać. — Tatuś byłby zachwycony. Na pewno. — Myślisz? — Barry promieniał.

Phoebe żałośnie skinęła głową. Umęczona maszyna wyła przeciągle, a w powietrzu rozchodził się zapach nadtopionego plastiku. Kiedy pani McCauley zapukała do drzwi, żeby powiedzieć Phoebe, że czas do łóżka, Barry natychmiast wyłączył swój skarb i ukrył go w szufladzie.

Nuda własnego pokoju uderzyła w Phoebe jak potężny cios: tapeta w niedźwiedzie polarne, rzędy wyblakłych pluszaków i wiklinowe krzesło, które trzeszczało przeraźliwie, gdy ktoś na nim siadał. Pani McCauley zawinęła kołdrę tak ciasno, jakby Phoebe wyruszała w podróż wyjątkowo wyboistą drogą.

— To miło, że odwiedziłaś brata — powiedziała. — On bardzo potrzebuje towarzystwa.

Phoebe odwróciła się na bok, gotowa do snu. Pani McCauley posiedziała jeszcze chwilę w wiklinowym krześle, pomrukując z cicha, a potem wyszła powolnym, sztywnym krokiem.

Phoebe ocknęła się w ciemności, słysząc hałas dobiegający z dołu. Jej pokój znajdował się dokładnie nad kuchnią. Przez kilka minut leżała zupełnie nieruchomo, myśląc z przerażeniem, że to złodzieje wdarli się przez tylne drzwi i lada chwila wejdą na górę, żeby ją zamordować. A potem usłyszała muzykę. Zaciekawiona wstała z łóżka i bosą, w nocnej koszuli, trzymając się poręczy, zeszła na dół. Zza drzwi dobiegały nieznane głosy, ale w pewnym

momencie, ku zdziwieniu Phoebe, pojawił się wśród nich śmiech Faith.

Zdumiona stanęła na progu kuchni, która teraz bardziej przypominała wnętrze kościoła. Ciemność rozświetlały dziesiątki bożonarodzeniowych świeczek, których ciepły blask tańczył na ścianach. Z radia sączyła się niby-organowa muzyka. Faith i Wilk pochylali się nad kuchenką, plecami do drzwi, otoczeni przez nie znanych Phoebe ludzi poprzebieranych w dziwne kostiumy. Szczupła, ciemnowłosa dziewczyna wyglądała jak dama pikowa w sięgającej podłogi, atlasowej sukni w kolorze purpury. Inna miała długie, białe włosy związane w warkocze i połyskliwe, białe strój — spodnie i marynarkę. Mężczyzna stojący tuż przy drzwiach miał na głowie cylinder, a spod jego krótko przyciętych dżinsów wystawały mocno opalone nogi. On pierwszy zauważył Phoebe.

- Witaj - powiedział, salutując. — Powinnaś ostrzec siebie włosy.

Phoebe spojrzała na niego, zaskoczona znajomym zdaniem. Przypomniała sobie szybko: to były pierwsze słowa Zwariowanego Kapelusznika do Alicji w krainie czarów; tę scenę czytała akurat poprzedniego ranka.

- Powinien pan oduczyć się robienia przycinków - odparła Phoebe, sięgając pamięcią po ripostę Alicji.

- To jest bardzo niegrzeczne.

Twarz mężczyzny na moment stężała w zdumieniu. Potem nieznajomy odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, otwierając szeroko usta i wysuwając język przypominający kolorem jego opalone łydki. Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

- Kim jest ten kapitalny dzieciak? - spytał opalony Kapelusznik.

Faith podeszła do Phoebe i przyklękła przy niej. Przytulając się do siostry, Phoebe wyczuła przyspieszone bicie jej serca.

- Czy to już ranek? — spytała.

- Prawie - odparła cicho Faith. Jej policzki były mocno zaróżowione. Cieniutka, malowana tęcza zaczynała się nad jej lewym okiem i zakręcała w dół, do kości policzkowej. - Robimy śniadanie, które zjemy na dachu, podziwiając wschód słońca.

- A co z panią M.? - zaniepokoiła się Phoebe.

- Spi - odparła szeptem Faith, krzyżując palce na szczęście. - Powiedziałam jej, że zostaję na noc u Abby.

Obcy z uśmiechem przyglądali się Phoebe, jakby sama jej obecność w kuchni, w nocnej koszuli, w środku nocy, sprawiała im przyjemność. Fakt, że znieścacka znalazła się w centrum uwagi, przyniósł jej niemałą satysfakcję, zabarwioną odrobiną niepokoju. Jeden z mężczyzn miał na ramionach karmazynową pelerynę prestidigitatora i trzymał w dłoni dwie srebrzyste kule, które dźwięczały przy każdym ruchu palców. Inny, w sandałach i z bujną brodą, bardzo przypominał Jezusa. Zwijał cieniutkie, żółtawe papierosy, by po chwili zapalić jednego z nich - dziwny tytoń skwierczał i pykał z cicha - zaciągnąć się i przekazać go stojącej obok dziewczynie.

- Jaki piękny dzieciak - powiedział Jezus, wydechając osobliwy, słodko pachnący dym.

Phoebe zarumieniła się aż po szyję.

- Chodź do mnie, piękna - odezwał się Wilk, przyciągając krzesło do kuchenki. - Pomóż kucharzowi. Phoebe zbliżyła się nieśmiało. W blasku świec Wilk wyglądał jak kucharz-wojownik, pokryty piękną opalenizną nawet na dłoniach. Jego skóra pachniała cudownie, jak

skórzane buty ojca, kiedy zostawiał je na słońcu. Postawił Phoebe na krześle, zaciskając ciepłe ręce na jej żebrach. Dziewczynka dostrzegła w jego uchu małe, złote kółeczko.

Jajka były ciepłe, jakby przed chwilą zniesione. Phoebe rozbiła jasną skorupkę, by wpuścić do szklanej misy żółtko i białko. Wilk wrzucił warzywa na pokrytą masłem patelnię. Mieszanka zapachów była odurzająca: słodki dym papierosów, warzywa smażące się na maśle i bogaty, oleisty aromat topiących się świec. Dobra Wróżka wstała z krzesła i zaczęła tańczyć; pływała w muzyce tak, jakby dźwięki były gęstą cieczą. Opalony Kapelusznik pochrapywał z cicha — jego cylinder leżał na stole tuż obok głowy. Dama Pik przysiadła na kolanach mężczyzny w koszuli arlekina. Wyglądał jak Joker z tej samej talii kart.

— Kim są ci wszyscy ludzie? — szepnęła Phoebe. Faith pokręciła głową, rozglądając się po kuchni.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Ale skąd się wzięli? Jak ich znalazłaś?

— To oni nas znaleźli. A może znaleźliśmy się nawzajem? W Niewidzialnym Cyrku. Byliśmy wszyscy w Niewidzialnym Cyrku.

Odpowiedź brzmiała absolutnie sensownie — kostiumy, absurdalnie dobry nastrój... Phoebe uwielbiała cyrk i wpadła w rozpacz na myśl o tym, że siostra nie zabrała jej ze sobą.

— Z trzema arenami? — spytała.

Faith uśmiechnęła się, spoglądając na Wilka.

— Z trzema?

— Większy - odparł Wilk. - Powiedziałbym, że z czterema. A może nawet z pięcioma.

— Z pięcioma arenami! — Phoebe odwróciła się na pięcie, wściekła i rozżalona.



— O, nie — jęknęła Faith. — Ona myśli, że... Nie, Phoebe, to nie był cyrk. Oni tak go nazwali, ale tak naprawdę to tylko impreza, wielka impreza w kościele. Przerwana.

— Bez zwierząt? — spytała ostrożnie Phoebe.

— Bez. Nic z tych rzeczy — zapewniła ją Faith. — To taki dom zabaw, tylko że dla dorosłych. Phoebe pomyślała o Playlandzie, starym domu zabaw opodal zrujnowanych łaźni Sutro, gdzie dawniej zawoził je ojciec. Był tam obracający się tunel, przez który nie można było przejść, nie zaliczywszy kilku upadków i siniaków. Były też długie i niebezpieczne ślizgawki z polerowanego drewna, po których zjeżdżało się na workach od ziemniaków, rozdierając skórę przy najlżejszym muśnięciu rzekomo gładkiego podłoża. Faith i ojciec uwielbiali wycieczki do Playlandu, ale Phoebe wyczuwała pod pozorną beztroską tego miejsca coś ponurego i groźnego.

Faith chwyciła ją za rękę.

— Coś się dzieje — powiedziała. — Czujesz? -Co?

— Nie wiem, ale ja czuję. Coś jakby podziemna wibracja. — Głos Faith drżał, jak gdyby jej ciało istotnie odbierało jakieś wibracje.

— Co ty wygadujesz? — spytała Phoebe.

— Wszystko się zmienia — odpowiedziała Faith. — Wszystko będzie inaczej...

Dla Phoebe zmiany już zaszły, i to zdecydowanie za daleko.

— Podoba mi się tak, jak jest — powiedziała.

— Nie, będzie lepiej — zaoponowała Faith. — To już historia. Nie zatrzymasz zmian.

— Jakich zmian? — Phoebe niepokoila się coraz bardziej.

Faith rozczesała włosy palcami.

- Nie wiem - powiedziała. - Ale na pewno bardzo głębokich.

- Nie próbuj tłumaczyć - odezwał się łagodnie Wilk, mieszając posiekane warzywa. - Będzie wiedziała, kiedy sama zrozumie.

- Już tu są - oznajmiła Faith, zamykając oczy i unosząc obie ręce na wysokość piersi. - Phoebe... czujesz?

Phoebe odwróciła się, by ogarnąć spojrzeniem całą kuchnię. Dobra Wróżka, Dama Pik i Joker tańczyli razem, poruszając ramionami jak pływacy. Dziewczynka próbowała wyobrazić sobie, co czują, zawieszeni w ciepłej, jedwabistej muzyce. Wydawało jej się, że jest to przyjemność, którą dawno, dawno temu sama umiała odczuwać. Muzyka nabrała tempa, odezwały się cymbały, głosy i śmiechy. Świece niestrudzenie rzucały na ściany plamy światła.

- Coś się stało - powiedziała Faith. - Tylko nie wiem co. Phoebe stwierdziła, że uśmiecha się nieświadomie od dłuższej chwili. Była szczęśliwa. W jej żołądku kształtowało się z wolna przyjemne ciepłko i sączyło się pomału w stronę kończyn, jak smak pysznego cukierka. „Na dworze Karmazynowego Króla...” nuciły głosy z radia i Phoebe wyobraziła sobie scenę ze starej książki: Sir Lancelota i królową Ginewrę, a może Alladyna? Ciała tańczących drżały jak płomienie. Gdzie ja jestem? - zastanawiała się Phoebe, wspominając wieczory w parku w Mirasol, kolorowe światła i lot w ramionach ojca tak wysoko, że mogła dotknąć palcem chińskich lampionów. Gdzie ja jestem? Rozważanie tego dylematu było znacznie przyjemniejsze niż świadomość odpowiedzi.

- Tak - powiedziała Phoebe, wyciągając ramiona na

boki, jakby balansowała na linie. Była Alicją, która wypła już tajemniczy napój i czekała na to, co się miało stać. -Czuję to.

- Tatuś byłby zachwycony, prawda, Pheeb? Podobałoby mu się - zauważyła Faith.

Phoebe wiedziała, że to prawda. Cokolwiek się działo, ojciec poparłby to całym sercem. Wyobraziła go sobie, jak opiera się plecami o kredens, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wyrazem głębokiego zadowolenia na twarzy. Phoebe stanęła na palcach, niemal uniesiona z krzesła nagłą radością wynikającą z oczywistej prawdy: jej siostra znała drogę, jak zawsze.

Od strony schodów dobiegł odgłos kroków i w drzwiach pojawił się kompletnie ubrany Barry. Stał tak przez moment, przyglądając się świecom, obcym ludziom i kuchni zmienionej nie do poznania.

Phoebe starała się spojrzeć na tę scenę oczami brata i pomyślała, że wszystko to musiało wydać mu się dziwne i ulotne, jakby przybysze z innego świata mieli lada chwila zniknąć jak te dzieci z *Opowieści z Narnii*, które przez szafę powracały do realnego świata.

- Bear - odezwała się Faith. - Szykujemy śniadanie. Barry spojrzął na zegarek.

- O szóstej trzydzieści rano - powiedział, włączając górne światło. Jaskrawy, pusty blask żarówki przestraszył wszystkich i zmusił powieki do gwałtownego trzepotu. Ktoś ściszył muzykę; tańczący znieruchomieli.

- Wszystkie świąteczne świece mamy - ciągnął Barry. — Wytopione.

~ Przecież możemy odkupić - odparła Faith. - Do Bożego Narodzenia jeszcze prawie rok. Brat spojrzął na nią posepnie.

— Sądzę, że ci ludzie powinni wyjść.

Wilk wyłączył palnik i podszedł do chłopaka, by objąć ramieniem jego wąskie barki.

— Daj spokój, chłopie — powiedział. — Takie okazje zdarzają się raz, od wielkiego dzwonu.

Phoebe widziała wewnętrzną walkę w oczach brata. Barry podziwiał Wilka i szczerze pragnął być do niego podobny. Z drugiej jednak strony nienawidził ustępować przed Faith.

— To nie mój dzwon — odparł, odsuwając się od Wilka. — Ani Phoebe. My chcemy spać.

— Przecież możesz się do nas przyłączyć, Bear — próbowała perswadować Faith. — Spójrz, Phoebe pomaga nam w gotowaniu. Ty też mógłbyś. Dlaczego nie? — Brzmiało to raczej jak błaganie niż zaproszenie.

Wilk znowu próbował dotknąć Barry'ego, ale ten cofnął się o krok, niespokojnie spoglądając na obcych.

— Co tu się dzieje, Faith? — spytał. — Braliście narkotyki?

— Chryste Panie — mruknęła z niesmakiem Dama Pik, sadowiac się na kredensie i krzyżując nogi.

Barry skrzywił się, wepchnął ręce do kieszeni i wbił wzrok w podłogę.

— Wszyscy mają stąd wyjść — oznajmił. — Natychmiast. Jeśli nie, zadzwonię na policję.

Wilk pokręcił głową.

— Tak się nie robi.

— Barry, proszę cię — jęknęła Faith.

Wzmianka o policji wystarczyła, by w grupie zapanowało poruszenie. Dobra Wróżka wyciągnęła spod stołu plecioną torbę, a Kapelusznik przygładził włosy i włożył cylinder. Faith uśmiechała się błagalnie do swoich gości. Wyglądała na spanikowaną. Phoebe wyczuwała jej zde-

sperowanie; strach przed tym, że za chwilę może stracić jedyną dobrą rzecz, jaką ostatnio zdołała sobie znaleźć. Niewidzialny Cyrk, pomyślała Phoebe. Niewidzialny Cyrk, powtarzała w myśli, jakby to było zaklęcie. Ale goście byli już na nogach, gotowi wyjść.

— Phoebe — powiedział Barry, nie ruszając się z progu.

Przestraszył ją dźwięk własnego imienia. Jakoś zapomniała, że sama też znajdowała się w kuchni. Stała bosymi stopami na siedzeniu krzesła. Barry wyciągnął do niej rękę.

— Chodź, Pheeb — dodał. — Zaczekamy na górze. Phoebe spojrzała bezradnie na Faith, ale twarz siostry

nie wyrażała już nic, podobnie jak w ciągu ostatnich paru miesięcy. Pozostała obojętność.

— Chodź, Pheeb — powtórzył. — Już dobrze.

Mówił tak, jakby byli sami, lecz Phoebe wyczuwała na sobie wzrok wszystkich prócz Faith i to ją paraliżowało. Chciała zadowolić wszystkich, pozbyć się wreszcie tej niepożądaney władzy.

Wyobraziła sobie, że jest więźniem wśród zamków, szuflad i kluczy Barry'ego — a także tej jego okropnej maszyny dźwiękowej i starych szkiców ojca — podczas gdy Niewidzialny Cyrk odpływa bez niej na szerokie wody.

Barry niepewnie opuścił rękę.

— Phoebe?

— Przyjdę później, Bear.

Coś się zapadło w twarzy Barry'ego. Cofnął się o krok, za drzwi, i przystanął. Phoebe patrzyła na swoje boscie stopy, świadoma, iż wykonała ruch, którego nie da się już cofnąć. Kiedy Barry odwrócił się wreszcie i pobiegł na górę, poczuła ulgę.

W grupie zapanowało niemal histeryczne poruszenie. Światło natychmiast zgasło, muzyka znowu stała się głoś-

niejsza, a taneczny trans udzielił się wszystkim. Świece płonęły przez cały czas, ale wydawało się, że teraz w ich blasku jest większy, jakby buntowniczy żar. Ściskając gorące, opalone palce Zwariowanego Kapelusznika, Phoebe tańczyła bez wstydu, pozwalając, by muzyka kołysała jej członkami tak, jak bąbelki powietrza kołysały roślinki w akwarium Barry'ego. Nie mogła złapać tchu z nieskończonej, maniakalnej uciechy.

— Prędzej — zawołała Faith, widząc pierwszy promień światła na niebie. — Prędzej, chodźmy na zewnątrz.

Zdmuchnęli świece i weszli na piętro z talerzami jajeczniczy. Pokonali trzy ciągi schodów, nim dotarli do tych najwęższych, prowadzących na dach. Wskoczyli na świeże powietrze i rozbiegli się po smołowanej połaci. Zaczęli jeść z apetytem, dzieląc się chlebem z dwóch wielkich bochnów, które Wilk kupił u kierowcy rozwożącego pieczywo ciężarówką. Dach był płaski. Rozciągał się z niego wspaniały widok na poszarpane brzegi Sausalito i Tiburon, gdzie przeszklone domy lśniły jak bryłki rudy. Most Golden Gate przypominał smukły, czerwony szkielet. Czarodziej szedł po dachu na rękach, ciągnąc za sobą długą pelerynę. Niebo wydawało się bliższe niż zazwyczaj. Phoebe czuła, że mogłaby dotknąć ręką pulchnych, różowych chmur.

Wiatr bez trudu przewiewał jej nocną koszulę, chłodząc ciało. Wilk odstawił talerz i wziął Phoebe na kolana, dla rozgrzewki rozcierając jej ramiona. Czuła się bardzo mała, jakby ciało Wilka było dłonią, a ona sama zamkniętym w niej liściem lub żółędziem.

— Biedna Phoebe — mruzczał Wilk, tuląc ją mocno. Nie wiedziała, dlaczego tak mówił, ale nie zaprzeczała.

Gdyby wiedział, jak bardzo była szczęśliwa, może przestałby robić to, co robił?

Faith biegała po całym dachu, układając kupki pokruszonego chleba dla mew. Wiatr szarpał dzinsy na jej chudych nogach i unosił wysoko ciemne, splątane włosy na głowie. Kiedy rozdzieliła już ostatni bochenek, stanęła z dala od pozostałych, twarzą w stronę zatoki, i zaczęła podskakiwać w miejscu, wyciągając ręce ku niebu. Wszyscy spoglądali z uśmiechem, kiwając głowami, na tę erupcję energii. Phoebe też patrzyła; patrzyła znacznie dłużej niż pozostali. Nie mogła oderwać wzroku od siostry. Wreszcie Faith przestała skakać. Rumiana od wysiłku, usiadła obok Phoebe i Wilka, otulona welonem spokoju. Inni pomału zapadali w sen, przytuleni do siebie jak koty. Dama Pik nuciała *A teraz położę się spać*.

— Może tata nas widzi? — szepnęła cicho Faith, spoglądając w niebo. — Może nas obserwuje? Phoebe zadarła głowę. Rzeczywiście, niebo i poranne słońce wyglądały zdecydowanie pełniej niż na co dzień; ożywiało je uważne, ale i rozbawione spojrzenie ojca. Phoebe wpatrywała się w białe słońce, oddając mu się bez reszty — ale nie samotnie (samotnie nic nie znaczyła), lecz jako cząstka Faith; maleńki kształt zamknięty w postaci siostry. Bolało. Bolało całe ciało, jakby się rozpuszczała. Jej oczy pozostały otwarte tak długo, jak wytrzymała. Kiedy je wreszcie zamknęła, ciemność przyniosła jej ulgę.

— Biedactwo — mruczał Wilk, kołysząc ją do snu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Matka Phoebe pracowała dla Jacka Lamonta od 1965 roku. Był producentem filmowym, najbardziej znanym jako współtwórca sukcesu *Białego anioła*, który zdobył nagrodę Akademii za najlepszy film 1960 roku. Phoebe nigdy nie widziała tego dzieła.

Uważała, że Jacka po prostu nie da się lubić, choć musiała przyznać, że jest przystojny — miał ciemną cerę i bladobłękitne oczy. Spod jego na pozór ciepłej skóry sączył się jednak straszliwy chłód. „Cześć, Pheeb”, mawiał, kiedy przychodziła do biura, a potem jego jasne oczy koncentrowały się na innych sprawach i to było wszystko, jej moment mijał. „Nieśmiały jest, to wszystko”, mawiała z kolei matka, ale to wcale nie było wszystko. Jack był mężczyzną w pełni kontrolującym swoje życie.

Matka zaczęła pracować dla niego jako maszynistka na pół etatu wkrótce po tym, jak u ojca zdiagnozowano chorobę. Niedługo była już asystentką na całym etacie, a teraz, po trzynastu latach, w zasadzie zajmowała się wszystkimi sprawami Jacka. Żadna decyzja nie była zbyt ważna lub zbyt nieważna, by mógł ją podjąć bez udziału Gail, bez względu na to, czy chodziło o wykołowanie partnerów w interesach, wybranie restauracji na Riwierze (gdzie nigdy nie była), zarezerwowanie miejsca w meksykań-



skim ośrodku golfowym czy o wybór prezentów urodzinowych lub gwiazdkowych dla jego dzieci. Phoebe była bardzo dumna z tego, że mężczyzna tak chłodny i opanowany jak Jack polegał na pomocy jej matki tak bardzo, jakby sama jej obecność miała zapewnić pomyślność we wszelkich jego przedsięwzięciach. Z drugiej jednak strony nie podobało jej się to, jak bardzo jego życie ciąży nad ich życiem; jak łatwo „awaryjne sytuacje” Jacka w jednej chwili wymazywały ich dawno powzięte plany. Barry twierdził wręcz, że układ jest taki, jakby matka znosiła wszelkie niedogodności bycia żoną Jacka, nie czerpiąc w zamian żadnych korzyści. „Korzyści!”, wykrzyknęła matka, kiedy zaprezentował jej tę teorię. „Nie ma czegoś takiego, jak korzyści z bycia żoną Jacka”. Lamont był trzykrotnie rozwiedziony i wciąż jeszcze prowadził prawne potyczki z ostatnią byłą żoną. „Na liście płac” — takiego terminu używał w stosunku do wszystkich swych byłych połowic, które wspierał finansowo; wiele można mu było zarzucić, jak mawiała matka, ale należało przyznać, że był hojny. („Poczucie winy”, odpowiadał ponuro Barry.) Jeśli chodzi o byłe żony Jacka, to Gail wciąż jeszcze spotykała się z dwiema na lunchach; trzecia wolała trzymać dystans, póki kwestie prawne związane z rozwodem nie były do końca uregulowane. Matka twierdziła, że wszystkie były interesującymi kobietami, ale dobry gust w doborze partnerek nie przeszkadzał Lamontowi po każdym rozwodzie szukać ukojenia w objęciach pustogłowych gwiazdek filmu. Matka zawsze narzekała na swego szefa, ale Phoebe wiedziała, że i tak kocha swoją pracę. Zwłaszcza że ostatnio została współproducentem — do spółki z Jackiem — swego pierwszego filmu: dokumentu o życiu jednego z idoli Faith, Che Guevary.

Poniedziałkowy ranek tonął we mgle, jakby całe miasto wciąż jeszcze spało. Matka prowadziła wóz, a Phoebe, jak zawsze, siedziała bezużytecznie obok niej. Nie miała jeszcze prawa jazdy. Matka zniechęcała ją do kursu, przypominając, że i tak mają tylko jeden samochód, ale dziewczyna wiedziała, że w istocie chodzi jej o bezpieczeństwo. Tak czy inaczej, nieumiejętność prowadzenia auta nieraz wprawiała ją w zakłopotanie. Podobnie jak inne zakazy nakładane przez matkę, była jeszcze jedną barierą odgradzającą ją od rówieśników, a jednak Phoebe jakoś się z tym godziła. Podobnie było z paleniem papierosów, choć przecież z zazdrością spoglądała na koleżanki puszczone idealnie okrągłe kółka lub połykające dym jak bitą śmietaną.

— Tak sobie pomyślałam — zagaiła w końcu — że mogłabym dokądś pojechać.

Matka spojrzała na nią z ukosa.

— Na przykład dokąd?

— Do Europy.

— Po co?

— Żeby... sama nie wiem. Podróżować. Może zaczęłabym college rok później.

Na długą chwilę zapadła cisza.

— To dość zaskakujący pomysł — odezwała się wreszcie matka.

— Wiem — odparła gorzko Phoebe. — A to dlatego, że ja nigdy nic nie robię.

— Kochanie, właśnie miałaś zacząć naukę w college'u — zaproponowała matka, odgarniając kosmyk włosów z czoła córki. — To już coś, prawda?

— Wszyscy to robią.

— No to co?

— To, że ja nie chcę — odpowiedziała ostro Phoebe, za-

skoczona własną gwałtownością. — Chcę, żeby wreszcie przytrafiło mi się coś prawdziwego. Bóg mi świadkiem, że czuję się jak żywy trup. Jakbym nie mogła się obudzić. Znowu milczały przez dłuższy czas.

— Ulżyło mi, Phoebe, kiedy to powiedziałaś — wyznała w końcu matka. — Szczerze mówiąc, martwiłam się o ciebie.

Phoebe nie była gotowa na takie słowa.

— Dlaczego?

— Ostatnio sprawiałaś wrażenie... odległej — odpowiedziała Gail, niemal ze strachem. — Od zakończenia roku szkolnego prawie do nikogo nie dzwoniłaś, nawet nie oddzwaniałaś, kiedy ktoś odzywał się do ciebie.

— Przecież widziałam się z ludźmi w zeszłym tygodniu...

— A co z Celeste? Kiedyś spotykałyście się tak często. I jeszcze to, że nie poszłaś na zakończenie...

— Powiedziałaś, że mnie rozumiesz!

— Wiem — odparła matka w zamyśleniu. — Kiedy tak patrzę wstecz, wydaje mi się, że mój udział w tym problemie nie jest mały.

— W jakim problemie? — wykrzyknęła Phoebe.

— Zawsze się bałam, że zaczniesz szaleć i coś się stanie... — mówiła matka cichym, ledwie słyszalnym głosem. — Powstrzymywałam cię.

Phoebe była kompletnie zdezorientowana. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Wiesz, nie planowałam mówić ci o tym już teraz — ciągnęła matka — ale coraz poważniej zastanawiam się nad sprzedażą domu.

— Naprawdę? — spytała Phoebe, nie rozumiejąc.

— Rzecz w tym, że jest taki wielki, a ja wkrótce pewnie zostanę w nim sama. Prawdę mówiąc, bałam się powiedzieć ci o tym — dodała i zaśmiała się dziwnie.

Phoebe wyprężyła się w fotelu.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała. — Zamierzasz sprzedać dom?

Matka spojrzała na nią z niepokojem.

— To tylko taki pomysł...

— Jak mogłaś wpaść na coś takiego?! Sprzedać dom?! — Głos Phoebe szczelnie wypełnił wnętrze samochodu.

— Przecież go nie sprzedałam. Naprawdę — tłumaczyła się matka. — Po prostu głośno myśle.

Wóz zbliżał się już do krawężnika, ale Gail szarpnęła kierownicą i znowu włączyła się do ruchu, jakby chciała uciec przed tematem. Phoebe była wściekła. Sprzedanie domu byłoby fatalnym posunięciem; najgorszym z możliwych.

— Rozumiem, że mogę jechać — odezwała się z niedowierzaniem.

Matka spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

— Do Europy.

— Nie, kochanie. Nie. Mówiłam tylko, że rozumiem taki impuls.

— Ty możesz sprzedać dom, a ja nie mogę jechać do Europy?

Matka wolno pokręciła głową, wyraźnie zdziwiona.

— To kiepski pomysł, Phoebe, to chyba oczywiste. Że też wpadłaś akurat na coś takiego.

Było dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia, z naszymi. Matka nagle przestała widzieć ukryty świat, który obie znały.

— Faith pozwoliłaś — zauważyła Phoebe.

Gail spojrzała na nią bez słowa. Phoebe popełniła błąd. W milczeniu dojechały do skrzyżowania Oak i Masonie, gdzie Phoebe wysiadała każdego ranka w drodze do pra-

cy. Matka miała na sobie jedwabną bluzkę z kokardą „od Dianę Feinstein”, jak ją nazywała. W Panhandle, na skrawku mokrej trawy, kilka postaci odzianych w purpurę ćwiczyło tai chi. Gail oparła łokcie o kierownicę.

— Wypchnięcie jej z tego miasta wydawało się darem niebios.

Phoebe gorliwie przytaknęła ruchem głowy.

— Sądziłam, że Wilk się nią zaopiekuje — ciągnęła matka. — Ale to było zbyt trudne zadanie, nawet na jego siły.

Phoebe wciąż kiwała głową, jak zabawka na sprężynie.

— Brzmi to sensownie.

— Naprawdę?

Matka znowu patrzyła na córkę. W świetle poranka jej twarz wyglądała na opuchniętą i jak gdyby porowatą, jakby kiedyś pojawił się na niej siniak i nigdy nie został zaleczony. Phoebe czuła wyraźnie ciężar swojej odpowiedzi.

— Tak — odparła drżącym głosem. — Naprawdę, mamó. Totalnie.

Mgła była coraz rzadsza. Domy wynurzały się z niej ze świeżymi barwami. Phoebe wysiadła z samochodu i machnęła matce ręką. Obserwowała zarys jej głowy w odjeżdżającym aucie, a kiedy fiat zniknął wśród innych aut, ruszyła do pracy z niejasnym przeczuciem katastrofy.

Skrzyżowanie Haight-Ashbury zniknęło.

Winni byli nostalgicy, którzy tak pracowicie zrywali uliczne tablice, aż wreszcie miasto zrezygnowało z instalowania nowych. Z wnętrza kawiarni, w której pracowała, Phoebe często widywała turystów przemierzających Haight Street z planami miasta w dłoniach, świadomych, że są

bardzo blisko celu, a jednocześnie nie będących w stanie odnaleźć dokładnie tego miejsca, którego szukali.

W okolicy pozostało sporo śladów po latach sześćdziesiątych: sklepy spożywcze z koszami gruzłowatych owoców, tytoniowe, a nawet jeden okultystyczny, w którym można było nabyć miniaturowe główki i kryształowe kule. Jednakże kawiarnia „Mleko i Miód”, w której pracowała Phoebe, nie miała z nimi nic wspólnego. Był to nowy lokal, pełen czerwonych, neonowych serduszek i białych kafelków, będący własnością gejów i obsługiwany przez gejów. Nie będąc ani mężczyzną, ani tym bardziej gejem, Phoebe niejako z definicji trzymała się w pracy na uboczu. Miała jednak wrażenie, że łatwiej jest trzymać się na uboczu tam, gdzie było to normalne, niż tam, gdzie w zasadzie powinna integrować się z grupą. Słuchała z wielkim zainteresowaniem opowieści kolegów o tym, jak dorastali w „normalnych”, amerykańskich miasteczkach, umawiali się z cheerleaderkami, powtarzali dowcipy o pedałach i blefowali, od rana do nocy prowadząc jedno życie, podczas gdy skrycie marzyli o zupełnie innym. A teraz je mieli. Znaleźli swoje życie obiecane i nikt już nie mógł im go odebrać, a przynajmniej tak im się zdawało.

Tego dnia miał przyjść nowy chłopak, a zadaniem Phoebe było przyuczenie go do pracy. Pracowała w „Mleku i Miodzie” od ponad roku — każdego dnia w południe, po lekcjach, wsiadała do autobusu i przyjeżdżała na Haight. Jeśli nie liczyć szefa, Arta, pracowała tu dłużej niż ktokolwiek inny.

Nowy pracownik był przystojny, co wyjaśniało znakomity humor Arta.

— To jest Phoebe O'Connor — powiedział. — Phoebe, oto Patrick Finley. Proponuję, żebyście na początek porozmawiali o wspólnych irlandzkich korzeniach.

Phoebe i Patrick wymienili wymuszone uśmiechy. Patrick był wysoki, miał na sobie dzinsy i biały T-shirt. Phoebe nie zgadłaby, że jest gejem, ale musiał być — nigdy nie widziała, by zatrudniono tu heteroseksualistę.

— Phoebe będzie cię szkolić — wyjaśnił Art Patrickowi. — Jest naszym wzorem cnót. Nieprawdaż?

— Niezupełnie — odpowiedziała Phoebe, rumieniąc się nieznacznie.

— No, może nie, jeśli wziąć pod uwagę trupy ofiar zakopane w piwnicy jej domu — dodał radośnie Art.

— Leżą głęboko — odparła dziewczyna, starając się podtrzymać nastrój.

Art koncentrował się jednak przede wszystkim na osobie Patricka.

— Wiesz, że ona nigdy nie paliła papierosa? Wyobrażasz to sobie?

— Ani razu? — spytał miękko nowy, patrząc w oczy Phoebe. Pokręciła głową z większą nieśmiałością niż zwykle. Oczy Patricka były pełne jasnej, głodnej zieleni.

— Szkoli się na zakonnicę — nawijał Art. — Choć powiem ci w zaufaniu, że widziałem ją pijaną. Phoebe spojrzała na niego z niepokojem. Kilka tygodni wcześniej, podczas Święta Haight Street, wypła kilka kieliszków sangrii w pełnym słońcu i zaczęła płakać, obserwując paradę hippisów, których twarze i oczy sprawiały wrażenie wyblakłych od zbyt wielu oślepiających wschodów słońca. Art objął wtedy Phoebe ramionami i przycisnął do siebie. Pamiętała, że powiedział: „Życie jest długie, mała”.

— Ale właściwie dlaczego ja się dziwię? Przecież wszyscy katolicy to pijacy — kontynuował Art, mrugając porozumiewawczo. — Nawet księża.

— Zwłaszcza księży — mruknął Patrick.

— Dlaczego sądzisz, że jestem katoliczką? — spytała Phoebe, ciesząc się w duchu, że jej pijackie łyżki pozostały tajemnicą.

— Masz to wypisane na twarzy — odparł Art, całując ją w policzek.

Zaczął się poranny ruch. Zazwyczaj Phoebe litowała się nad nowymi pracownikami, boleśnie przeżywającymi fazę niekompetencji, ale Patrick wyglądał na przyzwyczajonego do tego stanu.

Zgadywała, że miał dwadzieścia parę lat. Nauczyła go przyrządzania swojej specjalności: kawy z mlekiem, którą potrafiła nalewać w taki sposób, że kawa i mleko tworzyły osobne warstwy w przezroczystym, szklanym kubku. Dość często jednak jej wysiłki pozostawały nie zauważone przez klientów, którzy mieszały te arcydzieła, nie zwracając uwagi na mistrzostwo Phoebe.

Kiedy zrobiło się luźniej, Patrick wycofał się do kąta, poza zasięg wzroku klientów. Wyjął z paczki camela i postukał nim o bufet.

— Mogę? — spytał.

— Jasne. Wszyscy tu palą.

Zapalił, na moment przymykając oczy, kiedy dym dotarł do płuc.

— Mądrze robisz, że nie palisz — powiedział, wydmuchując szarą chmurę. — Paskudna rzecz.

— Ja tak nie uważam — zaoponowała z uczuciem. — Lubię patrzeć, jak inni palą.

Patrick wybuchnął śmiechem.

— Mówisz poważnie?

Phoebe niepewnie skinęła głową. Nie chciała go rozśmieszyć.

Patrick zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem.



— W takim razie dziwię się, że sama nie spróbujesz — powiedział. — W końcu nie musisz czekać w kolejce, jeśli tylko chcesz.

— Obiecałam komuś, że nie spróbuję — odparła. To był jej standardowy tekst.

Patrick zgasił papierosa i przebiegł palcami obu dłoni po ciemnych włosach.

— Ktoś wyświadczył ci przysługę, przyjmując tę obietnicę — stwierdził.

o czternastej Phoebe zdjęła fartuch, rozczesała włosy

i wyszła z kawiarni w ramach przerwy na lunch. Na rogu ulicy muzyk z poobijaną gitarą elektryczną i ledwie żywym wzmacniaczem rzępolił *Gimme Shelter*. Miał na sobie czarny, mocno spięty paskiem, skórzany płaszcz z żółtymi guzikami oraz toporne koturny. Ubranie wyglądało na starsze od niego.

U jego stóp przysiadły dzieciaki-włóczędzy, stali mieszkańcy Haight Street. Od czasu do czasu któryś z nich pojawiał się w kawiarni, prosząc o plasterek cytryny. Phoebe dopiero niedawno dowiedziała się, że potrzebowały tych plasterków po to, by rozcieńczać heroinę przed wstrzyknięciem jej w żyłę. Były młodsze od Phoebe; o wiele za młode, by pamiętać lata sześćdziesiąte, lecz mimo to dziewczyna czuła ich silną więź z tamtymi czasami -więź, której sama nie miała i której im zazdrościła. Dawała im cytrynę, kiedy prosiły, choć Art jej tego zabronił.

Phoebe wspięła się na Hippy Hill — pagórek pokryty lichą trawą, należący do Golden Gate Parku.

Usiadłszy na szczycie ze skrzyżowanymi nogami, wyjęła z worka bułkę z otrębami i plastikowy kubek z kawą. Zwykle czy-

tała podczas lunchu — uwielbiała książki i pochłaniała je dość bezkrytycznie, traktując każdą jak swoisty przepis, jak argument za takim czy innym stylem życia. Jednak tego dnia po prostu jadła mechanicznie, spoglądając w dół, na drzewa. Sprzedać dom? Teraz, po tylu latach? To szaleństwo, myślała.

I wcale nie była „odległa”. Przecież nie dalej niż w zeszłym tygodniu była z grupą ludzi na *The Rocky Horror Picture Show*, gdzie ktoś obsypał ją chlebem, a potem w dyskotecie na Broadwayu, gdzie typ oślizgły jak węgorz fundował jej wodniste koktajle w zamian za wątpliwy przywilej wicia się obok niej w tłumie kotłującym się na parkiecie. Na pewno nie była „odległa”. A jednak fakt pozostawał faktem: próbując wmieszać się w grono rówieśników, Phoebe zawsze czuła się tak, jakby blefowała, jakby poruszała ustami, usiłując śpiewać piosenkę, której nie zna; wiecznie spóźniona. Jeśli miała szczęście, udawało jej się ich nabrać. Nie miała jednak szans, by się wyróżnić, zrobić na nich wrażenie choćby w najmniej znaczący sposób. W wielkim gmachu ogólniaka Phoebe czuła się jak karłowata wersja samej siebie; jakby przez cały czas prowadziła „konwersacje” rodem z lekcji francuskiego: Gdzie jest kot? Widzieliście kota? Spójrzcie! Pierre kąpie kota! Mniej więcej taką płynność osiągała w dyskusjach o zespołach muzycznych, fajeczkach do marihuany i alkoholowych wyczynach na imprezach.

Nie była prawdziwą osobowością w szkole. Kiedy ktoś pomyślał o tym, by ją zaprosić, była zaproszona, ale jeśli wstała i wyszła w połowie przyjęcia (a robiła to dość często), jeśli zadzwoniła po taksówkę, stojąc w samym środku kuchennej grupki szczęśliwych palaczy trawki, zabrała swoje rzeczy i po prostu zniknęła — bardzo niewiele

ludzi zwracało na to uwagę. Kiedyś, gdy poczęstowano ją porcją kwasu, schowała ją do kieszeni (i trzymała tam do tej pory), i nikt nawet tego nie zauważył. „Podobało ci się?”, pytali po kilku dniach, bo narkotyk był ponoć silny i komuś odbiła po nim szajba. Phoebe próbowała wyobrazić sobie siebie widzianą oczami rówieśników jako ducha — półprzezroczysty kształt, którego ruchów niepodobna śledzić. Na przerwach między zajęciami nie miała dokąd iść. Często wałęsała się korytarzami, udając zaabsorbowanie jakąś sprawą lub wielki pośpiech, bojąc się stanąć choćby na chwilę, by nikt nie odkrył jej samotności. Opodal drzwi wejściowych stała szklana gablota pełna starych trofeów sportowych — pucharów, płytkich, srebrnych talerzy upamiętniających zwycięstwa w stanowych zawodach pływackich i medali na wyblakłych tasiemkach. Nie miały już żadnego znaczenia i nikt nie zwracał już na nie uwagi. Dla Phoebe były jednak źródłem wytchnienia. Przystawała przy nich niekiedy, udając, że jedna z nagród przykuła jej uwagę. Jestem niczym, myślała, mogłabym zniknąć i nikt by nie zauważył. Czerwieniła się ze wstydu, patrząc na te nic nie znaczące trofea, i z utęsknieniem czekała na dzwonek na lekcje.

Mimo cierpienia, jakie zadawała jej świadomość własnej małości, Phoebe czuła w głębi duszy, że ten stan rzeczy jest niezbędny, ponieważ wszystko, co ją otaczało, było ledwie realne. Jak było z Faith? — zastanawiała się, przemierzając brudne korytarze szkoły lub samotnie jedząc lunch w stołówce pachnącej szpitalem. Jak było ze strajkiem studenckim w 1968? Wszystko zostało zapomniane. Nawet nauczyciele, którzy tam byli, mało co pamiętali. Cóż za koszmar, mawiali, przewracając oczami, wy, dzieciaki, jesteście o wiele lepsze od tamtych. A co

z Faith O'Connor, która organizowała strajk i przemawiała na podwórzu? Zaraz, może... odpowiadali. Potem mrużyli oczy, spoglądając w okno i grzebiąc w rozmazanej pamięci, by znaleźć mgliste wspomnienie, odpowiadające encyklopedycznemu opisowi podanemu przez Phoebe. I nic. Niewiarygodne, ale nikt nie pamiętał Faith. Nauczyciele nie dostrzegali niczego poza terażniejszością. Czasem nawet Phoebe zapominała o przeszłości, tańcząc do muzyki Tasmanian Devils, Pearl Harbor czy The Explosions. Wtedy, na krótką chwilę, z jej umysłu ulatniało się wszystko prócz obrazu najbliższego otoczenia. Zawsze jednak pojawiało się coś, co sprowadzało ją na ziemię — niczym szarpnięcie sygnalizujące, że zasnęła — a wtedy przypominała sobie, że obecne życie jest tylko żalonym następstwem czegoś, co już nie istnieje. Detale terażniejszości zacierały się niemal natychmiast. Całe życie Phoebe kurczyło się gwałtownie nawet wtedy, gdy próbowała zatrzymać je w bezruchu — na przykład w ramionach chłopaka imieniem Daniel, w jego samochodzie, podczas szkolnej potańcówki, kiedy rozwodniona muzyka docierała do nich z okien sali gimnastycznej. Leżeli razem na przednim siedzeniu, a mgła krystalizowała się z wolna na szybie. Phoebe lubiła go przez cały rok. Lubiła jego oddech na swojej szyi, jego żebra rozłożone pod nią jak wachlarz. Otwierał się przed nią nowy świat, świat z krwi i kości, którego pragnęła całym sercem. Tak, myślała, to mi wystarczy; lecz wizja już zaczynała umykać i Phoebe cofała się, uciekała myślą, ciałem pozostając w ramionach Daniela, jakby nagle coś sobie przypomniała, jakby usłyszała dalekie kroki w najdalszym zakamarku umysłu. „Hej, jesteś tu?”, spytał chłopak, ale Phoebe już nie było. Ledwie rozpoznawała jego przestraszoną twarz i tym razem wy-

cofywała się naprawdę, rozgniewana, jakby ktoś próbował ją z czegoś obrabować.

Później, jak zawsze, czuła ulgę na myśl o tym, że zdołała uciec — nawet kiedy Daniel celowo unikał jej wzroku na szkolnym korytarzu. On także był niczym, wszystko, co ją otaczało, było niczym.

Musiała stawiać opór. Gdyby zatraciła się w swym małym życiu, czułaby się tak, jakby umierała.

O osiemnastej trzydzieści Phoebe i Patrick zawiesili fartuchy na haczyku i razem wyszli z „Mleka i Miodu”. Słońce wisiało nisko. Zatrzymali się przed drzwiami. Ulica, schwytna w ostatniej chwili między dniem a wieczorem, była pusta.

— Dzięki za pomoc — powiedział Patrick.

— Świetnie sobie radziłeś.

— Sam nie wiem. Pierwszy dzień zawsze jest gówniany.

— Mówię ci.

Przez chwilę stali w milczeniu. Phoebe była przygnębiona, mając w perspektywie samotny wieczór.

Matka gdzieś się wybierała.

— Mam samochód — powiedział Patrick. — Podwieźć cię?

— Nie, dzięki — odparła i natychmiast zaczęła się zastanawiać, dlaczego to zrobiła. O wiele wygodniej byłoby dać się podwieźć, niż jechać autobusem. Ale Patrick już się odwrócił.

— Dobra. To na razie.

Phoebe zamierzała iść w tę samą stronę, ale głupio by się czuła, idąc tuż za Patrickiem, kiedy już się pożegnali. Stała więc przed kawiarnią, patrząc, jak nocna zmiana szykuje się do pracy. Kiedy Patrick zniknął jej z oczu, ruszyła w stronę przystanku autobusowego u zbiegu Haight

i Masonie. Wieczorem na Ocean Beach miała się odbyć impreza, ale one zawsze wyglądały tak samo: księżyc, fale przyboju i krzywa linia ognisk ciągnąca się przez całe mile zimnego piasku. Phoebe przystanąła przy automacie telefonicznym i sięgnęła po dziesięciocentówkę. Wybrała numer biura matki.

— Cześć, skarbie — powiedziała matka. — Jak było w pracy?

— Czas leciał tak szybko, że nawet nie pamiętam — skłamała Phoebe. — Będziesz zajęta wieczorem?

— Niestety tak — odpowiedziała Gail, zniżając głos. — Gościmy tu jednego reżysera z Niemiec.

— Późno wrócisz?

— Raczej nie; to tylko koktajl. Choć z drugiej strony... nie wiem, niewykluczone, że pójdziemy potem na kolację. Dlaczego pytasz? Nie masz co robić?

— Właściwie to mam: jest impreza.

— Więc się zabaw. Dlaczego nie miałabyś pójść? Phoebe nie odpowiedziała. Zastanawiała się nad tym,

czy matka martwi się o nią tak, jak mówiła.

— Możesz też pójść z nami — powiedziała Gail. — Chciałabyś?

Phoebe odmówiła. Zdecydowanie nie podobała jej się perspektywa wieczoru z Jackiem Lamontem. Poza tym pewnie musiałyby się wystroić.

— W porządku, w takim razie do zobaczenia. Jeżeli wrócę wcześniej, pooglądamy razem telewizję. A może i nie, skoro będziesz się bawić.

— Nie wiem, czy nie zostanę w domu. Puszczają *Kojaka*. Matka milczała przez moment.

— Kochanie, czy coś się stało? Masz taki dziwny głos.

— Stoję na ulicy.

— Ach tak. Cóż, baw się dobrze. I proszę cię, uważaj na siebie. Obiecuj, że wrócisz taksówką. Zwróć ci pieniądze.

— Mamo? -Tak?

— O której mniej więcej wrócisz? Może nie pójdę na tę imprezę.

— Nie jestem pewna, skarbie. Chciałabym ci powiedzieć, ale naprawdę nie wiem.

Phoebe nie miała nic więcej do dodania.

— W porządku.

— No to pa. Do zobaczenia wieczorem. -Pa.

Phoebe szła wolno w stronę Masonie. Zatrzymawszy się nagle, zawróciła i ruszyła w stronę przystanku trolejbusu jadącego do centrum, gdzie znajdowało się biuro matki. Chciała ją zobaczyć. Tylko zobaczyć, choćby przez chwilę, a potem wrócić do domu.

Trolejbus przyjechał szybko, płynąc po przewodach elektrycznej trakcji. Ze szczytu wzgórza Phoebe dostrzegła East Bay i leniwie kołujące samoloty.

Wysiadła w centrum. Powietrze było tu dziwne, jakby gęstsze. Matka ostrzegła ją nieraz, że o zmroku wypadki samochodowe zdarzają się częściej niż o jakiegokolwiek innej porze, toteż Phoebe przechodziła przez ulice, zachowując szczególną ostrożność. Stała jak wryta, kiedy o jedną przecznicę dalej, przed siedzibą firmy Lamonta, zobaczyła matkę. Stała tam i czekała na coś, ubrana w swój biały „garnitur”. Obserwowanie jej, samotnej i nieświadomej, wydało się Phoebe frapującym zajęciem. Czuła dziecinne pragnienie ukrycia się — był to element jednej z ulubionych gier Faith, polegającej na rozstawieniu Barry'ego, Phoebe i siebie w różnych częściach pokoju, tak by mogli podsłuchiwać rodziców w nadziei, że dowie-

dzą się czegoś, o czym wiedzieć nie powinni. Ojciec i matka oczywiście szybko zdawali sobie sprawę z ich obecności, w czym pomagała im astma Barry'ego. „Gdzie są te dzieciaki?“, wołał wtedy ojciec, wzbudzając cudowne ukłucie strachu w żołądku Phoebe. „Niech no tylko je dopadnę; zaraz powywieszam za oknem głowami w dół!”

Phoebe wtuliła się w mur. Gail odwróciła twarz w stronę centrum, gdzie, między dwoma budynkami, wisiała na niebie mydlana bańka księżycy. Phoebe czuła się coraz dziwniej, podpatrując matkę obserwującą księżyc. Miała wyrzuty sumienia.

Ktoś wyszedł z budynku — Jack, pomyślała Phoebe w pierwszej chwili, ale zaraz rozpoznała rozkołysaną, jakby niepewną sylwetkę Marty'ego, nowego asystenta matki. Spotkała go dwa razy; był bardzo gorliwy i żywił głęboką wiarę w to, że pewnego dnia sam będzie tworzył filmy. Miał odstające uszy.

Jakie to typowe dla Jacka, pomyślała Phoebe. Każę wszystkim czekać. Wyobrażała sobie, że siedzi za biurkiem ze słuchawką między ramieniem a podbródkiem i rozmawia, przypalając papierosa. Słyszała głosy matki i Marty'ego, ale nie była w stanie rozróżnić słów. Sytuacja wydała jej się absurdalna — kryła się w załomie muru, kiedy jej matka prowadziła luźną rozmowę z chłopakiem niewiele starszym od niej samej. Miała ochotę wyjść z cienia i dołączyć do nich, ale jak miałyby wyjaśnić swoje przybycie? Powiedzieć, że zmieniła zdanie i postanowiła pójść z nimi, w wystrzępionych džinsach i koszulce noszącej ślady jagód? Bez trudu wyobraziła sobie reakcję Jacka.

Tuż obok miejsca, w którym stała matka, zatrzymał się samochód — ich kanciasty fiat! Ku zaskoczeniu Phoebe, wysiadł z niego Jack. Miał na sobie ciemny sweter z błysz-



czącymi guzikami, w których odbijało się światło latarni ulicznych.

Cała trójka przez kilka minut stała na chodniku, dyskutując. Głos Gail był wysoki i dźwięczny. Jack wciąż się śmiał, co zdecydowanie nie było w jego stylu. Phoebe zaczynała się czuć odrzucona i, nie wiedzieć czemu, coraz bardziej wściekła, że tamci zostawiają ją na lodzie. Żałowała, że nie pojechała do domu.

W końcu Marty podał szefowi jakąś teczkę i wrócił do budynku. Jack i Gail machnęli mu na pożegnanie, a potem matka nagle się obróciła i spojrzała w stronę Phoebe. Serce dziewczyny zacisnęło się na moment jak pięść, ale matka nie zauważyła jej. Odwróciła się ku Jackowi, który chwycił jej rękę i zakołysał nimi. A potem wziął Gail w ramiona i pocałował w usta.

Phoebe była tak oszołomiona, że mogła jedynie gapić się na nich w absolutnym bezruchu. Przyszło jej do głowy, że być może to nie jest jej matka — jako dziecko często popełniała błąd (zwłaszcza w dużych sklepach), chwytając się nóg obcych kobiet, których spódnice przypominały tę matczyną. Kobieta i mężczyzna całowali się na ulicy — to może być każdy, pomyślała Phoebe, na krótko podniesiona na duchu chaotyczną nadzieją. Ale był jeszcze fiat, stojący z włączonymi światłami, z których lewe świeceło nieco słabiej, co oznaczało, że wóz bez wątpienia należał do nich. To, co się działo, przypominało niewytłumaczalny sen. Pocałunek trwał zdecydowanie zbyt długo. Wreszcie Jack i matka uścisnęli się mocno, tak bliscy sobie, jakby byli jednym ciałem. Phoebe zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, tamci właśnie wsiadali do samochodu. Jack zajął miejsce kierowcy. Przednia szyba zasłoniła ich twarze i wóz odpłynął w ślad za przejeżdżającym autobusem, kierując się w stronę kryjówki Phoebe. Dziew-

czyna odwróciła się szybko i wtuliła policzek w twarde tynk. Nie poruszyła się, póki ulica nie ucichła. Została tam jeszcze przez jakiś czas. Zdumiewała ją pustka, która niespodziewanie wypełniła jej umysł. Zaczęła iść bez celu w stronę Polk Street, odrętwiała i skołowana, jakby coś ciężkiego uderzyło ją w głowę.

Dotarła do kwartału męskich prostytutek, chłopaków w jej wieku i młodszych, o wypukłych krocach i twarzach pokrytych trądzikiem. Jeden z nich, oparty o par-kometr, palił papierosa. Phoebe zbliżyła się do niego.

— Poczęstujesz mnie? — spytała.

Z bliska twarz chłopaka wyglądała na nierówną, jakby niedbale, w pośpiechu poskładaną.

— Mam tylko tego — odparł, wyciągając papierosa z za ucha. — Chcesz?

Phoebe chciała. Ręce chłopaka były chude i piegowate. Trzęsły się odrobinę.

— Ognia? — spytał.

Skinęła głową, ściskając papierosa wargami. Był bez filtra, a oprócz zapachu tytoniu wyczuwała oleistą woń włosów chłopaka, który trzasnął zapalką i podał jej ogień. Phoebe wypuściła dym ustami.

— Dzięki — powiedziała.

— Nie ma sprawy.

Wzięła wdych, odrobinę zaciągając się dymem. Zakręciło jej się w głowie. Uśmiechnęła się do chłopaka, a on odpowiedział uśmiechem, obnażając szare zęby. Brakowało mu przednich w dolnej szczęce.

— Na razie — rzuciła Phoebe.

Kiwnął głową. Kiedy odchodziła, zdawało jej się, że czuje na sobie jego wzrok. Obróciła się, dochodząc do przecznicy. Spodziewała się napotkać jego spojrzenie, ale on patrzył już na ulicę, na powolną kawalkadę aut.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Phoebe szła szybko, próbując utrzymać delikatną pustkę panującą w jej umyśle. Z Polk Street do O'Farrell i dalej, na Tenderloin, gdzie prostytutki w przesadnie krótkich i obcisłych spodenkach, oplecione pierzastymi boa podchodziły do wolno jadących aut krokiem wytrawnych poskramiaczy lwów. Powietrze pachniało słodkimi, zgniłymi owocami. Dłonie Phoebe trzęsły się od papierosa. Wreszcie cisnęła niedopałek do rynsztoka. Wciąż myślała o matce.

Ta sama scena rozgrywała się w jej umyśle bez końca: matka i Jack objęci w półmroku. I ona sama, obserwująca ich z ukrycia. Wspomnienie tej chwili miało przeraźliwą moc koszmarne snu.

Przez całe lata, kiedy ignorowano ją w szkole, Phoebe mówiła sobie: mam przecież matkę i wyobrażała sobie, że wraca do domu. Myślała o tym, jaka była przy niej zabawna, jaka rozmowna, i jak zagubiona byłaby matka bez niej.

Skreśliła w Powell i ruszyła w stronę Union Square. Pojawiła się ciężka mgła, zostawiająca na twarzy ślady wilgoci. Wydawało się, że ocean jest bardzo blisko, czarny i głęboki. Wycie syren okrętowych rozbrzmiewało w ciemności jak błagalne, gardłowe okrzyki. Phoebe spojrzała na pióropusze palm powiewające nad Union Square, czując, jak wokół jej serca zaciska się niewidzialna obręcz. Coś takiego nigdy nie przydarzyłoby się Faith.

Teraz dopiero spostrzegła z przerażającą jasnością, że poniosła ostateczną porażkę — nie udało jej się zdobyć zainteresowania matki; nie zdołała przykuć jej uwagi. Jakaś skaza w niej samej sprawiała, że dla nikogo nie była znaczącą osobą. Phoebe stanęła na rogu ulicy, sparaliżowana straszliwym bólem. To była jej wina, wyłącznie jej wina. Wszystko robiła źle.

Zaraz, pomyślała, ruszając znowu i przyspieszając kroku. Może czegoś nie zrozumiała? Może niepisany układ z matką polegał na tym, że każda z nich miała wieść własne, tajemne życie i nie wspominać o nim ani słowem, a ona, Phoebe, po prostu zawiodła — nie stworzyła sobie sekretnej egzystencji i teraz jej życie było tylko setką lat ciągnącej się za nią bezużytecznej pustki?

Weszła na Union Square. Nie było to jedno z tych miejsc, które należy odwiedzać nocą. Phoebe przysiadła na ławce i rozejrzała się po pustym placu. Nad jej głową prześlizgiwały się strzępy białej mgły. W jaki sposób mogła nadrobić stracony czas?

Młoda, ciemnoskóra kobieta przemierzała plac w sięgających ud, różowych butach i srebrzystej peruce na głowie. Gdy oddaliła się na bezpieczną odległość, Phoebe wstała i ruszyła za nią w stronę Stockton Street. Robiła to już wiele razy — podążała za ludźmi, którzy, jak przeczuwała, mogli zaprowadzić ją do mrocznych, interesujących miejsc. Zawsze zachowywała dystans. Kobieta skrzyła nagle i zniknęła w hotelowym lobby opodal wlotu tunelu Stockton. Phoebe poszła dalej i po chwili zanurzyła się w białej czeluści rozbrzmiewającej echem kroków. Maszerowała prosto, ignorując przeciągłe gwizdy mężczyzn z przejeżdżających obok aut. Wyszła w Chinatown i zaraz skrzyła w Broadway, ku serii barów ze striptizem i księ-

garń dla dorosłych, którym zawsze przypatrywała się z za szyby matczynego samochodu. Noc lśniła wokół niej feerią barw nie należących do zwyczajnego świata; paletą właściwą raczej witrażom. Phoebe minęła lokal „Condor”, w którym tańczyła słynna Carol Doda, oraz „Big Al's”, gdzie najwyraźniej zmęczone dziewczęta w kostiumach kąpielowych i wysokich szpilkach strzegły wejścia przesłoniętego miękką, czerwoną kotarą, spoza której dobiegało pulsowanie muzyki. Pozwoliła sobie jedynie na przelotne spojrzenie. Nie chciała zwracać na siebie uwagi, choć bardzo pragnęła wręcz gapić się na te kobiety, rozedrzyć zasłony i zajrzeć do środka. Między tym światem a jej skromnym, ostrożnym życiem znajdowała się przezroczysta, ale nieprzenikliwa bariera. Phoebe zamierzała przekroczyć ją pewnego dnia. Mężczyzna w fezie stał przed „Casbahem”, szeptem zachwalając panienki wykonujące taniec brzucha w tym lokalu. W okolicy Mabuhay Gardens kręcili się punk-rockowcy, których nosy łączyły z uszami łańcuchy agrafek. Jakąż odczułaby ulgę, gdyby wreszcie przekroczyła tę granicę, gdyby wyszła naprzeciw światłom nadjeżdżającego samochodu, zamiast uskoczyć przed nimi; gdyby rzuciła się w połyskliwą toń pod mostem Golden Gate. Czysta kapitulacja. A potem katharsis. Znalazłaby się po przeciwnej stronie życia.

Phoebe weszła do jednego z barów przy Broadwayu. Sala była ciasna i aksamitna, jak wnętrze ozdobnej szkatułki z tańczącą baleriną. Z półmroku stopniowo wyłaniały się zarysy małych, okrągłych stolików. Phoebe usiadła na wysokim stołku przy barze i zamówiła martini. Nigdy dotąd tego nie robiła. Próbowwała jedynie resztek martini pozostałych na oliwkach, którymi ojciec często-

wał ją w klubie rekreacyjnym; zносиła ostry zapach „lekarstwa”, by delektować się smakiem owoców.

— Z lodem czy bez? — spytał barman.

— Z lodem. — Podobało jej się brzmienie tych słów. Nadszedł czas na nowe, twarde życie, pomyślała. — I z cebulkami — dodała, wypatrzwszy miseczkę z marynowanymi.

— Czyli gibson — podsumował barman.

— Martini.

— Z cebulkami nazywa się gibson.

— Aha. W takim razie bez. Mężczyzna roześmiał się cicho.

— Mogę podać gibsona. Tak tylko wyjaśniłem. Phoebe poczuła, że pieką ją policzki.

— Zgoda.

— Zgoda na co? Na gibsona?

Skinęła głową. Miała wrażenie, że koncentruje się na niej czyjaś uwaga, ale nie rozejrzała się. Barman ustawił na barze pustą, trójkątną szklanekę i znieruchomiał, gdy stanął przed nim niewysoki jegomość w schludnym, brązowym, prążkowanym garniturze. Jego towarzyszka, kobieta o włosach upiętych w jasną, niemal przezroczystą kulę, zajęła miejsce przy stoliku. Miała kocią twarz.

Facet w brzoje łypnął oczami w stronę Phoebe.

— Masz może jakiś dowód tożsamości, panienko? Phoebe spojrzała na barmana. Mężczyzna w garniturze uczynił to samo.

— Zawsze powtarzam, Eddie, że masz sprawdzać — powiedział. — Jesteś moimi oczami i uszami.

Phoebe sięgnęła po torbę i wyjęła z niej portfel. Niełatwo było jej zachować spokój, kiedy okazywała fałszywą legitymację — wymięty arkusik tektury z zamazanym zdjęciem, który miał być dowodem na to, że jest rzekomo

dwudziestotrzyletnią mieszkanką Las Vegas. Mężczyzna w garniturze przyjrzał się karcie w świetle lampy wiszącej nad barem. Jego paznokcie były bardzo zadbane.

— Lipa — orzekł, oddając Phoebe dokument.

— Och, dajże dziewczynie wypić drinka, na miłość boską — odezwała się kobieta o kociej twarzy. — Po co sobie stwarzasz problemy, Manny?

Mężczyzna gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

— Gliny depczą mi po piętach — odparł. — Czerwiec to najgorszy miesiąc; w Hyacie ciągle mają te cholerne bale promocyjne.

Kobieta lekceważąco prychnęła dymem.

— Czy twoim zdaniem ona wygląda, jakby szła na bal, Manny?

Phoebe ześlizgnęła się ze stołka i ruszyła w stronę drzwi, słysząc w uszach głośnie dzwonienie.

Katastrofa. Kompletna katastrofa.

— Idź do Paddy'ego O'Shaughnessy, skarbie — zawołała za nią kobieta. — Róg Sansome i Jackson. Do jedenastej dają tam rabat na drinki.

Phoebe nie poszła do Paddy'ego O'Shaughnessy. Pojechała do domu i zaczęła się pakować. Ogarnęła ją ponura determinacja: uciec z tego miasta, z tego kraju, z tego życia. Z szafy w swoim pokoju wyciągnęła plecak, który matka kupiła jej w ósmej klasie na wycieczkę do parku Yosemite. Z nieprzemakalnego płótna osypała się chmura kurzu i suchych igieł sosnowych. Phoebe otworzyła okno i otrząsnęła plecak nad podwórzem, wystawiając twarz na wilgotne powietrze i zamykając oczy. Co mogła zrobić? Zniknąć.

Nikt by nie zauważył.

Zaczęła pakować rzeczy, których - jak jej się zdawało — mogła potrzebować w podróży po świecie: paszport, który dostała tuż przed wycieczką do Meksyku (z matką), wodę utlenioną oraz porcję kwasu, którą ktoś poczęstował ją na imprezie i którą od miesiący trzymała w białej kopercie. Pigułki antykoncepcyjne, które dostała od pewnego lekarza, syrop na kaszel, surowicę przeciwko ukąszeniu węża i zbiór opowiadań Charlesa Dickensa. Położywszy się na podłodze, Phoebe wydobyła spod łóżka pudełko z kartkami pocztowymi, które Faith przysłała z Europy. Swego czasu знаła ich treść na pamięć, ale fakt ten jedynie zmniejszył moc zawartych w nich słów. Między innymi dlatego dwa lata wcześniej postanowiła schować kartki i nie wyjmować ich do czasu, aż odwiedzi wszystkie miejsca, w których zostały napisane. Teraz wysypała je z pudełka do dużej, szarej koperty, którą włożyła do plecaka.

Spojrzała na tablicę ogłoszeń, na której wisiały zbrązowiałe ze starości, przypięte ręką Faith wycinki prasowe. Phoebe odkurzała je regularnie, ale rzadko przyglądała się ich treści. Były tam artykuły o Ofensywie Tet, o marszu na Pentagon, o zabójstwach. Dziewczyna poczuła nagle, że powinna zdjąć je wszystkie, uchronić przed wzrokiem tych, którzy mieliby naruszyć spokój tego miejsca pod jej nieobecność. Zaczęła odpinać je w pośpiechu. Niektóre rozpadały się w jej rękach na popiół. Strony wycięte z kolorowych pism były trwalsze. Na jednej z nich widniała seria zdjęć z zabójstwa Johna F. Kennedy'ego: Jackie podtrzymująca głowę prezydenta, a potem wypelzająca w krótkiej spódniczce na bagażnik jadącego samochodu. Każdy z tych obrazów był tak nieruchomy, tak głęboko znajomy, jakby pochodził wprost ze snów Phoebe.



Odczytała tytuł i podtytuły z pierwszej strony gazety, którą odpięła od tablicy: „PROTEST PRZECIW POBOROWI W OAKLAND. KRWAWY ATAK POLICJI — PAŁKI, BUTY, GAZ ŁZAWIĄCY. TŁUMY RANNYCH. DWADZIEŚCIORO ARESZTOWANYCH”.

Pod tytułem widniała data: środa, 18 października 1967 roku. Poniżej widniało zdjęcie trzech policjantów w bojowych uniformach, którzy tłukli pałkami dwoje protestujących. Jeden z bitych, chłopak, właśnie został trafiony i padał. Kolana ugięły się pod nim, a głowa opadła bezwładnie — wyglądał tak, jakby klękał, żeby się modlić. Obok niego widać było Faith skaczącą w stronę gliniarzy (tak twierdziła). A może uciekającą przed nimi? Trudno było rozstrzygnąć tę kwestię. Policyjna pałka znajdowała się ledwie o kilka cali od jej głowy. Zdjęcie pociemniało ze starości tak bardzo, że nawet biała, sześciokątna łata na nogawce dżinsów Faith (niepodważalny dowód tożsamości) zlała się z tłem. W zasadzie widać było na nim jedynie gwałtowne zwanie pięciorga trudnych do rozpoznania ludzi, zamieszanych w konflikt, który po latach uznano za historyczny.

Phoebe pamiętała zazdrość, którą wtedy czuła: była w trzeciej klasie, pakowała do tornistra książki i kanapki, a jej siostra siedziała przy kuchennym stole ze ścierką pełną lodu na twarzy.

Barry pochylał się nad gazetą, osłaniając zdjęcie dłonią, jakby było zadaniem domowym, które chciał ukryć przed chętnymi do ściągania.

— To naprawdę ty? — pytał sceptycznie co jakiś czas.

— Spójrz na dżinsy — odpowiadała Faith.

Trafiła do gazet. I nie szła tego dnia do szkoły, tylko do lekarza.

— Mogę popatrzeć? — spytał Barry.

Faith uniosła szmatę z lodem i pochyliła się ostrożnie, pokazując głowę. Barry odłożył książki i przysunął się bliżej. Phoebe stanęła pół kroku za nim, na palcach, by spojrzeć na ranę.

- Ooo - jęknął z podziwem Barry, rozgarniając włosy Faith, żeby lepiej widzieć. - Ohyda.

Phoebe dotknęła zgrubienia na głowie siostry. Było gorące i wilgotne. Pod zsiniałą skórą wyczuwała puls.

- Na pewno masz wstrząs mózgu - stwierdził Barry.

- Prawie nic nie czułam - odpowiedziała Faith spod zasłony włosów. Phoebe usłyszała w jej głosie podniecenie. - Tylko mi zęby strzeliły.

Barry chwycił głowę starszej siostry obiema rękami. Phoebe docisnęła dłoń do rany, ukradkiem spoglądając na fotografię w gazecie. Faith siedziała tu, w kuchni, a jednocześnie była tam, w najświeższych wiadomościach. Phoebe wbiła wzrok w zdjęcie: protestujący, policjanci i pałka spadająca na głowę siostry jak czarodziejska różdżka.

Wiele miesięcy później Faith czytała Phoebe na głos o strajku generalnym w Paryżu - o studentach włączających się po mieście i urywających wskazówki ulicznym zegarom. Zatrzymywali czas, wyjaśniła Faith, w ich mniemaniu bowiem naprawdę stanął w miejscu. Zaczynał się nowy etap w dziejach.

- Pomyśl tylko, Pheeb! - zawołała, zeskakując z krzesła i ciągnąc ją w stronę kuchennego zegara, któremu szybkim ruchem oberwała obie wskazówki. Przez moment zastanawiała się, co z nimi zrobić; wreszcie włożyła je do kieszeni.

Wieczorem matka wsunęła do piekarnika brytfannę z potrawką i spojrzała na zegar.

— Mój Boże — powiedziała. — Co mu się stało? Zegar gapił się na nią ze ściany w niemym bezruchu.

— Próbowałam zatrzymać czas — odpowiedziała Faith. W piersi Phoebe zagulgotał stłumiony śmiech, a po chwili śmiali się już wszyscy — a najbardziej Faith.

— Gdyby niszczenie zegarów mogło zatrzymać czas — powiedziała matka — to na świecie nie byłoby ani jednego.

Faith wyjęła z kieszeni wskazówki i położyła na kredensie — bezużyteczne, jak nogi owada.

— Kocham cię, mamo — powiedziała.

Phoebe była zazdrosna, ale i głęboko zafascynowana wszystkim, co robiła jej siostra. Na przykład tym, że podczas rozłąki z Wilkiem umawiała się z niejakim Zane'em, należącym do Hell's Angels — Aniołów Piekieł. Jak wszyscy z przerażeniem słuchała plotek na temat „anielskich” rytuałów inicjacyjnych, które z upodobaniem powtarzała Faith: o tym, że trzeba zabić człowieka i wypić krew miesięczną kobiety. Wreszcie Zane pojawił się w domu O'Connorów, ubrany w skórzaną kurtkę, która skrzypiała i jęczała przy każdym jego ruchu niczym żywa istota. Wyjął sobie z lodówki karton mleka i wypił je duszkiem, jak w transie. Phoebe cieszyła się nawet, że nic nie zostawił, w związku z czym nie musiał odkładać na półkę pudełka, z którego pił. Zgniół karton w jednej dłoni i z zaskakującą delikatnością umieścił w śmieciach. Matka oświadczyła Faith, że nie chce więcej widzieć tego człowieka, a córka odpowiedziała jej na to żarliwą przysięgą, że jeśli nie będzie mogła spotykać się z Zane'em, to prze-

niesie się do Alamedy, gdzie mieszkał z pięcioma innymi członkami gangu Hell's Angels. Miała wtedy szesnaście i pół roku. Matka ustąpiła.

Motocykl Zane'a wydawał się Phoebe ucieleśnieniem zła. Była to srebrno-czarna maszyna, z której sam diabeł byłby dumny: parskała, warczała i bekała kwaśnym smrodem spalin, które przez okna wpadały do spokojnego domu O'Connorów. Phoebe z zazdrością i obrzydzeniem patrzyła, jak jej siostra wskakuje na siodełko i odjeżdża, obie ręce wpijając w grubą skórę kurtki Zane'a. W sobotę, kiedy matka była w pracy, mała poszła za Faith na ulicę i długo błagała, by zabrali ją ze sobą.

- Nie, skarbie. Mama połknęłaby mnie żywcem - odpowiadała Faith, ale Phoebe nie ustępowała. Wreszcie zaczęła płakać przed samym Zane'em, który w końcu stracił cierpliwość, kazał obu siostrom zamknąć się i posadził młodszą na siodełku.

Zanim wjechali na autostradę, Phoebe była już sparaliżowana przerażeniem - o dziwo, mniej się bała wypadku, a bardziej prędkości, jakby sam pęd mógł ją zmiażdżyć. Wiatr szarpał jej głowę, tarmosił włosy (wyobrażała sobie, jak wylażą kępkami pod jego naporem) i wciskał się do ust, tak że policzki trzepotały o zęby. Próbowwała krzyczeć, ale wicher dławił jej głos jak knebel. Wpijała palce w kurtkę Zane'a jak w agonii, czując pod palcami nawet jego ciało. Od tyłu chroniła ją Faith.

Zatrzymali się na nadmorskim urwisku. Kolana Phoebe zaciskały się kurczowo na siedzeniu motocykla i Faith musiała siłą ściągać ją na ziemię. Świat znieruchomiał na moment, jakby zaraz miał się rozpaść na kawałki. Dziewczynka patrzyła na siostrę szeroko otwartymi oczami, oczekując podobnej reakcji na horror, który wydarzył się

przed chwilą, ale policzki Faith były zarumienione, a oczy jasne. Na drżących nogach Phoebe poszła za nią i za Zane'em na krawędź urwiska. Spojrzawszy w dół, na morze, przysięgła Bogu, że już nigdy w życiu nie wsiądzie na motocykl. O dziwo jednak, po kilku minutach absolutnego spokoju, zaczęła przypominać sobie tę straszliwą prędkość i pragnąć jej perwersyjnie - nie tyle umysłem, ile płucami, żołądkiem i nogami, tymi nie myślącymi częściami ciała, które tak mocno odczuwały równy rytm pracy maszyny. Stopniowo głód jazdy stawał się coraz silniejszy; Phoebe w niewyjaśniony sposób pragnęła tego, czego tak się bała - po to żeby znowu się bać.

- Chodźcie! - zawołała w końcu. — Jedźmy wreszcie! Na te słowa twarz Zane'a rozpołowiła się w pierwszym

i jedynym prawdziwym uśmiechu, jaki Phoebe kiedykolwiek na niej widziała. Mężczyzna przykucnął obok niej, przystojny, przerażający, o dziwnie zmęczonych oczach, podobnych do wypalonych lamp. Jego oddech zalatywał alkoholem, lekarstwem. Zane dość nieśmiało zapytał Phoebe o wiek.

Odpowiedziała, że ma dziewięć lat. Zaczął się śmiać, niewprawnie i zgrzytliwie, jakby otwierał i zamykał drzwi zardzewiałego samochodu.

- Dziewięć lat, cholera - zwrócił się do Faith. - Zobaczysz, będzie z niej większa wariatka od ciebie.

W drodze powrotnej Zane naprawdę dał czadu, popisując się przed szaloną siostrzyczką swej szalonej dziewczyny. Brał zakręty tak ostro, że Phoebe czuła się, jakby szorowała uchem po chodniku.

A później całymi tygodniami z zazdrością i bólem rozmyślała o tym, jak Faith i Zane prują po świecie na tej diabelskiej maszynie, napawając się jej brutalną siłą i szybkością. Wspomnienie mimowolnej radości powracało gdzieś

z płuc i czuła je na języku, jak strach lub nudności, tyle że nie było wcale takie złe. Było dobre.

Wszystko się w tym mieszało.

Wspominając tamte czasy i Faith, Phoebe miała wrażenie, że wiele razy zbliżały się wtedy do granicy, która po śmierci siostry nagle stała się absolutnie nieosiągalna. Niekiedy, przypadkiem lub siłą woli, w jakiś sposób przedostawały się na drugą stronę. Teraz jednak, choć Phoebe tęskniła za intensywnością tamtych doznań, jej życie uparcie toczyło się z daleka od świata prawdziwych zdarzeń. Rządy, armie, grupy przestępcze — samo ich istnienie wydawało się jej niemożliwe, niepojęte. Jak były zorganizowane? Kto nimi rządził? Z czasem nabrała przekonania, że sprawy, o których trąbiły media, dzieją się w innym świecie, daleko od cichej przystani, w której rozgrywało się jej życie.

Zdarzył się tylko jeden wyjątek od tej reguły: porwanie Patty Hearst, które przykuło uwagę Phoebe jak żadne inne zdarzenie w jej życiu. Miała czternaście lat, kiedy to się stało, i nigdy wcześniej nie słyszała o Williamie Randolphie Hearście, a w jego gazetach czytywała co najwyżej zagadki. Tamtej zimy zaczęła jednak wertować każdy kolejny numer „Chronicle” i «Examinera”, szukając wiadomości o dziedzicze fortuny, by potem dyskutować przez telefon o każdym szczególe z przyjaciółmi, a nawet śnić o porwanej. Przez rok, kiedy Patty ukrywała się z oddziałem SLA, Phoebe i jej dwie koleżanki spędziły kilka sobót na poszukiwaniach, przeczesując dzielnice Sunset i Richmond. Chichotały jak szalone, zaglądając w okna domów obcych ludzi w nadziei, że zobaczą gdzieś czarny beret

Patty albo długi cień jej karabinu. Późniejsze zeznania porwanej o torturach, gwałtach i praniu mózgu nie zdołały zmienić zdania Phoebe, która zawsze uważała ją za dobrze sytuowaną, znudzoną dziewczynę, nieodparcie sunącą ku niewidzialnej granicy i wreszcie przekraczającą ją, by zanurzyć się w mrocznym, transcendentnym świecie.

Phoebe włożyła wycinki zdjęte z tablicy do pudełka, w którym poprzednio leżały pocztówki od Faith, i wsunęła je pod łóżko. Stanąwszy pośrodku pokoju, przez chwilę słuchała dzwonek z zewnątrz. Wydawało jej się, że usłyszała stuknięcie frontowych drzwi. Tak! Phoebe wybiegła na korytarz i wychyliła się przez balustradę, nasłuchując kroków matki. Tak? Nie. To tylko przerośnięte drzewo stuknęło gałęziami o dach budynku. Zaraz, czy to samochód matki? Phoebe słuchała w napięciu, czekając na skrzypnięcie opon na podjeździe i szum otwieranej bramy garażowej. Fałszywa ulga pozostawiła po sobie straszną pustkę. Phoebe wróciła do pokoju Faith i zaczęła przeglądać zawartość plecaka, z każdą chwilą coraz lepiej rozumiejąc, że tak naprawdę nie ma ochoty nigdzie jechać. Błefowała, uzbrojona w nadzieję, że zmusi matkę do zrobienia następnego ruchu: porzucenia Jacka i powrotu do domu.

Z lekkim niesmakiem kontynuowała pakowanie. Włożyła do plecaka białą sukienkę, na którą w San Francisco zawsze było za zimno; buteleczkę perfum Chanel nr 5 i zapasowe sznurowadła. Szorty... Czy w Europie ludzie noszą szorty? Tusz do rzęs, którego nigdy nie potrzebowała. Matka twierdziła, że rzęsy Phoebe są wystarczająco

ciemne. Dziewczyna usiadła za biurkiem i napisała list do Berkeley, w którym oświadczyła, że pragnie przesunąć o rok termin rozpoczęcia studiów. Włożyła pismo do koperty i przykleiła znaczek. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że wszystko to robi niepotrzebnie, przedwcześnie, jak ojciec, który spakował torbę z rzeczami do szpitala, gdy tylko dowiedział się o chorobie. „Jak często zaczyna padać, kiedy masz przy sobie parasol?”, zwykł był mawiać, siląc się na wesołość. Utrzymywał, że sama gotowość ochroni go przed koniecznością hospitalizacji.

Phoebe zostawiła plecak w pokoju Faith i zeszła na dół, do salonu. Ojciec był gorliwym kolekcjonerem: zbierał sztychy jachtów pływających po Connecticut River, komplety do gry w trik-traka wykonane z kości słoniowej oraz pamiątki związane z arystokratycznymi rodami Ameryki, z którymi ani on, ani żaden ze znanych Phoebe ludzi nie byli spokrewnieni. Przespacerowała się po przestronnym pokoju. Matka była gdzieś tam, w mieście, z Jackiem. Phoebe dotknęła złotego zegara ze szklaną kopułką, ozdobionego grawerowanymi pistoletami. Otworzyła kredens ze ślubną porcelaną rodziców i wyjęła talerz z marmurowymi jajkami z Florencji. Trzymając je w alabastrowym naczyniu, czekała na sygnał nadziei, który wyrósłby gdzieś spod ziemi i uniósł ją w górę. Dom jednak pozostał zimny.

Phoebe wzięła jajka, podeszła do ukochanego fotela ojca i ułożyła się wygodnie. Była wyczerpana. Prześpię się tutaj, pomyślała, uspokojona dalekim odgłosem syren okrętowych. Położyła po jednym jajku na każdym oku, czując dotyk marmuru - zimny i ostateczny, jak dotyk monet na oczach zmarłego.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Phoebe była zszokowana, kiedy następnego ranka zastała matkę w kuchni, siedzącą przy stole w białym szlafroku i jak gdyby nigdy nic czytającą „Chronicie”.

— To było dziwne — powiedziała Gail, spoglądając na córkę stojącą w drzwiach.

— Co? — spytała ostrożnie Phoebe.

— To, że wczoraj zastałam cię śpiącą na fotelu ojca.

— Boże, zapomniałam.

— Wiedziałam, że jesteś w domu, bo przy drzwiach wisiała twoja torebka, ale nie mogłam cię znaleźć

— wyjaśniła matka. — Przez chwilę byłam przerażona.

— Która była godzina?

— Nie jestem pewna. Dość późna.

Z całą pewnością coś powinno było wyglądać inaczej, a jednak wszystko pozostało po staremu, nawet zapach kawy i melodie Bacha sączące się z radia. KDFC San Francisco, KIBE Pało Alto, „Twoja radiowa sala koncertowa”.

— Co tam robiłaś? — spytała matka.

— Rozmyślałam — odpowiedziała Phoebe. W garnku na kuchence bulgotała owsianka.

— Byłaś na imprezie?

Dziewczyna pokręciła głową. Spojrzała na nagłówki w gazecie: OPEC obiecuje nie podnosić cen w 1978. NATO

planuje wydanie kolejnych miliardów na obronę. Niewyraźna fotografia Aldo Moro, byłego premiera Włoch, zamordowanego w poprzednim miesiącu przez terrorystów z Czerwonej Brygady. Phoebe pamiętała tę historię dość niewyraźnie, ale widok rozmytej, ziarnistej twarzy nieboszczyka na zdjęciu wydał jej się przejmujący.

— Spójrz na niego — powiedziała. — Biedaczysko. Matka nie przestała mieszać owsianki.

-Kto?

— Pan Aldo Moro. Porwali go, a kiedy nie uwolniono więźniów, na których im zależało, zastrzelili go i wyrzucili na ulicę.

Matka potrząsnęła głową, wrzucając do tosterka kromki chleba. Potem podeszła do okna i przeciągnęła się, aż zatrzeszczał jej kręgosłup. Na ten dźwięk Phoebe uniosła głowę. Zauważyła, że kiedy matka uniosła rękę nad głowę, z jej nadgarstka zsunęła się złota bransoletka. Musiała w niej spać, pomyślała.

— Spójrz. Słońce — powiedziała matka, ziewając.

— Chyba nic cię to nie obchodzi. -Co?

— Los Aldo Moro.

Matka odwróciła się w jej stronę.

— A cóż to za pytanie? Oczywiście, to straszne, co się z nim stało, ale nie mam osobistego stosunku do tej sprawy. A ty? — Gail spojrzała na córkę z niedowierzaniem.

Phoebe nie odpowiedziała. Jej serce biło mocno, przyspieszonym rytmem, kiedy matka stawiała na stole śniadanie — płatki, grzanekę, dzbanuszek z mlekiem i brązowy cukier. W każdym jej geście dostrzegała zmianę; czuła, że utraciła więź, która łączyła je do tej pory. Nie miała siły, by ją przywrócić.

Gail znowu pochyliła się nad gazetą. Czytała felieton Herba Caena, a Phoebe przypatrywała się kołnierzowi jej szlafroka i półcieniom pod czubkami piersi rysujących się pod miękkim materiałem. Przypomniały jej się stare akty matki, które znalazła kiedyś na strychu. Ojciec namalował je w latach pięćdziesiątych. Gail wyglądała na nich zaskakująco obco — miała jasne sutki, brzuch i biodra, które zdawały się falować, jak gdyby okrywająca je, wyraziście namalowana skóra żyła własnym życiem. Z pewnością nie było to ciało, które Phoebe oglądała niekiedy ociekające wodą po kąpieli lub wstrzymujące oddech, by dopiąć spódnice.

— Zjedz grzankę — zachęciła matka, szturchając palcem talerz. Zaczynała właśnie czytać artykuł Arta Hoppe'a.

Phoebe uniosła kromkę do ust, marząc skrycie, by matka wreszcie podniosła wzrok

— Przydarzyło ci się wczoraj coś zabawnego? — spytała. Matka spojrzała na nią zmęczonymi oczami.

— Zabawnego?

— No, wiesz, jaki Jack bywa czasem zabawny. Robi różne śmieszne rzeczy.

Twarz Gail nie wyrażała niczego.

— Nie. Nic się nie przydarzyło.

Phoebe zrozumiała, że zrobiła fałszywy krok, ale jakoś nie mogła się powstrzymać.

— Pamiętasz, jak kiedyś w restauracji zgasił papierosa na steku jednego gościa albo...

— Jack nie jest klaunem, Phoebe. Rozumiemy się? Dziewczyna poczuła, że grzanka w jej ustach zmienia

się w piasek. Wstała i drżącymi rękami chwyciła naczynia, by przenieść je do zlewu.

— Przepraszam — dodała matka. — Po prostu nudzą

mnie żarty i docinki na temat Jacka. A ciebie nie? Po tylu latach?

Phoebe zaczęła płakać.

— Skarbie — powiedziała cicho Gail.

Phoebe stała pośrodku kuchni i płakała. Matka wstała i objęła córkę tak dobrze znanym, kojącym gestem.

— Hej, chyba nie byłam aż taka zła — mruknęła. — Jestem zmęczona i tak mi się jakoś powiedziało.

— Ja też jestem zmęczona — zaszlochała w odpowiedzi Phoebe.

Matka potrzyzymała ją jeszcze chwilę w ramionach, a potem cofnęła się o krok.

— Wyglądasz mi na strasznie spiętą. Czy coś się stało? Phoebe pokręciła głową, wstydzając się własnych łez.

— Muszę już iść — powiedziała. — Mówiłam Artowi, że przyjdę dziś wcześniej\*.

— Zjedzmy razem kolację — zaproponowała Gail. — Wystroimy się i pojedziemy gdzieś na dobre wino. Ostatnio rzadko to robimy. — Phoebe czuła na sobie jej niespokojne spojrzenie.

— Dobrze — odparła, wkładając kamizelkę, którą często nosiła latem.

— Jeśli chcesz — zastrzegła matka. — Jeśli masz inne plany, możemy z tym poczekać... — mówiła, szukając wzrokiem oczu córki.

— Nie mam — odpowiedziała Phoebe.

Tego dnia znowu pracowała z Patrickiem. Kiwnęła mu głową na powitanie i bez słowa włożyła fartuch. Zrozumiał. Poranny tłok przepracowali w milczeniu.

Podczas przerwy Patrick poczęstował Artę papierosem.

— Ja też dostane? — spytała Phoebe.

— Jasne, skarbie — odparł Art.

— Mówię poważnie.

Patrick przekrzywił głowę, a potem wyjął z paczki camela z filtrem i podał go Phoebe. Przyjmując ogień, czuła na sobie spojrzenia obu mężczyzn. Zaciągnęła się głęboko i poczuła lekkie oszołomienie. Kiedy uniosła głowę, Art i Patrick wciąż na nią patrzyli. Jej szef wyglądał na zmartwionego.

— Palę sobie — powiedziała. — I co z tego?

— A co z twoją obietnicą? — spytał Patrick. Phoebe oparła się o kontuar.

— Z obietnicą?

— Ze nie będziesz palić.

Minęła chwila, zanim sens jego słów dotarł do Phoebe.

— Ach, z tą — mruknęła. — Złamana.

Większą część przerwy na lunch spędziła w biurze Arta, telefonując. Zadzwoiła do prawnika ojca, Henry'ego Mc-Bride'a, którego dość mgliście pamiętała z dzieciństwa. Kazał jej przyjechać do kancelarii w dowolnym momencie i podpisać papiery. Czekał na pięć tysięcy dolarów miał dotrzeć do niej po dwóch tygodniach.

— Nie da się tego zrobić tak, żebym dostała pieniądze dzisiaj? — spytała Phoebe. — Albo jutro?

Henry McBride roześmiał się. Phoebe wyobraziła sobie jego białe włosy i nos czerwony od gorzały.

— Przykro mi, moja droga — powiedział.

Phoebe zatelefonowała do Laker Airways, ale w biurze rezerwacji oznajmiono jej, że bilety na lot do Londynu wyprzedano już na całe lato. Jako że planowała samotną podróż, mogła mieć nadzieję na miejsce zwolnione w ostatniej chwili, ale jej rozmówca nie mógł niczego za-

gwarantować. Phoebe wróciła do pracy z dziwną ulgą: przynajmniej chwilowo wyglądało na to, że nie mogła opuścić miasta.

Kiedy skończyła pracę, Patrick jeszcze raz poczęstował ją camelem.

Phoebe od dawna uważała się za jedyne świadka niemodnego piękna Gail; subtelności, której nie dostrzegali głupcy i która nie liczyła się w oczach donżuanów. Tego wieczoru jednak była świadoma niezwykłego zainteresowania, z jakim dosłownie każdy mężczyzna - od młodzieńca, który parkował ich samochód, aż po kelnera recytującego listę szczególnie polecanych dań — śledził wzrokiem tę starannie umalowaną kobietę w średnim wieku, jej matkę. Phoebe patrzyła w ich wilgotne oczy i wreszcie dotarło do niej co tak ich pociąga: w rysach Gail coś się zmieniło, pojawiło się w nich ożywienie, które wessało bez śladu zwykle otaczającą ją mgiełkę smutku. Długa, naga szyja i delikatne nadgarstki wydawały się zbyt odważnie odsłonięte. Phoebe miała ochotę ukryć je przed wzrokiem obcych.

- Sancerre? Co ty na to? - spytała matka.

Phoebe kiwnęła głową. Pierwszy raz była w tej restauracji - nowej, eleganckiej i zatłoczonej restauracji przy Union Street, w której francuscy kelnerzy uwijali się pośród stolików, rozstawiając tabliczki z niedbale nakreślonymi kredą nazwami specjałów. Musiała tu być z Jackiem, pomyślała Phoebe i poczuła nagle, nieprzyjemne pragnienie zabawienia matki rozmową.

- Co nowego w pracy? - spytała, w skupieniu smarując pieczywo masłem.

— Jest świetnie...

— Czy będzie...

— Właśnie...

— Mów dalej.

Roześmiały się wymuszenie i zanurzyły usta w kieliszkach z winem.

— Chciałam powiedzieć, że właśnie w przyszłym tygodniu będziemy oglądać wstępny montaż dokumentu o Che Guevarze. Nie możemy się doczekać.

— Ach tak — mruknęła Phoebe, niemile zaskoczona zbyt częstym używaniem przez matkę pierwszej osoby liczby mnogiej.

Kiedy uważnie przestudiowały menu i zamówiły dania, Gail w skupieniu poprawiła sztucce leżące po obu stronach talerza.

— Mam dla ciebie nowinę — powiedziała z widocznym zdenerwowaniem. — Zdaje się, że dość zaskakująco.

Serce Phoebe zabiło jak oszalałe. Za chwilę miała się dowiedzieć. Poczowała śmiertelne przerażenie. Nie chciała tego słuchać, ani teraz, ani później.

Kiedy kelner zajął się dolewaniem wina, wyszła do toalety. Spojrzała w lustro, na swą białą twarz i szare, niespokojne oczy. Zastanawiała się, czego właściwie tak się obawia. W końcu wróciła do stolika, manewrując wśród par w kierunku jedynej samotnej postaci. Dobiegająca skądś muzyka jazzowa kojarzyła jej się z brzękiem owadów pędzących na spotkanie z żarówką.

Przystawki trafiły już na stół. Phoebe zaatakowała porcję pasztetu, prawie nie podnosząc głowy.

Podawała kęs matce, która przełknęła go w zamyśleniu. Jej talerz był nietknięty.

— Mamo, dlaczego nie jesz?

Gail roześmiała się nerwowo.

— Boję się — odparła. — Czy to nie dziwne?

— Czego się boisz?

— Powiedzieć ci... nowinę.

Phoebe była gorąca od zbyt szybkiego jedzenia. Czuła, jak strumyki potu wyciekają spod jej pach i wsiąkają w jedwabną sukienkę.

— Więc może wstrzymaj się z tym. Matka spojrzała na nią badawczo.

— Osobliwa sugestia.

Sytuacja była beznadziejna. Phoebe przełknęła ostatni kawałek pasztetu i wolno otarła usta.

— Nieważne — powiedziała. — Wiem, o co chodzi.

— Nie jestem tego pewna, Phoebe.

— O Jacka? — Czuła suchość w gardle. - O ciebie i Jacka? Gail pochyliła głowę, jakby Phoebe odezwała się zbyt głośno.

— A niech mnie — mruknęła, unosząc widelec, by nabrać odrobinę sałatki z kraba. Phoebe czekała niespokojnie na pytanie, skąd wie, ale matka najwyraźniej była zbyt roztrzęsiona, by się nad tym zastanawiać. — No cóż — odezwała się Gail po chwili i zaśmiała się głucho. — To tyle, jeśli chodzi o moją wielką nowinę.

Phoebe żałowała, że nie zdecydowała się udawać zaskoczonej. Przez dłuższy czas siedziały w milczeniu.

— Od dawna? — spytała wreszcie.

— Mniej więcej od miesiąca. Niespełna. Z początku sama nie mogłam w to uwierzyć. Chciałam się upewnić, że to się dzieje naprawdę, zanim ci coś powiem, żeby nie szokować cię bez powodu.

— No tak — powiedziała Phoebe. — Ty i Jack.

— Wyobrażam sobie, jak dziwacznie to musi wygląda-



dać — ciągnęła matka nieco pewniej. — Po tylu latach mojego naśmiewania się z niego i narzekania. A jednak sądzę, że kiedy zobaczysz nas razem... To wspaniały człowiek. Nie masz pojęcia, jaka jestem przy nim szczęśliwa.

Nie musiała tego mówić. Na oczach Phoebe dokonywała się metamorfoza: matka stapiała się w jedno z obcą kobietą ze starych obrazów i zdjęć. Widocznie ta druga przez wszystkie te lata czaiła się w jej ciele, pod zasłoną smutku. Czekwała na stosowny moment.

— Pomyślałam sobie — powiedziała Gail, wreszcie zabierając się do jedzenia — że moglibyśmy pojechać gdzieś razem w ten weekend, do Mount Tamalpais albo do Stinson, z Barrym i...

— Barry już wie?

— Powiedziałam mu dzisiaj. Zjedliśmy razem lunch.

— Założę się, że był zachwycony — rzuciła Phoebe, zaskoczona goryczą własnych słów.

Matka wyglądała na przestraszoną.

— Cieszył się, że jestem szczęśliwa — zaczęła i urwała nagle. — A w ogóle... jak to brzmi? — spytała po chwili z wahaniem. — Wycieczka we czworo?

— Brzmi nieźle — odparła Phoebe. — Tylko że... jakoś tak dziwnie. Ty i Jack.

Matka chwyciła jej spoconą dłoń długimi palcami, gładkimi i chłodnymi jak bandaż.

— Wiem, kochanie — powiedziała cicho. — Uwierz mi, gdyby ktoś powiedział mi rok temu, że do tego dojdzie, uznałabym go za wariata. Ale naprawdę sądzę, że gdybyś zobaczyła nas razem... —

Spojrzenie Phoebe musiało zbić ją z tropu, bo cofnęła rękę. — Proszę, postaraj się być otwarta. Tylko na tym mi zależy.

— Spróbuję.

- Kochanie, mówisz to w taki sposób, jakbym prosiła cię o pozwolenie - stwierdziła łagodnie matka. - Rozumiesz, mam nadzieję, że to nie tak.

— Oczywiście — odpowiedziała smętnie dziewczyna. — Kogo obchodzi, co ja myślę?

Gail spojrzała na nią bez słowa. Phoebe wyobraziła sobie to, w jaki sposób matka musi ją teraz postrzegać: jako problem, zmarszczkę, którą należy wygładzić. Poczowała zniechęcającą frustrację i gniew.

- A co z tatą? - spytała. - Tak po prostu wypada z gry?

- Phoebe, twój ojciec zmarł trzynaście lat temu! Myślę, że wedle wszelkich standardów to wystarczająco długi okres żałoby.

Phoebe uśmiechnęła się mimowolnie. Matka uczyniła to samo. Już po wszystkim, pomyślała dziewczyna. Cokolwiek zostanie powiedziane, nic już się nie zmieni. Ogarnęła ją panika.

- Jak w ogóle możesz patrzeć na kogoś takiego jak Jack po tym, jak byłeś z ojcem? — zawołała.

Na ułamek sekundy twarz Gail wykrzywił rzadko widywany, ale doskonale czytelny grymas wściekłości.

- Właśnie dowiodłaś, jak słabo znałaś własnego ojca — powiedziała.

— Nie znałam własnego ojca?

— Nie, skoro uważasz, że był doskonały.

— Nie uważam. Ale Jack...

Phoebe umilkła, kiedy kelner przyniósł dania główne. Spojrzała bezmyślnie na miękkie kraby.

— Posłuchaj — odezwała się matka półgłosem. — Uwielbiałaś ojca, byłaś małą dziewczynką, kiedy zmarł, w porządku. Nigdy tego nie kwestionowałam. Ale nie masz

najbliższego pojęcia o tym, jakim był mężem, więc proszę cię — tu zamknęła oczy — proszę, nie wypowiadaj się na ten temat.

— Nie byłeś z tatą szczęśliwa?

— Tego nie powiedziałam! Kochaliśmy się i przeżyliśmy razem cudowne chwile, ale był trudnym człowiekiem i mieliśmy problemy, jak każde małżeństwo. Nie masz prawa porównywać go z Jackiem, którego prawie nie znasz, jakby ojciec był absolutnym ideałem. Daję ci słowo, że nie był. Phoebe zapatrzyła się na swoje dłonie, wspominając ciepłe łóżko rodziców i mleczny zapach snu oraz to, jaką ulgę znajdowała, leżąc między nimi.

— Czujesz się winna — stwierdziła. — Dlatego mi to mówisz.

— Winna? Że umawiam się z innym mężczyzną po trzynastu latach?

Ojciec wpadający przez kuchenne drzwi z teczką pełną nowych, grzechoczących tubek z farbami. Kolacja stygnąca na stole. Nadzieja i napięcie na jego twarzy.

— Że nigdy nie mógł zająć się malowaniem na poważnie — odparła Phoebe i natychmiast poczuła ulgę. Wiedziała o tym — i wszyscy inni też wiedzieli — przez całe życie, ale dotąd nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno.

Twarz matki stężała. Widelec wbity w porcję ryby opadł z brzękiem na talerz. Phoebe poczuła nagłą lekkość graniczącą z beztroską, a wynikającą z uświadomienia sobie faktu, iż przeholowała. Teraz walka była nieunikniona; dziewczyna pragnęła jej całym sercem. Chciała zmierzyć się z matką.

— Chyba będzie lepiej, jeśli zmienimy temat — zasuger-

rowała Gail. — Jeżeli nie, to nie później niż za minutę powiem coś, czego będę żałować. Mierzyły się chłodnym wzrokiem ponad restauracyjnym stolikiem. Obopólny gniew zdawał się zakrzywiać przestrzeń.

— No, dalej — zachęciła Phoebe. — Powiedz. Matka zmrużyła oczy i pociągnęła łyk wina.

— Na ile uważnie przyglądałaś się obrazom ojca? — spytała.

— O co ci chodzi?

— One są kiepskie, Phoebe. Ojciec był fatalnym malarzem. Była w nim rozbuchana pasja artysty, uwielbiałam go obserwować przy pracy, ale miał zero talentu. Jak sądzisz, dlaczego nigdy nie zorganizowano w żadnej galerii wystawy jego prac? Dlaczego, na miłość boską, nie sprzedał ani jednego obrazu, jeśli nie liczyć tego, który kupili moi rodzice? Wydaje ci się, że był pierwszym malarzem na świecie, który musiał normalnie pracować, żeby jakoś żyć? - Gail umilkła, z trudem łapiąc oddech. Phoebe słuchała bez słowa, oszołomiona. - Nigdy nie powiedziałabym ci o tym, Phoebe. Nie zrobiłam tego do tej pory i nie zrobiłabym nigdy, gdyby nie to, że obwinianie mnie i całej naszej rodziny o to, że ojciec nie odniósł sukcesu jako artysta, jest... jest po prostu błędem. Nie mogę pozwolić, żebyś w to wierzyła. To on wymyślił ten mit, żeby się jakoś pocieszyć.

— Nie wierzę ci — odparła miękko Phoebe. — Nie wierzę, że nie umiał malować.

— Dowody rzeczowe wiszą na wszystkich ścianach naszego domu.

Phoebe poczuła nagle zawroty głowy. Zaczął się proces, którego nie potrafiła już zatrzymać.

Beztroska znik-

nęła bez śladu, pozostawiając jedynie strach — przed gniewem matki i przed własnym pędem do konfrontacji, do wymierzenia kary.

— Wracajmy do domu — powiedziała.

— Świetnie.

Nie odzywały się do siebie, kiedy matka płaciła rachunek. Nie ruszone porcje zostały zabrane. Podczas jazdy nieruchoma Gail patrzyła wyłącznie na drogę, i tylko jej błękitne kolczyki kiwały się na każdym zakręcie. Phoebe patrzyła na jej staranny makijaż — zrobiony nie dla Jacka, nie dla kogokolwiek innego, tylko dla niej! — i było jej niedobrze, kiedy myślała o tym, jak bardzo żałuje, że tak zmarnowała ten wieczór. Czy teraz mogła mieć nadzieję, że odzyska matkę? Spoglądając na jej smutną twarz w blasku ulicznych latarni, Phoebe czuła jedynie żal. Dlaczego matka nie miałaby spróbować szczęścia z Jackiem? Zaprosiła córkę na kolację, żeby przekazać jej wielką nowinę i świętować. Teraz pozostały tylko popioły rozczarowania i stracony wieczór.

Phoebe chciała przeprosić. Kilkakrotnie otwierała usta, próbując wydobyć z krtani głos, ale jakiś ciężar wtłaczał słowa z powrotem. Zbyt wiele się stało; przeprosiny w takim momencie oznaczałyby akceptację dla tych okropności, które matka wypowiedziała na temat ojca. Niemożliwe! Gdyby naprawdę nie umiał malować, to co byłoby sensem jego życia? Na myśl o ojcu postawionym w tak rewolucyjnie nowym, wstydliwym świetle Phoebe dostawała mdłości. Niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Matka ruszyła pierwsza wąziutkimi schodami łączącymi garaż z domem. Wysokie obcasy raniły nagie drewno stopni, a brzeg spódnicy podskakiwał przy każdym kroku. Kiedy dotarły do holu, Gail odwróciła się w stronę córki.

— Skarbie... — powiedziała.

Phoebe podeszła bliżej. Przez długą chwilę stały w półmroku, obejmując się mocno. Phoebe oddychała limeto-wymi perfumami, pudrem i ciepłem matczynego ciała.

— Jeśli chodzi o to, co mówiłam o twoim ojcu... — odezwała się Gail, nie wypuszczając jej z uścisku

— ...to przepraszam. Żałuję, że to powiedziałam.

— Chcesz powiedzieć, że to nie była prawda?

Matka zawahała się nieznacznie, a ramiona Phoebe jakby sflaczały.

— Wcale nie żałujesz — stwierdziła dziewczyna. Powoli odsunęły się od siebie. W ciemności Phoebe dostrzegła jedynie niewyraźny zarys twarzy matki.

— Przepraszam cię za to, że w złości powiedziałam ci coś, czego nie musiałaś usłyszeć — odpowiedziała Gail, wieszając płaszcz na poręczu. - Ale nie zamierzam stać tu i kłamać ci w żywe oczy, Phoebe. Masz osiemnaście lat i naprawdę lepiej będzie, jeśli będziesz wiedzieć, że twój ojciec był mało utalentowanym malarzem, a nie męczennikiem. Zapewniam cię, że gdyby po dziś dzień był kawalerem, też pracowałby jako inżynier. Bo to — tak, właśnie to! — potrafił robić najlepiej.

Matka wspięła się po schodach na drugie piętro, a Phoebe powlokła się za nią.

— Nie możesz mieć pewności! — zawołała za nią. — Niewykluczone, że gdyby pozostał kawalerem, to jeszcze by żył!

— A cóż to niby miało znaczyć, na miłość boską?

— Dobrze wiesz!

Stały naprzeciwko siebie, na korytarzu drugiego piętra. Z sypialni padał na podłogę snop światła; Phoebe zapomniała je wyłączyć, kiedy brała stamtąd pończochy.

— Nie mam pojęcia — odparła matka. — Może mi wyjaśnisz?

— Rozchorował się przez IBM — wykrztusiła wreszcie Phoebe, zirytowana drzeniem własnego głosu.

Gail parsknęła lekceważąco i obróciła się na pięcie.

— Nonsens — powiedziała, wchodząc do sypialni.

Phoebe ruszyła za nią. Była kompletnie skołowana. Dlaczego nonsens? Przecież taka była prawdziwa historia jej ojca. A matka potwierdzała ją przez całe życie, każdym swoim ruchem i gestem.

— Mamo! — zawołała błagalnie. — Nie wierzę, że wygadujesz takie rzeczy...

— A ja nie wierzę w to, co ty mówisz! — odparowała matka. — Chcesz mi powiedzieć, że ojciec dostał białaczki, choroby krwi, bo pracował jako kierownik w zakładach IBM? Od czego? Może zatruł się chemikaliami, co? O co ci chodzi?

— Nie! Dobrze wiesz, o czym mówię! — krzyknęła Phoebe. — Wszyscy wiedzieli, że... —

Wyjaśnianie czegokolwiek nagle wydało jej się bezsensowne. — To nie chemikalia, tylko...

— Co? Promieniowanie?

— Nie, nie! To, że musiał tam pracować!

— No nie — prychnęła matka. — Proszę, daruj sobie.

Phoebe poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios. Gail przysiadła na łóżku i ściągnęła czółenka. Ustawiła je przy łóżku, na wypolerowanej podłodze.

— To jakiś obłąd — powiedziała Phoebe. — Wszyscy o tym wiedzieli. Tata wiedział. Faith doskonale wiedziała...

— To, co wiedziała Faith, jest bez znaczenia — odparła matka i zaśmiała się gorzko. — Biedactwo, wierzyła we wszystko, w co kazał jej wierzyć.

Gail wstała i po namyśle zawiesiła buty na stelażu w garderobie.

— Faith nie wierzyła we wszystko - wycedziła Phoebe.

— To nie była jej wina — dodała matka, rozpinając zamek sukienki. - Dzieci zawsze wyobrażają sobie, że rodzice są bogami. Bo co one tak naprawdę wiedzą? Naszym zadaniem jest utrzymanie prawdy we właściwej perspektywie, w przeciwnym razie zaczynamy kochać dzieci za to, jakie uczucia wywołują w nas względem nas samych. A to już nie jest miłość, tylko egotyzm w czystej postaci.

— O czym ty mówisz?

— Mówię, że twój ojciec wykorzystywał Faith, by podsycać rozmaite mity na własny temat; taka była jej podstawowa funkcja w jego życiu.

Phoebe wpatrywała się w matkę w osłupieniu. Miała świadomość, że obie dryfują z wolna w stronę czegoś bardzo niebezpiecznego. Była zagubiona, a jednocześnie w każdym kroku, który wykonywała, była jakaś pokręcona logika, w starciu z którą Phoebe czuła się bezradna.

— Tata kochał ją bardziej niż kogokolwiek innego - powiedziała, potrząsając głową.

— Bez wątpienia. Ale gdyby kochał ją mniej, byłby lepszym ojcem.

— Dlaczego?

— Uczynił ją odpowiedzialną za swoje szczęście. To był zbyt wielki ciężar - nawet dla dorosłego, nie mówiąc już o dziecku. Ale Faith próbowała; Bóg jeden wie, ile godzin spędziła na pozowaniu...

Czasem sobie myślałam, że on wcale nie maluje córki, tylko siebie - Gene'a O'Connora, wielkiego, nierozpoznanego artystę. Maluje swój portret wprost w jej umyśle. I to, muszę przyznać, udało mu się znakomicie. Kiedy skończył, Faith była jego arcydziełem.



Phoebe czuła narastającą panikę. Rozejrzała się po pokoju, ale nawet najbardziej znajome przedmioty wyglądały teraz inaczej, były skażone. Nawet matka sprawiała wrażenie odmienionej, obcej, jak naga kobieta z obrazów ojca.

— Gdyby żył, na pewno wszystko jakoś by się ułożyło — ciągnęła Gail. — Faith w końcu weszłaby w fazę buntu, a potem dogadałaby się z ojcem na nowych warunkach. Niestety, nie miała takiej szansy. Kiedy umierał, była od niego totalnie zależna i całkowicie niezdolna do samodzielnego życia.

Phoebe zmagala się z łomotaniem w skroniach. Czuła dzikie, zwierzęce pragnienie obrony.

— Byłaś zazdrosna — wypaliła instynktownie. — Zazdrosna o to, jak bardzo kochał Faith.

Nastała cisza.

— To prawda — odezwała się po chwili Gail, zupełnie innym głosem. — Byłam. — Wydawało się, że posmutniała lub nagle poczuła zmęczenie.

— Byłaś zazdrosna?

— Oczywiście. Neurotyczna miłość jest tak potężna, że czasem przyćmiewa wszystko inne. Tak, byłam zazdrosna. Barry naturalnie też. Ty zresztą także, choć pewnie tego nie pamiętasz.

— Ja nie — zaprzeczyła Phoebe.

— W porządku. — Matka najwyraźniej miała dość rozmów. Usiadła ciężko na łóżku, otulona frotowym szlafrokiem, jakby czekała, aż Phoebe wyjdzie.

Ale Phoebe nie zamierzała wyjść, a w każdym razie nie wcześniej, niż znalazłaby mocną ripostę.

Istniało coś, o czym musiała sobie przypomnieć, jakiś moment słabości matki, i to dość nieodległy w czasie. Nagle doznała olśnienia: poprzedniego dnia, w samochodzie, rozmawia-

ły o wyprawie Faith do Europy. Matka tłumaczyła się przed nią, pytała, czy rozumie. Odpowiedź miała nienaturalnie dużą wagę.

— Puściłaś ją — powiedziała Phoebe. Matka uniosła głowę, wystraszona.

Phoebe dostała gęziej skórki, najpierw na głowie, a potem, stopniowo, na plecach.

— Pozwoliłaś jej jechać.

Matka ukryła twarz w dłoniach. Dziewczyna wiedziała, że znalazła właściwe miejsce; najsilniejszy z lęków. Znalazła to miejsce i wypowiedziała głośno jego nazwę.

— Tak było. Puściłaś ją — powtórzyła, zdumiona własnym odkryciem.

Matka otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a potem nagle jej twarz zwiotczała. Zaczęła płakać, podpierając głowę rękami. Z początku Phoebe spoglądała na nią lodowatym wzrokiem. Doskonale, pomyślała. Niech płacze. Po chwili jednak rozpacz matki obudziła w niej poczucie winy.

— Mamo — powiedziała, stojąc o kilka kroków od niej. Bała się podejść bliżej. Gail nie przestawała szlochać. Phoebe przypomniała sobie początek tego wieczoru: wyśmienity humor matki, który, jak jej się teraz zdawało, miał już nigdy nie wrócić. Zdławiła w niej nadzieję. Pomyślała o Claudzie, przezabawnym mężczyźnie sprzed lat, przy którym matka umiała śmiać się bez końca. Dopiero kiedy Faith zginęła, i ten śmiech umilkł. Wracając myślą do Claude'a, Phoebe wspominała go jak zmarłego i dziwnie się poczuła, gdy uświadomiła sobie nagle, że on żyje. — Mamo — zaczęła ponownie, robiąc ostrożny krok naprzód. Czula straszliwy ciężar na piersi. Wszystko się rozpadło, a teraz rozpadała się i ona — osoba, która wszczęła ten proces.

Matka uniosła głowę, ukazując twarz z rozmytym makijażem.

— Odejdź, Phoebe.

Dziewczyna nie poruszyła się. Musiał istnieć jakiś sposób na odwrócenie biegu wydarzeń; musiała istnieć droga powrotna.

— Proszę cię, idź już — zaszlochała matka, jedną ręką machając w stronę drzwi, a drugą zasłaniając twarz, jakby się wstydziła. Widząc, że Phoebe nadal stoi nad nią, zerwała się nagle i drżącymi rękami popchnęła ją w stronę korytarza. — Wyjdź. Proszę cię. Chcę być sama.

— Zaczekaj — odparła Phoebe. — Mamo... czekaj... Uniosła dłonie w obronnym geście, ale Gail nadal ją popychała, drżąc coraz mocniej.

— Dlaczego nie chcesz wyjść? — jęknęła. — Chciałabyś jeszcze coś powiedzieć? Czy jeszcze coś zrobiłam nie tak? Proszę, powiedz i wyjdź wreszcie. — Zakrztusiła się własnymi słowami i zaczęła kaszleć, zakrywając usta dłonią. Po chwili odruchowo odwróciła się plecami do Phoebe, która czuła mdłości na dźwięk jej bezradnego, ciężkiego kaszlu.

Kiedy matka opanowała się i wyprostowała, nie było w niej już ani strachu, ani hysterii. Spojrzała na Phoebe spokojnym wzrokiem.

— Masz rację — powiedziała. — Masz rację, że ją puściłam. Ale nie wtedy, kiedy sądzisz.

Phoebe słuchała jej z lękiem.

— Puściłam ją wtedy, kiedy pozwoliłam, żeby on ją zmiażdżył. Bo tak należy nazwać to, co zrobił. Gail patrzyła prosto w oczy Phoebe. Z jej twarzy emanowała dziwna siła.

— Patrzyłam na to — kontynuowała z mocą. — Zaczęło

się, gdy tylko przyszła na świat. Przeciążał ją. Wiedziała, że to złe; od samego początku. Lecz mimo to ona zdawała się kwitnąć. Dziś wiem, że powinnam była go powstrzymać.

Matka umilkła, mierząc córkę wciąż tym samym, opanowanym spojrzeniem.

— Słyszałaś? — spytała. — Czy ty w ogóle słuchasz? Phoebe nie odpowiedziała.

— Cóż, tak było — zakończyła Gail i wstchnęła ciężko. — Tak było.

Phoebe nie czuła absolutnie nic. Dopiero gdy znalazła się na korytarzu i usłyszała trzaśnięcie białych drzwi, dotarło do niej, że wyszła z sypialni matki.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez cały ranek Phoebe zastanawiała się, czy powinna zostawić list. Myślała o tym, wysyłając pismo do Berkeley, potem czekając w różowo-pomarańczowej łoży u Zima w Laurel Village, aż otworzą się podwoje banku Gibraltar Savings, i wreszcie idąc do domu w miękkiej, szarej mgle z pieniędzmi podjętymi z konta — rok pracy w „Mleku i Miodzie” pozwolił jej zaoszczędzić tysiąc pięćset trzydzieści osiem dolarów — i wypłaconymi w postaci czeków podróźnych. Bilet Laker Airways miał kosztować prawie pięćset. Jak długo można przeżyć za tysiąc dolarów? — zastanawiała się Phoebe. Tak długo, jak się da. Potem musiała znaleźć jakiś sposób na wyciągnięcie tych pięciu tysięcy, które zostawił ojciec.

Tej nocy prawie nie spała. Od czasu do czasu nachodziła ją myśl, że powinna zadzwonić do kogoś i pożyczyć pieniądze. Barry miał ich mnóstwo, rzecz jasna, podobnie jak Celeste, która pracowała w biurze podróży. Wszyscy jednak wydawali jej się bardzo dalecy, jakby znała ich dawno temu, przed wielu laty. Jakoś głupio było zwrócić się do nich. Czowała się tak, jakby już wyjechała.

Matka wymknęła się z domu przed siódmą. Leżąc w łóżku, Phoebe słuchała jej ostrożnych kroków, a potem cichego skrzypnięcia i miękkiego stuku drzwi frontowych. Matka chciała uciec przed nią... Niech jej będzie.

Wreszcie Phoebe napisała krótki list na grubym, kremowym arkuszu z matczynej papeterii.

*Droga Mamo,*

*1. Przepraszam.*

*2. Kocham cię.*

*3. Wyjeżdżam, bo tak będzie najlepiej.*

*4. Będę uważać.*

*Pozdrawiam, Phoebe*

Skończyła. Wszystko było tu skończone. Teraz musiała tylko dostać się na lotnisko.

Autobus odjeżdżał z O'Farrell Street w Tenderloin. Phoebe zadzwoniła po taksówkę firmy De Soto, która ostatnio zdobyła w jej prywatnej hierarchii lekką przewagę nad kompanią Veteran's. Przez cała lata wzywała taksówki, by uciekać z imprez, dzwoniąc z ciemnych budek telefonicznych gdzieś nad Ocean Beach. Zawsze jednak kierowała się w stronę domu. Pomyślała, że dziwnie się poczuje, podając kierowcy adres miejsca, z którego miała wyruszyć w dalszą drogę.

Ustawiła plecak przed drzwiami frontowymi i usiadła w fotelu. Z kuchni dobiegał dźwięk telefonicznego dzwonka. Nie miała wątpliwości, że to Art próbuje się dowiedzieć, dlaczego nie dotarła do pracy. Dzwonił tak przez cały ranek. Wreszcie przestał. Czekać na taksówkę, Phoebe poczuła cień nadziei — po raz pierwszy od chwili, gdy zobaczyła matkę i Jacka razem. Wreszcie ruszyła z miejsca, wreszcie kierowała się w świat. Wstała, by rozejrzeć

się po domu po raz ostatni i utrwalić w pamięci wszelkie szczegóły. Obeszła salon, przypatrując się w skupieniu strusiemu jajom na onyksowej podstawce, ręcznie wykonanemu koniowi ze szkła i marmurowym jajom z Florencji. Nagle wyczuła słaby puls gdzieś w głębi domu, pod podłogami, może nawet pod ziemią. Uświadomiła sobie, że wcale nie wyjeżdża, że zaledwie zapada się jeszcze głębiej w ten dom, w jego ukryty świat. Czuła, że po latach szukania, stukania i błagania ściana wreszcie rozsunęła się przed nią, by mogła zrobić krok na drugą stronę.

## CZĘŚĆ DRUGA



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Londyn sprawiał wrażenie miasta w tropikach. Gęste, parne powietrze filtrowało światło słońca, nadając mu barwę wodnistej żółci. Zewsząd dobiegało bicie kościelnych dzwonów.

Trzymając w dłoni plan kupiony na lotnisku, Phoebe kluczyła pogmatwanymi ulicami. Była wyczerpana. Przyleciała rankiem, po całonocnej podróży — czyli po drugiej z rzędu nie przespanej nocy.

Miała problemy ze znalezieniem schroniska młodzieżowego, po części dlatego, że było wysokie i białe jak wszystkie inne domy w Kensington. Farba na murach błyszczała tak, jakby jeszcze była mokra. Kiedy wreszcie zlokalizowała właściwe miejsce, była jedenasta rano i schronisko zamknięte aż do wieczora. Uprzejmy człowiek wpuścił ją jednak do środka, pozwolił zostawić plecak i skorzystać z łazienki. Z ulgą ochlapała wodą pachy i umyła zęby.

Zmęczenie sprawiało, że obrazy rozmazywały się przed oczami Phoebe. Podobało jej się to wrażenie. Wyczuwała w powietrzu zapach koniczyny i odurzającą woń kwitnących drzew. Czowała się jak pijana. Ulice Kensington były kręte; bez przerwy musiała spoglądać na plan. Czyniła to ukradkiem, bo nie chciała wyglądać jak turystka. W okularach przeciwsłonecznych czowała się tak, jakby przybyła tu incognito. Niosła w toreb-

ce zdjęcie siostry, pocztówki od niej, mały notes, w którym zamierzała dokumentować postępy wyprawy, paszport, ponad dwadzieścia funtów gotówką, tysiąc dolarów w czekach podróźnych oraz działkę LSD w małej, białej kopercie. Była zmęczona, ale jednocześnie pulsowała w niej wręcz maniakalna energia. Taksówki wyglądały jak limuzyny. Małeńkie, owalne parki, wciśnięte pomiędzy miejskie zabudowania, były ogrodzone i zamknięte. Przez gąszcz jeżyn Phoebe dostrzegła błyski mokrej trawy i długie, czerwonawe konary. Raz usłyszała miękkie uderzenie piłki tenisowej i zobaczyła czyjaś białą nogę.

W Knightsbridge zaglądała w lśniące okna wystawowe, podziwiając jedwabne chusteczki ułożone w wachlarze, krawaty, wędzone ryby i popijające herbatę starsze panie w płaszczach, o włosach niemal błękitnych jak chude mleko. To była cała Anglia. Gdziekolwiek spojrziała — Anglia. Sprzedawcy brukowych gazet wykrzykiwali tytuły sensacyjnych artykułów, międląc w ustach rozmokłe końcówki cygar. Czerwone, piętrowe autobusy przejeżdżały ulicami. Można wsiąść do samolotu i wysiąść w Anglii, pomyślała Phoebe. To cud.

Tym, co fascynowało ją najbardziej, było światło. Wydawało się, że rozchodzi się we wszystkich kierunkach naraz, tworząc lśniące plamy w oknach i na liściach, a kolorom przydając nierealnej intensywności. Phoebe czuła się tak, jakby po raz pierwszy od miesiący naprawdę widziała. Miała wrażenie, że mgła, która każdej nocy spowijała San Francisco i jej umysł, tłumiąc myśli, nareszcie ustąpiła. Pozostało tylko światło, hipnotyzująca ostrość widzenia, która pogłębiała w Phoebe odczucie, iż przybyła do zupełnie innego kraju. Dokładnie taką miała nadzieję.

*Droga Mamo, Phoebe i Barry.*

*Dokładnie tak, jak mi radziłaś, Mamo, na początek poszliśmy do Harrodsa. Cóż za odlotowe miejsce!! Miałaś rację, FoodHallssą niesamowite. Założę się, że niewiele się zmieniły od lat pięćdziesiątych, kiedy byłaś tu z Tatą. Nie masz pojęcia, jak dziwnie ludzie patrzą na mnie i na Wilka. Londyń-czycy są dość sztywni i chyba nie lubią łatanych džinsów, ale kiedy zdjęłam marynarkę w grochy, stali się znacznie miłsi. Zamówiliśmy dla Was ciasto — może już dotarło? Mam nadzieję, że smaczne. Obiecano nam, że dotrze świeże. Są w nim rodzynki.*

*Pozdrawiam, Faith*

Stojąc w sali domu towarowego Harrod's, Phoebe przyglądała się tłumom, szukając znajomej twarzy. Czowała, że jest tu mile widziana, oczekiwana, jeśli nie przez konkretne osoby, to przez samo miasto. Jej obecność tak rzadko miewała jakiegokolwiek znaczenie, że uczucie to wręcz ją zelektryzowało. W stanie granicznym z euforią wkroczyła między kolumny Food Halls, do sal pełnych słonecznego blasku. Ściany połyskiwały glazurą w odcieniach oranżu, zieleni i turkusów. Mięsa, nadziane przyprawami i spętane siatkami jak tobołki z bezcennym dobytkiem, wyłożono na marmurowe stoły. Obok połyskujących wątrób leżała blada cielęcina, udźce jagnięce, sarnina, surowe steki i perliczki o luźnych, aksamitnych skórkach złożonych starannie wokół piersi i skrzydełek. Wydawało się, że światło emanuje nawet z samego mięsa. Za kontuarami mężczyźni w słomkowych kapeluszach wymachiwali długimi, ostrymi nożami.

Phoebe weszła do części cukierniczej. Ciasta wielkie jak kapelusze, w lukrze, wiórkach kokosowych, czekoladowych zawijasach, pełne soczystych rodzynek. Ciasta, których ozdoby lśniły jak śnieżnobiałe domy dzielnicy Kensington. „Zamówiliśmy dla Was ciasto — może już dotarło? Mam nadzieję, że smaczne. Obiecano nam, że dotrze świeże”.

To tu. Faith i Wilk znaleźli się osiem lat wcześniej w tym samym sklepie, w tej samej sali; ich obute w sandały stopy spacerowały po tej samej marmurowej podłodze, być może nawet po tej płycie, na której stała teraz Phoebe. Nie umiała myśleć o tym bez głębokiej fascynacji. Jej rozważania przerwał głośnik, który z trzaskiem obudził się do życia.

— Uwaga, szanowni klienci - powiedział kobiecy głos z brytyjskim akcentem. — Zarządzamy ewakuację budynku. Uprzejmie prosimy o udanie się jak najszybciej do najbliższego wyjścia... Tłum znieruchomiał.

— Powtarzam: zarządzamy ewakuację budynku. Prosimy o udanie się do najbliższego...

Ludzie pochwycili swe paczki i torby, po czym w dobrym tempie ruszyli w stronę wyjścia.

— Uwaga, szanowni klienci...

Czyżby zamykali o tak wczesnej porze? Niemożliwe. Zdezorientowana Phoebe podążyła z tłumem w stronę centralnej części budynku, pełnej zdobnych w lustra stoisk z kosmetykami, gdzie zebrały się już setki klientów. Słyszała nerwowe, ciche szepty ludzi będących w niebezpieczeństwie i nagle poczuła strach: coś się działo. Widziała już światło dzienne wpadające przez otwarte drzwi, ale kolumna klientów, która zwęzła się mocno tuż przy

wyjściu, praktycznie stała w miejscu. Phoebe była coraz bardziej zdenerwowana, ale jednocześnie, o dziwo, czuła się całkowicie wyłączona z realnego niebezpieczeństwa.

— Prosimy państwa o kierowanie się ku najbliższemu wyjściu. Budynek musi...

— Co się dzieje? — spytała Phoebe stojącego obok mężczyznę, który trzymał pod pachą krągły bochenek chleba.

— Alarm bombowy, jak sędzę - odparł nieznajomy. -To się często zdarza.

— Bombowy? — powtórzyła Phoebe i pomyślała, że ludzie mimo wszystko są dość spokojni. — Słowo „alarm” nie oznacza chyba, że na pewno jest tu bomba, prawda?

— Alarmy rzadko bywają uzasadnione — zgodził się mężczyzna. — Ale od czasu do czasu bomby naprawdę wybuchają.

Patrząc na jego lekki uśmiech, Phoebe domyśliła się, że nieznajomy próbuje ją nastraszyć.

Postanowiła udawać zupełną obojętność. Drzwi wydawały jej się bardzo dalekie.

— Jesteś Amerykanką — zauważył mężczyzna z wyraźnie brytyjskim akcentem.

— Tak - odrzekła Phoebe. - Przyleciałam dziś rano.

— Zdaje się, że w Stanach nie macie zbyt wielu terrorystów, nieprawdaż?

— Terrorystów? — jęknęła wystraszona. — Nie. No, chociaż... Patty Hearst była terrorystką.

Nieznajomy zmarszczył brwi.

— Kto taki?

— Młoda dziedziczka fortuny, która została porwana i po pewnym czasie przyłączyła się do terrorystów. To niewiarygodna historia — wyjaśniła Phoebe, czując, że w jej ustach historia Patty Hearst nie brzmi aż tak nie-

wiarygodnie. Mężczyzna nie odezwał się. — A tu, w Londynie... jest ich wielu? — spytała.

— Znalazłoby się paru. Choć oczywiście Francuzi mają znacznie gorzej; u nich na każdym rogu wybucha bomba.

Wielka sala wypełniała się pomału zapachem ludzkiego strachu. Phoebe bardzo chciała uciec.

Mężczyzna, z którym rozmawiała, wydawał jej się łagodny, wręcz zrezygnowany. Wyobraziła sobie, jak dzieciaki wskakują na niego z małą sprawnością, zanim jeszcze zdąży położyć na stole swój bochenek chleba.

— Ale... co oni właściwie chcą osiągnąć? Mówię o tych londyńskich terrorystach — odezwała się po chwili.

— Zależy którzy — odparł nieznajomy. — Ci z IRA nienawidzą Brytyjczyków i kropka. Z kolei Palestyńczycy domagają się uwolnienia zakładników, bo jak nie, to rządzą nam krwawą łaźnię. Poza tym w całej Europie pełno jest smarkaczy, którzy nie mają pojęcia, o co im właściwie chodzi; krzyczą tylko „chrzanić kapitalizm” i tak dalej. Montowanie bomb i łażenie po mieście z bronią, oto, co lubią najbardziej.

— Jestem pewna, że mają ważniejsze powody — odpowiedziała Phoebe, nie bardzo wiedząc, dlaczego właściwie występuje w obronie terrorystów.

— Może bronią się przed nudą? — zaśmiał się mężczyzna. — To najlepszy powód na świecie.

Wreszcie zbliżyli się do drzwi. Phoebe poczuła niespodziewanie, że wcale nie ma ochoty oddalać się pospiesznie ze strefy zagrożenia. Wyobrażała sobie, że terroryści obserwują całe to zamieszanie z jakiejś kryjówki, i chciała specjalnie dla nich poruszać się ospale, demonstrując wybitną odwagę.

W końcu przepchnęli się przez drzwi i wyszli na ulicę.

Phoebe rozejrzała się, szukając w ciżbie mężczyzny, z którym rozmawiała. Sądziła, że pogawędzi z nią jeszcze chwilę, dzieląc się wrażeniami z udanej ewakuacji, ale zniknął bez śladu. Tłum wylewający się wciąż z otwartych drzwi domu towarowego zmusił ją do dalszego marszu. Na chodniku roilo się od policjantów w czarnych hełmach zapiętych pod brodą jak czepek. Phoebe zwolniła, opierając się idącym za nią. Wychodzący z Harrodsa ścierali się w tym miejscu z tłumem nadchodzącym z przeciwka. Nerwowe pokrzykiwania policjantów nie powstrzymywały ciekawskich, którzy chcieli znaleźć się jak najbliżej niebezpieczeństwa. Phoebe czuła się podobnie — oto był świat prawdziwych zdarzeń, miejsce, które знаła jedynie ze zdjęć i artykułów prasowych. Dotarła do niego w ciągu jednej nocy.

*Uwierzcie lub nie, ale naprawdę poszliśmy pływać w tym jeziorku. Woda była niesamowicie czysta, chociaż odrobinę zielonkawa od glonów. Kaczki nie bały się ani trochę — podpływały do nas z głośnym kwakaniem. Tylko ci angielscy gliniarze dostawali szału; chyba z ośmiu ich stanęło na brzegu w tych śmiesznych kaskach nasuniętych na oczy i wszyscy naraz darli się, że mamy wylazić. A my na to: nie, nie, to wy powinniście dołączyć do nas; woda jest taka świetna, dobrze wam zrobi! Ale oni tylko wyciągnęli gwizdki i tak na nas wrzeszczeli i gwizdali, że w końcu wyszliśmy na brzeg, a kaczki popłynęły za nami. Zwariowany dzień! A jaki szczęśliwy!*

*Kocham Was, Faith*

Korony drzew w St. James's Park zwieszały się ku ziemi jak miękkie draperie — ciężkie i gęste, przepuszczające

promienie światła przez listowie wprost na jasną trawę. Phoebe podeszła do samego brzegu stawu, żeby spojrzeć na kaczki. Ich upierzenie przywodziło na myśl barwne kostiumy. Okrążyła jeziorko. Rozlewało się dość szeroko, a nieregularną linię brzegową spięto w najwęższych miejscach łukowatymi mostkami. Pośrodku rozlewiska była pionowo w górę kolumna wody. Phoebe czuła nerwowe podniecenie. Podążanie śladami Faith podsycalo w niej swoistą niecierpliwość, choć nie bardzo wiedziała, na co właściwie czeka. Wydawało jej się, że każdy napotkany przedmiot wprost pęka od ukrytego znaczenia.

Kupiła kanapkę z szynką, ciastko czekoladowe i zielone jabłko. Zaniosała tacę do małego, kamiennego stoliczka na zewnątrz baru i łapczywie zabrała się do jedzenia. Kiedy skończyła, otworzyła notatnik i zapisała: „2 lipca 1978. W Anglii wszystko jest bardziej realne. Pieniądze są kolorowe, monety ciężkie jak prawdziwe złoto, parki bardziej zielone, a ludzie mówią z pięknym akcentem. Pełno tu terrorystów; co chwilę słychać alarmy bombowe. Nic nie jest takie, jak w domu. To jest prawdziwy świat i nareszcie, po raz pierwszy czuję, że żyję”.

Jedzenie odebrało jej resztkę sił. Znalazła pusty leżak na parkowym trawniku i usiadłszy na nim, wyjęła z torebki pocztówki od Faith. Ułożyła je w dłoniach jak talię kart. Było ich osiemnaście. Phoebe przyjrzała się tej, na której widać było St. James's Park, a potem przypatrzyła się prawdziwemu parkowi. Jakaś część jej umysłu wciąż nie mogła uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Dziewczyna chwilami czuła się tak, jakby wszystkie te rzeczywiste miejsca miały zniknąć jak miraże, gdy tylko wyciągnie ku nim rękę. Po raz pierwszy od wielu, wie-



lu lat miała pod stopami twardy grunt. Zamknęła oczy, zasłuchana w głosy ptaków, ludzi i dalekich samochodów, i czując na powiekach ciepło słońca, zapadła w głęboki sen.

Ocknęła się o wpół do siódmej, czując bolesną suchość w gardle. Wcześniej obudził ją raz chłopiec zbierający należność za korzystanie z leżaków. Mówił z tak niepojętym akcentem, że minęła dłuższa chwila, zanim zaspana zrozumiała, o co mu chodzi, i znalazła potrzebną monetę. Pocztówki od Faith rozsypały się na trawie. Zerwała się, żeby je pozbierać, ze strachem myśląc, czy wiatr nie porwał któreś z nich, ale nie, były wszystkie. Osiemnaście. Wsunęła je do koperty i ogarnęła spojrzeniem puste leżaki stojące na rozległym trawniku. Na niebie pojawiły się chmury. Drżąc z zimna, Phoebe wstała.

Szybko opuściła park, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że przegapiła coś ważnego. Wkrótce była już pod napowietrznymi torami dworca Charing Cross. Mętne powietrze rozświetlały zielonkawe neony małych smażalni ryb. Robotnicy kolejowi w niebieskich drelichach i wysokich butach wrzucali do rynsztoka na wpół wypalone papierosy. Ich mowa, podobnie jak dialekt, którym posługiwał się chłopiec w parku, była nie do rozszyfrowania. Zza drzwi dworca dobiegł nieświeży zapach i szmer ludzkich głosów. Phoebe stanęła w cieniu i obserwowała. Nikt na nią nie patrzył. Śledziła twarze wychodzących ludzi, czekając, aż któraś / . nich wyostrzy się nagle, wyróżni z tłumu, tak jak działo się to w filmach. Podróżni wylewali się szeroko otwartymi drzwiami, spiesząc do domu. W końcu Phoebe odwróciła się i odeszła.

Schronisko młodzieżowe musiało już być otwarte. Phoebe dojechała metrem do stacji przy Gloucester Road, gdzie hinduski sprzedawca owoców ułożył na swym straganie piramidę z fig posypanych cukrem pudrem. Obok leżały rzędy czerwonych jabłek, z których każde owinięte było serwetką. Drzewa uginały się pod naporem wiatru. Zanosiło się na deszcz. Phoebe spojrzała na opuchnięte niebo i pomyślała o domu dziadków w St. Louis, o ostatnich chwilach przed burzą, kiedy patyki i liście pędziły po trawniku niesione wichrem, jakby szukały bezpiecznej kryjówki. „Będzie potężna”, mawiali ludzie, ale zawsze mogła wyczuć w ich głosach coś w rodzaju podniecenia na myśl o tym, że będą oglądać burzę zza okien własnych domów.

Idąc w stronę schroniska, Phoebe minęła mały, kamienny kościółek z cmentarzem pełnym mleczy. Widok długiej i krętej ulicy nagle rozmył się w jej oczach. Przystanąła, by je rozetrzeć, i niespodziewanie poczuła bliskość siostry — nie wspomnienia o niej, nie echa, ale samej Faith, roześmianej i wyciągającej do niej rękę. Czy inna przyczyna niż obecność siostry mogła wywołać podniecenie i przeczucie dojrzewającej obietnicy, które ogarnęły Phoebe, gdy tylko znalazła się w Londynie? Iedynie Faith przynosiła ze sobą takie doznania. Zawsze tak było. Phoebe wiedziała już, że jej podróż dobiegnie końca dopiero wtedy, gdy w pełni odkryje Faith. Nieżyjąca siostra musiała objawić się nagle, znikąd, dokładnie tak, jak wtedy, gdy traciła cierpliwość podczas zabawy w chowanego i wyskakiwała zza zasłony czy kanapy, oznajmiając: „Czas minął, nie znalazłaś mnie!” Phoebe poczuła w płucach chłód, jakby odetchnęła helem zamkniętym w balonie. Zamarła w pół kroku. Po dru-

giej stronie ulicy zobaczyła wysoki budynek z ekscentrycznie pomarańczowej cegły. Stara kobieta z wystrzępioną, czarną parasolką przeszła obok niego i zniknęła, a wraz z nią to osobliwe uczucie bliskości Faith. Phoebe ruszyła w dalszą drogę, czując słabość w nogach i dziwny, maślany smak w ustach. Zaczął padać deszcz. W ścianach domów pojawiły się żółte kwadraty światła. W jednym z okien na wysokim piętrze odezwało się pianino; dźwięki płynęły z wiatrem jak liście i przepadały. Ciepły deszcz działał cudownie odświeżająco, choć sukienka zaczęła lepić się do ciała Phoebe. Dawne życie minęło bezpowrotnie. Wszystkie samotne lata w San Francisco, lata oczekiwania, wypatrywania znaku, odpłynęły z prądem czasu jak leciutka, wyschnięta łupina. Została po nich nowo narodzona Phoebe w obcym kraju.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Droga Mamo, Phoebe i Barry.*

*Amsterdam rządzi! W porównaniu z nim Londyn to małe piwo.*

*Śpimy z Wilkiem w starym, opuszczonym budynku, zamieszkanym od miesięcy przez nielegalnych lokatorów. Gliniarze nie mają nic przeciwko nim, wręcz przeciwnie: są ich aniołami stróżami. Żyjemy tu jak jedna rodzina. Wszystko jest takie uduchowione. Kiedy ktoś odchodzi i wiemy, że być może nie zobaczymy go już nigdy, nie jesteśmy smutni, bo przecież kochaliśmy go przez ten krótki czas. A nocą gwiazdy są takie piękne!*

*Pozdrawiam, Faith*

Phoebe została w Londynie przez tydzień, ale im dłużej trwał jej pobyt, tym mniej podniecało ją nieznanne otoczenie. Zaczęła się obawiać, że jej obecność wymazuje wspomnienie siostry, czyni je nieostrym. Odwiedzanie miejsc, w których przebywała niegdyś Faith, mogło nie wystarczyć. Kręcenie się po okolicy w tłumie turystów, pośród grup rozśpiewanych dzieciaków — to nie było to. Phoebe martwiła się, że to jej ostrożna, niepewna natura nie pozwoliła jej pierwszego dnia dokonać decydującego skoku, na przykład wkroczyć na całego w niebezpieczeństwo, jakim był alarm bombowy. Opuściła

Londyn z postanowieniem, że następnym razem posunie się dalej.

Dotarła do Amsterdamu rankiem, w towarzystwie dwóch sióstr, Australijek, Diany i Helen, które poznała na promie. Zostawiły bagaże w skrytkach na dworcu kolejowym — schronisko młodzieżowe otwierano dopiero po południu — i poszły na Dam, centralny plac Amsterdamu. Phoebe zauważyła grupę młodych ludzi śpiących na płaskich, koncentrycznych stopniach otaczających Pomnik Wojny, gigantyczny, biały stożek sterczący w niebo jak słup soli. Obserwowała ich z zainteresowaniem, gdy budzili się kolejno, kaszleli, zwijali papierosy, wstawali pomału i wyciągali w górę chude ramiona, tak że barwne, łaciate koszule odsłaniały ich zapadnięte brzuchy. Poczula przyływ podniecenia. To byli hipisi.

Rozmyślała o śpiących hipisach przez cały ranek, wędrując z Dianą i Helen przez sale Rijksmuseum i podziwiając uwiecznione na płótnach twarze mieszczan o wilgotnych oczach, odzianych w szaty ze sztywnymi kołnierzami. O wpół do trzeciej, kiedy wróciła z siostrami po plecaki, uznała, że nareszcie ma szansę uwolnić się od nich. Schronisko młodzieżowe podobno zapełniało się dość szybko, toteż Australijki chciały tam dotrzeć, gdy tylko zostanie otwarte.

— Spróbujemy zarezerwować miejsce dla ciebie — powiedziała Helen, młodsza z sióstr, która zawsze była gotowa do pomocy. — Zostawimy w recepcji twoje nazwisko.

— Świetnie — odparła Phoebe, kiwając głową, uśmiechając się i marząc, żeby wreszcie sobie poszły. *Kochana Mamo, Phoebe i Barry. Wilk odszedł, ale nie tęsknię za nim. Urodziłam się, żeby mieszkać*

*w Amsterdamie. Życie tutaj to kompletne szaleństwo. Niewykluczone, że wystąpię o holenderskie obywatelstwo. Żartuję, he, he. Kocham Was, Faith*

Grupa hipisów na Damie rozrosła się od rana dość zdecydowanie. Phoebe przystanęła przy straganie z kwiatami, przyglądając się, jak zbierają się gromadkami wokół pomnika i kręcą leniwie po całym placu. Niektórzy pojawiali się na krótko i odchodzili energicznym krokiem narkotykowych dealerów. Jeden z siedzących, z czupryną dredów grubych jak nadgarstki, grał na nieco rzeźącej gitarze, a do jego boku tuliła się dziewczyna o splełanych blond włosach, podobnych do garści pszenicznej słomy. Phoebe czuła tę samą zazdrość, która ogarniała ją na widok dzieciaków z Haight Street, proszących o plasterki cytryny. Chciała być po ich stronie.

Sięgnęła do torebki i wyjęła fotografię Faith. Nie wykluczała, że jeden z tych ludzi mógł pamiętać jej siostrę. Żałowała tylko, że sama wygląda tak porządnie: wieśniacka spódnica i meksykańskie sandały wydawały jej się żenującą namiastką stroju. Nieśmiałość coraz mocniej ścisnęła jej gardło. Przepaść między nią a tymi włóczęgami była chyba nie do przebycia.

Sprzedawca kwiatów przyglądał się Phoebe badawczo znad wiader z czerwonymi tulipanami. Dziewczyna oddaliła się i przemierzyła Dam ze zdjęciem Faith w dłoni, kierując się ku grupie hipisów. W ostatniej chwili straciła jednak resztkę odwagi: skreśliła gwałtownie, oddalając się od gromady, i po chwili weszła w wąską uliczkę prowadzącą nad brzeg kanali. Jej serce biło jak oszalałe: w piersiach brakowało miejsca na powietrze. Phoebe stanęła

nad kanałem, by zebrać siły. W porządku, pomyślała. Już dobrze. Zaraz tam wrócę.

O kilka stóp od niej stał facet, w którym rozpoznała jednego ze śpiących, których obserwowwała tego ranka na placu. Przyjrzała mu się ukradkiem. Włosy zasłaniały jego profil — faliste i jasne, mogłyby uchodzić za anielskie, gdyby nie były tak cienkie i zaniedbane. Nadgarstki obcego były obwiązane brudnymi sznurkami. Wychylał się ponad balustradą mostu, gapiąc się w wodę.

— Przepraszam — odezwała się Phoebe.

Mężczyzna drgnął tak gwałtownie, że i Phoebe podskoczyła w miejscu. Roześmiał się chrapliwie i głośno, jakby kaszlał. Jego twarz była nienaturalnie mała, skurczona, jak twarz dziecka wpięta w ciało dorosłego. Jej rysy nie były jednak młode.

— *Goh, wat hib ga me banggemaakt!* — powiedział.

Phoebe zamarła na moment. Nie dotarło do niej jeszcze, że tutejsi ludzie mogą posługiwać się innym językiem.

— Przepraszam, ale nie rozumiem — powiedziała.

— Amerykanka? — zainteresował się mężczyzna. — Amerykanka najlepsze.

— Dzięki — odparła, nieco zdziwiona.

— Potem Australia, Nowa Zelandczyk i Afryka Południowa. No i Izrael też świetne.

— Znasz ich wszystkich?

— Jasne — odpowiedział. — Wszyscy przyjeżdżać do Amsterdam.

Nieznajomy odwrócił się; i zapatrzył ponuro na toń kanału, jakby gdzieś na dnie ukrył swoje zmartwienia.

— Mieszkaś tu? — zapytała Phoebe.

— Tak. Mieszkam.

Zapadła cisza. Mężczyzna znowu śledził wzrokiem wolny nurt, póki Phoebe nie podsunęła mu przed oczy zdjęcia siostry. Faith była na nim roześmiana, miała otwarte usta, a na szyi przekrzywiony sznur białych muszelek. Dziadkowie przysłali obu wnuczkom po naszyjniku, kiedy wybrali się na Fidzi.

— Znałeś może tę dziewczynę? — spytała Phoebe.

Nieznajomy wziął zdjęcie i zapatrzył się w nie na dobrą chwilę. Miał zadziwiająco długie paznokcie, jak na mężczyznę. Wreszcie spojrział na Phoebe.

-Ty?

— Nie, moja siostra. Była w Amsterdamie osiem lat temu.

— Osiem lat — powtórzył, śmiejąc się ochryple. — Daj spokój, osiem lat ja taki — wyjaśnił, ustawiając dłoń na wysokości uda, by wskazać wzrost dziecka.

— Ach tak. Myślałam, że jesteś starszy.

— Każdy myśli — przyznał dumnie. — A naprawdę mam osiemnaście.

— Ja też.

Zapanowało niezręczne milczenie. Mężczyzna znowu odwrócił się w stronę wody, a Phoebe starannie ukryła zdjęcie w torebce.

Nagle obrócił się ku niej.

— Masz trochę minuty? - spytał, wykonując charakterystyczny ruch ręką, jakby spoglądał na zegarek, choć miał na nadgarstku jedynie dwa brudne sznurki.

Phoebe zawahała się.

— Na co? — spytała ostrożnie.

— Możemy odwiedzić Karl. On mieszka Amsterdam dłużej niż dziesięć lat. Zna każdy, kto przyjeżdża.

— Świetnie. Chętnie go poznam.



— Będzie trochę spacer — ostrzegł. — Dobra? Phoebe poczuła cień niepokoju.

— W porządku.

— Więc chodź. Proszę. — Mężczyzna po raz ostatni spojrzął na kanał, a potem ruszył zwawo przed siebie, oddalając się od centrum miasta.

Phoebe poszła za nim, walcząc z wewnętrznym oporem.

— Nico — odpowiedział nieznajomy, kiedy zapytała go o imię.

Wkrótce niepokój ustąpił. Phoebe przyglądała się zielonkawej powierzchni nie kończących się kanałów i wąskim, nierówno stojącym domom, które zdawały się kołysać na wodzie. W ich oknach stały skrzynki z kolorowymi kwiatami. Dzień był ciepły, a na wodzie unosiły się małe kłębki puchu. Nico maszerował w milczeniu. Dwukrotnie mijali grupki młodych ludzi, najwyraźniej tutejszych, i za każdym razem obcy zachowywali się tak samo: rzucali kilka słów w stronę Nico, zerkając przelotnie na Phoebe, która odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że jej sytuacja jest im w jakiś sposób znana.

— Kto to? — spytała po drugim spotkaniu. Nico wzruszył ramionami.

— No, wiesz. Ludzie — odpowiedział.

Po długiej serii zakrętów dotarli do dzielnicy, która mogła być ostoją studenckiej braci. Na murach wisiały grube warstwy ponadrywanych plakatów, a na chodnikach przed narożnymi barami siedzieli gromadnie młodzi ludzie sączący piwo z ciemnych butelek.

— Już nie bardzo daleko — pocieszył Phoebe Nico. Skręcili w cichy zaułek. Tutejszym kanałem płynęły

głównie śmieci — plastikowe butelki i rozmokłe gazety.

W mętnej zieleni unosiła się też do góry nogami mała, różowa laleczka. Domy były tu jeszcze bardziej zróżnicowane niż wokół Damu; Phoebe miała wrażenie, że wyrastają wprost z wody. Co kilka kroków musiała truchtem doganiać coraz szybciej idącego Nico. Niepokój powrócił; nie bardzo wiedziała, jak wróci do centrum.

Skrećili ponownie i kanał zniknął im z oczu. Uliczka zwęziła się. Nico zatrzymał się gwałtownie.

— Dobra — mruknął.

— Mam nadzieję, że jest w domu — powiedziała Phoebe.

— Ja też.

Pokonali kilka schodków i stanęli przed oszklonymi drzwiami z czerwonego drewna. Nico nacisnął klawisz dzwonka. Zadzwoił w specyficzny sposób: dwa razy krótko, raz długo i jeszcze raz krótko. Phoebe usłyszała nad sobą jakiś dźwięk i zadarła głowę w samą porę, by dostrzec smugę ciemnych włosów znikających w jednym z wysoko położonych okien. Po chwili szczęknął zamek i drzwi się otworzyły. Nico pchnął je mocniej i weszli do chłodnego, zakurzonego przedsionka. Podłoga z chropowatego kamienia usiana była suchymi liśćmi.

— No — powiedział Nico, idąc w stronę wąskiej klatki schodowej.

Phoebe podążyła za nim, zdenerwowana, ale i zdeterminowana. Teraz już nic nie mogło jej powstrzymać. Gardziłaby sobą, gdyby przepuściła taką sposobność.

Na drugim piętrze Nico przystanął, dysząc ciężko.

— Proszę — stęknął, ruchem ręki wskazując Phoebe drogę.

Wspinali się długo, aż wreszcie, na szóstym lub siódmym piętrze, schody się skończyły. Nico był kompletnie wyczerpany. W jego jasnych brwiach lśniły krople potu;

154

oddychał płytko i szybko. Phoebe doszła do wniosku, że jest chory.

— Zaraz — wysapał — poznasz Karla.

— Świetnie. — Phoebe cieszyła się na myśl o zmianie towarzystwa.

Nico załomotał do drzwi i zawołał kogoś po holendersku. Otworzyły się szybko i Phoebe dostrzegła uderzająco piękną, niemal kobiecą twarz, nim gospodarz bez słowa odwrócił się plecami i zniknął w wąskim korytarzu. Ruszyli za nim. Weszli do pokoju, który już na pierwszy rzut oka wydał się Phoebe zamieszkały od wielu lat przez tę samą osobę. W jego centralnym punkcie stała na stole wielka, czarna maszyna do szycia, otoczona wysokimi stertami barwnych, wymiętych kawałków materiału. Resztę pomieszczenia zajmowały rośliny — bujny bluszcz wokół okien, lilie pływające w płytkim zbiorniku i długie pnącza zwisające z naściennych doniczek. Wiatr przynosił do środka zapach glonów żyjących w kanałach i dyskretnie poruszał liśćmi roślin.

— Witam, witam — powiedział gospodarz, uśmiechając się szeroko. Był naprawdę piękny; miał oliwkową skórę i nieco azjatyckie oczy. Ubrany był w luźne, frotowe spodnie przewiązane wielobarwnym paskiem i czarny T-shirt z bardzo krótkimi rękawami. — Proszę, siadaj — zachęcił Phoebe.

Na podłodze leżał orientalny dywan — szalony kalejdoskop odcieni złota, błękitu i szkarłatu sięgał niemal do okna, gdzie zakrywała go sterta poduszek tworzących coś w rodzaju posłania. Phoebe wybrała jedną z samego brzegu, by przysiąść na niej ze skrzyżowanymi nogami.

Karl odezwał się po holendersku do Nico, zwięźle i rozkazująco. Z wojskową dyscypliną chłopak obrócił się na

pięcie i zniknął za zasłoną z koralików. Phoebe usłyszała po chwili brzęk naczyń i szum wody. Karl usiadł przy maszynie do szycia.

— Pierwszy raz w Amsterdamie? — zapytał uprzejmie. Phoebe przytaknęła. Włókna mięśni zagrały pod skórą

ramion Karla, kiedy przekładał stosy materiału, szukając czegoś pod nimi. Włosy sięgały mu do piersi; były ciemne i gęste jak u Azjaty, ale falujące. Phoebe podejrzewała, że mężczyzna ma czterdziestkę na karku.

— Co szyjesz? — spytała.

— Wszystko. Jestem krawcem — odparł Karl.

Jego akcent wydał się dziewczynie dziwny, z pewnością nie holenderski, w niczym bowiem nie przypominał wymowy Nico. Był raczej brytyjski, ale z całą pewnością kryła się w nim bardziej egzotyczna nuta.

Karl wydobyl wreszcie zieloną, aksamitną kamizelkę, przełożył nić przez ucho igielne i zabrał się do przyszywania kwadratowego, żółtego guzika. Nico wrócił do pokoju niosąc trzy butelki piwa, z których szyjek unosiły się smużki pary. Karl odezwał się ostro po holendersku, a chłopak odpowiedział bojaźliwie. Przystanął, jakby zamierzał odnieść jedną z butelek tam, skąd je wziął. Jednak po krótkim namyśle Karl machnął ręką i uśmiechnął się, nagle odprężony. Nico opadł na poduszkę tuż obok Phoebe, pieszczotliwie ściskając w dłoniach butelkę.

— Podróżujesz samotnie? — spytał Karl. Uporawszy się z żółtym guzikiem, przerwał zębami grubą nić.

— Nie — odparła instynktownie Phoebe. — Koleżanki są w muzeum.

Nico zaczął trajkotać po holendersku. Karl słuchał go z większą cierpliwością niż do tej pory, od czasu do czasu zadając pytania. Phoebe także słuchała, w nadziei, że wy-

łowi choć jedno znajome słowo, które pozwoli jej zrozumieć sens tej rozmowy. Wreszcie chłopak dotknął jej ramienia.

— Pokaż mu — powiedział. Phoebe spojrzała na niego, nie rozumiejąc. — Zdjęcie.

Zapomniała o nim. W pośpiechu wyciągnęła fotografię Faith i podała ją Karlowi, który spojrzał na nią przelotnie i kiwnął głową.

— Jasne — powiedział. — Pamiętam.

— Naprawdę? — wykrzyknęła Phoebe.

— Była tu parę lat temu, nie? Dziewczyna poczuła skurcz w sercu.

— Osiem.

Karl nacisnął pedał uruchamiający maszynę i zaczął przesuwając pod igłą kawałek niebieskiego materiału. Pracował na starym, czarnym singerze o kobiecych kształtach, z nazwą producenta wypisaną złotymi literami.

— Więc... znałeś ją — odpowiedziała Phoebe.

— Znałem? Nie, raczej nie. Ale pamiętam — odparł Karl. — Przychodzili tu ludzie i wychodzili bez przerwy, ale ją pamiętam. Nie żyje? — spytał po chwili.

Phoebe patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

— Skąd wiesz?

— Po co przyjeżdżałabyś tu z jej zdjęciem, gdyby żyła? — odpowiedział, błyskając zębami w uśmiechu. Igła pracowicie dziurawiła niebieskie sukno. — Przedawkowała?

— O, nie — zaprzeczyła gorliwie Phoebe, ale postanowiła nie zdradzać szczegółów. — Powiedz mi

— dodała, nie bardzo wiedząc, co dalej robić — co wtedy o niej myślałeś?

Karl przełożył materiał, by przeciągnąć go przez maszynę w przeciwnym kierunku.

— Wiesz, tylu tu było ludzi — odparł wymijająco. — Miła dziewczyna. Zabawna, trochę zwariowana. I piękna — dorzucił po chwili. — Miała mnóstwo chłopaków.

— Była kiedyś w tym mieszkaniu?

Karl rytmicznie naciskał pedał, powoli przyspieszając pracę mechanizmu. Szczęk i szum przekładni coraz bardziej przypominał ludzką mowę. Kiedy mężczyzna cofnął stopę, w pokoju zapanowała cisza. Karl przymknął oczy.

— Tak. Chyba tak — odparł, rozchylając powieki. — Pamiętam ją tutaj — dodał, wskazując ruchem głowy na poduszki pod oknem.

Phoebe rozejrzała się i ze zdziwieniem zatrzymała wzrok na Nico, o którym zdążyła już zapomnieć. Chłopak siedział obok niej sztywny i blady. Karl zaśmiał się, spoglądając na niego, i znowu odezwał się cicho po holendersku.

— Naprawdę była tu, w tym pokoju? — spytała radośnie Phoebe. — Nie do wiary.

— Nie mówię, że na pewno. Rozumiesz, prawda? — odpowiedział Karl, wracając do pracy. — Może była tu tylko minutę?

Minuta w zupełności wystarczyła. Minuta była wszystkim. Phoebe jak zahipnotyzowana patrzyła na dłonie Karla, zanurzające się w stosy jedwabi i lnu.

— Była tu — szepnęła.

Słońce stało jeszcze wysoko, ale wyglądało tak, jakby pomału gasło. Karl rozerwał mały pakiet z folii aluminiowej i wyjął z wnętrza wilgotną, brązową drobinę. Umieścił ją w miedzianej miseczce długiej, chińskiej fajki, a następnie zapalił, zaciągnął się i przekazał faję dziewczynie. Dym miał dziwny zapach. Phoebe pociągnęła mocno, czując w gardle słodycz. Bóg jeden wie, co to takiego, pomyślała. Wróciła na swoje miejsce na poduszce i poda-

ła fajkę Nico, który przyjął ją bez entuzjazmu. Karl zapomniał o szyciu. Oparł się ciężko o stertę materiału i po raz pierwszy spojrział wprost na Phoebe. Lecz nawet teraz jego wzrok był nieobecny, jakby twarz dziewczyny była tylko oparciem dla jego zamysłonych oczu.

— Brakuje ci czasem tamtych czasów? — spytała Phoebe.

— Jakich czasów?

— No, wiesz. Lat sześćdziesiątych. — To określenie wydało jej się wyjątkowo głupie.

Karl znowu zaciągnął się mocno i zmrużył oczy.

— Były fajne — odpowiedział, wydmuchując dym. — Jak miłość: początki zawsze są świetne, a potem... wiadomo, jak się kończy.

Phoebe wzięła do rąk fajkę. Tym razem dym wydał jej się jeszcze łagodniejszy.

— Jak się kończy? — spytała. Karl wzruszył ramionami.

— Jak wszystko — odpowiedział. — Posuwa się zbyt daleko i w końcu staje się czymś zupełnie przeciwnym.

Phoebe bezskutecznie zastanawiała się nad jego słowami. Próbowwała przekazać fajkę Nico, ale on zbył ją niecierpliwym machnięciem ręką. Wyglądał na wycieńczonego. Phoebe zrozumiała nagle, że jest na potężnym haju, i to takim, jakiego jeszcze nie знаła. Pokój rozmazywał się w jej oczach.

Zamrugnęła energicznie, by przywrócić obrazowi ostrość.

— Przeciwnym do czego? — zapytała, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że jej głos dobiega z bardzo daleka.

Karl odłożył na podłogi; stertę skrawków, którą trzymał na kolanach, a potem przemówił z zaskakującą pasją:

— Człowiek pragnie pokoju i prędzej czy później sięga po broń, żeby go sobie zapewnić. Używa narkotyków, żeby

otworzyć umysł na bodźce zewnętrzne, a potem myśli już tylko o tym, żeby brać jak najwięcej. Kocha życie, aż wreszcie umiera, umiera, umiera... Tylu już umarło od tamtej pory. Jak twoja siostra. — Karl spojrzął na Phoebe i w jego oczach na ułamek sekundy otworzyło się coś, jak migawka aparatu, jak gdyby naprawdę widział kiedyś Faith.

Zaraz jednak odwrócił wzrok. Phoebe zaciągnęła się mocno satynowym dymem z fajki. Wiatr znowu wpędził do mieszkania nieciekawy zapach kanału. Tak, rzeczy z czasem stają się swoim przeciwieństwem, rozmyślała Phoebe. To ma sens. Głos Karla wydawał się jej jedynie słusznym głosem prawdy. Przeciwieństwem, dumiała, tak, tak...

Nico przerwał tok jej mętnych rozważań. Podniósł się z poduszki i podpełzł do Phoebe, z twarzą szarą i mokrą od potu. Dziewczyna cofnęła się instynktownie, ale narkotykowe odurzenie sprawiło, że był to ruch jedynie symboliczny.

— Słuchaj — odezwał się Nico, uśmiechając się z zakłopotaniem. Klęczał, podpierając się rękami, twarzą w twarz z Phoebe, która wyczuwała w jego oddechu okropną słodycz kojarzącą się jej z umieraniem w szpitalu. — Słuchasz? Ja przyprowadzić ciebie tu.

Phoebe spojrzała na Karla, oczekując, że skarci Nico za to groteskowe zachowanie, ale krawiec pochłonięty był szukaniem czegoś w stertach materiału.

— No — zgodziła się po chwili. — Przyprowadziłeś.

— Więc teraz, jeśli masz pieniądze... Bo ja nie mam.

— Pieniądze! — powtórzyła Phoebe. Ponownie spojrzała na Karla, który jednak nie zamierzał brać udziału w tej dyskusji. — Dlaczego miałabym dać ci pieniądze? — spytała znacznie bardziej płacziwym głosem, niż zamierzała.



— Dlaczego? A jak inaczej dojść tu beze mnie? No? — pisał Nico drżącym głosem. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować.

Karl szył dalej, zasłuchany w szum mechanizmu. Widać było, że przewidywał taką sytuację i godził się na nią od samego początku. Phoebe zdała sobie sprawę, że stała się częścią większego planu. Nie była to przyjemna myśl, zwłaszcza że ukryty i siłą woli stłumiony głos od pierwszej chwili podpowiadał jej mniej więcej taki scenariusz wydarzeń. Phoebe była sama w mieszkaniu dwóch obcych mężczyzn, w dalekim kraju. Jej serce łomotało o żebra jak szalone, ale uspiiony narkotykiem umysł jakoś za nim nie nadążał,

— No... to ile? — spytała Nico.

— Może... pięćdziesiąt guldenów? — zaproponował.

Phoebe była zbyt nawalona, by przejmować się arytmetyką. Pomyślała tylko, że to chyba spora kwota. Otworzyła jednak torebkę i wyjęła portfel. Z pieniędzy, które rankiem wymieniła na dworcu, zostało jej tylko siedemdziesiąt guldenów.

— Masz — powiedziała, wręczając Nico dwa banknoty dwudziestopięcioguldenowe. Przez senny nurt jej myśli nieśmiało przebijały się niejasne obawy — o czas, o stan konta, o należność za schronisko — podobne do mrowienia w kończynie, do której pomału powraca czucie. Tymczasem jednak silniejsza była uraza wobec Karla, za jego zdradę i nikczemne rzucenie Phoebe na pastwę młodego pasożyta.

Z pieniędzmi w dłoni skomlały Nico stał się nagle człowiekiem czynu. Pognał do wiszącej półki i uchylił pokrywkę stojącego na niej czarnego, lakierowanego pudełka. W pokoju dało się wyczuć nagłe napięcie — Phoebe

odbierała je fizycznie, jako falę nudności i nieznaczny błąd w rytmicznej dotąd pracy serca. Bała się ruszyć z miejsca, nie chciała zwracać na siebie uwagi, by nie wywołać eksplozji.

Nico wrócił na poduszkę ze strzykawką w dłoni. Oczywiście, pomyślała Phoebe. Oczywiście. Wbiła wzrok w dywan, wsłuchując się w szum pracującej maszyny do szycia. Oto i podziemny świat; po całym życiu ukradkowych spojrzeń w jego stronę wreszcie znalazła się w samym środku. Ogarnęło ją przeczucie nieuchronności tego, co miało się wydarzyć. Nico usadowił się wygodnie obok niej, trzymając w dłoni łyżeczkę, do której wpuścił kilka kropel z małej buteleczki. Płomieniem plastikowej zapalniczki ogrzał płyn, z którego rozszedł się słodkawy zapach spalenizny.

Karl zostawił wreszcie swoją maszynę i przyklęknął obok Nico. Nappełnił strzykawkę cieczą z łyżeczki, po czym wyszarpnął ze spodni pleciony pasek i owinał go ciasno wokół ramienia chłopaka, tuż ponad łokciem. Z lekarską delikatnością i wprawą obmacał zrosty na żyłach i strupy. Phoebe odwróciła głowę — obrzydzenie wzięło górę nad fascynacją — ale po kilku sekundach znowu spojrzała. Łagodnie, niemal pieszczotliwie, Karl wbijał igłę w ciało Nico.

Po chwili rozluźnił opaskę. Nico zatrzepotał powiekami, zamknął oczy i westchnął. Gdy Karl wyjął igłę z żyły chłopaka, na jej końcu drżała kropelka krwi. Mężczyzna odłożył sprzęt na parapet. Nico spojrzał na Phoebe tak spokojnie, że jego twarz po raz pierwszy naprawdę wyglądała na swój wiek. — Na razie — szepnął miękko. Powieki ciążyły mu jak ołów i opadały co chwilę, mimo jego wysiłku. Kołysał się w przód, w tył i na boki, resztką woli powracając do pionu. Wyglądał jak pajac na sprężynie.

Karl przysiadł obok Phoebe. Zauważyła, że na jego przedramionach nie ma śladów nakłuć i że widać na nich jedynie wyrazistą siatkę żył. Mężczyzna dotknął jej barku w ten sam łagodny sposób, w jaki chwilę wcześniej dotykał chłopaka. Nie, pomyślała Phoebe, ale była zbyt zmęczona — odurzający dym odebrał jej siły i jakąś część siebie pragnęła zamknąć oczy i poddać się tak jak Nico. Karl popchnął ją lekko na poduszki i położył się obok, gładząc delikatnie jej włosy i spoglądając ku otwartemu oknu, za którym odezwały się dzwony dalekiego kościoła. A potem, szybkim i zręcznym ruchem, wsunął się na Phoebe, która wciąż leżała nieruchomo — nie tyle sparaliżowana strachem, ile zbyt oszołomiona, by działać. Jednym uchem łowiła czyjeś krzyki z ulicy, ale nic nie mogła zrozumieć. Nico nadal kołysał się na boki, balansując gdzieś między jawą a snem. Phoebe żałowała, że nie może mu pomóc ułożyć się na poduszkach. Karl zaczął ją całować, wciskając język głęboko w jej usta, napierając ciałem na jej uda. Pod oknami odezwały się dziecięce głosy. Chciała, żeby Karl przestał, ale nateżenie jego pożądania jakoś tłumilo jej wolę. Płynnym ruchem mężczyzna uniósł jej spódnicę i odsunął na bok majtki. Phoebe poczuła na sobie jego ciepłą dłoń.

Krzyknęła i dłoń cofnęła się posłusznie. Nico gwałtownie otworzył oczy. Przez moment patrzył na Phoebe, jakby chciał coś powiedzieć, a potem znowu bezradnie zapadł w sen.

— Hej — odezwał się Karl, zsuwając na bok swe długie ciało. — Wyluzuj się mruknął, dotykając nagiego uda dziewczyny.

Phoebe zobaczyła pod luźnymi spodniami zarys penisa i zaczęła szukać rękami punktu podparcia, by podnieść

się z podłogi. Mimo zamroczenia czuła, że tym razem nie uniknie kłopotów. Nie mogła jednak wstać, a Karl nie zamierzał jej pomagać.

— No — mruknął, jakby była kotką, która zapadła się zbyt głęboko w miękkie poduchy. Nawet w takiej chwili Phoebe uparcie chciała wierzyć, że to dobry człowiek i że byłoby sympatycznie... gdyby tylko... zdołała odzyskać równowagę... Poczwała na uchu oddech Karla. Nie. Chwyciła mocniej poduszki, próbując skupić wzrok na czymkolwiek. Oszołomienie ustąpiło na krótką chwilę i mogła wykrzyknąć z przerażeniem „Nie!” Walcząc ze słabością, czuła, jak wzbiera w niej na kształt podwodnej bańki powietrza jeszcze głośniejszy krzyk.

— Przestań! — zawołała stłumionym jeszcze głosem. — Przestań! — powtórzyła wyraźniej, siłując się z własnym ciałem. Wreszcie zerwała się na równe nogi. Karl śmiał się chrapliwie i spoglądał na nią, nawet nie próbując walczyć. Jego rozbawienie nie wynikało z okrucieństwa, ale raczej ze zdziwienia, że tak głupia, nic nie znacząca sprawa kosztuje go tyle zachodu.

— Wynoś się stąd — powiedział.

Phoebe chwyciła torebkę i zniknęła w wąskim korytarzu, wśród starych fotografii i rysunków w zakurzonych ramkach — mrocznego kalejdoskopu życia Karla. Otworzyła drzwi i wybiegła na kręte schody, na poły spodziewając się, że mężczyzna będzie ją ścigał. Nie zrobił tego. Zeszła na parter i dalej, na ulicę, gdzie światło uderzyło boleśnie w jej oczy. Zachwiała się, pewna, że zwymiotuje. Czuła ból między nogami, jakby palce Karla otarły jej skórę.

Ruszyła przed siebie chwiejnym, szybkim krokiem i skręciła za najbliższym rogiem. Niemal biegiem posuwała się wzdłuż kanału, z trudem łapiąc powietrze. Kiedy

zauważyła, że ludzie przyglądają się jej badawczo, zwolniła. Przerazała ją myśl o tym, że może zostać zdemaskowana, jakby uciekała z miejsca zbrodni, którą sama popełniła. Przez pewien czas wałęsała się bez celu, próbując zapanować nad paniką i przyspieszonym oddechem. Pomyślała, że powinna pójść na policję, ale nie pamiętała już adresu Karla — a raczej nigdy go nie знаła, jeśli chodzi o ścisłość. Nico nie bez powodu prowadził ją tak krętą drogą. Zresztą co takiego mogłaby zgłosić? O ile było jej wiadomo, narkotyki były w Amsterdamie legalne, a Nico wcale jej nie obrabował — sama dała mu pieniądze. Ale dlaczego? Dlaczego nie wyszła z mieszkania właśnie wtedy, kiedy sprawy zaczęły przybierać niepokojący obrót? Dlaczego w ogóle tam trafiła? Nie ich, lecz swojego zachowania nie mogła znieść, kiedy wracała myślą do całej tej sytuacji — była taka naiwna, tak łatwo dała się podejść. Teraz dostrzegała to z bolesną jasnością. Oni, rzecz jasna, także. Dla nich taka słabość musiała być rzeczą oczywistą, ciągnącą się za ofiarą jak smród.

Pod tym wszystkim jednak czaiła się obawa, straszniejsza niż igła strzykawki lub to, co Karl próbował jej zrobić: obawa, że okłamał ją co do Faith, że tak naprawdę wcale jej nie znał. Umysł Phoebe musnął tylko tę myśl i wycofał się. Nie, to nie było możliwe. Widziała w jego oczach, że mówił poważnie. Tak czy inaczej, przeżyła porażkę. Totalną katastrofę. Coś takiego nie przytrafiłoby się Faith. Po niemal godzinie bezsensownej włóczędzy Phoebe zapytała kogoś o drogę do stacji kolejowej i ruszyła we wskazanym kierunku. Widok własnego plecaka w dworcowej

skrytce wydał jej się istnym cudem. Była dziewiętnasta; godzina otwarcia schroniska młodzieżowego dawno już minęła. Phoebe modliła się w duchu, by Diana i Helen zarezerwowały dla niej miejsce. Schronisko było pełne.

— Kto pierwszy, ten lepszy — oznajmił młodzian siedzący za biurkiem. Rezerwowanie miejsc było zabronione. Podróżni czekający w kolejce przyjętych wyglądali jak żywe reklamy pełni szczęścia. — W Amsterdamie jest wiele schronisk — dodał recepcjonista.

Phoebe wyszła na ulicę. Ręce jej się trzęsły, kiedy przeglądała przewodnik, zakreślając nazwy innych schronisk, i sprawdzała ich położenie na mapie. Zaznaczyła na niej trzy miejsca. Na samą myśl o dźwiganiu ciężkiego plecaka zrobiło się jej słabo i musiała przysiąc na krawężniku. Raz po raz wracała myślą do mieszkania Karła, jakby powtarzając w pamięci tamte sceny, próbowała rozvodnić przerażenie i znaleźć cokolwiek na swoją obronę.

Wreszcie zebrała się w sobie i wstała. Choć niebo było jeszcze jasne, zapadał już wieczór i powietrze stawało się ciężkie od ponurych implikacji zwrotu „za późno”. Phoebe maszerowała przez dziesięć minut do najbliższego schroniska. Było pełne. Nie zatrzymując się, skręciła w stronę trzeciego, leżącego opodal dworca kolejowego. Po drodze mijały ją puste, beżowe tramwaje. Parter schroniska zajmował pub. Klucząc między stolikami, Phoebe podeszła do właściciela, którego dłonie lśniły od tłuszczu, jakby przed chwilą wyszedł z kuchni — otarł je o fartuch, pozostawiając na płótnie wyraźne smugi. Tak, miał wolne łóżko. Phoebe omal nie padła, tak nagłe było uczucie ulgi. Syn właściciela, rudowłosy, bezczelny, mniej więcej dwunastoletni chłopaczek, zaprowadził ją do sali piętro-

wych łóżek, zalatującej stęchlizną i zdecydowanie wymagającej wietrzenia.

Phoebe dostała miejsce na górnej pryczy, na samym końcu pomieszczenia, przy oknie z karbowanego, przemysłowego szkła. Każdą z szyb otaczał podobny do zmarzliny wianuszek szarego brudu. Phoebe starannie rozścieliła matę na materacu i oparła plecak o podokiennik. W końcu korytarza znajdowały się prysznice, płatne osobno. W kabinach nie było ani drzwi, ani zasłon, ale łazienka była pusta.

Posadzka sprawiała wrażenie śliskiej. Phoebe wróciła do baru, by zapłacić za łóżko i prysznic.

Właściciel palił skręta grubego jak palec. Chciał poczęstować Phoebe, ale odmówiła grzecznie.

Zamierzała opuścić Amsterdam następnego dnia.

Długotrwała kąpiel pod prysznicem podniosła ją nieco na duchu. O wpół do dziewiątej, stojąc przy półprzezroczystym oknie obok łóżka, dostrzegła zapadającą na zewnątrz ciemność. Wyjęła z plecaka wszystkie cenne przedmioty, włącznie z buteleczką perfum Chanel nr 5 i wepchnęła je do torebki, po czym znowu wyszła na ulicę.

Phoebe spoglądała w noc nad Amsterdamem przez szyby kawiarni. Jedząc kanapkę i popijając piwo, poczuła nagle, że brakuje jej towarzystwa. Było to dziwne wrażenie, gdyż nigdy dotąd, spędzając czas w samotności, nie czuła się samotna. Bez reszty absorbowало ją poczucie misji, którą miała wypełnić.

Teraz jednak czuła się słaba, niemal przezroczysta. Miała ochotę zadzwonić do matki, ale jednocześnie uważała to za niemożliwe, jak gdyby opuszczenie domu raz na zawsze odcięło ją od tej drogi.

Na kawiarnianej ladzie dostrzegła mały stojak z pocztówkami. Wybrała jedną, przedstawiającą Pomnik Wojny, pod którym widziała śpiących hipisów. „Droga mamó”, napisała. „Piszę tylko po to, żebyś wiedziała, że u mnie wszystko w porządku. Mam nadzieję, że u ciebie też”. Idiotycznie i sztywno wyglądały te słowa, ale Phoebe jakoś nie mogła się zmusić do napisania: Jest wspaniale; w życiu tak się nie bawiłam”. Wydawało jej się, że byłaby to gruba, niewiarygodna przesada. „Pozdrawiam, Phoebe”, dopisała pod spodem. Mężczyzna zza kontuaru sprzedał jej znaczek. W portfelu została jej resztką holenderskich pieniędzy.

Phoebe wrzuciła kartkę do skrzynki przed kawiarnią. Było ciemno, a ulice w tej części miasta były dziwnie spokojne. Bardzo chciała zobaczyć amsterdamskie dziwki w słynnej dzielnicy czerwonych latarni, ale nie umiała już wzbudzić w sobie prawdziwego entuzjazmu do zwiedzania. Brakowało jej jedynie — i coraz mocniej — ludzkiego towarzystwa. Przez pewien czas prześladowała ją myśl, że w drodze do bardziej ruchliwej dzielnicy mogłaby natknąć się na Nico i Karla. Mijała szyby wystawowe, za którymi siedziały podobne do manekinów prostytutki — żujące gumę, czytające czy malujące paznokcie, jakby nie były świadome obecności gapiów na ulicy. Kobieta w czarnym, skórzanym bikini rozmawiała przez telefon, owinąwszy spiralny kabel wokół łydki. Tu i ówdzie otwierały się drzwi owych przybytków i na ulicę wydostawał się jazgot muzyki, a zaraz potem mężczyzna. I dźwięk, i postać znikwały po chwili w mrokach nocy. Phoebe uznała, że wszystko to wygląda nader marnie, jak cień wspaniałej przeszłości. Przypomniała sobie słowa Karla, który mówił o przeciwnościach dotyczących chyba całego miasta:



Amsterdam zmienił się, zgnił w ciągu tych ośmiu lat, które minęły od wizyty Faith. Nawet sam Karl nie oparł się tej powszechnej metamorfozie — kiedyś jego życie musiało być czymś więcej niż tylko częstowaniem smarkaczy narkotykami i molestowaniem młodocianych turystek z zagranicy. Był żywym potwierdzeniem własnej teorii.

Phoebe poczuła nagle czyjąś dłoń na ramieniu i krzyknęła ze strachu. Obróciwszy się gwałtownie, zobaczyła Helen, młodą Australijkę poznaną poprzedniej nocy na promie.

— Przepraszam — odezwała się po chwili. — Mój Boże, strasznie cię przepraszam — powtórzyła i z ulgą objęła dziewczynę.

Helen usztywniła się na moment, ale zaraz odwzajemniła uścisk.

— Próbowaliśmy zająć miejsce dla ciebie, ale ten cholerny typ nawet nie chciał o tym słyszeć.

— Znalazłam inne schronisko — odparła Phoebe. — Dość ohydne.

— Wiesz co? Siedzimy wszyscy w tym pubie, który przed chwilą minęłaś — powiedziała Helen. — Stukaliśmy w okno, ale przeszłaś zbyt szybko. Chodź, napijemy się piwa.

Lokal był pełen młodych ludzi palących papierosy. Diana, siostra Helen, siedziała przy stoliku z dwoma Amerykanami. Studenci, pomyślała Phoebe, dołączając do towarzystwa. Mężczyźni zabawiali się grą, w której posługiwali się monetami i kuflami z piwem.

— Ty też jesteś z Australii? — spytał jeden z nich. Phoebe potrząsnęła głową.

— Ze Stanów.

— A dokładnie?

— Z San Francisco.

— Kurza twarz, uwielbiam to miasto!

Phoebe uśmiechnęła się. Wyczuwała głęboką przepaść dzielącą ją od takich ludzi, jak gdyby doświadczenia kończącego się dnia wbiły ostatni, decydujący klin między nią a rówieśników. Bardzo chciała jakoś skrócić ten dystans.

— Jak ci minęło popołudnie? — spytała Helen.

— Byliśmy w browarze Heinekena — odparł jeden z Amerykanów. — A potem w domu Anny Frank.

— Mówiłam do Phoebe — zaśmiała się Helen.

Oczy wszystkich skierowały się ku Phoebe. W panice zastanawiała się, co powiedzieć, i nagle poczuła, że jest zła na Helen za to, że postawiła ją w trudnej sytuacji.

— Nijak — odpowiedziała. — Spacerowałam.

Helen spojrzała na nią ze zdziwieniem. Przez moment wszyscy milczeli, a potem młodzieńcy wrócili do przerwanej gry. Siostry otworzyły przewodnik *Let's Go* i pochyliły się nad nim, planując kolejny dzień w Amsterdamie. Phoebe siedziała cicho, sącząc piwo. Wystarczyło jej, że była blisko nich.

Później, leżąc na piętrowym łóżku i wpatrując się w brudne okno, pomyślała znowu o pocztówkach od Faith. „A nocą gwiazdy są takie piękne”, napisała jej siostra. Phoebe zapomniała nawet spojrzeć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

*Droga Mamo, Phoebe i Barry.*

*Z Namur pojechaliśmy z Wilkiem i paroma innymi osobami do Reims we Francji...*

Phoebe podążyła tropem pocztówek od Faith z Amsterdamu do Namur w Belgii, gdzie spędziła tydzień. We własnym towarzystwie czuła się skrepowana, niemal onieśmielona. Każdego wieczoru po kolacji w schronisku zostawała dłużej przy stoliku, unikając samotności, a potem szybko wracała do gwarnej sali noclegowej i już jej nie opuszczała.

*...bo ktoś znał tam jednego faceta, u którego mogliśmy ponoć pomieszkać. Biedny Francuz, nie spodziewał się takiego najazdu, a jego mieszkanie jest takie małe...*

Kiedy wróciła do sali i spojrzała w lustro, zobaczyła obcą twarz o zapadniętych policzkach i większych, ciemniejszych oczach. W zasadzie podobało jej się to nowe oblicze, ale z drugiej strony przestraszyła ją głębokość zmian.

*... Trochę nam tu ciasno, ale ciągle proszę ludzi, żeby byli dla siebie mili, i naprawdę są. PS Kiedy Francuzi mówią „Reims”, brzmi to tak, jakby kichali!*

Nadszedł czas wyruszyć w dalszą drogę, ale Phoebe jakoś nie mogła się zmusić. Reims, myślała, próbując wzniecić w sobie odrobinę entuzjazmu. Reims. Żałowała, że nie będzie miała u kogo się zatrzymać.

Drugiego dnia pobytu w Belgii Phoebe wypożyczyła solidny, czarny rower i pojechała wzdłuż rzeki do Dinant, pobliskiego miasteczka, o którym Faith wspominała w korespondencji. Zostawiła rower przy stacji kolejowej i wciąż podążając tropem siostry, ruszyła wąską uliczką pod górę. Wreszcie minęła ostatnie domy i nagle znalazła się na brzegu oceanu ziemi, pofalowanego łagodnymi pagórkami jasnozielonej trawy. Tłuczony kamień, którym pokryto drogę, połyskiwał srebrzyście. W dali Phoebe zobaczyła kasztanowe i siwe konie z plamkami bieli na zadach. Na stokach sięgających horyzontu pasły się stada owiec.

Wśród wzniesień widać było jeszcze jedno miasto. Dotarłszy do niego, Phoebe poczuła się nieswojo. Ciszę przerywał jedynie szum wiatru hulającego między domami, które sprawiały wrażenie opuszczonych. Dziewczyna wstąpiła do małego sklepika i kupiła tabliczkę białej czekolady od starej kobiety w jedwabnej apaszcze i krzykliwym makijażu. Wyszędłszy na ulicę, zobaczyła grupkę dzieciaków, które najwyraźniej czekały na nią.

— Hel-lo. Hel-lo — odezwali się przybysze, akcentując pierwszą sylabę w taki sposób, że zabrzmiało to nie jak powitanie, ale raczej jak ptasi chór. Było ich pięciu — szczupli chłopcy o oliwkowej skórze — w wieku od pięciu lub sześciu do może czternastu lat. Ich twarze sprawiały wrażenie rzeźbionych przez wiatr, podobnie jak całe miasteczko.

— Helo-lo, hel-lo, hel-lo! — wołali, jakby sprawiało im to przyjemność.

— Hello — odpowiedziała po angielsku Phoebe. Chciała poczęstować ich czekoladą, ale pokręcili głowami i cofnęli się nieśmiało. Ich rowery stały oparte o ścianę przy drzwiach sklepiku. Najstarszy chłopak wsiadł na swój i ruszył przodem. Młodszy chwycili kierownice i podążyli za nim. Kiedy obejrżeli się wszyscy na Phoebe, z ulgą pomachała im na pożegnanie. Przy dzieciach stawała się nerwowa. Przywykła do bycia najmłodszą w rodzinie i raczej naśladowała innych, niż sama świeciła przykładem.

Ruszyła w głąb miasteczka. Zabudowania skończyły się jednak po chwili, a kamienisty trakt biegł dalej, w dół stoku. Rowerzyści nie odjechali zbyt daleko. Phoebe zwolniła kroku, spodziewając się, że znikną z pola widzenia, ale chłopcy także przyhamowali i po chwili zrozumiała, że czekają na nią.

— Hel-lo, hel-lo! — zawołali, kiedy podeszła bliżej. Zmusiła się do uśmiechu.

— *Avec moi?* — spytała z udawanym niedowierzaniem, mając nadzieję, że ich zniechęci.

Chłopcy otoczyli ją ze wszystkich stron. Zastanawiała się z niepokojem, czyjej „*Avec moi?*” nie zostało omyłkowo wzięte za zaproszenie. Opuściła miasteczko z pięciorgiem towarzyszy. Trzymali się z tyłu, rozmawiali przyciszonymi głosami i wycinali esy-floresy na kamienistej drodze, by nie wyprzedzić Phoebe. Dziwnie się czuła, nie mogąc zamienić z nimi ani słowa — jak zła gospodyni. Droga zniknęła w cieniu wysokich drzew i po chwili znaleźli się w lesie. Wiatr uparcie potrząsał liśćmi.

— Dinant? — spytała Phoebe, wskazując palcem na stok wzgórza.

— *Oui, oui* — odpowiedzieli śpiewnie chłopcy. Najstarszy podjechał bliżej.  
— *Pourquoi est-ce-que vous êtes seule?* — zapytał.  
— *Je ne comprends pas* — odpowiedziała Phoebe tak wolno, że chłopak nie mógł mieć wątpliwości. Już w ósmej klasie porzuciła francuski na rzecz hiszpańskiego.  
— *Pourquoi est-ce-que vous êtes seule?* — powtórzył wolniej.  
Phoebe pokręciła głową, zawstydzona, i znowu uśmiechnęła się z wysiłkiem.  
— Nie rozumiem — powiedziała.  
— *Pourquoi est-ce-que vous êtes seule?* — spytał inny chłopak znacznie głośniej. Najwyraźniej podzielał z gruntu mylny pogląd, jakoby wolniejsze i dobitniejsze powtarzanie zdań w obcym języku pomagało w ich zrozumieniu.  
Phoebe nerwowo szperała w pamięci. Znała brzmienie słowa *seule*, ale jakie było jego znaczenie? I wreszcie zaskoczyła: sama. Chłopcy chcieli wiedzieć, dlaczego podróżuje sama. Postanowiła udawać, że nie rozumie. Czowała się tak, jakby dostrzegli w niej jakąś wstydliwą cechę.  
Najmłodszy podjechał blisko i uśmiechnął się do Phoebe, odsłaniając czarną dziurę w miejscu czterech przednich zębów. Powiedział coś po francusku, sepleniąc niemiłosiernie i nie przestając uśmiechać się szeroko. Nie przejął się, gdy dziewczyna nie odpowiedziała. Mówił dalej — naśmiewał się z niej, jak sądziła, popisując się przed starszymi kolegami.  
— Nie rozumiem! — krzyknęła. — Nie rozumiem. Proszę, przestań już do mnie mówić! — dodała podniesionym głosem, bliska łez.

Uśmiech dzieciaka natychmiast zgasł. Chłopaczek przestał pedałowac, a pozostali w jednej chwili uczynili to samo. Spojrzeli na Phoebe z powagą w ciemnych oczach. Teraz dopiero zrozumiała, że to, co wzięła za drwiny, było w istocie przejawem dobrego humoru i podniecenia przygodą, jaką było dla nich eskortowanie młodej Amerykanki do Dinant. Wyglądali na urażonych, jakby Phoebe zaatakowała ich podstępnie, bez ostrzeżenia. Jej ostre słowa jeszcze wisiały w powietrzu, uwięzione pod koronami drzew.

— Przepraszam — powiedziała. Chciała powtórzyć to samo po francusku, ale zabrakło jej słów. — Przepraszam.

Chłopcy wciąż patrzyli na nią ze smutkiem.

— Przepraszam! — krzyknęła rozpaczliwie.

Na dźwięk jej głosu odwrócili się zgodnie i odjechali, energicznie pedałowując pod górę. Najmłodszy, bosy, został w tyle. Oglądał się z trwogą na Phoebe, naciskając na pedały ile sił w nogach. Wreszcie podniósł się z siodełka, żeby zwiększyć nacisk, i po chwili zniknął za wierzchołkiem wzgórza.

Phoebe wybuchnęła płaczem. Przez kilka minut stała pośrodku drogi, dławiąc się bezradnie dziecinnym szlochem. Coś było nie tak, ale nie wiedziała co. Była sama, w samym środku nikąd, zachowywała się dziwnie, nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, a jeśli ktoś się pojawił, chciała uciekać. Wiatr potrząsał i grzechotał gałęziami nad jej głową. Droga była taka pusta... Czy kiedykolwiek przejechał nią jakiś samochód, czy może zbudowano ją tylko po to, żeby spłaszyc krajobraz?

Phoebe wbiła wzrok w ziemię i w kępy trawy sterczące z wypłukanego deszczem stoku wzgórza. Chwyciła jedną z nich i wyciągnęła bez wysiłku; sucha ziemia osypała się jak proch. Phoebe cisnęła kępę na drogę i ruszyła ener-

gicznym krokiem w dół. Czowała, jak wokół jej żołądka zaciska się z wolna niewidzialna ręka strachu. Drzewa, droga, kamienne domy z zatrzaśniętymi okiennicami — wszystko to napełniało ją lękiem. Szła mechanicznie. Cień paniki czaił się w pobliżu, jak kot ocierający się o jej łydki. Phoebe nie odrywała oczu od kamiennej nawierzchni. Rytm kroków wydawał się jej artykulacją jednego pytania: Co ja tu robię? Co ja tu robię? Przecież mogłabym być w każdym innym miejscu. Mimo wszystko jakoś udawało jej się zapanować nad paniką. Wszystko się wyjaśni, myślała, jeśli tylko znajdę sposób na to, żeby posunąć się jeszcze dalej, być jeszcze twardszą.

*Kochana Mamo, Barry i Phoebe. Wilk i ja znowu jesteśmy razem, DZIĘKI BOGU!! W Belgii mówi się po francusku, wiedzieliście o tym? Codziennie jadamy inne ciasto. Ludzie żyją tu prosto i dobrze. Kobiety chodzą na zakupy z plecionymi torbami. Niestety, taka już jestem, że szybko się nudzę. Pozdrowienia, Faith*

Phoebe dotarła w końcu do Dinant. Była zbyt zmęczona, by próbować wrócić rowerem do Namur; wolała poczekać na pociąg. Zbliżał się zmierzch i powietrze miało barwę świetlistego błękitu. Stała samotnie na peronie. Kiedy pociąg się zatrzymał, konduktor pomógł jej wnieść rower — jego uprzejmość napełniła Phoebe bezbrzeżną wdzięcznością. Zapadła się w fotel, marząc o tym, by ta podróż nigdy się nie skończyła. Jazda wydawała się jej czymś nieporównywalnie lepszym niż bycie „nigdzie”. Wbrew sobie zaczęła kiwać się w przód i w tył, jak Nico



w Amsterdamie, uderzając głową o szybę. Bojąc się, że przegapi swoją stację, zebrała siły i resztę podróży spędziła na stojąco.

Po tygodniowym pobycie w Namur Phoebe spakowała się i pożegnała Guya, kierownika schroniska młodzieżowego. Ucałował ją tak, jak wszystkich wyjeżdżających gości — z lewej, z prawej i znowu z lewej strony — ale dostrzegła w jego oczach chłód, jakby już o niej zapomniał.

O osiemnastej trzydzieści wysiadła na dworcu w Reims. W nagrzanym słońcem powietrzu wirowały drobiny kurzu. Jakiś mężczyzna przemknął obok na rowerze, z długą, obwisłą bagietką przytroczoną do bagażnika. Francja, pomyślała Phoebe. Jestem we Francji.

Czując się jak Quasimodo pod brzemieniem wypchanego plecaka, z mapą w dłoni dotarła do grupy wysokich budynków stojących z dala od śródmieścia. Między nimi rozciągały się alejki i trawniki z ławkami i cherlawymi drzewami — zapewne miały tworzyć park, ale wiele im jeszcze brakowało. Jeden z wieżowców był siedzibą schroniska młodzieżowego, choć Phoebe miała dziwne wrażenie, że jest pierwszą i jedyną młodą osobą korzystającą z tego przybytku. Główny hol był pełen ludzi mówiących wyłącznie po francusku i sprawiających wrażenie zadomowionych.

Wjechała na dwunaste piętro i po akwamarynowym chodniku przeszła między ścianami z pustaków do pokoju numer 1203, który wyglądał jak miniatura pokoju hotelowego, z fornirowanym biurkiem, stolikiem nocnym i wykładziną od ściany do ściany. Phoebe poczuła się jeszcze dziwniej. Otworzyła okno, żeby spojrzeć na grupkę

dziewcząt skaczących przez skakankę w głębokim kanionie podwórza. Dźwięk liny objijającej się o beton rozchodził się echem między wysokimi budynkami. Dzieci śpiewały piosenkę, którą Phoebe rozpoznawała, choć nie mogła przypomnieć sobie słów. Zamknęła okno, by po chwili znowu je otworzyć i posłuchać piosenki. Potem ochlapała twarz nad małą umywalką i wytarła szorstkim, białym ręcznikiem. Przebrała się szybko i wyszła.

O tej porze sklepy były już zamknięte. Francuzi zasiadali do kolacji w restauracjach pod gołym niebem, wśród świec, na pół napełnionych winem kieliszków i niedbale ułożonych sztuców. Pochylali się ku sobie, gestykulując dłońmi, w których trzymali papierosy. Malowniczość takich scenek podnosiła Phoebe na duchu. To jest to, pomyślała z otuchą i postanowiła, że uraczy się wykwintnym posiłkiem.

Wybrała restaurację nieco odsuniętą od ulicy, o ciemnozielonych, wzorzystych ścianach. Obrusy były białe, a sztuce ciężkie i naprawdę srebrne. W szklance z wodą pływał plasterek cytryny, ale tym, co ucieszyło Phoebe najbardziej, była pojedyncza, czerwona róża w smukłym, kryształowym wazoniku. Usiadła wygodnie, rozkoszując się własnym wyrafinowaniem i żałując w duchu, że nie ma w pobliżu znajomego, który mógłby zobaczyć na własne oczy, jak zasiadła samotnie, by zjeść kolację w eleganckim lokalu w Reims, we Francji.

Po chwili zjawił się kelner — przystojny i beztroski, o dość długich, jasnych włosach. Kiedy Phoebe nie bez oporów wyjaśniła mu, że będzie sama, teatralnym gestem zabrał nakrycie stojące po przeciwnej stronie. Przy więk-

szóści stołów zasiadało po kilka osób. Gdziekolwiek Phoebe skierowała wzrok, zawsze napotykała czyjeś spojrzenie. Zastanawiała się nawet, czy nie poprosić kelnera o przełożenie nakrycia w inne miejsce, ale bała się jego reakcji. Siedząc nieruchomo, obracała w dłoni solniczkę, przyglądając się jej z wielkim zainteresowaniem.

Kelner przyniósł wino i zabrał się do wypełniania swoich obowiązków z przesadną, zdaniem Phoebe, starannością. Otwierał butelkę jak magik, który chce lada chwila zamienić ją w gołębia. Spojrzenia dziewczyny nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Phoebe zaczęła pić łąpczywie, pragnąc rozluźnienia, które jednak nie nadchodziło. Wręcz przeciwnie - z każdą chwilą była coraz bardziej skoncentrowana, jakby założono jej supermocne okulary, przez które dostrzegała wszystkie litościwe spojrzenia rzucane jej przez współbiesiadników. Jej sałatka z cykorii mogła być przyrządzona z zielska wyrwanego spod krawężnika, a danie z kurczaka — ze stołowej nogi. Phoebe wyobrażała sobie, jak rzuca talerze na podłogę, wrzeszcząc na całą salę: Przestańcie się nade mną litować! Nie widzicie, że jestem tu nie bez powodu?

Dokończyła wino i poprosiła o rachunek, który wydał jej się nienormalnie wysoki. Zapłaciła jednak i wyszła, nie podnosząc głowy, nim znalazła się na ulicy. Wieczór był ciepły; na szerokim bulwarze nie brakowało spacerowiczów. Jedzenie jakoś nie chciało się ułożyć w żołądku Phoebe.

Zrobiła krok, potem drugi, jak maszyna. Ruszyła wolno w stronę schroniska, ostatniego miejsca na ziemi, w jakim chciała się teraz znaleźć. Serce biło jej coraz szybciej; zaczęła się pocić. Udała się wprost na dwunaste piętro

i szybko zapaliła światło w swoim pokoju. Zasłon nie było,

toteż żółtawe latarnie palące się gdzieś w dole barwiły ciemność siarczanym nalotem. Minęło wpół do dziesiątej. Pokój wydawał się Phoebe ciasny i przerażająco zwyczajny. Faith na pewno zrobiłaby coś, żeby go ożywić; może kupiłaby kwiaty? Nie cierpiała ponurych pokojów. Kiedyś zszokowała babcię O'Connor, przyczepiając swe najbardziej kolorowe majtki do ścian sypialni, którą dzieliła z siostrą w Mirasol. Phoebe wyjęła z wewnętrznej kieszeni plecaka nieliczną biżuterię, spinki do włosów i buteleczkę perfum, by zappełnić jakiś stolik nocny, podokiennik i miniaturowe biurko. Łazienka mieściła się tuż obok windy. Phoebe przystanęła po drodze w dość ciemnym korytarzu, nasłuchując, z zamiarem zapukania do czyichś drzwi i poproszenia o aspirynę. Nie usłyszała jednak nawet najcichszego szeptu czy hałasu, zupełnie tak, jakby była jedynym lokatorem dwunastego piętra. Przebrała się w koszulę nocną, wyłączyła światło i ułożyła się w łóżku, krzyżując ręce na piersiach. Sufit okryty był białymi, kwadratowymi, lekko połyskującymi płytami. Phoebe czuła w uszach mocny puls. Coś było nie tak. Przegrałam, pomyślała, ale w którym momencie? Wyobrażając sobie swój pobyt w Europie, zawsze miała przed oczami inną osobę — nawet w sensie fizycznym: wysoką blondynkę z gotową odpowiedzią na wszystko — jak gdyby podczas podróży miała nie tylko zrzucić z siebie poprzednie życie, ale w ogóle przestać istnieć w dawnej postaci. Tak, myślała, jak dobrze by było zostawić w tyle Phoebe O'Connor i odrodzić się jako ktoś piękny i tajemniczy. Stało się jednak coś przeciwnego: ciasne granice własnej osobowości zamknęły się wokół niej z nową siłą, trzymając prawdziwy świat na dystans.

Położyła dłonie na wystających żebrach. Gdybym tylko jakoś się opanowała, pomyślała, ale z każdą sekundą wpadała w coraz większą panikę. Zastanawiała się z obawą, czy narkotyk, który paliła w Amsterdamie z Nico i Karlem, nie uszkodził jej mózgu. Aż do bólu wpatrywała się w ścianę, całym sercem pragnąc zatelefonować do matki, ale nie miała pojęcia, gdzie mogłaby znaleźć o tej porze automat realizujący połączenia międzynarodowe. Wreszcie wyskoczyła z łóżka i po ciemku zaczęła grzebać w torebce, szukając koperty z dawką kwasu. Ostatnio nieraz się zastanawiała, czy nie powinna go zażyć — może tym sposobem przekroczyłaby wreszcie próg tych ostatnich, najważniejszych drzwi, jak Alicja wpadająca do mysiej nory. Nie przemogła się jednak — zbyt mocno się bała.

Wpełzła głęboko pod kołdrę i zwinęła się w kłębek. Byle przetrwać tę noc, pomyślała. Jej ciało drżało jednak uparcie, zęby dzwoniły, a serce wybijało szybki rytm, pulsujący w uszach. Zaczęła myśleć o domu, o mgle wirującej jak sny wokół mostu Golden Gate i o białych budynkach w centrum. O mgle opływającej drzewa eukaliptusowe, tak miękkiej, półpłynnej, zagładającej do okien sypialni, przesłaniającej wszystkie okoliczne domy i drzewa, aż wreszcie ten, kogo otoczyła, czuł się jak rozbitek pośrodku morza pustki i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zamknąć oczy.

*Kochana Mamo, Phoebe i Barry. Wczoraj pojechaliśmy do Epernay gdzie produkuje się wiele odmian szampana. Urządziliśmy sobie pasjonującą wycieczkę do piwnic Dom Perignon i wywaliliśmy majątek na dwie butelki dla naszego gospodarza w Reims. I wiecie co? On nie lubi szampana ! Wypi-*

*liśmy sami! Wilk znowu odszedł. Tęsknię za nim, ale nie układa nam się najlepiej, ale i tak tęsknię.*

*Życie jest szalone, nie? Calusy, Faith*

Kiedy następnego ranka Phoebe otworzyła oczy, zobaczyła za oknem prostokąt szarego nieba. Atak paniki minął. Leżała długo, zanim ubrała się i ukryła plecak pod łóżkiem. Najcenniejsze przedmioty znowu wetknęła do torebki, starannie zamknęła drzwi i poszła na dworzec, by kupić bilet do Epernay. W pociągu poczuła, że znowu odradza się w niej niezwykła nadzieja. Być może horror tej nocy był tylko ostatnią próbą, myślała, a teraz w Epernay, miało wydarzyć się coś naprawdę cudownego. W wytwórni win Moët & Chandon dołączyła do wycieczki z angielskojęzycznym przewodnikiem. Słuchała z wielkim zainteresowaniem wykładu o sposobach przechowywania butelek pochylonych pod odpowiednim kątem i obracaniu ich, jak gdyby rozwiązanie jej problemów kryło się gdzieś w głębi tych wilgotnych tuneli o ścianach porośniętych z rzadka szarawym mchem. Wycieczka była długa, a im dłużej trwała, tym bardziej Phoebe obawiała się jej zakończenia i powrotu do własnego, niepewnego towarzystwa.

Wypiła duszkiem próbkę dom perignon i przez chwilę czekała z zakłopotaniem, aż jej anglojęzyczni towarzysze dyskretnie wysączą zawartość swoich kieliszków.

— Proszę — odezwał się mężczyzna stojący obok, oddając Phoebe swoją porcję. Mówił z silnym, obcym akcentem. — Nie próbowałem.

Phoebe podziękowała, poruszona jego uprzejmością, i wypila szampana. Mężczyzna był młody, a jego oczy

przypominały oczy Barry'ego — miały równie ciemne tęczówki, barwą niemal nieodróżnialne od źrenic.

Kiedy wycieczka dobiegła końca, Phoebe wolnym krokiem ruszyła w stronę stacji. Całe Epernay przesiąknięte było kwaskowym zapachem winogron, który zdawał się dolatywać od strony płyt chodnikowych, wystaw sklepowych, a nawet przydrożnych chwastów. Phoebe czuła zawroty głowy po dwóch kieliszkach szampana. Było dopiero piętnaście po drugiej, a w perspektywie miała długi i pusty dzień. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła uprzejmego obcokrajowca — tego, który oddał jej swoją próbkę dom perignon — idącego w tym samym kierunku. On także spojrzął w jej stronę.

— Jedziesz pociągiem do Reims? — zawołał, przerywając pełną kurzu ciszę.

— Tak — odpowiedziała. — A ty?

Mężczyzna przeszedł na jej stronę ulicy. Miał na imię Piętro i studiował w Uniwersytecie Turyńskim. Przyjechał do Reims porannym pociągiem z Paryża, a wieczorem miał odjechać nocnym do Madrytu. Phoebe wyjaśniła mu beztrąsko, że podróżuje w kierunku Włoch, gdzie ma się spotkać ze starszą siostrą. Kłamstwo przyszło jej tak łatwo i dostarczyło tyle satysfakcji, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego kiedykolwiek mówiła prawdę.

— Mieszka we Włoszech? Twoja siostra?

— W Rzymie. Od ośmiu lat — odpowiedziała Phoebe. — Pisze książki.

— Ach, pisarka — mruknął Piętro, kiwając głową. Zaimponowała mu. — Może czytałem jej książki?

— Raczej nie. Pierwsza dopiero ma się ukazać. Ściślej mówiąc, pierwsze trzy ukażą się jednocześnie.

— Trzy! — Piętro był zdumiony

— Ona bardzo szybko pisze — zapewniła go Phoebe, rumieniąc się nieco.

Piętro przystanął i wyjął z naramiennej torby mały notes i zielony ołówek.

— Proszę, powiedz mi, jak się nazywa.

— Faith. Faith O'Connor.

— Faith O'Connor — powtórzył, notując starannie. — Znajdę jej książki.

Do przyjazdu pociągu mieli jeszcze dwadzieścia minut, toteż zamówili w dworcowym barze kanapki Croque Monsieur i zjedli je, siedząc na rozgrzanych, betonowych schodkach. Pewnie wyglądamy tak, jakbyśmy podróżowali razem, pomyślała Phoebe. Może nawet jak para? Zauważyła, że jej głos niebezpiecznie często zmienia się w śmiech, że zalotnie przekrzywia głowę, za każdym razem czując słodki ból dawno nie ćwiczonych mięśni.

— Po co przyjechałeś do Reims? Chyba nie dla szampana? — spytała kpiąco.

— Dla szampana? Przecież ci oddałem — odpowiedział z uśmiechem. — Nie. Przyjechałem dla katedry.

— Katedry?

Teraz Piętro sprawiał wrażenie zszokowanego.

— Nie słyszałaś o katedrze w Reims? Niesamowitej, najpiękniejszej w całej Europie?

— Dopiero przyjechałam — odparła zawstydzona. Gdzieś w głębi miasta odezwał się dzwon. Oczy Pietra

napęłniły się łagodnością, na którą Phoebe z trudem mogła patrzeć.

— A ty? Jesteś tutaj... dlaczego? — spytał.

— Siostra poradziła mi, żebym tu zajrzała. Uwielbia Reims.



Piętro uśmiechnął się szeroko.

— Twoja siostra — powiedział. — Moim zdaniem widziała katedrę.

W pociągu usiedli obok siebie. Za oknem przesuwał się krajobraz pagórkowatych pól. Tam, gdzie zboże zostało już ścięte, sterczały z ziemi ostre kikuty łodyg, lśniące w słońcu jak tłuczone szkło.

Ubranie Pietra było czyste, ale wyblakłe, jakby posiadał skromny zasób garderoby i używał go intensywnie. Mimo fizycznej delikatności, była w nim jakaś siła.

— Staro wyglądasz, jak na studenta — powiedziała Phoebe. Piętro przekrzywił głowę. Powtórzyła pytanie nieco wyraźniej.

— Ach, tak — odparł. — Przez kilka lat nie studiowałem. Teraz wróciłem i... rzeczywiście, jestem starszy.

Phoebe spytała, dlaczego przerwał studia. Widząc, że Piętro się zawahał, pomyślała, że jest za bardzo wścibska.

— Miałem taki... kryzy — odpowiedział w końcu. Phoebe zmarszczyła brwi.

— Kryzy...?

— *Crisi*. Kryzys. Rozumiesz?

— Ach, kryzys. Jasne.

— Kryzys — powtórzył wolno Piętro i postukał palcem w głowę. — Kryzys.

— Kryzys w głowie? W mózgu? — Phoebe nie umiała zapanować nad podnieceniem w głosie.

— *Si* — odparł Piętro i zamyślił się. — Nie, właściwie to nie. Nie w głowie. W dyszy. Rozumiesz?

— W duszy — poprawiła Phoebe. Nie wierzyła własnym uszom. — Wyglądasz normalnie — odezwała się ostrożnie. — To znaczy... jesteś zrównoważony.

— Jestem zdrowy — przytaknął mężczyzna.

Phoebe miała ochotę pytać dalej, choć nad każdym słowem ciążyła jej świadomość, że sama nie powinna się odsłaniać. Nie bała się już jednak, że będzie zbyt wścib-ska — w osobowości Pietra dostrzegała pierwiastek trudnej do zdefiniowania jawności; zupełnie tak, jakby każdemu wolno było zagłębić się w wydarzenia z jego życia.

— Jak tego dokonałeś? — spytała. — Jak wróciłeś do zdrowia?

Piętro przycisnął pięść do serca.

— Jezus Chrystus — powiedział. — Znalazłem Go i jestem zbawiony.

Phoebe spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Jesteś księdzem?

— Misjonarzem. Dopiero zaczynam. Dlatego jadę do Madrytu.

Phoebe chciała mu powiedzieć, że jest katoliczką, ale wstydziła się, że od tak dawna nie bywała już w kościele.

— Jak... Jak Go znalazłeś? — spytała.

— Przyszedł — odparł Piętro. — Przyszedł do mnie.

— Chcesz powiedzieć, że Go zobaczyłeś? — wyszeptała.

— *Non* „zobaczyłem” — zaprzeczył Piętro, zakrywając oczy dłońmi. — Zobaczyłem tu — wyjaśnił, układając dłonie na piersi i otwierając je nagłym ruchem, jakby wpuszczał coś do ich wnętrza.

— Bałeś się?

— Boję się, kiedy Go nie widzę — odparł z uśmiechem. — Czasem się boję, *si*, ale *no* jestem już sam

— dodał po chwili. — Nie jestem już sam — poprawił się.

Phoebe wyjrzała przez okno. Pod cienką warstwą wystrzępionych chmur dostrzegła czysty błękit nieba.

— Moja siostra była religijna — powiedziała.

— Twoja siostra. *A Roma.*

Phoebe czuła się tak, jakby kłamiąc na temat Faith, w jakiś sposób brukała czystość Pietra.

— Tak — podchwyciła, pragnąc dla odmiany powiedzieć coś prawdziwego. — Kiedy ojciec ciężko zachorował, przygotowywała się do bierzmowania. — Celowo mówiła wolno i starannie, oficjalnie po to, by Piętro rozumiał, a w głębi duszy po to, by nadać swoim słowom głębszy, bardziej monumentalny wydźwięk. — Codziennie chodziliśmy na mszę.

— Ty też? Chodziłaś z nią? -Tak.

Jezus na krzyżu, z wystającymi żebrami podobnymi do złożonych skrzydeł. Podczas mszy myśli Phoebe dość szybko przestawały krążyć wokół księdza — dumiała o teście z ortografii albo o grze w kwadraty, w której brylowała podczas przerw — żaden temat nie był zbyt bezbożny, by poruszyć go w domu bożym. Tylko raz, w Wielki Piątek, udało jej się skupić na liturgii akurat wtedy, gdy kapłan łamał hostię — ciało Chrystusa zamknięte w tak małym, płaskim dysku! Wyobraziła sobie jej maślany smak i potem przez lata przyglądała się z zazdrością dorosłym i starszym dzieciom, którzy wstawali z ławek pod koniec każdej mszy pożywić się tym cudownym pokarmem. Kiedy oddalali się od ołtarza, przyglądała się im bacznie, szukając jakichkolwiek śladów przemienienia. Ich twarze jednak niczego nie zdradzały.

Kiedy wreszcie sama poszła do pierwszej komunii — o kilka lat później, wyższa od pozostałych dziewcząt i do tego ubrana w nieodpowiednią sukienkę — rozczarował ją fakt, iż hostia w ogóle nie miała smaku. Przyłgnęła do jej podniebienia jak kawałek tektury, a potem rozpuściła się. Jeśli zaś idzie o obiecującą falę intensywnych prze-

żyć, które miały towarzyszyć oddalaniu się od ołtarza, to jedynym uczuciem, które zarejestrowała, było przemożne pragnienie doświadczenia czegoś nadnaturalnego, które minęło, nim opuściła świątynię.

— A wasz ojciec? — spytał Piętro. — Wyzdrowiał?

Phoebe zawahała się, oczarowana perspektywą wymyślenia jeszcze kilku intrygujących historii, ale w głębi duszy czuła, że okłamywanie kogoś tak religijnego jest wielce niestosowne. Zupełnie tak, jakby łągała w obliczu Boga.

— Nie żyje — odpowiedziała. Już od podstawówki uczyła się odpowiadać w taki sposób na nie kończące się pytania: „Co robi twój tata, Phoebe?” Tak, jakby odejście z tego świata było jego jedynym osiągnięciem.

— Wybacz.

Phoebe wzruszyła ramionami. Takie wymiany zdań zawsze wprawiały ją w zakłopotanie; gdy dobiegały końca, czuła, że powinna jakoś załagodzić wzmianki o śmierci, by dalszy dialog nabrał nieco bardziej optymistycznego tonu.

— To dawne dzieje — powiedziała.

Jechali w milczeniu. Wiejski krajobraz stopniowo zmieniał się w panoramę miasta pełnego nowoczesnych wieżowców z ciasnymi balkonami, na których powiewały barwne plamy wypranej odzieży. Stacja końcowa — a tym samym i chwila rozstania — była coraz bliżej.

Pociąg podskoczył i zakołysał się, wjeżdżając na dworzec w Reims. Wyskakując na peron, Phoebe czuła się lekko i radośnie. Piętro chwycił ją za rękę i delikatnie pociągnął za sobą. Dzwony kościelne wydały z siebie głęboki, srebrzysty dźwięk, który kojarzył się jej z odgłosem, jaki wydaje ciężki przedmiot wpadający do wody.

— Mam jeszcze kilka godzin do odjazdu — powiedział Piętro, kiedy wyszli na ulicę. — Jeśli nie jesteś zajęta, mogę ci pokazać katedrę.

— O, tak! — zawołała Phoebe, wdzięczna za uratowanie przed samotnym popołudniem.

Poprowadził ją ku starszej, bardziej reprezentacyjnej dzielnicy miasta, na którą składały się głównie cztero-i pięciopiętrowe budynki z kamienia, o płytkich balkonach zamkniętych żelaznymi prętami. W koronach pierzastych drzew hasały dziesiątki rozkrzyczanych ptaków.

Nagle, po przeciwnej stronie sporego placu, ukazała się ich oczom katedra. Phoebe nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego: gigantycznego plastra miodu pełnego ukrytych zakamarków i wspaniałych rzeźb, celującego w niebo stalagmitami z szarego kamienia. Piętro przeprowadził ją przez plac, mimowolnie płosząc ociążałe gołębie. Olbrzymie, zaokrąglone wrota świątyni otoczone były przez rzeźbione postacie, umieszczone jedna nad drugą coraz wyżej, aż po szczyt, z którego spoglądali w dół nieszczęśni święci, podobni do pasażerów uwięzionych na pionowej karuzeli.

— To jest Zachodnia Fasada — powiedział Piętro. — A tam... — dodał, wskazując na punkt nad lewymi drzwiami — ...widzisz Uśmiechniętą Anielicę. Jest sławna, może widziałaś ją kiedyś na jakimś zdjęciu.

Z tak chytrym, świętoszkowatym uśmiechem Anielica mogłaby uchodzić za siostrę Mony Lisy. Na jej głowie przysiadły dwa gołębie.

Weszli do wnętrza małymi, prostokątnymi drzwiami wyciętymi w prawej bramie. Otworzyła się przed nimi wielka przestrzeń napełniona wonią mokrego kamienia, przywodzącą na myśl zapach jaskini.

Phoebe ruszyła za

Pietrem w głąb nawy, wyczuwając pod stopami chłód wilgotnej posadzki. Pary wysokich kolumn mierzyły w sklepienie i uginały się pod nim na kształt żeber gigantycznej bestii. Phoebe miała wrażenie, że wyprężają się nieznacznie i opadają, jakby bestia oddychała. Pełne kurzu powietrze naznaczone było smugami koloru z witraży — fioletu, szkarłatu i złota — które tworzyły na kamiennym podłożu wielobarwne kałuże. Totalna cisza brzmiała jak westchnienie, jak szum, który czasem pojawia się w uszach.

Przemierzali kolejne nawy, a Piętro raz po raz wskazywał ręką na stare obrazy i rzeźby, gestem pełnym szacunku, ale i poufałości, jakby wszyscy święci byli członkami jego rodziny.

— To święty Sebastian — szeptał. — Był żołnierzem w armii Dioklecjana. Naszpikowali go strzałami, ponieważ był chrześcijaninem. Kiedy wy dobrzał, zatłukli go na śmierć.

Proste słowa i twardy akcent Pietra sprawiały, że jego mowa brzmiała w uszach Phoebe wręcz biblijnie — jak naga, najprawdziwsza prawda.

Zatrzymali się przy serii tkanin przedstawiających życie dziewicy Maryi.

— Nawiedzenie — wyjaśnił Piętro, widząc, że Phoebe nie rozpoznaje jednej ze scen. — Kiedy Maria dowiaduje się, że urodzi Syna Bożego, odwiedza swoją krewną, Elżbietę.

Phoebe uznała, że było coś uroczego w tym, że Maria pospieszyła do Elżbiety, by podzielić się z nią wielką nowiną. Wpatrywała się w piękne, łososiowe tkaniny i próbowała słuchać, ale szum świątyni stał się jakby głośniejszy. Dobiegał spod posadzki, jakby gdzieś w głębi pracowała potężna maszyna.

— W tej katedrze — ciągnął Piętro — znajdziesz trójwymiarową Biblię. Wszystkie witraże, rzeźby, obrazy opowiadają jakąś część historii...

Phoebe już nie słuchała. Szum zbytnio ją absorbował; był coraz głośniejszy i radośniejszy, jak gwar na szkolnym podwórku podczas przerwy. Poczowała falę rozkosznego ciepła, rozlewającą się najpierw w brzuchu, a potem niosącą rozluźnienie zmęczonym kończynom.

— Przepraszam — odezwał się Piętro po chwili milczenia. — Za dużo mówię.

— Nie — zaprzeczyła Phoebe, zamykając oczy.

— Możemy pomilczeć.

Uśmiechnęła się. Wydawało jej się, że to pierwszy szczerzy uśmiech od wielu dni, a może i tygodni. Otworzyła oczy i spojrzała na Pietra.

— Czujesz coś — stwierdził z zachwytem.

Przez pewien czas stali w milczeniu. Uśmiech pozostał na twarzy Phoebe; kąci jej ust unosiły się ku górze wbrew jej woli. W oczach Pietra dziewczyna dostrzegła dziką, żarliwą siłę.

— Czuję — szepnęła. — Wszędzie dookoła.

— On tu jest, *si*. Z nami — odparł Piętro. Delikatnie, ledwie dotykając jej pleców, poprowadził Phoebe w stronę ławki. Usiedli razem na gładkiej powierzchni starego, skrzypiącego drewna.

Organista eksperymentował; melodie, które dziewczyna mgliście pamiętała z dzieciństwa, urywały się w połowie pasażu, zmieniała się ich tonacja, a przypadkowe nuty niosły się echem pod wysokim stropem i wolno stapiały z następnymi, głośniejszymi akordami. Phoebe czuła w żyłach jedwabisty puls. Piętro przyklęknął i zaczął się modlić, przyciskając czoło do złożonych rąk. Była to pozycja niezwykle dramatycz-

na, jakby ktoś siłą ugiął mu kark, zmuszając do pokory. Nie sprzeciwiał się. Pochylał się tak, jak Faith czyniła to w kościele każdego dnia, odkąd ojciec zachorował.

Phoebe odkryła, że jej oddech zsynchronizował się z delikatną pracą wielkich żeber katedry. Granica między jej ciałem a ciałem świątyni zaczęła stopniowo zanikać. Phoebe czuła, że roztopia się w oceanicznym westchnieniu strzelistego gmachu, i było to dla niej cudowne doświadczenie — pozwoliła się wchłonąć, poddała się. To było dopełnienie jej drogi. Dopełnienie życia, myślała, gdy w jej pamięci pojawiały się strzępy fraz zapamiętanych w dzieciństwie. Zdrowaś Mario, łaski pełna. Ojczy nasz, któryś jest w niebie. Ciało Chrystusa. Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami... Słowa modlitw były echem wspaniałych, świętych widowisk, które odeszły w przeszłość z chwilą śmierci Faith — wspólnych zabaw z dzieciństwa, brzmienia elektrycznych gitar i widoku rózańca, który starsza z sióstr układała w kształt serca na tym samym szklanym stoliku, nad którym już dwa lata później kruszyła liście marihuany, surowiec do ręcznej produkcji smukłych, białych skrętów. I jeszcze tego głębokiego rozmodlenia Faith, kiedy Phoebe drzemała u jej boku i kiedy wracały do domu, do słodkiego, odurzającego zapachu choroby ojca.

Ksiądz przeszedł przed ołtarzem; w długich, białych szatach wyglądał tak, jakby płynął. Piętro zakończył modlitwę i usiadł na ławce obok Phoebe. Wyglądał na zatroskanego. Dopiero patrząc na niego, Phoebe zdała sobie sprawę, że płakała. Jej policzki były jeszcze mokre. Coś cię boli, Phoebe — powiedział Piętro.

— Bolało — odpowiedziała rozmarzonym, dalekim głosem. — Już po wszystkim.



— Dobrze, że jedziesz do siostry.

Phoebe przytaknęła ruchem głowy. Unosiła się nad ziemią tak, jak ten ksiądz, zawieszona w przyjemnie cieplej cieczy.

— Kiedy możesz do niej dotrzeć? — spytał Piętro. — Może jeszcze dziś? Odprowadzę cię na dworzec. Masz tam bagaż?

Phoebe odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

— Okłamałam cię — powiedziała. — Moja siostra nie żyje.

Dostrzegła w jego oczach minimalną, odruchową reakcję, jakby ożywienie.

— Jesteś sama?

— Tak — odparła z uśmiechem. Coś się w niej otworzyło i cały świat wdierał się naraz do jej wnętrza.

— Wyjdźmy, Phoebe. — Piętro wstał i wziął ją za rękę. — Niedługo odjeżdża mój pociąg. Mam już bilet, ale musimy porozmawiać.

Wyprowadził ją z katedry. Na zewnątrz Phoebe przekonała się, że świat doświadczył gruntownej, pozytywnej przemiany: wszystko wydawało się jej urocze. Nawet chudzi chłopcy grający w piłkę na placu stali się łagodni jak białe myszki. Dzieci boże, pomyślała. Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga. Usiedli na ławce, którą wybrał Piętro. Phoebe oddychała wolno i głęboko, rozkoszując się uciskiem żeber na pełne płuca i delikatnością powietrza płynącego przez tchawicę. Daleki odgłos maszyn budowlanych brzmiał jak muzyka. Jak to możliwe, że ten sam świat jeszcze niedawno wzbudzał w niej przerażenie?

Piętro chciał coś powiedzieć, ale utknął, wyraźnie sfrustrowany.

— Szkoda, że nie znam więcej angielski — odezwał się w końcu z rozpaczą w głosie. — Próbuję ci pomóc, Phoebe.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Już mi pomogłeś.

— Niedobrze, że jesteś sama — odparł, potrząsając głową.

— To nie ma znaczenia. Jest świetnie. Piętro spojrzał na swoje dłonie.

— Zbyt szybko — powiedział i strzelił palcami. Ostry dźwięk wystraszył Phoebe. — Zbyt szybko. Teraz wyglądał na przestraszonego. Phoebe spojrzała na niego ze smutkiem.

— Chciałabym, żebyś był szczęśliwy — powiedziała. — Umiesz sprawić, że wszystko staje się lepsze.

— Nic nie zrobiłem.

Piętro musiał już iść. Szli szybko, niemal biegle, otoczeni z wolna zapadającym zmrokiem.

— Żałuję, że nie mogę zostać, Phoebe — powiedział. — Czekają na mnie. Kupili mi bilet i ktoś wyjdzie po mnie na dworzec.

Phoebe chwyciła w biegu smakowite zapachy dolatujące z otwartych okien. Za każdym razem, gdy przechodzili przez ulicę, Piętro brał ją pod ramię i rozglądał się ostrożnie w obie strony.

Pociąg już czekał. Piętro w pośpiechu odebrał walizkę z przechowalni i pobiegł z Phoebe w stronę peronu. Kiedy zatrzymali się przed wyjściem z budynku, chwycił jej dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

— Będę się za ciebie modlił, Phoebe — powiedział, znowu z trudem szukając słów. — Potrzeba czasu. — Tylko tyle zdołał z siebie wydusić. — *Non bać się.*

— Nie boję się - odparła Phoebe.

Piętro uśmiechnął się lekko. Nie o to mu chodziło. Na-

gle otworzył walizkę — starą i wytartą, jak torba domokrażcy — i zaczął grzebać w niej energicznie. Po chwili już przepisywał coś z jednej strony dużego notesu na inną, posługując się tym samym zielonym ołówkiem, którym zanotował sobie nazwisko Faith. Kiedy skończył, wyrwał kartkę i wręczył ją Phoebe.

— To jest numer telefonu. Trzysta czterdzieści jeden na Madryt, tak? Nie wiem, jak to będzie, ale zawsze możesz zostawić dla mnie wiadomość. Proszę, zadzwoń, jeśli będziesz miała kłopoty. Dobrze? Piętro Santangelo. To ja. Zapamiętasz? Zapiszę. — Ołówek drżał w jego dłoni. Od strony lokomotywy dobiegł przenikliwy gwizd.

— Idź już... Idź! Zapamiętam — powiedziała Phoebe. Piętro chwycił walizkę, odwrócił się i pobiegł do drzwi

wagonu. Phoebe pomyślała, że mógł chociaż ją uścisnąć. Brakowało jej takiej bliskości, choćby na chwilę. Pociąg ruszył niemal natychmiast. Phoebe bacznie obserwowała okna, mając nadzieję, że któreś otworzy się zaraz i Piętro pomacha jej na pożegnanie. Widocznie jednak nie zdążył.

Odwróciła się i wolno przeszła przez budynek dworca. Znalazłszy się na ulicy, ruszyła własnym śladem z poprzedniego dnia — ku kompleksowi wieżowców, gdzie znajdowało się jej schronisko.

Teraz jednak wszystko, co widziała po drodze, wydawało jej się inne — wielkie i wspaniałe.

Phoebe dotarła do miejsca, w którym poprzedniego wieczoru dziewczęta skakały przez skakankę i leżały na betonowej ławce. Spojrzała w niebo. Było blade po tej stronie, po której słońce skryło się za horyzont, i ciemniało z wolna, w miarę jak przesuwała wzrok po nieboskłonie. Pomyślała o skaczących dzieciach i o piosence, którą śpiewały. Nagle, całkiem bez wysiłku, przypomniały jej się słowa:

*Młoda panna Mary Mack, Mack, Mack,*

*Strój ma czarny tak jak rak, rak, rak,*

*Iguziki srebrne dwa, dwa, dwa,*

*Na jej plecach świecą tak, tak, tak. Skoczyła do nieba raz, raz, raz, Bująła w obłokach lata dwa,*

*Spadała przez długi czas, czas, czas, A teraz ja bujam was, was, was!*

*Młoda panna Mary Mack...*

Phoebe spoglądała w niebo, nucąc po cichu dziecięcą piosenkę. Myślała o tym, jak młoda wciąż jest i jak wiele rzeczy jeszcze się nie wydarzyło w jej życiu. Czuła więź z gwiazdami i planetami, z sędziwymi mężczyznami palącymi cygara na sąsiedniej ławce, z ludźmi na jachtach, w slumsach i lasach, a przede wszystkim z Piętrem Sant-angelo, który ją ocalił. Nadzieja, pomyślała Phoebe. Zawsze jest nadzieja. Jakaś jej część pozostała z nim nawet teraz, kiedy mknął pociągiem przez wystrzyżone, lśniące pola, które także były bożym dziełem, spoglądając na niebo obracające się z wolna w czerni.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

*O kurcze, Paryż!! Pozdrowienia, Faith*

Phoebe siedziała w pierwszej ławce w katedrze Notre Dame, ściskając w dłoni białą kopertę. Dawka kwasu nałożona była na skrawek kartonu nie większy od najmniejszego paznokcia. Widniała na nim czerwona podobizna Myszki Miki, pulchnym palcem rozciągającej usta do krzywego uśmiechu.

Phoebe uważała, że Miki wygląda tu złowrogo, ale nie wykluczała, że to jej normalny stan.

Przybyła do Paryża, gdy tylko stało się jasne, że w żaden sposób nie zdoła wskrzesić magii, którą wywołała znajomość z Pięciem Santangelo i wspólna wizyta w katedrze w Reims. Phoebe wiedziała, że urok chwili minął, gdy tylko ocknęła się następnego ranka w smutnym pokoju z pustaków.

Pospieszyła wtedy mimo ulewy prosto do katedry, ale przekonała się, że nie doświadcza w jej murach już niczego, poza chłodem i ciemnością. Próbowwała klęczeć, stać, modlić się, a nawet spacerować nawą powoli, z zamkniętymi oczami, i nagle odwracać się, unosząc powieki, by spojrzeć ze wszystkich sił na ołtarz i witraże. Szum ciszy jednak nie powrócił. Słyszała tylko kapanie wody na posadzkę z nasiąkniętych deszczem włosów.

Pociąg, którym jechała Phoebe, dotarł do Paryża póź-

nym popołudniem poprzedniego dnia. Zapłaciła za mały, niebieski pokoik opodal Place Saint Michel, z zapadniętym łóżkiem i widokiem na ulicę. Kupiła i zjadła falafel, napisała kolejną pocztówkę do matki i poszła spać.

Kolejna porażka. Nawet Piętro Santangelo przewidział, że do niej dojdzie. Nawet on dostrzegał to coś, co nie pozwalało Phoebe na wykonanie ostatniego, najważniejszego kroku. Przez cały ranek wyczuwała narastające zniecierpliwienie siostry i wyobrażała sobie ten grymas irytacji pojawiający się na twarzy Faith zawsze wtedy, kiedy jakieś sprawy przeciągały się ponad miarę, podczas gdy ona już się nimi nie interesowała. Phoebe nabrała przekonania, że dany jej czas dobiega końca.

Ostrożnie ścisnęła w palcach kwadracik LSD i ułożyła go na języku. W zasadzie nie miał smaku; została po nim jedynie delikatna słodycz na tylnej ścianie gardła. Żuła go, aż stał się rozciągliwy, a potem połknęła.

Dwie minuty. Pięć minut. Niepokój ścisnął żołądek Phoebe. Niebieskie witraże katedry i echo głosów turystów przypominały jej o wielkim, krytym basenie, gdzie w dzieciństwie uczyła się pływać — o ciepłe, o chemiczny zapachu, o dziesiątkach nieznanym dzieciaków i o kudłatych nogach szczupłego instruktora, który w gęstwinie włosów na piersi ukrywał złoty gwizdek. Używał go, by wydać komendę „Skacz! ” Spoglądając w lśniąca, gęstą wodę basenu, Phoebe bała się usłyszeć dźwięk gwizdka. Była pewna, że jeśli skoczy w tę głębokość, to już nigdy nie wypłynie.

Po piętnastu minutach opuściła Notre Dame. Kwas chyba nie działa, pomyślała. W końcu dostałam go tyle miesięcy temu. Czy mógł stracić moc? Poza tym był taki mały...

Zerkając na plan miasta, Phoebe poszła rue de la Cité, przekroczyła Sekwanę i skręciła w rue de Rivoli, w kie-

runku Luwru. Rzeźbione postacie kobiet oplatały się lubieżnie wokół okien i ponad nimi, kusząc smukłymi ramionami i luźną odzieżą.

*Kochana Mamo, Phoebe i Barry. Mój francuski jest fatalny, ale na szczęście mamy przyjaciela, który tłumaczy. Wszyscy tu, w Paryżu, mówią o demonstracjach sprzed dwóch lat, kiedy wyrywali brukowce z ulic, by ciskać je w stronę policjantów, i budowali barykady jak w czasach rewolucji francuskiej. Przez parę tygodni cały kraj strajkował — dosłownie nikt nie pracował nie studiował; wszyscy włączyli się ulicami i rozmawiali. Nikt nie zamykał drzwi na klucz, ludzie spali u nieznajomych, kochali się i urywali wskazówki zegarom, bo czas się zatrzymał. (Pamiętasz, Mamo?) Mówią, że to były najwspanialsze chwile w ich życiu i opowiadają o przygnębieniu, które ogarnęło ich, kiedy wszystko to dobiegło końca i znowu stali się studentami, musieli zdawać egzaminy, szukać pracy i w ogóle. Niektórzy twierdzą, że byłoby lepiej, gdyby cała ta rewolucja nigdy się nie wydarzyła, bo wtedy nie wiedzieliby, jak cudowne może być życie, i umieliby jeszcze być szczęśliwi. Uściski, Faith*  
Żonkile w białym papierze.

Kelnerzy rozkładający białe obrusy na restauracyjnych stolikach.

Coś otwierało się z wolna głęboko w brzuchu Phoebe. Kiedy roztarła oczy wierzchem dłoni, zobaczyła w powietrzu elektryczną mgiełkę. Mój Boże, pomyślała, to chyba jednak działa. Poczowała dreszcz strachu.

Z rue de Rivoli skręciła w potężną avenue de l'Opéra, ale zanim dotarła do samego gmachu opery, odbiła w prawo, w znacznie mniejszą rue des Augustins, a potem jeszcze w lewo, i wkrótce już błądziła w sieci maleńkich uliczek wznoszących się stopniowo w głąb dzielnicy, która wyglądała na ośrodek handlu hurtowego. Jeden ze sklepów był pełen wieszaków, na których wisiały turkusowe T-shirty z ryczącymi lwami na przedzie. W innym zalegały na półkach białe, marynarskie czapki. Widok stert taniej, tandetnej odzieży działał na Phoebe hipnotyzująco. Czuła się tak, jakby jej oczy przez całe życie pragnęły właśnie tego widoku: pokrytych złotym lakierem grzebieni, fałszywych pereł i naszyjników z plastikowych „klejnotów”.

— Niebieskie koszulki — powiedziała na głos, oszołomiona siłą, która drzemała w kombinacji słowa i przedmiotu. — Białe sandały — szepnęła. — Białe sandały... — Bielsze i bardziej delikatne niż jakiegokolwiek inne, które do tej pory widziała.

Phoebe poczuła na sobie czyjeś spojrzenie, badawcze i pełne aprobaty. Słusznie postąpiłam, pomyślała z podnieceniem i zatrzymała się nagle, ze zdziwieniem spoglądając na płynną, przezroczystą skórę na swoich ramionach i opalizujące paznokcie.

Obraz świata stopniowo stawał się dwuwymiarowy, jak rysunek w książce dla dzieci lub na religijnym obrazie. Miedziane konie zdawały się skakać z okolicznych dachów. Phoebe spojrzała na lazuruwe niebo i roześmiała się. Wiedziała, że siostra jest blisko; wyczuwała energię i humor Faith.

Zastanawiała się tylko, dlaczego nie połknęła białego papierka natychmiast po przybyciu do Europy, oszczędzając sobie tym samym solidnej dawki przygnębienia.



*Kochana Mamo, Phoebe i Barry. Wczoraj, kiedy zwiedzaliśmy chateaux opodal Paryża, przeskoczyliśmy z Wilkiem nad tymi aksamitnymi linami, które wyznaczają trasę dla turystów. Spacerowaliśmy po przepięknych i cichych pokojach, których nikt nigdy nie odwiedza, pełnych mebli krytych jedwabiem i szklanych drobiazgów, których mogliśmy dotknąć. Udawaliśmy, że naprawdę tam mieszkamy; położyliśmy się nawet na łożu z baldachimem. Niestety, chyba uruchomiliśmy niechcący jakiś cichy alarm, bo zaraz przyleciał strażnik i wydarł się na nas. Wywalił nas z zamku, ale i tak było warto. (Wilk tak nie uważa.) Czasami myślę sobie, że takie aksamitne liny oplatają cały świat, tylko że nie umiemy ich dostrzec. Tu, w Paryżu, ciągle się zastanawiam, gdzie znajduje się najważniejszy punkt miasta, absolutne centrum — i nadal nie mam pojęcia. Czuję się tak, jakby zewsząd otaczały mnie te liny i szczerze ich nienawidzę. Wściekam się, bo widzę tylko to, co widzą inni. Chciałabym przeskoczyć na drugą stronę, tak jak w chateaux, ale problem polega na tym, że w Paryżu — w przeciwieństwie do muzeum — liny są niewidzialne. Nie sposób określić, którądy droga. Można jedynie próbować.*

*Pozdrawiam, Faith*

Świat wiercił się niecierpliwie i zmieniał wokół Phoebe, jak ptak stroszący pióra. Nakrapiany chodnik spływał łagodnie w dół wzgórza, zakryty miejscami przez smugi luźnego piasku. Przeskakiwała nad nimi, żeby nie pobrudzić butów. Powietrze było gęste jak woda; Phoebe miała wrażenie, że spowalnia jej ruchy.

Jądrem każdego z doznań, które atakowały ją ze wszystkich stron, było coś znajomego, jakieś zdarzenie lub myśl — tak jednak zamazane, że niemożliwe do zidentyfikowania. Dźwięki stały się nierozróżnialne: warkot samochodów i samolotów, głosy przechodniów, wszystko to zlało się w jeden wielki szum, jakby gdzieś niedaleko zebrały się tysiące rozgadanych ludzi. Coś się wydarzyło, pomyślała Phoebe. Coś absolutnie fantastycznego. Zatrzymała się jak wryta, czując, że narasta w pobliżu niepojęta, niepowstrzymana siła, podobna do podmorskiego prądu. Stała drżąca, czekając na rozwój wydarzeń. Spodziewała się tłumu, który porwałby ją ze sobą, ale nic takiego nie nastąpiło. Szum głosów pozostał na krawędzi percepcji, wiecznie zawieszony, jak światło w kinie, które zdaje się gasnąć tylko dlatego, że wiadomo, iż wkrótce zostanie zgaszone. Spojrzała na zegarek i zdziwiła się jeszcze bardziej: zobaczyła drobne kreski godzin ukryte pod szkłem — piękna robota, bez wątplenia dzieło sztuki — ale gdzie się podziały wskazówki? Ktoś je pourywał, pomyślała. Czas się zatrzymał.

Phoebe dostrzegła swoje odbicie w oknie wystawowym i podeszła bliżej, wymieniając ze swą kopią spojrzenia świadczące o tak głębokiej zażyłości, że aż poczuła zakłopotanie. Czego to jeszcze nie przeszłyśmy razem, pomyślała. Już jako dziecko lubiła bawić się lustrem w swoim pokoju. Udawała, że nie rozpoznaje dziewczynki, która spogląda na nią z kryształowej tafli. Czuła wtedy podniecający strach, obserwując, jak jej odbicie staje się obcą osobą. W jej obecności czuła się onieśmielona. Teraz także widziała, jak zmieniają się w sklepowej szybie jej ciemne włosy i szeroko rozstawione oczy. Za szkłem zamajaczyła nowa twarz i dłoń obcej osoby wysunęła się naprzeciwko uniesionej ręki Phoebe. To była Faith.

To była Faith.

Zza okna wystawowego spoglądała na nią Faith. Ich dłonie spotkały się na szybie i przez warstwę szkła Phoebe poczuła ciepło ciała siostry.

— Mój Boże — szepnęła.

Faith uśmiechała się szeroko i pogodnie. Phoebe poczuła, że ma ochotę roześmiać się głośno: oto miała przed sobą Faith, po tylu latach, nareszcie. Wiedziała, krzyknęła bezgłośnie, nie poruszając ustami. Wiedziała. Zawsze wiedziała, że wrócisz.

Byłam tu przez cały czas, zdawała się odpowiadać Faith. Nie czułaś?

Czasami, odparła Phoebe. Ale często znikaaś.

Cały czas byłam w tym samym miejscu. To ty pokonałaś długą drogę.

Phoebe spoglądała na siostrę uważnie, świadoma jakiejś zmiany, ale niepewna jej istoty. I nagle zrozumiała.

Jesteśmy w tym samym wieku, zauważyła z niedowierzaniem.

Faith roześmiała się głośno i zaraźliwie. Phoebe tęskniła za tym śmiechem przez cały czas i daremnie usiłowała go naśladować.

Jesteśmy dwiema połówkami jabłka, powiedziała Faith. Udało ci się, Pheeb. Już prawie koniec.

Phoebe spojrziała na wąskie oczy, szerokie usta i wciąż poruszającą się twarz - a może to jej oczy się poruszały, usiłując chłonąć cały obraz jednocześnie? Patrzyła na twarz niepodobną do własnej.

Dwie połówki jabłka.

Jak mam przejść na drugą stronę? - spytała Phoebe. Faith uśmiechnęła się lekko. Wepchnij się.

I to wszystko? Wystarczy pchać? Wypowiadając w myśli te słowa, Phoebe nacisnęła dłonią nieco silniej, mając nadzieję, że szkło rozstąpi się przed nią i pozwoli jej wziąć siostrę w ramiona. Okno trzymało się jednak mocno.

Kiedy mówię „wepchnij się”, to mam na myśli porządne pchanie, skarciła ją Faith.

Phoebe nacisnęła obiema rękami.

No, dalej, mała, zachęciła ją Faith. Musisz się bardziej postarać.

Próbuję!

Faith pokręciła głową.

Przejdźcie na drugą stronę jest bolesne, Phoebe. Gdyby nie było bolesne, byłoby zbyt proste. Musisz być gotowa na odrobinę cierpienia.

Jestem gotowa, odparła Phoebe.

Przycisnęła bark do szyby wystawowej i pchnęła z całej siły, odbierając napór mięśni całym kręgosłupem. Jej siostra mocowała się ze szklaną taflą z przeciwnej strony. Phoebe parła i parła, ale nic się nie działo. Cholera, mruknęła.

To nie ból, powiedziała Faith. Nie taki, o jaki mi chodzi, dodała, i Phoebe zrozumiała z rozpaczą, że nawet teraz powstrzymuje się przed działaniem, nawet teraz, kiedy już tylko pojedyncza szyba oddziela ją od siostry, nie umie dać z siebie wszystkiego. A właśnie że umiem, pomyślała buntowniczo. I dam! Cofnęła się nieco i zaatakowała pełną mocą. Stłukła sobie ramię, ale nie przebiła upartej tafli szkła.

Mocniej, ponagliła Faith. Znacznie mocniej, siostrzyczko. No, dalej, uderzymy razem na trzy. Phoebe cofnęła się niemal do krawężnika; Faith po drugiej stronie odeszła na taką samą odległość. To jest to, pomyślała Phoebe. Przebiję się tym razem albo szczerzę, próbując. Roz-

pędziła się i w pełnym biegu huknęła głową w szybę. Faith uczyniła to samo. Osuwając się na chodnik, Phoebe czuła się tak, jakby skręciła kark; przed oczami wirowały jej białe plamy, a jednak, o dziwo, okno wystawowe wciąż trwało na swoim miejscu, wykonano je bowiem z tego samego, grubego szkła, z którego zbudowane są szyby na lotniskach. Mój Boże, pomyślała, jak mogę przejść na drugą stronę, nie zabijając się przy okazji? W głowie jej łomotało, a w ustach czuła smak krwi z przygryzionego języka. Słyszała krzyk. Czyżby Faith? Nie, to ktoś inny darł się wniebogłosy po przeciwnej stronie witryny. Przeczuwając kłopoty, Phoebe wstała chwiejnie i rzuciła się na szybę w ostatniej, szaleńczej próbie, uciekając przy okazji przed kobietą o rudych, kręconych włosach, która biegła w jej stronę, wrzeszcząc histerycznie. Nieznajoma chwyciła mocno jej ramię i nie przestając krzyczeć, gestykulowała z ożywieniem, raz po raz wskazując na okno wystawowe. Faith zniknęła; widocznie przestraszyła ją ta kobieta. Wokół Phoebe zebrał się już mały tłumek gapiów, ale miała to gdzieś. Stąpając niepewnie, uwolniła się od wrzeszczącej i odeszła.

Bolały ją głowa i kark; zęby, a nawet dziąsła, zdawały się wibrować jeszcze po potężnym uderzeniu. To, co widziała, wydawało jej się bezsensowne: jasnowłosa kobieta o nagich piersiach leżąca na fotelu pasażera w błękitnym kabriolecie. Jak to? Dlaczego? Długie piersi zwisały nisko, do brzucha. To tylko wyobraźnia, pomyślała Phoebe i zamrugła energicznie, by wyostrzyć obraz, lecz wizja nie zniknęła. Otaczały ją tlenione blondynki w rozmaitych stadiach półnagości; było ich dość, by zapełnić kilka rzędów chóru. Phoebe przechadzała się między nimi — prostytutkami? — chłonąc mocny zapach perfum. Skąd się

wzięły w biały dzień na środku ruchliwej ulicy? Nagle uświadomiła sobie, że musiała jednak przebić się na drugą stronę szyby — tak, to było to! Czyż nie wyobrażała sobie od zawsze, że po drugiej stronie będą prawdziwe prostytutki? Czerwone gorsety, nachalny makijaż, dekolty odsłaniające przedział między piersiami. Tak! — pomyślała Phoebe, jestem po drugiej stronie i Faith też musi tu być. Czeka na mnie, ukryta gdzieś wśród nich — a może jest jedną z nich? Nie, przecież miała ciemne włosy.

Phoebe skręciła w długą, wąską uliczkę. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Nie było tu samochodów, tylko spacerujący mężczyźni i kobiety stojące w bramach. Jedna z nich miała krótką, żółtą sukienkę i siniaki na nogach. Inna,

o mysiej twarzy, wyróżniała się nakrapianą skórą i czerwonymi paznokciami. Phoebe patrzyła na nie w niemym zdumieniu, podczas kiedy niewidzialny tłum zbliżał się nieubłaganie, nawołując ją.

Oddychała szybko, niespokojnie, ze świstem, gdy nagle usłyszała nowy dźwięk, którego w pierwszej chwili nie rozpoznała.

Jakiś mężczyzna zamruczał coś i błysnął oczami, mijając Phoebe. Kiedy zbliżała się do następnego, nasiliło się dziwne cmokanie i sapanie. Po chwili poczuła na biodrach

i piersiach spojrzenie mężczyzny o wilgotnej skórze i bujnych wąsach. Przestraszona, popatrzyła na swoje ciało, jakby jego obecność na ulicy była czymś niestosownym albo jakby sama miała wąsy i brodę. Chwileczkę, chciała powiedzieć, zaczekajcie! Nie! Przypadkiem napotkała wzrok kobiety ubranej jedynie w niebieską, siateczkową suknię, pod którą wyraźnie zaznaczały się małe piersi i czarny trójkąt włosów. Nieznajoma skrzywiła się i splunęła na ulicę (z wpraw;) osoby często plującej na ulicę). Phoebe zdała sobie sprawę, że ten obra/.liwy gest był adresowany

do niej i z niemałym zdziwieniem skonstatowała fakt, iż — podobnie jak te kobiety — także składa się z mięśni, piersi i bioder. Czuła pod ubraniem wszystkie ukryte części ciała, czuła ich lekkie mrowienie, jakby budziły się ze snu, i przez chwilę było jej dobrze. Chwila minęła jednak szybko i przyjemne doznania zmieniły się w strach.

Obejrzała się przez ramię, ale droga, którą miała za sobą, wyglądała na równie długą, jak ta, która pozostała jeszcze przed nią. Wydawało się, że setki kobiet czekają na nią, a ich nieprzyjazne głosy rozbrzmiewały z każdym jej krokiem coraz głośniejsze, zagłuszając radosne nawoływania tłumu.

Patrzyła na zniszczone, zakurzone markizy, czując w powietrzu swąd zepsutego mleka i uryny. Chuda dziewczyna w porwanej, zielonej sukience wyglądała tak, jakby miała zemdleć; jej oczy odwróciły się białkami na zewnątrz, gdy towarzyszący jej mężczyzna wepchnął ją brutalnie do bramy. Phoebe usłyszała gdzieś blisko kaszel i odgłosy duszenia — wreszcie miała na wyciągnięcie ręki to wszystko, czego tak pragnęła, tylko że wkroczenie do tego świata nijak się miało do tęsknych spojrzeń, które dawniej rzucała w jego stronę. Czuła, że musi się wydostać, bo lada chwila wydarzy się coś strasznego. Nie, pomyślała. Nie! Ruszyła biegiem, czując, jak piersi uderzają rytmicznie o żebra. Poczowała też skurcz i ból podbrzuszu, jak gdyby wkrótce miała zacząć krwawić. Narkotyk działał z każdą sekundą mocniej, jakby jakiś maniak uparcie kręcił gałką szaleństwa w umyśle Phoebe. Biegła z trudem, jak we śnie, w którym niewidzialna siła zatrzymuje w miejscu wszystkie kończyny. Phoebe poruszała nimi jednak, niezgrabnie i z wysiłkiem, nie zważając na gwizdy kobiet i spojrzenia mężczyzn dziwnie podobnych do ojców jej przyjaciółek z dzieciństwa. Wreszcie

wyrwała się z zaułka i znalazła się na szerokim bulwarze, wzdłuż którego sunęły beztrosko sznury samochodów i autobusów. Powietrze drgało z gorąca.

Coś pękło we wnętrzu Phoebe i straciła kontrolę nad sobą; ogarnęła ją fala nieopisanego przerażenia. Był to strach przed tym, co było kiedyś, przed doświadczeniem z Reims i przed całym dotychczasowym życiem. Każda nowa myśl atakowała mózg z niepowstrzymaną siłą, przyprawiając nieomalże o mdłości. To zbyt ekstremalne, pomyślała. Ale sama tego chciałaś! Może jednak nie tego... A jeśli nawet, to teraz zmieniałam zdanie. No cóż, za późno. Za każdym razem, gdy próbowała się rozluźnić, świat natychmiast rozpadał się na drżące drobiny, a odbudowanie go choćby na tyle, by mogła wlec się chodnikiem noga za nogą, wymagało od Phoebe herkulesowego wysiłku. Dotarłszy do krawężnika, zatrzymała się. Nie miała pojęcia, co robić dalej, na jaki sygnał czekać — wszystko dokoła było chaotyczną mieszaniną barw, świateł i zdecydowanie za głośnych dźwięków. Stała tak dość długo, aż wreszcie wyczuła wokół siebie bezruch, jakby świat wstrzymał oddech, a w następnej sekundzie już przeprawiała się przez rzekę, skacząc z wyblakłego kamienia na kamień, przy wtórze śpiewu ptaków i szumu wody, całego wodospadu... Jestem poza miastem! — pomyślała Phoebe i nagle zderzyła się z czymś twardym, z metalowym pojemnikiem na śmieci, po czym wtoczyła się na ulicę. Bardzo ruchliwą ulicę. Nie miała pojęcia, dokąd idzie.

Tonęła w morzu molekuł, atomów, zmieniających się, wielobarwnych wzorów. Każda chwila przynosiła jej oszalamiającą dawkę retrospekcji, podobnej do snu, który rankiem przyprawia o dreszcz z jak łaskotanie piórkiem. Zginę, pomyślała Phoebe. Nie wytrzymam. Nie chcę tego.



Chcę wrócić. Wiele z kłębiących się myśli wypowiedała na głos — „zginę... nie wytrzymam... nie chcę...” — aż wreszcie jakiś mężczyzna szarpnął jej ramię i zagadał ostro po francusku. Phoebe gwałtownie otworzyła oczy (nawet nie wiedziała, że były zamknięte) i zobaczyła obok mężczyzny kobietę w żółtej, kwiecistej sukience, która radziła jej wziąć taksówkę i wrócić do hotelu. Ułamek sekundy później ta sama kobieta dyskutowała już po francusku ze sprzedawcą gazet i Phoebe zrozumiała, że w istocie nie usłyszała żadnej rady, że tylko się jej zdawało — zupełnie jak w porannym zamroczeniu, kiedy człowiek śni, że był już w toalecie, a potem budzi się i stwierdza, że czym prędzej musi iść za potrzebą. Uniosła rękę, żeby zatrzymać taksówkę — historyczna chwila — i oto stała przed zamkiem, sygnalizując trębaczom, iż mają grać na cześć nadjeżdżającego władcy, jego inkrustowanej szlachetnymi kamieniami korony oraz całego orszaku wozów zaprzężonych w białe konie, wyjeżdżającego właśnie z cienistego lasu. Phoebe wsiadła do samochodu, który zatrzymał się przy krawężniku i natychmiast ruszył. Otworzyła oczy i stwierdziła, że stoi pośrodku zatłoczonego trotuaru, z ręką uniesioną wysoko nad głową.

Potrzebuję pomocy, pomyślała. Potrzebuję pomocy! Zdjęta niesamowitą paniką otworzyła na oścież drzwi pobliskiej restauracji i wbiegła do środka. Lokal był pełen klientów, ale wzrok Phoebe działał teraz jak przystawka do aparatu fotograficznego, zmieniająca obraz w nieczytelną mozaikę kwadratów.

— Pomocy! Potrzebuję pomocy! — wrzasnęła i dokoła zapanowała bolesna, nieruchoma cisza. Phoebe wyczuła w powietrzu dym i woń małży. Mój Boże, pomyślała. Ja naprawdę tu jestem. To nie wyobraźnia.

Podszedł do niej potężnie zbudowany mężczyzna ze smukłym, brązowym papierosem w dłoni i podobnym do stonogi wąsikiem nad ustami.

— Pomocy — wyszeptała Phoebe.

— Źle się pani czuje, *mademoiselle*? — spytał mężczyzna, prowadząc ją pod ramię w głąb sali.

Nie, pomyślała Phoebe, niby jak miałyby mi pomóc? Pozostawanie w bezruchu przez tak długi czas było wystarczającym cierpieniem; czuła, że wezbrała za nią olbrzymia siła, niczym całe tony wody gotowe wtłoczyć się w ciasną rurę. Nie, nie mogła już tego znieść. Odsunęła się od tłustego mężczyzny i wybiegła z restauracji z powrotem na ulicę. Serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe; miała ochotę wypluć je na chodnik i zostawić, żeby wreszcie przestało bić. Napór gdzieś w tyle, za plecami, wciąż narastał, jak gdyby rozkrzyczany tłum próbował przecisnąć się przez wąskie drzwi. Ruszyła przed siebie, z każdą chwilą szła coraz prędzej, ale to coś wciąż było za nią, a może i w niej, płynęło w jej żyłach — chorobliwe przerażenie, jakiego nie czuła nigdy dotąd. Próbowwała zapanować nad paniką, rozumując logicznie: nie ma się czego bać, wszystko będzie dobrze. Czuła jednak, że to nieprawda, a poza tym nie miała już czasu na rozważania. Zaczęła biec, by utrzymać choć pół kroku przewagi nad własnym lękiem. Rozpaczliwie szukała właściwej kombinacji myśli, która uwolniłaby ją z tego koszmaru. Liczby, pomyślała. Czyż liczby nie są logiczne? 1, 2, 3, 86, 87... A może lepiej ciągi słów? Broda, bordo, barwa, brawa. Czuła, że umiera, że za chwilę stanie się coś strasznego, ale co w Lym złego? Faith umarła młodo, dumiała Phoebe, a ja nie robię nic innego, tylko podziwiam ją za to... a przecież nie chcę umrzeć, nie chcę! Myśli przemykały

przez jej głowę jak kule wystrzeliwane z pistoletu maszynowego. Nie chcę umrzeć. Nie chcę umrzeć. Muszę się opanować. Boże, spraw, żeby wszystko było takie jak przedtem. Ale przecież właśnie tego nie chciałaś, podszeptął inny głos, przez całe życie marzyłaś, żeby odrzucić to, co było. Phoebe wiedziała, że to prawda.

Oparła się ciężko o ścianę budynku, starając się połknąć serce cisnące się do gardła. Woda, wierzba, witka, wiatr w skrzydłach aniołów, wiotkie pióra. Zamknęła oczy, ale to nie pomogło. Teraz była już pewna, że śmierć jest blisko. Popeliła przerażający błąd swego życia, nawet bowiem gdyby przetrwała jakimś cudem to piekło, jej mózg na zawsze pozostałby uszkodzony. Usiłowała myśleć o Faith, ale jej umysł przepełniał obraz tych biednych prostytutek o nogach jak zbite owoce, obraz śmieci i fetor rozkładu w samym sercu tego, co zawsze wydawało jej się tak podniecające i tajemnicze. Nie było tu niczego poza przemocą, smutkiem i zgnilizną.

Phoebe uklękła na twardych płytach chodnika. Zamknęła oczy i próbowała się modlić, dzwoniąc zębami mimo upału i rozgrzanych kamieni pod kolanami, ale Bóg musiał chyba ją opuścić; straciła Go z oczu w kalejdoskopie kolorowych pończoch i stożków tlenionych fryzur. A może po tej stronie szyby w ogóle nie było Boga, może właśnie dlatego Faith pochowała różańce i Biblię, kiedy umarł ojciec? Ale Phoebe mimo wszystko usiłowała się modlić, gorączkowo poruszając ustami, z dłońmi splecionymi nad głową i zaciśniętymi powiekami. Od czasu do czasu ktoś pochylał się nad nią i próbował pomóc; jakiś mężczyzna w czarnym garniturze przemówił do niej nawet po angielsku, ale Phoebe nie była w stanie odpowiedzieć, tylko patrzyła na jego twarz, która rozciągała się

i kurczyła z wysiłkiem, gdy odzywał się w coraz to innych językach.

— *Español?Deutsch?Italiano?*— pytał z coraz większym niepokojem, aż w pewnej chwili przyszło Phoebe do głowy, że być może to on jest Bogiem, że po tej stronie lustra Bóg wygląda tak jak inni ludzie, jak zwyczajny facet w garniturze, i w rozpaczliwym odruchu chwyciła go za nogę, wyczuwając ciepłą kość pod ciałem i pod materiałem. Czyżbym chwyciła pana Boga za nogę? — pomyślała.

Mężczyzna wyrwał się i zniknął w tłumie, ale po chwili znowu go zauważyła: przechodził przez ulicę z osobnikiem w mundurze i okrągłej, pudełkowatej czapce. Z policjantem. Phoebe zmusiła się do przyjęcia pionowej pozycji i ruszyła przed siebie, gdyż każda kropla jej krwi była nielegalna, zatruta, pełna trucizny, i dzięki Bogu znalazła taksówkę... *Kochana Mamo, Phoebe i...* „Place Saint Michel” powiedziała do kierowcy tak wyraźnie, że sama siebie zadziwiła... jechali przez chwilę, radio nadało muzykę klasyczną... mleczne pióra gołębi, długie, jedwabiste skrzydła owadów... *Kochana Mamo i Phoebe, i Barry, jesteście w... 4, 5, 6... Ojciec nasz, któryś jest... 7, 8... wczoraj poszliśmy do... 9,19... u spowiedzi ostatni raz byłam cztery miesiące temu... Wilk jak zwykle marudził, a potem pojechaliśmy...*

Kierowca coś mówił. Zatrzymali się. Wskazania taksometru nie miały dla Phoebe najmniejszego sensu. Podawała taksówkarzowi banknoty tak długo, aż wreszcie niecierpliwym gestem odepchnął jej ręce. Wysiadła, rozrzucając w wozie drobne monety, i stanęła na chodniku. Posągi lśniły wokół niej jak solne lizawki. I tylu ludzi. Phoebe obracała się wolno, lustrując wzrokiem okolice, aż wreszcie dostrzegła rzekę i w tym momencie wiedziała już, co

ma robić. Tak, miała już plan wyrwania się z tego koszmaru; wiatr zdawał się pchać jej ciało w stronę rzeki. Kiedy wchodziła na most, obok rzędów hałaśliwych aut, uszy miała pełne odgłosów lasu, dżungli i płynącej wody; wiedziała, co robić — to pocztówki zwodziły ją bez końca, to one były fałszywymi tropami prowadzącymi ją do zguby. Narastała w niej ponura determinacja, 12,13,14,15, *nienawidzę tych zwariowanych*, z kartkami od Faith w dłoni i z fotografią siostry Phoebe wychyliła się nad barierką, *Kochana Mamo, Phoebe i lody*, lazur, lazuryt, lament, lulanie, woda kotłująca się w dole, mnóstwo łodzi, ale nurt nie błękitny, wszędzie ślady rozkładu, kartki od Faith w dłoni — one mnie zabijają, a ja nie chcę umrzeć — woda niezdrowa jak w basenie, którego bała się w dzieciństwie, kiedy włochata pierś i złoty gwizdek „Skacz!”... Phoebe wypuściła pocztówki z ręki — rozsypały się w powietrzu i wirując, pomknęły w dół, coraz mniejsze, jak konfetti, jak w ten dzień raz do roku, kiedy wszyscy wyrzucają z okien skrawki białego papieru, zdjęcie Faith też poszybowało ku wodzie; znowu to zrobiłam, pomyślała Phoebe, posłałam ją do wody po raz drugi; Boże, wybac mi, proszę, albo ona, albo ja, któraś z nas musiała odejść, wybac mi, Ojcze, nic nigdy nie wydarzało się tak, jak zaplanowałeś, to lekcja życia cha, cha, cha, 19, 18, 17, pocztówki unosiły się na wodzie, wreszcie uwolniła się od nich, dzięki Bogu, pomyślała, i wiedziała, dokąd pójdzie teraz, szła, a może udawała, że idzie; gdyby skoncentrowała się wystarczająco mocno, mogłaby po kawałeczku zorganizować świat na powrót, zanim znowu pękłby w szwach, wybac mi, Ojcze, dochodziła już do hotelu, prawdziwy cud.

— Wybac mi, Ojcze, bo zgrzeszyłam — wymamrotała na głos, wspinając się po schodach do pokoju, błękitnego

pokoju, w którym zostawiła na podłodze wymięty plecak. Wybacz mi, Ojczy.  
Opadła z zamkniętymi oczami na zapadnięte łóżko, ale nie znalazła tam ani ciemności, ani spokoju; czuła się tak, jakby trafiła do wnętrza radia, w którym co chwilę ktoś zmienia stację. Kochana Phoebe, nie uwierzyłabyś jak... Strzępy światła, przenikliwe brzmienie gitar, samochody przesuwające się dołem w błyskach błękitu, dłonie na piersiach w zaskakująco kojącym geście, 91, 92, 93, i tak bez końca, obóz letni, butelki z piwem na ścianie, rozkołysany, żółty autobus, Faith — ulubienica kierowcy na przednim siedzeniu, jej długie włosy gorące od słońca, roztopione jak olej, głosy dzieci, panna Mary Mack, Mack, Mack, 102, 103, kocham cię, pomyślała Phoebe, kocham cię i zrobię dla ciebie wszystko, ale nie chcę umrzeć, przykro mi, ale wyrzuciłam je, proszę cię, Boże, wybacz mi, ale to było złe, 29, 30, nic nie działało tak, jak powinno. Phoebe wstała i podeszła do maleńkiej umywalki z lustrem. Jej odbicie było morzem mieniających się barw, purpury, zieleni, różu, z kompletnie czarnymi źrenicami. Dziwna twarz, rytualna maska wycięta w jej obliczu... Phoebe zamknęła oczy i znowu je otworzyła, potrząsnęła lustrem, odwróciła się i obejrzała znienacka, by dopaść swą podobiznę z zaskoczenia.... tkanina, tarnina, modry, mądry, 68, 67, 66, ale twarz uparcie trwała, obojętna na jej wysiłki; zabiłam ją, pomyślała Phoebe, patrząc na puste odbicie i prawie czując w ustach smak własnego serca, niech to szlag... Kochana Mamo, Phoebe i... W nagłym ataku szału Phoebe grzotnęła pięścią w lustro, roztrzaskując własne, wystraszone spojrzenie na desze z połyskujących odłamków, które zabrzęczały o dno umywalki.

Czuła ból w dłoni. Uniosła ją na wysokość twarzy i zobaczyła nieduży fragment lustra wbity w miękką tkankę między palcem wskazującym a środkowym. Ciepła, czerwona krew spływała po jej przedramieniu aż do łokcia. Phoebe patrzyła na gęstą ciecz, zafascynowana jej obfitością i nasyceniem ekstrawaganckiego koloru, na co dzień ukrytego pod zupełnie zwyczajną skórą. Poczowała, że powraca spokój, że czuje chłód w piersi i głowie, jakby puls ciepłej krwi wypłukiwał z niej gorączkę. Nie, pomyślała, tym razem nie umrę. Krew i ból wydawały jej się dobre w dawnym życiu, ale teraz trzeba z tym skończyć, wierzę, że tak będzie. Dzięki ci, Boże, dziękuję ci, kochany Boże, *kochana Phoebe...* Zdrowaś Mario, trzy życzenia, po pierwsze chcę dostać z powrotem moje życie, proszę cię, Boże, rysy na suficie, maleńkie owady, proszę cię, Boże, chwile ciszy, nicości i chłodu w piersi, serce powoli wraca do dawnego rytmu. Phoebe wyciągnęła spod skóry odłamek szkła, rozkoszując się strasznym bólem, który sięgnął aż do serca i przez chwilę zaciskał się wokół niego jak pięść, a potem umknął z jej ciała ostatnią, ciepłą falą.

## CZĘŚĆ TRZECIA



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Drzewa rosnące przed niegdyś wspaniałym, a obecnie rozpadającym się budynkiem, w którym mieszkali kuzyn Kyle'a Steven Lake i jego żona Ingrid, okryte były olśniewająco białym kwieciami. Phoebe kręciła się po ulicy, nie chcąc budzić mieszkańców o tak wczesnej porze. Przyjechała do Monachium nocnym pociągiem z Paryża, nie uprzedzając Lake'ow o swojej wizycie. Obawiała się, że odmówią pomocy, twierdząc, że nie mają dla niej miejsca.

Czekając, przysiadła na schodkach przed wejściem. Od przygody z kwasem minęło kilka dni. Z początku ból głowy był nieznośny, a szaroniebieskie sińce rozlewały się z czoła na skronie i znikwały pod włosami. Pierwsze dwa dni Phoebe spędziła w łóżku, leżąc nieruchomo i nasłuchując rozproszonych odgłosów dolatujących z ulicy. Bała się ruszyć. Membrana oddzielająca ją od świata LSD wydawała jej się niezwykle cienka, jak ciemiączko noworodka. Nagły, zbyt energiczny ruch mógł ją przebić, a wtedy Phoebe wpadłaby z powrotem na drugą stronę. Wreszcie bardzo, bardzo ostrożnie zeszła po nie kończących się schodach, by zapłacić za pokój i kupić coś do jedzenia.

Trzeciego dnia zaczęła czytać opowiadania Dickensa — dziwnym trafem historie kowali, kucharek i bożonarodzeniowych pieczeni były tym, czego potrzebowała.

Początkowo zastanawiała się, czy nie wrócić do domu. Im dłużej jednak o tym myślała, tym bardziej powrót wydawał się jej niemożliwy — zupełnie jak wtedy, gdy skręciła w wąską uliczkę pełną wrogo nastawionych kobiet i stwierdziła, że droga powrotna byłaby równie długa jak ta, którą miała przed sobą.

Kiedy ból głowy stał się mniej dokuczliwy, Phoebe zajęła się naprawą szkód, które wyrządziła w wynajętym pokoju. Poruszała się bardzo wolno, jak gdyby każda kość w jej ciele była złamana i niedawno nastawiona. Owinęła szczątki lustra w koszulkę i przemyciła na ulicę, gdzie wyrzuciła je do śmietnika. Krew z rany na dłoni zaplamiła prześcieradło, ale po kilku rundach prania i suszenia na słońcu skaza (a może i cała pościel) wyblakła znacząco.

Pocztówek od Faith nie było. Phoebe pamiętała, że wyrzuciła je do Sekwany. Uświadamiała sobie też mgliście to głębokie przekonanie, iż krok ten był warunkiem przetrwania, ale nie wiedziała dlaczego. Nie miała już niczego, co mogłoby ją prowadzić. A skoro miała wybierać kolejny cel podróży w przypadkowy sposób, to czy miało jakiegokolwiek znaczenie to, czy naprawdę tam pojedzie? Adres krewnego Kyle'a, Stevena Lake'a, wciąż widniał na bibułce różowego skręta, którego przez cały czas przechowywała na dnie portfela.

Phoebe oparła się o plecak i zapadła w płytki sen. Obudziła się punktualnie o dziewiątej, wspięła się po kilku stopniach i wcisnęła trzeci klawisz domofonu. Głośnik odpowiedział najpierw trzaskiem, a potem głosem mężczyzny mówiącego po niemiecku.

— Szukam Ste-ve-na La-ke'a — powiedziała, starannie sylabizując imię i nazwisko.

— Steve i Ingrid spędzają lato w Brukseli — odparł ten

sam głos, tym razem po angielsku z amerykańskim akcentem.

— W Brukseli — powtórzyła.

— Tak. Tymczasowo wynajmuję ich mieszkanie. Mogę podać adres... Halo?

Phoebe czuła się tak, jakby ześlizgiwała się po stromym zboczu wzgórza.

— Halo?

— Miałam... dać mu... — wyjąkała.

Domofon wyłączył się. Phoebe odwróciła się w kierunku pustej ulicy. Od strony drzew dolatywał słodki, delikatny zapach kwiatów. Tak, to było Monachium. Kiedy odezwał się brzęczyk, Phoebe obróciła się na pięcie i całym ciałem naparła na drzwi.

— Trzecie piętro — zawołał głos.

Klatka schodowa była dość ciemna. Phoebe rozpoczęła wspinaczkę, uginając się pod ciężarem plecaka. Usłyszała czyjeś kroki i przez zasłonę rozpuszczonych włosów dostrzegła wysokiego mężczyznę w okularach o drucianej oprawie. Przemknęło jej przez myśl pytanie, czy targanie plecaka na trzecie piętro ma sens, skoro Stevena Lake'a nie ma w domu.

— Pomogę ci — powiedział mężczyzna, zdejmując plecak z jej ramion.

Phoebe spostrzegła, że omiótł ją uważnym spojrzeniem. Siniaki na jej twarzy wciąż były dobrze widoczne; zwłaszcza pod oczami i na skroniach utrzymywały się szarawe cienie. Spuściła głowę.

Mężczyzna sprężystym krokiem wszedł na półpiętro. Wyczuwała pośpiech w jego ruchach, zapewne pilno mu było do innych zajęć.

— Jesteś przyjaciółką Steve'a? - zapytał przez ramię.

— Nie. Ale znam jego kuzyna, Kyle'a Mariona.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku.

— Chyba nie Kyle'a Mariona z San Francisco?

— Właśnie tego! — odpowiedziała Phoebe. — Zna go pan? Na chwilę zapadła cisza.

— Chodziłem z nim do ogólniaka — odparł w końcu nieznajomy.

Ciekawość wreszcie zwyciężyła: Phoebe uniosła głowę i nie zważając na kondycję swojej twarzy, spojrzała mu prosto w oczy. Uświadomienie sobie jego tożsamości spadło na nią nagle, jak jaskrawy błysk pioruna, wywołując gęsią skórkę na nogach i głowie.

— Wilk — powiedziała.

Jego twarz odbarwiła się w jednej chwili. Patrzyli na siebie bez słowa. To był Wilk. Wyglądał tak, jakby miał stracić przytomność.

— Jestem Phoebe — powiedziała.

— Wiem, kim jesteś — odparł Wilk i przyciągnął ją ku sobie, po czym objął ramionami tak, że zaraz przypomniała sobie ich dotyk. — Jezu, Phoebe. Wiem, kim jesteś. — Cofnął się o krok, żeby spojrzeć na nią jeszcze raz, z niepewnym uśmiechem starszego wiekiem krewniaka, który ogląda dawno nie widzianą kuzynkę. Oparł dłonie na barkach Phoebe. Ciężki plecak zawisł krzywo na jego ramieniu. — Phoebe O'Connor — powiedział. — A niech mnie.

Wydawał się jej mniejszy, niż pamiętała. Przez te wszystkie lata rósł w jej wyobraźni jak balon, przybierając na wielkości i sile dwukrotnie szybciej, niż sama dorastała. Teraz jego postać wydawała jej się wręcz krucha. Tylko twarz pozostała niezmienną: białe zęby i wąskie, szarzielone oczy jak u zwierzęcia, któremu zawdzięczał swój przydomek, a powyżej ciemne włosy, które niegdyś sięgały mu do połowy pleców, a teraz, obcięte krótko, ster-

czały nieznacznie. Nie był już tak opalony jak dawniej, ale bez wątpienia pozostał Wilkiem — tym samym Wilkiem, znanym Phoebe aż po czubki dłoni, które teraz obejmowały jej barki, a kiedyś wprawnie zwijały skrety, minimalnymi ruchami kierowały półciązarówką i delikatnie pieściły włosy jej siostry.

— Co ty tu robisz? — spytał Wilk.

— Podróżuję. — Było to jedyne wyjaśnienie, na jakie zdobyła się w tym momencie. — Skąd znasz Stevena Lake'a?

Wilk potrząsnął głową.

— Amerykanie w Monachium — mruknął. — Znam go od lat.

— I nie wiedziałeś, że jest kuzynem Kyle'a?

— Nie miałem pojęcia. A czy... Steven nie jest czasem z Nowego Jorku?

Wspinali się już ostatnim ciągiem schodów. Phoebe minęła otwarte drzwi i znalazła się w obszernym salonie z widokiem na podwórze. W przeciwieństwie do zdewastowanej elewacji budynku, mieszkanie Stevena było w świetnym stanie: ściany i drewniana podłoga błyszcząły nowością.

— Usiądź albo rozejrzyj się po pokojach, czuj się jak u siebie w domu — powiedział Wilk, stawiając plecak tuż za drzwiami. — Kawy?

Phoebe poszła za nim do kuchni. Jego kształty jednak się nie zmieniły, pomyślała. Szeroki tors i długie nogi, tylko te gabaryty jakieś dziwne... Nie był większy od zwykłego, wysokiego mężczyzny. Wilk nastawił czajnik i odwrócił się do Phoebe z uśmiechem.

— Urosłaś — powiedział.

Phoebe skrzyżowała ramiona na piersiach.

— Kiedy widziałem cię po raz ostatni, byłaś dzieckiem.

— Miałam dziesięć lat — odpowiedziała.

— A teraz? Szesnaście? Siedemnaście?

— Osiemnaście.

— Osiemnaście — mruknął Wilk. — Boże, wciąż zapominam, że to już tyle czasu.

Odezwał się gwizdek. Wilk włożył grubą rękawicę, zdjął czajnik z palnika i wlał do filtra strugę wrzącej wody.

— Masz krótkie włosy — powiedziała nieśmiało. — I okulary.

— Zawsze miałem okulary, tylko że nigdy ich nie nosiłem — odparł ze śmiechem. — Ach, moja rozmazana młodość...

— Wyglądasz inaczej — stwierdziła Phoebe. Nie umiała się z tym pogodzić. — Wyglądasz... bo ja wiem... poważnie.

Wilk uśmiechnął się odrobinę cierpko.

— Świat się zmienia.

Zanieśli kubki do salonu i usiedli na pasiastej, niebieskiej kanapie. Przez okno wnikały promienie przedpołudniowego słońca. Teraz dopiero, w jaskrawym świetle, Wilk pochylił się nagle ku Phoebe i spojrzał z uwagą na jej czoło.

— Co ci się stało? — spytał łagodnie.

— Upadłam.

Wilk delikatnie przyłożył dłoń do jej czoła. Chłodny dotyk sprawił jej przyjemność.

— Wygląda to raczej tak, jakby ktoś cię pobił — zauważył. — Jak to się stało?

— Szkoda gadać — odparła Phoebe. — Schody.

Wilk porzucił temat, ale wyczuwała, że zrobił to niechętnie. Jego troska działała na nią jak balsam.

Ostre światło raziło ją w oczy; zamknęła je na chwilę i ułożyła się wygodnie. Przebywanie w prawdziwym domu wydawało jej się niebywałym luksusem.

— Jak się czuje mama? — spytał Wilk.

— Chyba dobrze. Znalazła sobie faceta. I szefa w jednej osobie. Pamiętasz Jacka Lamonta?

— Zalewasz!

— Przysięgam na Boga — obruszyła się Phoebe. Była zadowolona, że Wilk docenia dziwaczną wyboru jej matki.

— Cóż... To fantastycznie — powiedział po chwili. — Jeżeli jest szczęśliwa, to fantastycznie. A Bear? Co porabia nasz stary Barry?

— Jest milionerem — odparła Phoebe i pokrótce streściła historię sukcesu brata.

— Jest na świecie sprawiedliwość — stwierdził Wilk, szczerząc zęby w uśmiechu. — Zawsze lubiłem twojego brata.

Phoebe miała bolesną świadomość, że jak dotąd żadne z nich nie wymówiło imienia Faith.

Zastanawiała się, czy w oczach Wilka jest tak podobna do siostry, jak twierdzili inni. Miała nadzieję, że tak.

Wilk rozparł się swobodnie na kanapie, rozkładając ramiona na krawędzi oparcia.

— Phoebe O'Connor — powiedział. — Mam w głowie bardzo wyraźny obraz ciebie: siedzisz przed domem, machając do nas, a my jedziemy na lotnisko.

Roześmiała się, zakłopotana.

— Naprawdę to pamiętasz?

— Byłaś boso — dodał, lekko łamiącym się głosem. Phoebe pamiętała absolutny bezruch, który zapanował

na ulicy w chwili, gdy wóz odjechał. Było tak, jakby wszystko, co głośnie i jasne, zniknęło z powierzchni Ziemi, spakowane razem z muszelkowymi wisiorami, opaskami na włosy i resztą ekwipunku. Phoebe klękła wtedy na podjeździe i dotknęła ciepłego miejsca, w którym

stała półciężarówka. Trzymała na nim dłoń, aż ostygło i jeszcze dłużej, przez wiele minut, aż zaczęła szcząkać zębami w porannej mgle.

— Mniejsza z tym — odezwał się Wilk. — Opowiedz mi o wszystkim, co się działo od tamtej pory. Phoebe roześmiała się.

— Sporo by tego było — powiedziała, choć oczywiście w jej życiu działo się tak niewiele.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon. Wilk wyszedł

i po chwili Phoebe mogła podziwiać przez otwarte drzwi jego wirtuozerską niemczyznę. Brzmienie tego języka kojarzyło się jej z dźwiękiem przycinania krzewów za pomocą wielkiego sekatora.

— Brzmisz jak rodowity Niemiec — pochwaliła, kiedy wrócił do salonu.

Wilk zaśmiał się z cicha.

— W tej chwili właściwie jestem Niemcem — odpowiedział. — Jestem legalnym rezydentem, więc mam prawo do pracy i w ogóle. Moja dziewczyna, Carla, jest Niemką. To ona dzwoniła. Kiedy się pobierzemy, dostanę obywatelstwo.

— Żenisz się?

— Tak — odparł Wilk z wahaniem. — Zaręczyliśmy się w marcu.

— Aha. — Phoebe czuła się tak, jakby wymierzono jej potężny cios. Posiniaczona głowa znowu zaczęła boleć.

— Pewnie przykro ci tego słuchać — powiedział Wilk. — Przepraszam.

Phoebe kiwnęła głową i spojrzała w okno. Jakiś ptak zawisł za szybą jak olbrzymi komar.

Życie Wilka posunęło się naprzód, pomyślała. Dziwne było nie to, że coś takiego się wydarzyło, ale to, że nagle



się o tym dowiedziała. W jej pamięci aż do tej chwili był półnagim, spalonym słońcem, beztroskim młodzieńcem. Czuła wstyd, spotykając człowieka, o którym śniła przez tyle lat, i miała nadzieję, że nie wyczyta najskrytszych uczuć z jej twarzy.

— Jak to się stało, że wylądowałeś w Niemczech? — spytała.

Wilk znowu usiadł obok niej. Wyjaśnił, że w ogóle nie wrócił do Stanów. Przez lata przebywał w Niemczech Zachodnich nielegalnie, pracując w restauracjach i fabrykach. Studiując biochemię w Berkeley, uczył się niemieckiego, toteż nie miał problemów językowych.

— Przerwałeś studia, prawda? — spytała Phoebe. — Żeby pojechać z Faith do Europy?

Nareszcie. Imię jej siostry szczelnie wypełniło pokój. Phoebe miała ochotę powtórzyć je jeszcze raz, może nawet wykrzyknąć.

— Tak — odparł Wilk. — Wtedy gardziłem Ameryką. Oddałbym wszystko, żeby się stamtąd wyrwać.

Przywołanie imienia Faith wywołało zamierzony skutek. Na długą chwilę zapadła pełna szacunku cisza.

— A teraz jestem tłumaczem — podsumował w końcu Wilk. — Przekładam głównie techniczne teksty — prospekty i sprawozdania roczne firm, które robią interesy w Stanach. Wiele z nich to koncerny farmaceutyczne, więc biochemia nie była totalną stratą czasu. Powiem ci, że nawet bardzo się przydaje.

— Więc wszystko świetnie ci się ułożyło — stwierdziła smutno Phoebe.

Wilk zastukał dwa razy w stolik do kawy, jakby zaniepokoiły go jej słowa. A może po prostu czuł się winny, obnosząc się ze swoim szczęściem?

— Och, byłabym zapomniała — odezwała się Phoebe, zanurzając rękę w torebce w poszukiwaniu portfela. — Miałam to oddać Stevenowi Lake'owi. To od Kyle'a.

Wyjęła różowego skręta z przegródki portfela. Był zgięty i brudny po długiej podróży. Wilk uśmiechnął się, widząc, w jakim jest stanie.

— Zachowamy go dla Steve'a — powiedział.

Łazienka była wyłożona nieskazitelnie białymi kafelkami. W szafce z lekarstwami Phoebe znalazła buteleczkę perfum Estee Lauder i kilka jasnobrązowych spinek do włosów, ułożonych w zgrabny stosik. Para nefrytowych kolczyków w kształcie łezek i butelka balsamu o zapachu kokosowym — wpatrywała się w te przedmioty, próbując wyobrazić sobie kobietę, która je kupiła, używała ich, a następnie tak starannie schowała. Panujący w łazience porządek był absolutnym przeciwieństwem wiecznego, radosnego bałaganu w osobistych rzeczach Faith, a jednak ilekroć Phoebe usiłowała wyobrazić sobie twarz Carli, nieodmiennie miała przed oczami wizerunek siostry.

Biorąc gorący prysznic, znowu poczuła ból w dłoni. Początkowo w rozcięcie po odłamku lustra wdała się infekcja; teraz gojenie przebiegało poprawnie. Phoebe poruszała się ostrożnie, jak gdyby ceramiczne płytki, którymi wyłożono kabinę prysznicową, były kruche niczym skorupki jajek. Jestem w mieszkaniu Wilka, pomyślała, czekając na gwałtowny przypływ radości z powodu tej cudownej sytuacji, ale uczucia, które odbierała, były raczej letnie. Zbyt wiele się wydarzyło; odnalezienie Wilka stało się tylko spełnieniem nadziei porzuconej po tym,

jak podróż na stary kontynent zmieniała się z przygody w walkę o przetrwanie. Dlaczego właściwie przybyła do Europy? Phoebe nie była już pewna. Wiedziała tylko tyle, że cudem ocalała z koszmaru. Perspektywa udawania przed Wilkiem szczęśliwej dziewczynki na wakacjach męczyła ją i kazała marzyć o tym, by długie chwile w łazience nigdy nie dobiegły końca.

— Kim jest twoja narzeczona? — spytała Phoebe, spacerując z Wilkiem szerokimi, królewskimi alejami Monachium.

Nad kościołami podobnymi do wielkich, ozdobnych kredensów rozciągało się czyste, błękitne niebo. Zegary na wieżach wybijały południe.

— Lekarką — odparł Wilk.

— Lekarką. Aha. — Jego dziewczyna wydała się Phoebe stara. — Pewnie jesteś teraz wyjątkowo zdrowy — zażartowała.

Wilk roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu, jakby jego śmiech był substancją podobną do dymu i kontakt z nią mógł urazić Phoebe.

— Powoli zdrowieję — odpowiedział z uczuciem. — Nie jestem najłatwiejszym pacjentem.

Wyciągnął rękę w stronę gmachów, które właśnie mijali: muzeów malarstwa dawnego i współczesnego oraz politechniki, w której jesienią miał poprowadzić kurs dla tłumaczy. Phoebe nie poświęcała budynkom zbyt wiele uwagi. Patrzyła przede wszystkim na Wilka, nie mogąc się nadziwić, że to ten sam chłopak, na którego barkach jeździła po Haight Street, kopiąc go w zebra, żeby biegł szybciej. Niewykluczone, że i on wspominał tamte czasy, bo nagle spytał, czy San Francisco bardzo się zmieniło.

— Diabelnie — odparła Phoebe. — Nie uwierzyłbyś.  
— Jak? To znaczy: na czym polegają te zmiany?  
— Naprawdę ani razu nie zajrzałeś do kraju?  
— Zajrzałem — przyznał. — Parę razy. Ale moi rodzice mieszkają teraz w Tiburon. Nie odwiedzałem starych miejsc.  
— Nie miałeś powodu.  
— A co z naszym ogólniakiem? Z tego, co słyszałem, atmosfera jak w latach pięćdziesiątych: cheerleaderki, futbol...  
— Muzyka disco — odparła Phoebe. — Wszyscy tańczą w dyskotekach.  
— Brzmi to zdrowo — stwierdził Wilk, parszając śmiechem. — I... niewinnie.  
Phoebe spojrzała na niego ze zdumieniem.  
— Nie do wiary, że słyszę od ciebie coś takiego.  
— Wiek — odparł Wilk i uśmiechnął się.  
Weszli do Hofgarten, rozległego i zadbanego parku pełnego czerwonych i białych kwiatów rosnących w prostokątnych klombach oraz krzewów sięgających ud, przyszytych na podobieństwo murów. W głębi parku znajdował się budynek z kolumnadą, otoczony pierścieniem drzew. Okryty był kopułą z ciemnego metalu, podobną do hełmu z brązu.  
— Coś jednak musiało pozostać — odezwał się Wilk. — Z dawnych czasów... może coś niezbyt ważnego... — Phoebe dostrzegła zmianę w jego głosie: cień smutku. Opowiedziała mu o Wzgórzu Hipisów, o Panhandle i o Haight Street pełnej ćpunów. O dziwo, z każdym słowem, którym opisywała swoje rozczarowanie i gorycz dotyczące tamtego świata, czuła coraz silniejszą tęsknotę za tym, co zostawia: za domem.  
Zwolnili nieco, a potem stanęli opodal budynku z ko-

pułą z brązu, która w promieniach słońca mieniła się złociście. Wilk cofnął się o dwa kroki i uniósł rękę w górę, nie spuszczając wzroku z Phoebe.

— Zaczekaj — powiedział cicho. — Zostań tu.

Obejrzała się, by podziwiać kopułę, lśniąca masę czerni i złota. Kiedy znowu popatrzyła na Wilka, klęczał na jednym kolanie. Omal się nie roześmiała, ale głos uwiązał jej w gardle. Mężczyzna wyglądał na osłabionego, a jego wzrok był pusty jak u lunatyka.

— O co chodzi? — spytała łagodnie.

Wstał i wolno otrzepał pył z nogawki dżinsów.

— Co jest, Wilku?

— Nic — odpowiedział w roztargnieniu. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego, jakby sam nie wiedział, co się stało. — Chodźmy stąd.

W milczeniu wyszli z parku. Phoebe nie pytała więcej. Kiedy Wilk patrzył na nią na ścieżce, dostrzegła w jego twarzy coś, co przywiodło jej na myśl otwierające się na moment drzwi do ciemnego pokoju. Nie miała pojęcia, co to mogło oznaczać, ale w jakiś sposób cieszyła się, że była świadkiem tej krótkotrwałej przemiany.

Jedli lunch w jednej z najstarszych restauracji Monachium. Siedzący przy stolikach biznesmeni otoczeni byli kłębamii dymu papierosowego oraz wonnymi obłokami piwa, soli i natłuszczonego drewna. Okna miały romboidalne kształty. Wilk i Phoebe weszli po wąskich schodkach i zostali usadzeni przy odrapanym stole z desek. Zamówione piwo podano w dzwonowatych szklankach wysokich jak butelki do wina. Wilk wznosił toast.

— Za przyjemność picia z tobą, Phoebe. I to legalnie. Kto by pomyślał?

Phoebe pociągnęła łyk słodowego piwa z oszronionej szklanki. Smak był tak pełny, jakby napój sam w sobie był kompletnym posiłkiem. Nie piła alkoholu od chwili, kiedy Piętro oddał jej swoją lampkę szampana w Epernay. Wydawało jej się, że tamte chwile należały do innego, poprzedniego życia.

Wilk przyglądał się jej uważnie.

— A tak w ogóle — powiedział — to mam na imię Sebastian.

— Sebastian — powtórzyła Phoebe, parszkając śmiechem. Miała wrażenie, że piwo zalewa jej mózg.

— Niemożliwe. Sebastian?!

Wilk także się roześmiał, nieco wymuszenie. Phoebe pomyślała, że Carla, jako lekarz, musi być raczej poważną osobą. Szybko przestała się śmiać.

— W tej chwili jednak czuję się bardziej jak Wilk — przyznał mężczyzna. — I nie zaprzeczę, że to przyjemne.

— A może powinnam mówić do ciebie: Sebastianie? Uśmiechnęli się jednocześnie. Wypowiedziane imię nedorzecznie zawisło w powietrzu.

— Lepiej mów „Wilku” — odparł. — Co mi tam — mruknął i dodał po chwili: — W przyszłym roku stuknie mi trzydziestka, dasz wiarę? — Myśl o tym wydarzeniu jakby go zasmuciła. Spoważniał, jak gdyby przypomniawszy sobie o nie dokończonych sprawach, które powinien zamknąć przed tą datą.

— Trzydziestka to jeszcze nie starość, Sebastianie — rzuciła kpiąco Phoebe.

— *Danke schön* — odpowiedział.

Zamówił kielbaski z kwaszoną kapustą. Podano je na

wyszczerbionych, metalowych talerzach. Phoebe jadła, aż zrobiło jej się słabo, popijając drugim piwem. Wilk wysuszył jeszcze dwa. Lekko pijana, Phoebe czuła, że terażniejszość zaczyna wymykać się jej z rąk; coraz słabiej pamiętała, kogo właściwie usiłuje udawać. Niepewność w tej kwestii kazała jej milczeć.

Coraz więcej gości opuszczało restaurację, jakby niesłyszalny gwizdek wezwał zebranych przy stołach biznesmenów z powrotem do biur. Przez okna wpadały promienie bladego światła, tnące zadymione powietrze na pasy o przekroju diamentów. Wilk zapalił papierosa.

— Wiele o tobie myślałem, Phoebe — powiedział. — Przez wszystkie te lata.

Phoebe była wzruszona i zdumiona tym, że Wilk w ogóle o niej myślał.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Miałem nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

Milczeli przez chwilę.

— I chyba jest — odpowiedziała nerwowo Phoebe.

— Wiem, że głupio to zabrzmiało, ale muszę to powiedzieć — ciągnął Wilk. — Mam nadzieję, że nie cierpiałaś zbyt mocno.

Phoebe poczuła, że się rumieni.

— Sama nie wiem — odparła. — To znaczy... Wilk potrząsnął głową.

— To pytanie... musiałem zadać bardziej dla siebie niż dla ciebie — powiedział. — Przepraszam.

— W porządku — odrzekła, nieco wytrącona z równowagi. W istocie dość rzadko zastanawiała się nad tym, jaki wpływ na jej życie miała śmierć Faith. Tamta chwila jakoś zamazała się w jej pamięci: kojarzyła tylko bladą twarz matki stojącej w drzwiach i, z niewyjaśnionych przyczyn,

niebieskiego konika o kanciastym korpusie i wielkich oczach, którego wyciągnęła z automatu w sklepie obuwniczym. Tulila do siebie tę maskotkę, próbując uwierzyć, że siostra naprawdę zginęła.

— Kiedy widziałeś Faith po raz ostatni? — spytała.

W oczach Wilka znowu pojawił się dziwny błysk bólu albo niepokoju, podobny do tego, który zauważyła wcześniej, przy kopule z brązu.

— W sierpniu — odpowiedział. — Tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego. Przenieśliśmy się z Paryża do Berlina. Oszczedłem od niej w sierpniu, a zginęła w listopadzie... jak wiesz. — Pochylił się i oparł o blat stołu, jakby próbował zdusić ból brzucha. — Opuściwszy Berlin, przyjechałem tu, do Monachium. Miałem nadzieję, że dotrze tu za mną, ale nie dotarła. Byłem tu, kiedy to się stało; rodzice mnie zawiadomili. Rozmawiałem z twoją mamą, opowiedziałem jej o wszystkim, co wiedziałem, ale niewiele tego było.

— Pamiętam, jak z nią rozmawiałeś — wtrąciła Phoebe.

— Przez cztery albo i pięć lat byliśmy w kontakcie. Zgłaszałem się od czasu do czasu, a ona za każdym razem była po prostu wspaniała. Ilekroć dzwoniłem, mówiła: „Zawsze miło cię słyszeć, Wilku, ale jeśli kiedyś nadejdzie taki moment, że już nie będziesz miał ochoty dzwonić, zrozumieć”.

— Wilk uniósł pustą szklanicę i odstawił z powrotem. Bez opalenizny jego oliwkowa skóra wyglądała dość szaro. — To Faith nie chciała, żebym z nią był. Taka jest prawda — dodał po chwili.

— Wiem.

Wyglądał na wystraszonego.

— Z pocztówek — wyjaśniła Phoebe. — Zachowałam je. Wilk poruszył się niespokojnie.



— Co ci napisała?

— Tylko tyle, że cieszyła się, kiedy odszedłeś. Hamowałaś ją, a teraz była wolna.

Usta mężczyzny drgnęły nieznacznie i Phoebe pożałowała, że powiedziała mu prawdę. Wilk zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa w popielniczce.

— Nie muszę chyba mówić, że bardzo często się zastanawiałem, dlaczego to się stało — powiedział.

— Ale nie wiem. Naprawdę nie wiem dlaczego.

— A ja chciałabym wiedzieć - odparła Phoebe.

— To zrozumiałe.

-I właśnie dlatego tu jestem - ciągnęła, nie mogąc powstrzymać się dłużej przed szczerym wyznaniem. — Odwiedzam każde miejsce, w którym się znalazła, aż do samych Włoch. No, wiesz: do Comiglii, gdzie to się stało.

Wąskie oczy Wilka rozszerzyły się znacznie.

— Jezu — powiedział, ale ona nawet tego nie zauważyła. Po raz pierwszy od wielu dni — a może i tygodni — dezorientacja ustąpiła i nagle Phoebe znowu wiedziała, dlaczego przyjechała do Europy. Chciała wiedzieć, co się wydarzyło.

— Jak sądzisz, czego się dowiesz, jadąc... w to miejsce? — spytał Wilk.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała radośnie. Wilk pokręcił głową.

— Ja też nie.

Spoglądając na niego, Phoebe wyczuła, że zdradziła mu coś, co sprawiło, że postrzegał ją nieco inaczej. Zmieniło się też jej zdanie o nim - teraz był mężczyzną, który już prawie podniósł się z upadku. Jego „kurczenie się” wyglądało na element tej ewolucji, zupełnie tak, jak gdyby w przypadku Wilka „starszy” oznaczało „mniejszy”.

— Jak to się stało, że nie wróciłeś do domu? — spytała Phoebe.

Wilk wziął głęboki wdech i wyciągnął z paczki nowego papierosa, ale nie zapalił go.

— Nie mogłem — odparł. — Miałem zacząć tam od nowa, jakby nic się nie stało? Niby jak? — Jego twarz sprawiała wrażenie nagiej, odartej z czegoś. — Więc czekałem. Lata mijały i w końcu okazało się, że właśnie to jest moje nowe życie.

Rozłożył ręce i wykrzywił usta w swym nowym, pełnym wahania uśmiechu. Phoebe także się uśmiechnęła. Połączyła ich na krótko nić zrozumienia, jakby po raz drugi tego dnia spotkali się na schodach i rozpoznali się po latach.

Było późne popołudnie, kiedy ruszyli w drogę powrotną. Wilk chciał zaczekać w mieszkaniu na Carłę, która wkrótce kończyła dyżur w szpitalu. Phoebe popadła nieomalże w śpiączkę, wywołaną nadmiarem piwa i słabością. Postanowili, że będzie spała u Steve'a, Wilk zaś przenocuje u Carli i wróci po Phoebe rano. Chciał zabrać ją na przejażdżkę po okolicy i pokazać kilka zamków.

Zauważyła, że spoglądał na nią ukradkiem coraz częściej, jakby jej przyjazd wprawiał go z każdą godziną w większe zdumienie.

— Cholera, dziwne jest to życie — mruknął, kiedy stanęli przed blokiem.

— Ale i dobre — odpowiedziała. — Nie?

Drzewa sypały na ich głowy białe płatki kwiatów, podobne do sztucznego śniegu.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie była to może stara półcieżarówka Wilka, ale pomarańczowy garbus z opuszczonym dachem i kaseciak z rzeżącą Janis Joplin budziły w Phoebe jednoznaczne skojarzenia. Wilk prowadził dokładnie tak, jak pamiętała z dawnych czasów: wyciągnięty leniwie w fotelu, z ręką ułożoną na kierownicy tak, jakby miała poruszać lekkim wachlarzem dmuchającym na jego twarz, a nie sterować rozpedzonym samochodem.

Kierowali się na południe, ku zamkom króla Ludwika. Rano Wilk wrócił od Carli z ciemnym chlebem, jajkami i gruszkami, by przygotować Phoebe śniadanie. Opracował precyzyjny plan zwiedzania — było to kolejne odstępstwo od dawnych reguł. Phoebe pamiętała, że miał zwyczaj zaganiać ludzi na pakę swej półcieżarówki i wywozić ich w stronę wzgórz bez określonego celu, wzbijając spod kół tumany pyłu.

Tego ranka czuła się wyjątkowo czysta. Spędziła pod prysznicem trzydzieści minut, szorując stopy, nogi i łokcie, gdzie, jak się jej zdawało, zgromadziła się niewidzialna warstewka martwej skóry. W końcu otworzyła buteleczkę perfum Chanel - którą wozila ze sobą od początku wyprawy — i użyła ich, jak się okazało, w sposób nieco zbyt odważny (Wilk stwierdził, że od tygodni nie miał tak czystych zatok). Dziwnie się czuła, znalazłszy się na-

gle tak daleko od kłopotów. Za ledwie wczoraj uważała za konieczne ukrywanie przed Wilkiem wszelkich problemów; teraz mogła w ogóle o nich zapomnieć. Nerwowa, samotna dziewczyna, z ostatnich tygodni, była dla niej niezrozumiałym zjawiskiem, nad którym mogła się co najwyżej litować. Na pewno nie była nią.

Przedmieścia Monachium zostały w tyle, a ich miejsce zajęły zielone pagórki pastwisk z białymi plamami owczych stad i miasteczka podobne do jasnych, dziecięcych sypialni, pełne radośnie kolorowych kościołów, stodół i domów.

— *Summertime time time time...* — śpiewała Janis głosem przypominającym dźwięk powolnego rozdierania płótna.

Phoebe spojrzała na Wilka. Mrużył oczy w ostrym słońcu. Od rana był zamyślony, niemal smętny.

— Często myślisz o Faith? — spytała. Nie odpowiedział od razu.

— Próbuję nie.

— Jak to?

Spojrzał na nią tak, jakby zaskoczyła go tym pytaniem.

— Smuci cię to? — spytała.

— Owszem. A ja nie ufam smutkowi — odparł powoli.

Phoebe wyczuwała jego niechęć do rozmów o przeszłości i przez chwilę próbowała zwalczyć w sobie chęć zmuszenia go. Nie była w stanie.

— Pamiętasz Niewidzialny Cyrk? — spytała.

— Jasne.

— Czy mógłbyś... wyjaśnić mi, czym właściwie był? Próbowałam znaleźć coś na ten temat w książkach, ale bez skutku.

Wilk uśmiechnął się lekko.

— Ciekawe, że nic o tym nie piszą.

Happening zorganizowano w kościele metodystów Glide, w dzielnicy Tenderloin. Jego autorami byli Diggersi -bez reklamy, bez mediów; tylko noc i właściwi ludzie na właściwym miejscu. Świątynię zamieniono w dom zabaw pełen pokójów-niespodzianek, barwnych świateł i mis do ponczu napełnionych napojem Kool-Aid. W zasadzie byłaby to przeciętna impreza, gdyby nie to, że w tamtych czasach nie organizowano podobnych, a do tego scenografię tworzyło wnętrze kościoła, z ławkami, ołtarzem i całą resztą. Chodziło o to, żeby każdy miał okazję zrealizować tej nocy swe najdziksze fantazje. Jednocześnie zaś „reporterzy” notowali na bieżąco przebieg wydarzeń, a Richard Brautigan - naprawdę, Brautigan we własnej osobie — przepisywał ich relacje i drukował w setkach kopii, by następnie rozdać je uczestnikom. W rezultacie ludzie nie tylko wyczyniali najbardziej niesamowite szaleństwa, ale także, zanim jeszcze skończyli, już mogli o nich przeczytać w „biuletynach informacyjnych”.

— Brzmi to jak dziwny sen — powiedziała Phoebe.

— I takie było — przytaknął Wilk. - Dokładnie takie miałem wrażenie. - Palił papierosa, wpatrując się w drogę. - Liczyło się to, że mogliśmy obserwować samych siebie w trakcie przemiany. To naprawdę niesamowite: stać jakby na zewnątrz tego wszystkiego i patrzeć, jak rozwija się sytuacja. Pełny odlot. Pamiętam, że myślałem sobie: cholera, to wielka rzecz. Czymkolwiek jest.

Phoebe miała ochotę zapytać, co konkretnie działo się w kościele, co Wilk i Faith tam robili, ale nie starczyło jej śmiałości.

— Jak sądzisz, co to wszystko znaczyło? - spytała. Wilk roześmiał się.

— Niewidzialny Cyrk?

— Nie, nie tylko. Chodzi mi o tamte czasy. Zaśmiał się znowu, tym razem z zakłopotaniem.

— Pojęcia nie mam. Boże, kto to może wiedzieć? — Spojrzał na Phoebe. — Naprawdę nie mam żadnych odpowiedzi na temat tamtej epoki. Tylko pytania.

— Jakie pytania?

— Chyba dość oczywiste: Co się stało? Dlaczego nic z tego nie wyszło? A może wyszło, tylko że ja z jakiejś przyczyny tego nie dostrzegam?

— Jak to „nie wyszło”?

Wilk westchnął ciężko. Phoebe zrozumiała, że męczy go ten temat.

— Wiem tylko tyle, że w pewnym momencie jedno było dla nas zupełnie jasne: jeżeli będziemy szaleć tak, jak szaleliśmy, to pewnego dnia jakaś gigantyczna siła wyrwie nas na wolność. Tylko że dziś ci, którzy szaleli najmocniej, w większości nie żyją. Trzeba więc zadać sobie pytanie: Czy sprawy potoczyły się tak, jak się spodziewaliśmy?

— Może to właśnie oni zostali „wyrwani”? Wilk uniósł brwi.

— Możliwe. Ale ja podejrzewam, że woleliby jednak żyć.

— Dlaczego? — spytała Phoebe. Spojrzał na nią w napięciu.

— Dlatego że w moim pojęciu śmierć nie jest specjalnie romantyczna.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Tak czy inaczej, jestem ostatnią osobą na świecie, którą powinnaś pytać o te sprawy — odezwał się w końcu Wilk. — Byłem tylko świadkiem początku końca.

— Wszyscy tak mówią.

— I to powinno dać ci do myślenia.

— Może po prostu nie spotkałam właściwych ludzi? — zastanawiała się Phoebe.

Wilk wybuchnął śmiechem.

— Phoebe, jesteś cudowna — powiedział, wyraźnie rozluźniony. — Absolutnie pozbawiona ironii. Czuję się tak, jakbym odkrywał jedno z tych plemion, które nie miały jeszcze kontaktu z cywilizacją. Phoebe była zaskoczona. Uważała ironię za czysto literacką koncepcję, i do tego dość nieuchwytną.

— Nie jestem nawet pewna, co to takiego — wyznała. Wilk otarł oczy wierzchem dłoni.

— Zdaje się, że ironia to jedna z tych rzeczy, których albo w ogóle się nie dostrzega, albo nie dostrzega się niczego prócz nich — powiedział.

Pagórkowaty teren wznosił się coraz wyżej. W dolinie błysnęła tafla jeziora, jakby spod kół samochodu bryznięła na pobocze plama jasnej rtęci. W oddali Phoebe dostrzegła zarysy gór, piętrzących się majestatycznie nad łagodniejszymi wzniesieniami jak wielka biała scena nad skulonymi ramionami widzów. Przypomniała sobie jedną z dawnych wypraw półcieżarówką, kiedy przystanęli na rozgrzanej słońcem, piaszczystej drodze pośród wzgórz i Wilk uparł się, że będzie chodził po linie — a ściślej po kablu linii elektrycznej — chwytając równowagę z pomocą długiego konaru drzewa. „Nie rób tego!” — krzyczeli wszyscy, kiedy zaczął się wspinać po słupie, ciągnąc za sobą sękatą gałąź. Ktoś powiedział, że miał kiedyś kuzyna, którego śmiertelnie poraził prąd. Ale Wilk nie słuchał. Wspinał się dalej, a kiedy dotarł na szczyt, wyszczerzył zęby do Faith — to dla niej urządził przecież ten popis — i do pozostałych przerażonych twarzy i powiedział: „Dajcie spokój. Nic mi nie będzie”. A potem to zrobił, spokojnie

i z uśmiechem. Krok po kroku przeszedł po kablu z leniwą elegancją, która była kwintesencją jego osoby.

— Myślisz, że byłeś kiedyś arogancki? — spytała Phoebe. Wilk zaśmiał się lekko.

— Zapewne — odparł. — Tak to wyglądało?

— Nie jestem pewna. Zamyślił się.

— Kiedy wspominał tamte czasy, wraca uparcie jedna rzecz, co do której nie miałem wątpliwości: że wszystko ułoży się po mojej myśli — powiedział i spojrzał na Phoebe z krzywym uśmiechem. — To właśnie jest arogancja.

— I gdzie tu miejsce dla ironii? Wilk uśmiechnął się szerzej.

— Nie pasuje tu za cholere.

Parking był pełen zasapanych autobusów wycieczkowych. Mniej więcej o milę dalej, zasłonięty przez staccato strzelistych sosen, stał zamek, którego kształty i rozmiary wydały się Phoebe dziwnie znajome, jak wizja z niewyraźnego snu. Zwieńczone blankami mury, biały kamień, smukłe wieżyczki o dachach przypominających ostre czubki pędzli — wszystko to wyglądało dokładnie tak, jak budowla, której w dzieciństwie poświęcała nie kończące się godziny rysowania.

— Co to jest? — spytała. — Wiem, że już to gdzieś widziałam.

— Oczywiście — odparł Wilk, unosząc i blokując składany dach volkswagena. — Disney wykorzystał ten projekt, tworząc zamek Śpiącej Królowej. W filmie.

— Ach tak. — Nie tego się spodziewała. Odwróciła się z lekceważeniem, ale po chwili, jakby wbrew sobie, zno-



wu spojrzała, przyciągana dziwnym magnetyzmem, którym emanowali też znani ludzie bywający niekiedy na koktajlach urządzanych przez Jacka. To nie osiągnięcia zawodowe, ale czysta popularność twarzy sprawiała, że Jane Fonda czy Michael York wyróżniali się spośród całej sali, jakby tylko oni, w całym tym przypadkowym i chaotycznym świecie, byli jedynie słusznym dziełem Stwórcy. — Możemy tam wejść? — spytała. — Po to tu jesteśmy.

Najpierw poszli jednak do nieco bliższego i mniejszego zamku Hohenschwangau, w którym „Szalony” król Ludwik II spędził dzieciństwo. Drepcąc za sztywnym jak robot przewodnikiem, grupa zwiedzających mijała zdobione wazy, porcelanowe talerze i wyblakłe płótna przedstawiające sceny łowieckie. Ściany sypialni króla Ludwika pomalowane były w drobniutkie, żółte gwiazdki, a tuż przy jego łożu zaczynał się ciąg schodków prowadzących w dół, gdzie miała sypiać królowa. Ludwik jednak nigdy się nie ożenił. Przez krótki czas był zaręczony, potem został odsunięty od władzy i zginął w tajemniczych okolicznościach.

Phoebe zasłuchała się w opowieść o nieszczęsnym królu. Podążała za grupą jak we śnie, po kręconych, marmurowych stopniach podobnych do kostek mydła, noszących ślady stuletniego użytkowania. Na piętrze, za wąskimi oknami rozciągał się widok na pagórkowatą okolicę. Wilk trzymał się blisko Phoebe. Raz podtrzymał ją, kiedy się potknęła, i nie mogła odmówić sobie przyjemności potknięcia się po raz drugi, by nacieszyć się jego opiekuńczością. Zdawała sobie sprawę, że ktoś ich obserwuje: mała dziewczynka o jasnych włosach i delikatnej twarzyczce. Ledwie kilka dni wcześniej Phoebe sama patrzy-

ła z zazdrością na pary, na ich drobne gesty, z których budowały własny świat. Przybliżyła się do Wilka, trąciła lekko jego ramię i szepnęła mu coś do ucha, ustawiając się tak, żeby dziewczynka dobrze ją widziała. Przez moment sama wierzyła w wizję, którą stworzyła na jej użytek. Wyczuwała, że jej przeznaczenie odmieniło się głęboko i nieodwracalnie. Dziewczynka była sama. Phoebe miała wyrzuty sumienia, że tak zagrała na jej samotności, ale nie umiała zrezygnować z tej chwilowej rozkoszy.

Wyszedszy na zewnątrz, pomaszerowali w górę, ku Neuschwanstein. Phoebe rozejrzała się, szukając małej blondynki. Miała nadzieję, że dziewczynka pójdzie z nimi i będzie ją podglądać w drugim zamku, ale nigdzie jej nie zauważyła.

— Czy on naprawdę był stuknięty? — spytała Wilka. — Mówię o Ludwiku.

— Cóż... Żył w samym środku rewolucji przemysłowej, a bawił się w budowanie zamków króla Artura i przejażdżki średniowiecznymi saniami — odparł Wilk. — Nie wspominając o tym, że zapraszał do stołu swojego konia.

Król Ludwik zainwestował majątek w Neuschwanstein, opowiadał Wilk, w swój bajkowy zamek, do którego dodawał coraz to nowe skrzydła, wieże i pokoje-groty. Czynił to aż do chwili, gdy królestwo zbankrutowało, a poddani się zbuntowali. Umieszczono go pod strażą w domu nad jeziorem, w którym kilka dni później utonął wraz ze swym lekarzem, w niewyjaśnionych okolicznościach.

— W wodzie o głębokości dwóch stóp — zakończył Wilk. — Nikt nigdy nie wyjaśnił tej zagadki.

Inna grupa turystów minęła ich, jadąc konnymi zaprzęgami. Powietrze było gorące, czyste i pachniało sosnami.

— Moim zdaniem nie był szalony — powiedziała Phoebe.

— Ech, ci nostalgicy — westchnął Wilk.

Ludwikowy Neuschwanstein, z jasnymi i gładkimi marmurami ścian oraz pokojami-grotami pełnymi sztucznych stalaktytów, był zdaniem Phoebe najbliższym krewnym Krainy Oz lub Krainy Czarów.

Nad tronem królewskim unosił się potężny, mozaikowy lezus, który wyglądał tak, jakby wykonano go z pokruszonych cukierków. Phoebe snuła się po lśniących czystością pokojach, czując, że narasta w niej cudowny smutek. Rozumiała tego człowieka, i tyle. Rozumiała szalonego króla.

Kończąc wycieczkę, schodzili po szerokich stopniach.

— Biedny Ludwik — powiedziała Phoebe. — Tragiczna postać.

— Biedna Bawaria — odparł Wilk.

— Spójrz tylko na jego dzieło!

Wilk popatrzył na zdobiony malowidłami strop.

— Na to?

— Nie podoba ci się?

— Jasne, że tak. Ale czy było warte swojej ceny? Jego wszystkowiedzący ton zdenerwował Phoebe.

— Moim zdaniem było warte każdej ceny — odpowiedziała.

Wilk zatrzymał się i spojrzał na nią uważnie.

— Chyba nie mówisz poważnie? — spytał i przez moment czekał na odpowiedź. — Naprawdę sądzisz, że ten Disneyland był wart bankructwa całego królestwa?

— Może — odrzekła obrażona. Wilk parsknął lekceważąco.

— Powiedz to ludziom, którzy wypruwali sobie żyły, żeby jakoś przetrwać, podczas gdy Ludwik wybierał materiał na zasłony!

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Tu nie ma zasłon — mruknęła w końcu Phoebe.

Wilku wyszedł z zamku jako pierwszy, stukając obcasami o marmurową posadzkę. Stanąwszy na dziedzińcu, przecesał włosy palcami i spojrzał w niebo. Phoebe zbliżyła się nieśmiało.

— Czy to ma aż takie znaczenie? — spytała.

— Nie ma.

Pogodzeni, wędrowali w ciszy po stromych, lesistych wzgórzach wokół zamku. Phoebe zeszła ze ścieżki, żeby znaleźć lepsze miejsce do podziwiania zamku Neuschwanstein, który unosił się niby statek-widmo na falach zielonego oceanu. Wyobrażała sobie króla Ludwika, jak spogląda w dół z jednego z okien w kształcie ciastek i zapewnia ją, że miała rację, że warto było stworzyć to wszystko. Czowała za plecami wolną przestrzeń i płynący gdzieś z dołu chłód głębokiego wąwozu.

Na ścieżce żużel zachrobotał pod butami Wilka.

— Phoebe? — zawołał mężczyzna.

Instynktownie opadła na kolana, chowając się za gęstymi krzakami. Niech szuka, pomyślała. Niech się martwi, że zniknęłam. Odczekała chwilę wśród mrówek, much i drobnych gałęzi, ale wołanie się nie powtórzyło. Odgłos kroków oddalił się i ucichł.

Po kilku minutach Phoebe wypełzła z kryjówki.

— Wilku? — zawołała, ale odpowiedział jej tylko świergot ptaków. — Wilku? — Poczowała strach.

Czyżby ją zostawił? Zostawił i odjechał? Wyobraziła sobie, że znowu jest sama, jak ta dziewczynka w zamku i jak ona, Phoebe, przez ostatnie tygodnie, aż do wczoraj. Pobiegnęła przez krzaki, nie zważając na szorstkie gałęzie, i po chwili wyskoczyła na szeroką ścieżkę. Wilk stał w pobliżu, oparty o drzewo, ćmiąc papierosa. — Tu jesteś! — krzyknęła zdyszana.

Wilk spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Czekałem na ciebie — powiedział.

Ruszyli z powrotem w stronę samochodu. Promienie słońca padały pod kątem, rzucając na ścieżkę chłodne cienie pni. Phoebe czuła się tak, jakby została przyłapana i ukarana za szaradę, którą uprawiała tego dnia, za odwrócenie się plecami do ponurych przeżyć ostatnich dni i udawanie kogoś innego. Fantazjowanie przyprawiało ją teraz o mdłości, jak w dawnych czasach karnawałowe dni w wesołym miasteczku: nadmiar słodczy, kukurydzy i przejażdżek kolorowymi karuzelami — słowem ekscesy, których zażywanie zawsze budziło w niej tęsknotę za prostotą domowego życia. Faith była w tym względzie jej przeciwieństwem: przecucie rychłego końca zabawy natychmiast wzbudzało w niej przemożną chęć ciągnięcia jej w nieskończoność. Phoebe pamiętała, że jej siostra jeździła kiedyś na wyjątkowo szybkiej karuzeli i zaczęła wymiotować. Ojciec zaprowadził ją do kubła na śmieci, uniósł w powietrze i trzymał, naprężając mięśnie ramion, tak długo, aż ze spazmatycznie rzucającego się ciała Faith wysypała się całodzienna porcja orzeszków, deserów i waty cukrowej. Okropny był to widok. Faith płakała, łzy ciekły jej strumieniami po obu policzkach, a ojciec tylko odgarnął włosy z jej twarzy i trzymał w garści, póki nie skończyła.

Potem zaniósł ją do fontanny i podtrzymał nad wodą. Stali w milczeniu, kiedy piła wodę. Gdy ojciec postawił ją na ziemi, Faith zachwiała się, a potem rozcierała oczy tak długo, aż jej policzki nabrały rumieńców. Wtedy uśmiechnęła się i zaproponowała powrót na karuzelę. Ojciec roześmiał się z ulgą, widząc ten nawrót dobrego humoru. Faith jednak nalegała, błagała i jęczała tak długo, aż stało

się jasne, że naprawdę chce wrócić. Tym razem ojciec nie zamierzał ustąpić. „Uspokój się”, powiedział. „Zachowujesz się jak maniaczka”. W drodze do domu Faith wcisnęła się w kąt samochodu, pod okno. Głośno burczało jej w brzuchu, więc przyciskała ręce do ciała, by stłumić nieprzyjemny odgłos. Wyglądała tak żałośnie, że Phoebe oczekiwała rychłego nawrotu mdłości, ale Faith nie była chora — po prostu nie chciała wracać.

Dotarli do volkswagena. Wnętrze wozu pachniało Wilkiem; specyficzną, słodko-kwaśną mieszanką budzącą skojarzenie z wonią ogrodu po silnym deszczu. Phoebe pamiętała ten aromat z jego koszulek, które znajdowała niekiedy na podłodze w pokoju Faith. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, przyciskała je do twarzy i chłoneła zapach Wilka; zapach pocieszenia i czegoś jeszcze, czego nie umiała nazwać, a co już wtedy bardzo ją pociągało.

Postanowiła, że powie mu o tym, co przeżyła w Europie. Ukrywanie prawdy nie miało sensu. — Wilku — zaczęła, kiedy samochód ruszył.

Mówiła o wszystkim, począwszy od Londynu, o incydencie w amsterdamskim mieszkaniu Karla, o tym, jak wystraszyła dzieciaki w pobliżu Dinant i jak odnalazła Boga i znowu Go zgubiła.

Spodziewała się kłopotów z opisaniem tylu zdarzeń naraz, ale słowa wysypywały się z niej bez problemu, przynosząc zaskakującą ulgę, a nawet dodając sił. Z ponurego koszmaru wyłaniała się bowiem historia o wyrazistym kształcie; jej własna historia. Mogła ją opowiadać. Zdołała przecież uciec. Wilk prowadził w milczeniu, a jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Kiedy Phoebe zaczęła mówić o tym, jak

próbowała przebić się głową przez wystawę paryskiego sklepu, nagle zjechał z drogi.

— Przepraszam — powiedział wyłączając silnik. — Nie mogę jechać, słuchając czegoś takiego.

Samochód stał ledwie cal lub dwa od przydrożnej barierki. Wilk oparł się na kierownicy, wpatrzony w dal i zasłuchany w opowieść Phoebe. Kiedy umilkła, nie odezwał się. Dziewczyna zauważyła z prawej strony krowę o gładkiej, żółtawej sierści i wielkich kościach sterczących z grzbietu. Patrząc na zwierzę, czuła się lekka i spokojna.

— To, co robisz, jest po prostu złe — powiedział Wilk. Jego ponury ton zaniepokoił Phoebe. Przez chwilę szukała stosownej odpowiedzi.

— Po prostu złe — powtórzył.

— Mój Boże, na szczęście to nie twoja wina.

Ruszyli w dalszą drogę, by wkrótce potem zatrzymać się na lunch w niewielkiej miejscowości. Przez środek miasteczka płynęła płytka rzeka. Tłuste gęsi i miękkie, czarne kaczki pływały się leniwie opodal brzegu. Ściany niemal każdego budynku zdobiły jaskrawe malowidła: Chrystus na ramionach świętego Krzysztofa, konny rycerz z długim, średniowiecznym proporcem, Madonna z Dzieciątkiem Jezus.

Zamówili lunch i usiedli na zewnątrz, przy czarnym stoliku piknikowym, ocienionym pasiastym parasolem.

— Jednego nie mogę zrozumieć — powiedział Wilk, kiedy kelner przyniósł kanapki. — Dlaczego w ogóle zmusiłaś się do przyjazdu do Europy? Chryste, po co zafundowałaś sobie coś takiego?

— Nie zmusiłam się. Chciałam — sprostowała Phoebe.

— Ale dlaczego?

— Żeby się dowiedzieć, co się stało.

— Wiesz, co się stało!

— Nie wiem.

Wilk wyglądał na skołowanego.

— Poza tym — ciągnęła Phoebe — z pocztówek wynikało, że wszystko, co Faith tu przeżywała, było niezwykle intensywne.

Mężczyzna spojrział na nią twardo.

— Phoebe, ona się zabiła.

Phoebe ugryzła kanapkę, unikając jego wzroku.

— Zabiła się — powtórzył. — Mam wrażenie, że do ciebie to nie dociera; że myślisz sobie... Sam nie wiem, co myślisz.

— Ty też nie wiesz, co się właściwie stało — zauważyła Phoebe.

Wilk odsunął nietknięte jedzenie i zapalił papierosa. Połknął dym, jakby chciał nim zaspokoić głód.

Phoebe jadła z zapalem, oddzierając wielkie kawały chleba, prawie nie żując i niemal dławiąc się nimi.

— Tak, Phoebe, ale nie zapominaj, że byłem z nią w tej podróży — odparł w końcu Wilk. — Byłem przy niej, kiedy wypisywała te pocztówki. Ja — dodał, stukając pięścią w pierś.

Phoebe poczuła, że narasta w niej gniew. Zaczęła jeść jeszcze szybciej.

— Więc opowiedz mi, jak było — odpowiedziała, nie podnosząc oczu.

Wilk roztarł oczy. Najwyraźniej opuszczała go energia.

— Chodziło o narkotyki? Heroinę czy coś takiego?

— Jasne, że o narkotyki. I o wszystko, co się nawinęło. Faith taka już była... Nie, nie o narkotyki.

— Więc o co? — naciskała Phoebe.

Wilk zadarł głowę, jakby szukał odpowiedzi wysoko w powietrzu.



— Problem polega na tym, że kiedy wyczyniasz rozmaite szaleństwa przez długi czas, to w końcu staje się to normą - rzekł. - Chcąc zachować przewagę, musisz wtedy posuwać się coraz dalej i dalej. Faith nie miała z tym żadnych kłopotów, ale nie zauważyła, że to ją zmieniło. Że stała się kimś innym. Phoebe słuchała, patrząc mu w oczy.

— Tylko jedna rzecz wydawała jej się przerażająca: zatrzymać się w miejscu. Mówię o ciszy, o spokoju, który pojawia się wtedy, gdy ma się stać coś strasznego. Zawsze wystarczyło jedno słowo zachęty - wszyscy chcieli oglądać niesamowite numery, a Faith chętnie dostarczała innym rozrywki. Ale to ona na tym cierpiała. Jak ten gość, co łązi z kloszem na głowie i jest duszą towarzystwa aż do chwili, kiedy wszyscy rozchodzą się do domów, a on samotnie spędza pół godziny w kiblu, rzygając krwią.

Phoebe odwróciła głowę. Jej siostra w wesołym miasteczku, zawieszona nad kubłem na śmieci. Słowa Wilka znowu przywołały ten obraz. Faith rzucająca się gwałtownie w ręce ojca.

— Cała ta energia, cała ta niewiarygodna nadzieja... po prostu minęły. I w końcu Faith stała się jedną z wielu osób szukających mocnych wrażeń, czegoś, co zaprowadziłoby je tam, gdzie jeszcze nie były. A ja... - dodał i urwał, śmiejąc się gorzko. — Skoro już mówiliśmy o arogancji, to powiem ci, że byłem tak arogancki, tak cholernie głupi, że wydawało mi się, iż jestem w stanie zapanować nad sytuacją. Phoebe wstała. Nie mogła tego słuchać; fizycznie nie była w stanie znieść myśli o tym, że ktoś może opisywać jej siostrę takimi kategoriami. Bez słowa odeszła od stolika, słysząc dziwne dzwonienie w uszach.

- Hej, zaczekaj - powiedział Wilk. - Phoebe, nie hej zostań!

Szła dalej. Słyszała, że zerwał się na równe nogi, wzbudzając natychmiastowy protest właściciela, który domagał się zapłacenia rachunku. Zanim Wilk mógł ruszyć za nią, była już na trawiastej skarpie nad brzegiem rzeczki. Na pagórku po przeciwnej stronie stał kościół, którego bliźniacze, cebulaste kopuły lśniły metalicznym błękitem i zielenią, zwieńczone cienkimi krzyżami.

- Phoebe! - zawołał za nią zdyszany Wilk. Podbiegł bliżej i stanął przed nią. Położył ręce na jej ramionach, siłą osadzając ją w miejscu. Czekala, wbijając wzrok w bujną trawę i wiedząc, że przeprosi.

- Co to miało znaczyć, do diabła? - spytał.

Uścisk dłoni na barkach sprawiał jej ból. Spojrzała w jego wąskie oczy i zobaczyła w nich wściekłość. Próbowwała się uwolnić, ale trzymał mocno. Pomyślała, że zaraz ją uderzy, i jakąś cząstką siebie miała nadzieję, że to zrobi.

- Jeżeli nie chcesz wiedzieć, to nie pytaj - powiedział łagodnie. - Cholera, wolałbym, żebyś nie zapytała. Ale skoro już to zrobiłaś, to nie uciekaj i nie spodziewaj się, że będę za tobą ganiał.

Puścił ją. Stała nieruchomo, z trudem przełykając ślinę. Kawałek sera utknął gdzieś w jej zaschniętym gardle.

- Pamiętaj Faith taką, jaką chcesz - dodał Wilk. - To twoja sprawa. Nie mieszaj mnie do niej.

Zrozpaczona Phoebe odwróciła się gwałtownie. Płynąca między kamieniami woda przypominała ciemne piwo. W pobliżu stali dwaj starsi mężczyźni, otoczeni stadkiem białych gęsi, które łapczywie połykały rzucane im kawałki suchego chleba.

- Nie zrozum mnie źle. Kochałem ją - dorzucił Wilk. -

Szalałem, totalnie szalałem za nią. I nie oczekuję, żebym jeszcze kiedyś poczuł coś takiego w stosunku do innej kobiety. Jezu, mam nadzieję, że nie poczuję.

Przykucnął na brzegu rzeki. Phoebe usiadła na trawie i oparła brodę na zgiętych kolanach.

— A co z Carłą? — spytała.

— Ona i Faith są jak noc i dzień — odparł z uczuciem. — Wiesz, że można kochać i jednocześnie normalnie żyć? Można coś zbudować. Byliśmy z Faith jak złodzieje. Nic do nas nie należało; to był jeden wielki przekręt. A z drugiej strony byliśmy dziećmi — dodał po chwili.

Phoebe położyła się na trawie podziwiała chmury, które wymijały się i przetaczały jak wagony kolejowe. Wilk usiadł obok niej. Zauważyła, że gniew już go opuścił.

— Nie twierdzą, że Faith była zła — powiedział. — Wiesz przecież, że nie. Musisz wiedzieć, Phoebe! Była tylko pełna wewnętrznych konfliktów. Wiedziałem o tym, zanim jeszcze porozmawiałem z nią po raz pierwszy. Wystarczyło, że zobaczyłem w szkole ten smutek, który był w jej twarzy. Codziennie przychodziła w spódnicy i w bluzce zapiętej do ostatniego guzika. Miała dziwne, smutne oczy. Zdaje się, że ten jej wizerunek pamiętam najlepiej.

— Chodziliście razem na zajęcia, prawda? — spytała Phoebe, pociągając nosem. — Z fizyki?

— Nie — odparł Wilk. — Były między nami trzy lata różnicy; nie mogliśmy się uczyć w jednej klasie. Pewnie to zmyśliła.

Phoebe wyczuła jego wahanie: nie wiedział jeszcze, czy powinien mówić dalej. Zastanawiał się, co dobrego może z tego wyniknąć.

— Jak to się zaczęło? — spytała.

Wilk opowiedział jej, jak zauważył Faith. Obserwował

ją przez parę tygodni z umiarkowanym zainteresowaniem, aż wreszcie pewnego dnia, kiedy wracał samochodem ze szkoły, zauważył ją stojącą przy drodze. Dziwny był to widok: ubrana w starannie wyprasowaną bluzkę i spódnicę czekała na okazję. Później widywał ją jeszcze parę razy przy Eucalyptus: stała przy drodze, wystawiając kciuk. Zawsze sama. Raz przejechał obok niej dokładnie w chwili, gdy wsiadała do czyjegoś samochodu. Naszła go idiotyczna chęć podążenia za uprzejmym kierowcą; pragnął mieć pewność, że dziewczyna jest bezpieczna. W owym czasie miał jednak dziewczynę, Susan, która tego dnia jechała razem z nim.

Phoebe uniosła się na łokciach. Słyszała, jak Wilk coraz mocniej zapala się do swojej historii, jak bardzo chce opowiadać. W jego głosie była tęsknota; z przyjemnością otwierał tę część siebie, którą zwykle trzymał w ukryciu.

— Co było potem? — spytała.

Pewnego dnia, kiedy nie było Susan, znowu jechał ulicą Eucalyptus i znowu zobaczył Faith.

Zatrzymał się i zaprosił ją do środka.

— Zdaje się, że chodzimy do jednej szkoły — powiedział. Dla Faith najwyraźniej była to nowość.

Zdziwiło go to, bo

był w ogólniaku postacią dość popularną. Faith była wręcz boleśnie nieśmiała — bez słowa spoglądała przez okno, a i Wilk nie miał pojęcia, o czym mógłby z nią rozmawiać. Wreszcie zapytał, dlaczego łapie okazję i czy nie wie, że samotne podróże bywają niebezpieczne dla dziewcząt. Nie odrywając wzroku od okna, Faith odpowiedziała:

— Autobus jest powolny.

Wilk zapytał, czy nie miałyby nic przeciwko, gdyby po-

jechali nieco okrężną drogą, na przykład przez plażę. Odpowiedziała „nie” takim tonem, jakby było jej wszystko jedno, więc zawiózł ją na Ocean Beach, zastanawiając się, co właściwie zamierza z nią robić, do ciężkiej cholery. Pogoda była dość paskudna, toteż zatrzymawszy się przy drodze, nie wyszli na zewnątrz, tylko siedzieli i gapili się na wydmy ponad deską rozdzielczą. Mgła osiadała z wolna na przedniej szybie, niebo było szare, a fale załamywały się z hukiem i nurkowały prosto w piach. Faith przyglądała się temu wszystkiemu bez słowa. Wilk czuł się w tej ciszy coraz gorzej, aż nagle dziewczyna odwróciła się ku niemu i spytała:

— Masz ochotę popływać?

Uznał to za żart. W San Francisco przecież nikt nie pływał w oceanie... kto mógłby tego chcieć? Była późna jesień, a ciemnoszare odmęty sprawiały wrażenie równie nieprzeniknionych jak skała.

— Jasne, czemu nie? - odpowiedział, myśląc, że pociągnie dalej ten żart, a potem pokaże jej, że nieładnie blefować. Wyszedł za nią na piach, który był tak gęsty i zimny, jak świeżo wylany beton. Faith zdjęła buty, ale się nie rozebrała. Wicher targał jej bluzkę i spódnice; komplecik w sam raz do szkółki niedzielnej. Ruszyła w stronę wody, a Wilk za nią, coraz bardziej opornie. Myślał usilnie o tym, jak nasiąknięte wodą ubranie pociągnie go na dno, jak ciężkie stają się mokre dżinsy i jak silne mogą być wiry, podwodne prądy czy wszelkie inne draństwo, które sprawiają, że ludzie od czasu do czasu toną. Kiedy palcami stóp dotknął wody, przystanął i zapytał:

— Hej, naprawdę chcesz to zrobić?

Faith stała nieruchomo, pozwalając, żeby wiatr szarpał jej włosy.

— Boisz się? — spytała.

— Nie, kurna, ja tylko... Nie, nie boję się.

Nie widząc innego wyjścia, skoczył między fale, czując się tak, jakby uderzał głową o szklaną tafle. Ogarnęło go potworne, przenikliwe zimno, ale przynajmniej zyskał odrobinę przewagi nad Faith, która skoczyła zaraz po nim. Był pewien, że zginie, lecz mimo to płynął dalej; prędzej szlag by go trafił na miejscu, niż stchórzyłyby przed tą smarkulą, tą śliczną dziewczeczką, Jezu Chryste... Parł więc naprzód, szczękając zębami, coraz dalej w otwarte morze. Rekiny? Nawet o nich nie pomyślał, a przecież byli w pieprzonym oceanie! Kiedy jednak przepłynął spory dystans, wydarzyło się coś dziwnego: woda nagle przestała być zimna. Zrobiło mu się gorąco, jak na tropikalnej plaży. Czuł ciepło w kończynach i było mu coraz przyjemniej, a do tego zniecierpliwienie nabrał niesamowitej energii — znajdował się daleko w szarym, bezlitosnym oceanie, a czuł się tak, jakby przekroczył zaczarowaną granicę i dotarł do miejsca, z którego istnienia większość ludzi nawet nie zdawała sobie sprawy. Faith płynęła tuż obok. Wilk miał wrażenie, że źródłem gorąca przynajmniej po części jest jej ciało. Wyciągnął rękę i dotknął jej, a potem, unosząc się w wodzie, pocałowali się tak łatwo, jakby znali się od dawna, choć przecież zamienili ledwie parę słów, zanim wskoczyli w lodowatą toń. Faith obejrzała się w stronę dalekiej, pustej plaży i uśmiechnęła się. Wilk nigdy przedtem nie widział jej uśmiechu. Usta dziewczyny drżały z zimna — widząc to, nagle zapragnął zaciągnąć ją z powrotem na brzeg. Jako uczeń z najstarszego rocznika i dumny posiadacz samochodu był w szkole nie byle kim, ale teraz, kiedy oddychał zimnym i słonym powietrzem, czując na głowie napór wiatru, miał wrażenie, że  
wszyst-

ko to należy już do przeszłości. I nie miał nic przeciwko temu. Właściwie to nawet cieszyła go ta zmiana. Idąc plażą, jękali się z zimna.

- Mam cię zawieźć do domu w takim stanie? - spytał, patrząc na strugi wody ściekające z ubrania i długich włosów Faith wprost na fotel w jego samochodzie. Jego rodzice byli w Meksyku, na wakacjach. - A może wolałabyś wziąć prysznic i przebrać się u mnie?

- U ciebie - odpowiedziała bez wahania, chociaż miała dopiero czternaście lat i w życiu nie była z facetem, ale przecież nie bała się niczego, absolutnie niczego. A może po prostu lubiła się bać?

Wilk odwrócił głowę, ukrywając swą szczupłą, przystojną, wykrzywioną bólem twarz.

Obserwując go, Phoebe czuła osobliwy, narastający, ciepły blask. Jej siostra znowu powstała, nietknięta, majestatyczna i niepokonana. Świadomość tego faktu zdawała się unosić Phoebe w górę, zaciskać wokół niej i pozbawiać tchu.

Wilk spojrzał w dół, na dziewczynę wciąż jeszcze leżącą nieruchomo na trawie. Ich oczy spotkały się i przez krótką chwilę Phoebe widziała w jego twarzy głęboko ukryty niepokój. Wydawało jej się, że ściąga Wilka w dół, ku sobie, że naprawdę mogłaby to zrobić. Wrażenie było niezmiernie dziwne; jak gdyby odnaleźli siebie we śnie. Wilk jednak odwrócił wzrok. Zakrył oczy dłonią, jakby go bolały.

— Zbierajmy się — powiedział.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy parkowali samochód pod domem, była już noc. Światła latarni tonęły w koronach kwitnących drzew, jakby nie umiały oprzeć się ich słodkiemu zapachowi. Kończąc wspinaczkę po schodach, Phoebe usłyszała dźwięki klawesynu, a po chwili dostrzegła smugę blasku pod drzwiami tymczasowego mieszkania Wilka. On także zobaczył światło i po nieznacznym skrzywieniu jego ust domyśliła się, że nie spodziewał się wizyty. — To Carla — powiedział.

Jaskrawe światło w mieszkaniu raziło oczy Phoebe. Carla siedziała po turecku przy ławie, czytając gazetę. Papieros opierał się o krawędź popielniczki. Phoebe pomyślała natychmiast, że narzeczona Wilka jest niezwykle wysoka, nawet teraz, gdy siedzi. Mężczyzna powitał ją dość sztywno, po niemiecku, ale wprawa, z jaką spotkały się ich usta, nie uszła uwagi Phoebe.

Krótkie, jasne włosy Carli przypominały gładką sierść zwierzęcia. Mimo imponującego wzrostu kobieta miała delikatne kości i subtelne rysy twarzy, której otwartość wprost domagała się, by ktoś wziął ją w opiekę. Barki Carli były nieco pochylone ku przodowi, jakby przepraszały za pełne, chyba dość miękkie piersi ukryte pod białym, bawełnianym sweterkiem.



— Cieszę się, że mogę cię poznać — powiedziała ostrożnie, z silnym akcentem. Chwyciła dłoń Phoebe obiema rękami; delikatna budowa smukłych palców nieco złagodziła siłę uścisku. Phoebe wyczuła na nich pierścionek zaręczynowy. Spojrzała na niego później: tkwił w nim skromny, biały diament, jak kropla światła uwieczona w metalu.

Phoebe wymamrotała coś w odpowiedzi, nagle zdjęta nieśmiałością. Dopiero teraz, kiedy poznała Carlę, uświadomiła sobie, jak bardzo była gotowa jej nie lubić.

Siedząc w łazience, Phoebe słuchała, jak Wilk i Carla rozmawiają po niemiecku, cichymi głosami łagodząc ostre krawędzie tej mowy. Drugie drzwi łączyły łazienkę z pokojem Wilka, w którym stał jej plecak. Wkładając dzinsy i koszulkę z krótkim rękawem, Phoebe rozejrzała się po pokoju. Ostatniej nocy, kiedy tu spała, była zbyt wyczerpana i oszołomiona rozwojem wydarzeń, żeby przyglądać się otoczeniu. Jakaś siła popchnęła ją teraz do komody, w której szufladzie walały się drobne monety i pudełka zapalek wzięte z restauracji. Phoebe stanęła przy drzwiach, nasłuchując. Czy Wilk zwracał się do swojej narzeczonej w jakiś szczególny sposób? Chyba tak, uznała po chwili. Jakby cały czas był gotowy do śmiechu. Znała po niemiecku tylko jedno zdanie: *Ich Hebe dich*, czyli „kocham cię”. Dobrze, że przynajmniej tego sobie nie mówią, pomyślała.

Na biurku leżały tłumaczenia Wilka — luźne kartki niemieckiego tekstu po lewej, a po prawej wielka sterta odręcznie zapisanych stronic. Phoebe odwróciła pierwszą z wierzchu i zobaczyła rzędy drobniutkich, pracowicie stawianych liter, które jakoś nie pasowały jej do charakteru Wilka. „W celu osiągnięcia zadowalających rezulta-

tów", przeczytała, „należy nosić aparat — pełniący funkcję swoistego gorsetu dla rosnącego kręgosłupa — przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Jedną godzinę należy poświęcać na ćwiczenia terapeutyczne (patrz Załącznik nr 1)". Wilk pisał piórką z igłą, przez którą sączył się tusz, takim, jakiego używali artyści. Phoebe podniosła jeszcze kilka kartek i znowu zaczęła czytać. „Urazy te, wywołane przegrzaniem lub tarciem plastiku w pierwszych tygodniach użytkowania, należy pielęgnować środkami o działaniu ściągającym, takimi jak alkohol, które utwardzają skórę. Należy unikać nawilżaczy, kremów i balsamów, które mogą przedłużyć proces gojenia".

Ciszę przerwało pukanie. Wilk otworzył drzwi, wszedł i spojrzał na Phoebe ze zdziwieniem. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że pochyła się jak złodziej nad jego rękopisem.

— Byłam... ciekawa — wydukała.

Wilk uśmiechnął się i podszedł bliżej. Phoebe wyczuła, że spodobała mu się myśl o tym, iż grzebała w jego rzeczach.

— Znalazłaś coś ciekawego?

„Tak" zabrzmiałoby bezczelnie. „Nie" — potencjalnie obraźliwie.

— Nie wiem — odparła szczerze. — Dopiero zaczynałam przeglądać, kiedy wszedłeś.

— Nie chciałbym przeszkadzać — roześmiał się.

Stali przez moment blisko siebie, rozdzieleni rękopisem. Phoebe uśmiechała się nerwowo.

— Same nudy — stwierdził nagle Wilk zupełnie innym tonem. — O leczeniu skoliozy w okresie dojrzewania. — Wzruszył ramionami i zrobił krok w stronę drzwi. — Dołączysz do nas?

Phoebe stanęła przy oknie w salonie. Drżące na wietrze korony drzew, okryte gęstym listowiem, filtrowały białe światło latarni ulicznych. Wilk siedział na kanapie obok Carli, prawym kolaniem dotykając jej lewego. Jakaś część osobowości Phoebe uparcie nie chciała wierzyć w prawdziwość ich uczuć. Ogarniał ją z wolna sceptycyzm, który żywiła i dla innych par — niemal zawsze czuła, że zadaniem pozornej bliskości innych ludzi jest tylko utwierdzenie jej w przekonaniu, że kiedy w pobliżu nie ma świadków, zakochani zaraz odsuwają się od siebie i obojętnieją.

Carla zapytała, czy podobały się Phoebe zamki króla Ludwika. Niepewna angielszczyzna nadała jej słowom książkową sztywność.

— Przepraszam — powiedziała, zapalając papierosa, po czym dmuchnęła chmurą dymu w stronę sufitu. — Mój angielski jest bardzo... — zawahała się, szukając odpowiedniego określenia, ale zdobyła się tylko na: — ...zły.

— Nigdy go nie używasz — zauważył Wilk. Carla spojrzała na niego z ukosa.

— Wiem, ale kilka lat temu jestem... — Odwróciła wzrok z zakłopotaniem i zaśmiała się cicho.

Zdaniem Phoebe Faith śmiała się zadziwiająco podobnie — otwarcie, z rozmachem, jakby śmiech był ramionami, w które chciała się rzucić.

— Dziwnie się czuję w angielskim — odezwała się Carla po chwili, ze szczerym zaskoczeniem w głosie. — Jakby on był obcy — wyjaśniła, ruchem głowy wskazując na Wilka.

Phoebe uśmiechnęła się uprzejmie, wciąż wytrącona z równowagi znajomym śmiechem.

— W angielskim nie jestem sobą - ciągnęła z powagą Carla. — Znam tylko proste słowa. Jak dziecko.

Wilk wyraził swój sprzeciw po niemiecku, ale kobieta zbyła go ruchem dłoni.

— W angielskim jestem... — zatrzepotała powiekami, szukając odpowiedniego słowa. Po chwili zapytała Wilka po niemiecku.

Oburzył się, ale odpowiedział:

— Bezbarwna.

— *Ja* — przytaknęła z namysłem Carla. — Tak. W angielskim jestem bezbarwna.

Wyszła do kuchni, żeby rozpakować zakupy, które przyniosła.

— Niemieckie jedzenie bardzo ciężkie. Robimy dla ciebie włoskie — zapowiedziała, zatrzymując się na moment w drzwiach.

Kiedy wyszła, w salonie zapadła głęboka cisza. Phoebe czuła, że Wilk chciałby coś powiedzieć, ale kiedy ich oczy się spotkały, odwrócił głowę. Oboje byli dziwnie skrepowani.

— Słuchaj, Pheeb — odezwał się wreszcie. — Wolałbym, żebyś... Wolałbym, żebyśmy nie rozmawiali o Faith w obecności Carli.

— A czy ja o niej wspomniałam?

— Nie, nie. Ależ skąd. Tak tylko mówię: nie róbmy tego. Życzenie wydawało się rozsądne, a jednak zabolalo

Phoebe.

— Zgoda — odpowiedziała krótko.

— Chodzi o to... — ciągnął z wysiłkiem Wilk. — Że nie cierpię zaprzatać jej głowy takimi historiami.

— Nie wspomnę o Faith — zadeklarowała niechętnie Phoebe.

Wychodząc z pokoju, Wilk przystanął na chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i bez słowa zniknął w kuchni.

Phoebe znowu stanęła przy oknie. Na ciemnym szkle zaznaczyła się smuga żółtego światła z kuchni. Dobiegał stamtąd ich śmiech i cichy głos radia. Phoebe miała wrażenie, że życie jej siostry zostało wymazane bez śladu, że stało się cieniem przy jakże wyrazistej postaci Carli. Narzeczona Wilka przypominała jej dziewczyny z ogólniaka, które w mgliste dni wkładały sportowe kurтки swoich chłopaków, by w ukryciu palić papierosy. Rękawy sięgały im do połowy długich i wypielegnowanych paznokci. Wydawały się Phoebe tak oszalamiająco dopracowane, z medalionami zaplątanymi w golfy i tuzinami pierścionków (z szafirami i turkusami); to były dziewczyny, które nigdy się nie wahały i których niezrównaną bezmyślność szczerze pragnęła naśladować.

Zaczęła zwiedzać salon, z początku pobieżnie, poczynając od obejrzenia sterty amerykańskich gier planszowych, które sama uwielbiała w dzieciństwie — były tam i „Candy Land”, i „Life”, i „Clue”. Kiedy otworzyła pudełko tej ostatniej i dotknęła palcami miniaturowych replik narzędzi zbrodni, poczuła dreszcz emocji podobny do tego, który towarzyszył jej w sypialni Wilka. Wyobraziła sobie, że jest tajnym agentem udającym gościa na kolacji, a jej zadaniem jest przeszukanie mieszkania, nim wieczór dobiegnie końca. Cicho, jak wytrawny włamywacz, zakradła się w pobliże zestawu stereo i zaczęła przeglądać imponującą kolekcję płyt. Znalazła jedynie albumy ELO, Chicago, Journey i wielu innych grup, którymi szczerze gardziła, za to ubawił ją widok ich niemieckich okładek. Men at Work, Bee Gees... Ustaliwszy, że płyty nie mogą należeć do Wilka, Phoebe zostawiła je w spokoju i skoczyła w stronę niskich, głębokich półek zastawionych książkami. Sięgnęła ręką głęboko, by przeszukać ukrytą za

nimi przestrzeń. Przebierając palcami jak krab odnóżami, wymacała i wyjęła piszczącą, gumową mysz, poduszczkę do igieł w kształcie pomidora oraz nienaruszoną paczkę czarnych rajstop ze szwem. Wiedziała, że to drobiazgi Lake'ów, usunięte w pośpiechu przed pozostawieniem mieszkania do dyspozycji Wilka. Na odgłos kroków Phoebe zerwała się na równe nogi.

— Kolacja gotowa — powiedziała Carla.

Wilk i Carla podali tortellini w sosie śmietanowo-pieprzo-wym, szpinak i sałatkę z zielonych jabłek. Oboje jedli szybko, trzymając widelce w lewych dłoniach. Wciąż czując w brzuchu kanapkę pożartą w pośpiechu podczas lunchu, Phoebe z trudem uporała się ze swoją porcją. Carla wypytywała ją o szczegóły wyprawy: Gdzie dokładnie była? Jak przemieszczała się z miejsca na miejsce? Czy miała ciężki bagaż? Często używała czasu teraźniejszego — „widzisz”, „jedziesz” — tworząc tym sposobem dziwne wrażenie, że snuje opowieść o podróży, która toczy się właśnie w tej chwili. Za uprzejmością Carli Phoebe wyczuwała precyzyjnie przemyślany plan, jakby Niemka chciała ją przyłapać na bardzo konkretnym kłamstwie. Denerwowało ją to.

— Mieszkasz w San Francisco? — indagowała Carla. Phoebe spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Wydawało jej

się, że to oczywiste.

— Chodziliśmy z Phoebe do tego samego ogólniaka — wtrącił Wilk. — Tyle że rozdzieliło nas dziesięć lat — dodał z przymusem.

— Nie aż tyle — zaprotestowała Phoebe.

— Nie? — Wyglądał na zadowolonego, że rzuciła mu

wyzwanie. — Ja kończyłem w sześćdziesiątym siódmym. A ty?

— W tym roku. Siedemdziesiątym ósmym. No tak — przyznała. — Chyba jednak ponad dziesięć lat.

— A ty ile masz lat? — spytała Carla.

— Osiemnaście.

Carla wykrzyknęła coś z ożywieniem po niemiecku.

— Mówi, że jesteś dość młoda jak na taką samotną wyprawę — przetłumaczył Wilk. — Co oczywiście jest prawdą — dodał ze sztuczną jowialnością.

Phoebe miała ochotę wspomnieć o jego młodzieńczych podróżach, ale w porę ugryzła się w język — w zasadzie równie dobrze mogłaby mówić o Faith. W milczeniu wzruszyła ramionami.

— Amerykanie szybko dojrzewają — zadeklarował Wilk z fałszywie zawadiacką miną.

— Ale na zawsze pozostają dziećmi — odparowała z uśmiechem Carla.

Po kolacji oboje odsunęli od siebie puste talerze i zapalili papierosy. Następnie podzielili się gazetą, rozłożyli ją na szklanej tafli i zaczęli przeglądać ogłoszenia mieszkaniowe. Lake'owie mieli wrócić z końcem lata i był to dla Wilka i Carli ostateczny termin znalezienia nowego, wspólnego lokum.

Phoebe zostawiła ich w chmurze dymu, wynosząc do kuchni brudne naczynia.

— Wy gotowaliście — odparła, odrzucając złożoną bez entuzjazmu propozycję pomocy.

Ułożyła naczynia w zlewie i odkręciła kran. Korzystając z głośnego szumu płynącej wody, zaczęła dyskretnie otwierać kuchenne szuflady. Zdziwiło ją to, jak wiele zapachu kryło się nawet w tych pustych — wyczuła goździk, kawę i miętę — zupełnie tak, jakby opróżniono je

całkiem niedawno. Znalazła worek z suszonymi śliwkami i torebkę słomek. Podciągnęła się lekko i stanęła na blacie, by sięgnąć do wysoko wiszących szafek. Znalazła w nich nigdy nie używane przedmioty, wokół których zalegała aż gęsta cisza — czyżby prezenty ślubne Lake'ów? — a wśród nich deskę do sera w kształcie półksiężyca, nieduży ruszt hibachi oraz zestaw do opiekania kebabu. Właśnie dla takich chwil uwielbiała swego czasu pracę opiekunki do dziecka: życie innych ludzi otwierało się przed nią, całkiem jakby nagle zyskała moc przeniknięcia do pokoi, które dotąd oglądała jedynie przez okno. Od czasu do czasu zaglądała też ukradkiem do szafy ojca, by spojrzeć na krawaty, elegancko zawieszane na całą wieczność.

Posuwała się po blacie, uważając, by nie znaleźć się w polu widzenia Wilka i Carli. Odkrywała coraz to nowe sprzęty: śliniaczki do jedzenia homarów, garnek do fondue oraz tajemniczą maszynę, która, jak się zdawało, służyła do kompresowania resztek chleba i innych odpadków w zgrabne bochenki. Nic dziwnego, pomyślała, że Lake'owie jej nie używali. Kiedy zlew napełnił się wodą, Phoebe zeskoczyła na podłogę i zaczęła zmywać naczynia, czując w piersi cudowną lekkość. Kiedy skończyła, nie zakręciwszy wody, wsunęła się za uchylone drzwi, by spojrzeć przez szparę na Carlę i Wilka, wciąż pochylonych nad gazetą. Carla mówiła coś z ożywieniem, wskazując na jedną z ofert. Odłożyła papierosa i grubym ołówkiem zaczęła zakreślać ogłoszenie, drugą ręką szukając na oślep nadgarstka Wilka, jakby był parą okularów albo paczką papierosów. Ten gest — a może raczej jego naturalność, wręcz mechaniczność — zahipnotyzował Phoebe. Wilk podniósł się wolno z krzesła i pochylił nad Carlą, dotykając klatką piersiową jej pleców. Phoebe nie mogła oprzeć się wraże-



niu, że to jeden z tych gestów, które powtarzają się kilkakrotnie w ciągu dnia, bez świadków. Oni do siebie należą, pomyślała. Zastanawiała się, jak to jest: mieć kogoś w pobliżu, móc zawsze i na oślep wyciągnąć ku niemu rękę.

Nieco później wszyscy troje opuścili jadalnię i znowu usiedli w salonie. Wilk zauważył, że zostawił kasety w samochodzie, i zaraz pobiegł na dół.

— Wilk! — zawołała Phoebe, chcąc go poprosić, żeby poszukał szczotki do włosów, której nigdzie nie mogła znaleźć, ale nie usłyszała.

Carla ułożyła się wygodnie na kanapie, opierając nogę o podłokietnik. Phoebe zauważyła pod dżinsami łagodną krzywiznę jej kości biodrowych.

— To imię, które mówisz do Sebastiana — powiedziała Carla. - lik?

— Wilk — poprawiła Phoebe. — To przezwisko.

— Wilk? Jak to zwierzę? Ach, tak - odrzekła Carla, kiwając głową z aprobatą. — Te oczy, tak.

Wilk wrócił zdyszany po krótkim biegu. Przykucnął obok zestawu stereo.

— Wilk — zawołała z rozbawieniem. — Dlaczego w ogóle nie znam to imię?

Phoebe zauważyła, że Wilk zeszywniał.

— Jest bardzo stare — odpowiedział.

— A skąd jest to imię?

Tym razem pytanie było skierowane do Phoebe. Wilk także spojrzał na nią w napięciu. Phoebe czuła, że popełniła błąd. Czy Wilk prosił, żeby nie używała przezwiska? Czy nie powinna sama się domyślić? Nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć. Niewspominanie o kimś to jedna sprawa, łgarstwo to coś zupełnie innego. Nie wierzyła, żeby Wilk oczekiwał od niej kłamstw.

— Chyba Faith je wymyśliła — odparła nieśmiało, patrząc w oczy Wilkowi. — Faith, prawda?  
— Sam nie wiem — odpowiedział jakby zmęczony i odwrócił się w stronę magnetofonu. Wsunął kasetę i wcisnął klawisz.

Przez moment siedzieli w milczeniu, słuchając trzasków poprzedzających nagranie.

— Faith — powtórzyła wreszcie Carla, wyraźnie zdeorientowana. — Faith. — W jej ustach zabrzmiało to jak „fate”, czyli fatum.

— Pamiętasz Faith — odezwał się Wilk, jakby czytał scenariusz.

— Tak. Oczywiście pamiętam Faith — odpowiedziała Carla, marszcząc brwi. — Ale dlaczego Phoebe?... Nie wiem... — Wyraźnie brakowało jej słów, ale nie przeszła na niemiecki.

— Jestem jej siostrą — wyjaśniła Phoebe, czując, jak krew napływa jej do twarzy. — Siostrą Faith. — Zabrzmiało to jak dumna proklamacja.

Usta Carli rozchyliły się, kiedy spojrzała na Wilka. Po chwili trysnął z nich potok cichych, niemieckich słów. Wilk odpowiedział pokornie, nieco ochrypłym głosem. Zdaniem Phoebe wyglądał na wystraszonego.

Carla przygładziła dłonią krótkie włosy i odwróciła się w stronę Phoebe.

— Nie wiedziałam, że jesteś siostrą Faith — powiedziała tak poprawną angielszczyzną, jakiej jeszcze nie używała tego wieczoru.

Phoebe patrzyła na nią bez słowa. Na twarzy Carli zaszła zmiana, jakby dopiero teraz zobaczyła przybysza po raz pierwszy. Była w niej przede wszystkim litość.

— Przykro mi — powiedziała i przybliżyła się nieco.

Phoebe poczuła zapach jej skóry i nagle ogarnął ją wielki smutek, jakiego nigdy jeszcze nie czuła na myśl o swojej siostrze. Miała ochotę przytulić głowę do miękkich piersi Carli i czekać na pocieszenie. Omal tego nie zrobiła.

Carla położyła dłoń na ramieniu Phoebe, łagodnym, ale i po lekarsku stanowczym gestem. Przez chwilę siedziały w milczeniu. Iggy Pop śpiewał *The Passenger*. Phoebe zupełnie zapomniała o obecności Wilka.

Następnego dnia Carla miała wolne i już przed południem kupiła bilety na wieczorny koncert jazzowy. Phoebe z przyjemnością odmówiła. Tej nocy wszyscy mieli spać u Wilka, więc kiedy Carla przebierała się w sypialni, Phoebe pomagała Wilkowi w rozkładaniu i ścieleniu kanapy w salonie, na której miała spać. Rozkładali pościel w nieprzyjemnym milczeniu.

— Ja... przepraszam — powiedział w końcu Wilk, szukając wzrokiem oczu Phoebe.

— Ona nie wiedziała, kim jestem — odparła Phoebe, zdenerwowana wspomnieniem.

— Wiem, wiem... — W jego udręczonych oczach dostrzegła przede wszystkim wstyd. — Nie chciałem robić z twojego przyjazdu wielkiej afery — wyjaśnił. — Głupio wyszło.

Carla wyszła z sypialni w pełnym makijażu i czarnych spodniach wetkniętych w czerwone, kowbojskie buty. Wydawała się Phoebe jakby mniejsza, a delikatność jej rysów i szczerłość twarzy w niczym nie łagodziły ciężaru nieobecności Faith.

W oczach Carli pojawiła się nagle nowa niepewność, jakby zdała sobie sprawę z tej niezauważalnej zmiany we własnym wyglądzie.

— Idziemy? — spytała z wahaniem, zwracając się i do Wilka, i do Phoebe.

Wilk zbliżył się pospiesznie i przyciągnął ją do siebie, jakby widok jej samotnej postaci był dla niego nie do zniesienia. Phoebe odwróciła wzrok, kiedy ruszyli w stronę drzwi. Usłyszała tylko szept Wilka: *Ich Hebe dich.*

Kiedy wyszli, Phoebe rzuciła się na łóżko w sypialni Wilka. Górne światło było wyłączone, a zasłony szczelnie zaciągnięte. W świetle lampki o szklanym, zielonym kloszu pokój wyglądał jak zanurzony w oceanie. Miękki materac zapadał się jak hamak. Phoebe słuchała buczenia silników lecącego gdzieś wysoko samolotu, próbując wyobrazić sobie siedzących w nim ludzi. Każdy miał jakiś cel podróży, jakieś życie, bagaż pełen osobistych przedmiotów, których potrzebował. W Mirasol nocami często leżały z Faith w łóżkach, usiłując odgadnąć stację docelową przejeżdżających opodal pociągów:

„Milwaukee... Deca-tur... Dallas...”, licytowały się w nieskończoność. „Europa... Timbuktu... Floryda...” Kiedy pociąg był blisko, Faith wyskakiwała z łóżka i biegła do okna. Podobna do ducha w swej białej koszuli nocnej, czekała, aż gwizd lokomotywy i światła wagonów znikną w oddali. „Jutro będą już tak daleko”, mawiała. „A my wciąż będziemy tutaj. Czy to nie dziwne?” W jej głosie zawsze był smutek, który zdradzał zazdrość o pasażerów z wielką prędkością mknących przez noc. Owa zazdrość Faith była dla Phoebe wielką zagadką. Przecież to one były górą — leżały sobie w ciepłych łóżkach, przykryte szorstką, babciną pościelą. Który z podróżnych nie wolałby spać w domu?

Phoebe ocknęła się z półsnu, wstała i podeszła do biurka Wilka. Po prawej stał wąski regał, na którego najwyższej półce leżały niemieckie książki i świeżutkie katalo-

gi. *Sulfa*. Nowy preparat firmy HAAGER, głosił napis na pierwszym z nich, ozdobionym sugestywnym logo skomponowanym z kolb i probówek. Inny, wydany przez firmę Kat, zatytułowany był: *Nawozy sztuczne: co nam przyniosą lata osiemdziesiąte?* Phoebe sprawdzała półkę po półce, aż wreszcie na dwóch najniższych znalazła osobiste rzeczy Wilka. Były tam okulary, wytarty słownik niemiecko-angielski i pojedyncze cygaro Havana w srebrzystym opakowaniu. Z fotografii w ramce uśmiechali się odświętnie ubrani rodzice Wilka. Phoebe rozpoznała ich, choć nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ich spotkała. Obok zdjęcia leżał masywny, bladozłocisty zegarek kieszonkowy, z pracownicie wygrawerowanym, trzyliterowym monogramem. Ubóstwo, wstrzemięźliwość tych przedmiotów sprawiała Phoebe ból. Wydawało jej się, że Wilk postanowił okroić samego siebie ze wszystkiego, by zmieścić się w szczupłym ciele.

Na ostatniej półce leżało zabytkowe pudełko o rzeźbionym wieku, inkrustowanym kawałkami macicy perłowej. Było zbyt duże, by Phoebe mogła je otworzyć, nie zdejmując go z półki. Było ciężkie; wysunęła je z cichym stęknięciem i postawiła na dywanie. Zawahała się, zanim uniosła wieko. Powitał ją widok dwóch różowych muszelek — takich, jakie swego czasu zbierała z Faith na plaży w Mirasol. Omal nie stanęło jej serce. Zacisnęła muszelki w dłoni; były lekkie i chłodne jak porcelana. Oczywiście nie musiały należeć do Faith. Muszle były tylko muszlami, nie brakowało ich na żadnej plaży. Ostrożnie ułożyła je na podłodze obok kolana. Wyjęła z pudełka jakiś dyplom -wypisany gotykiem na żółtym pergaminie, który zwinął się w luźny rulon, gdy tylko uwolniła go spod ścianek.

Drżącymi rękami i z podniecającym uciskiem w piersi rozpoczęła metodyczne przeszukiwanie zawartości szkatułki. Musiała coś znaleźć. Coś bardzo konkretnego, myślała. Sekret. Nagrody, certyfikaty, wszystko po niemiecku. Miniaturowy, łaciaty basset sklejony z brązowych i białych wyciorów do fajki. Zbrązowiałe ze starości wycinki z gazet, a wśród nich olbrzymi nagłówek z serią zdjęć dwóch młodych mężczyzn i dwóch młodych kobiet. Phoebe zastanawiała się, czy to przestępcy, i żałowała, że nie umie przeczytać artykułu. Wreszcie znalazła szarą kopertę, na której widniał równy napis wykonany ręką Wilka: „Zdjęcia”.

Phoebe otworzyła ją drżącymi rękami i wysunęła ze środka plik fotografii, najwyraźniej nie uporządkowanych według żadnego klucza. Na pierwszej z nich zobaczyła Wilka — starego Wilka, takiego, jakim go pamiętała i wyobrażała sobie, nim poznała jego aktualne wcielenie. Był mocno opalony, miał włosy sięgające poniżej ramion i sznur indiańskich koralików zawiązany wokół bicepsa. Rzucił w stronę obiektywu domyślny, arogancki uśmiech, który tak dobrze pamiętała, ozdobiony łukiem białych zębów. Opierał się o maskę swojej półciężarówki, półnagi, z mięśniami brzucha wyrzeźbionymi jak kostki lodu na tacy. Phoebe przyzwyczała się już do zmiany, która zaszła w osobowości i wyglądzie Wilka, ale dopiero teraz poczuła ból straty. Brakowało jej tej pewności siebie, tej junackiej radości, która wyzierała z każdego skrawka starej fotografii. Ten obraz już nie istniał, trudno było nawet wyobrazić go sobie, jakby dzisiejszy Wilk był czystym przeciwieństwem tamtego chłopaka, jakby całym sobą odwracał się od niego.

Pierwsze zdjęcie siostry wzbudziło w Phoebe osobliwe, przyjemne doznania — zimne mrowienie wzdłuż kręgo-

słupa; od krzyża aż po kark. Dorastała w otoczeniu fotografii Faith, ale na wszystkich uchwycono ją w domu, w znajomych murach. Tutaj stała po kolana w dojrzałych chabrach, z twarzą rozmazaną szybkim ruchem. Wilk zbliżał się do niej z czymś, co wyglądało w jego dłoni jak mała fajeczka albo kawałek chleba. Na odwrocie widniał napis: „Dolina Loary, lipiec 1970”.

Phoebe popadła w stan podobny do transu. Pochłaniała obraz za obrazem: Faith w Paryżu, wybierająca pomarańcze na rynku. W staromodnej wannie, ze spiętymi włosami i piersiami unoszącymi się nieco, jak ryby. Po chwili Phoebe nie pamiętała już, gdzie jest - dryfowała z Wilkiem i siostrą w tłumie w większości naćpanych osobników, którzy spoglądali na nią z kuchni, parków i przedziałów w wagonach, mrużąc oczy w gęstym dymie. Wyblakłe kolory przydawały fotografiom niebiańskiego wymiaru, jakby z ukrytego źródła padało na wszystkie postacie oślepiające, hipnotyzujące, białe światło gwiazd.

Kolejne zdjęcie wyrwało Phoebe z nabożnego skupienia. Wstała z podłogi i zbliżyła je do lampy. Było zupełnie odmienne od pozostałych. Kolory zachowały świeżość, a kształty ostrość, jakby użyto innego aparatu. Efekt był taki, jakby fotografię wykonano w mocnym świetle. Dłonie stojącej Faith były niepewnie splecione, a uśmiech jakby z wysiłkiem trzymał się jej ust. W pierwszej chwili Phoebe pomyślała, że jej siostra zaczesła włosy do tyłu, w kok albo koński ogon, jak to niegdyś czyniła. Ale włosy Faith nie były związane. Były krótkie. Ktoś je obciął, pomyślała Phoebe. Uznała, że ktoś zmusił jej siostrę do takiego kroku, może nawet przytrzymał siłą. W nowej fryzurze, prostej, ale nierównej, wyglądała na starszą i jakby złamaną. A może nie tylko z powodu włosów? Może jej

oczy były dziwnie dalekie, nieobecne — nie tyle naćpane, co przemęczone, otoczone cieniem, zmrużone, by uciec przed światłem. Faith stała niezgrabnie, jedną rękę unosząc w stronę twarzy, otoczona wytwornym ogrodem podobnym do Hofgarten, gdzie Phoebe spacerowała z Wilkiem poprzedniego dnia. W tle widać było nawet bliźniaczą, kopulastą budowlę. Phoebe odwróciła fotografię. „Monachium, październik 1970”, przeczytała.

Zaraz, zaraz, pomyślała. Jak to możliwe?

Spojrzała na zdjęcie jeszcze raz. Teraz nie miała już wątpliwości, że park, w którym stała Faith, to Hofgarten. Klomby były już puste, a drzewa pozbawione liści, ale kopuła na pewno była ta sama, podobna do wielkiej, czarnej perły błyszczącej w słońcu. Ale czy Wilk nie powiedział wyraźnie, że Faith nie przyjechała do niego do Monachium? Może ktoś inny zrobił to zdjęcie i dał mu je później? Jednak w takiej sytuacji wiedziałby, że tu była. Po co miałby podkreślać, że jej nie było? Było w tym coś jeszcze: im dłużej Phoebe wpatrywała się w fotografię, tym bardziej była pewna, że wykonano ją w tym miejscu, w którym sama stanęła dzień wcześniej, kiedy Wilk przyklęknął i na moment jakby zapomniał o całym świecie.

Jedno było oczywiste: kłamał. Phoebe sformułowała w duchu ten wniosek i usiadła spokojnie w zielonym świetle, czekając na własną reakcję. Poczula falę strachu, a potem niepewnego gniewu. Jak on mógł skłamać? Dlaczego to zrobił? Te emocje ustąpiły jednak niemal natychmiast, kiedy zdała sobie sprawę z faktu tak niespodziewanego, że nagłe odkrycie omal nie uniosło jej z łóżka. Wilk wiedział więcej, niż jej powiedział! To, co poprzedniego dnia wydawało się nieprzejrzystą i nieprzeniknio-



na ścianą braku informacji, teraz otwierało się, by odsłonić... no właśnie, co? Cokolwiek. Wszystko jedno co, pomyślała Phoebe. Jakie to ma znaczenie? Ważne, że dowiem się czegoś jeszcze! Ta nadzieja wystarczyła jej w zupełności. Poczula się tak, jakby odkryła, że Faith żyje.

W przyływie niepohamowanej, niemal narkotycznej radości Phoebe ześlizgnęła się na podłogę i szybko przejrzała pozostałe fotografie. Znalazła znacznie bardziej wyblakłe scenki z Amsterdamu, Belgii i Francji, ale one już jej nie interesowały. Odkryła już to, czego szukała. Jej uwagę przykuło jednak jeszcze inne zdjęcie. Odrzuciła pozostałe i ściskając to jedno w dłoni, znowu położyła się na łóżku. W blasku lampki zobaczyła Faith i Wilka siedzących na schodach domu O'Connorów, z małą Phoebe wciśniętą między nich, bosą i ubraną tylko w białą koszulę nocną. Oboje otaczali ją ramionami, w tak czuły sposób, jakby byli jej młodymi rodzicami. Phoebe patrzyła na swoją małą buzię uwiecznioną na zdjęciu, uśmiechniętą skromnie, ale i pewnie, jakby od środka rozsadało ją bezgraniczne szczęście. Poczula nagle niesamowitą tęsknotę — gdzie się podziały te chwile? Patrzyła wtedy prosto w obiektyw lub na tego, kto trzymał aparat. Nie pamiętała już nawet, kto to mógł być; w ogóle z trudem wierzyła, że sama kiedykolwiek tam była. Wszystko to, co pozostało na fotografii, w rzeczywistości odeszło już w przeszłość: i chwila, i dom, i siostra. Skrawek papieru był kpina z tej straty. Zdjęcia są smutne, pomyślała Phoebe. Zawsze są smutne.

Wreszcie Phoebe wsunęła fotki na powrót do szarej koperty, zostawiając sobie jedynie tę z Faith w Hofgarten. Odłożyła rzeźbioną szkatułkę na miejsce i poszła do salonu. Zaczęła się przechadzać po ciasnej przestrzeni, nie

wypuszczając zdjęcia z dłoni. Po chwili położyła się na swym nowym, zaimprovizowanym pościeliu, i mocno zacisnęła oczy, czując w szyi wyraźny puls. Wydawało jej się, że nie zaśnie, a jednak musiała zasnąć, gdyż dźwięk klucza przekręcanego w zamku wybudził ją zniecacka, przestraszył i unieruchomił. Przez moment nie wiedziała, gdzie jest. Wilk i Carla po cichu zdjęli kurtki; zapach papierosów, którym nasiąkli, dotarł aż do miejsca, w którym leżała Phoebe. Po chwili ich ciemne sylwetki przemknęły w stronę sypialni — najpierw Carla, a potem Wilk, który ostrożnie zamknął drzwi. Wkrótce potem rozległ się szum wody lecącej z kranu i spuszczonej w toalecie. Smuga światła zniknęła spod drzwi ich pokoju, a sprężyny skrzypnęły cicho, kiedy Wilk i Carla układali się na miękkim materacu. Phoebe zdrętwiała na myśl o tym, co jeszcze mogłaby usłyszeć — wspomnienie ich lekkiego, swobodnego pocałunku przywodziło na myśl zapewne setki intymnych zbliżeń, o których nie miała pojęcia. Odrzuciła koc, pocąc się z niepokoju i intensywnie wpatrując się w zamknięte drzwi. Umrę, jeśli coś usłyszę, pomyślała. Ale nie usłyszała. Nie usłyszała absolutnie nic.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następnego dnia w południe była już w Hofgarten. Wszędzie, gdzie spojrzała, znajdowały się przedmioty, na które być może patrzyła też jej siostra: drzewa o wyrazistych kształtach, kamyki podobne do drobnych klejnotów i ciemna kopuła, piękna i krągła jak księżyc.

Wilk i Carla wyszli wczesnym rankiem, by pooglądać mieszkania. Phoebe wróciła piętnaście po trzeciej. Wilk był już w domu. Na stole leżał jeszcze odręcznie naszkicowany plan, dzięki któremu miała bez trudu odnaleźć bar, w którym Carla i jej narzeczony jedli lunch.

— Długi spacer — przywitał ją Wilk.

— Poszłam znowu do Hofgarten — odparła Phoebe i zerknęła na jego twarz. Niczego nie zauważyła.

— Przyniosłem ci kanapkę — powiedział.

Usiadł obok niej, kiedy jadła, a potem wrócił do swojego pokoju, do pracy, kłapiąc bosymi stopami o wypolerowaną podłogę. Phoebe wyjęła z torebki zdjęcie Faith i przespacerowała się po mieszkaniu, czując w piersi narastające podniecenie. Wreszcie zapukała do drzwi. Wilk siedział przy biurku.

— Co tam? — spytał.

Podawała mu zdjęcie. Chwycił je za krawędź i uważnie przyjrzał się postaci Faith, jakby nigdy przedtem nie widział tego ujęcia. Po chwili odwrócił je i przeczytał napis.

— Skąd to się wzięło?

— Z twojego pudełka.

Wilk pokręcił głową, uśmiechając się tak, jakby ktoś zabawił się jego kosztem. Nie wyglądał jednak na zaskoczonego. Jeszcze raz omiół spojrzeniem stare zdjęcie.

— Więc jednak wróciła — powiedziała Phoebe.

— Tak — potwierdził Wilk. — Wróciła.

Z wysiłkiem podniósł się z krzesła, zdjął okulary i mocno roztarł oczy dłońmi. Podeszedł do okna i wyrzwał na ulicę. Ktoś przycinał drzewo; wycie piły łańcuchowej rwało ciszę na strzępy.

— Faith kazała mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem — oznajmił. — Nikomu, a zwłaszcza jej rodzinie. Ale myślę, że masz prawo wiedzieć; zresztą w tym tempie i tak dowiedziałabyś się wszystkiego bez mojej pomocy.

— Przepraszam — mruknęła Phoebe, zawstydzona wspomnieniem o grzebaniu w jego osobistych rzeczach.

— Zrobiłaś, co zrobiłaś.

— Ale to było złe — zauważyła. Naprawdę chciała, żeby jej przebaczył. — Było i już.

— A jednak to zrobiłaś. Zapadła cisza.

— Dlaczego kazała ci przysiąc? — spytała Phoebe po chwili.

— Wplątała się w Berlinie w jedną sprawę, której nie chciała nagłaśniać.

Tego Phoebe się nie spodziewała.

— Jaką sprawę? — spytała z lękiem.

Wilk zerknął na biurko, podniósł piórko i starannie nałożył zakrętkę.

— Chodźmy stąd — powiedział.

Phoebe wyczuła, że chce poddać Faith kwarantannie,

trzymać ją z dala od swojej pracy, biurka i łóżka. Przygnębiła ją ta myśl.

Phoebe usiadła na kanapie w salonie. Ku jej zaskoczeniu, Wilk przyniósł z kuchni dwa piwa i podał jej jedno. Jak on mógł myśleć teraz o picciu? Odmówiła, zirytowana. Wilk przestraszył się nieco i postawił butelkę na podłodze. Phoebe poczuła się winna. Podniosła ją i wzięła łyk piwa.

Wilk usiadł na dywanie i oparł się plecami o kanapę, na lewo od kolan Phoebe. Nie widziała jego twarzy. Zapalił papierosa i bosą stopą przyciągnął do siebie popielniczkę.

— No i? — odezwała się w końcu Phoebe.

— Nie bardzo wiem, co ci powiedzieć — odparł Wilk. Był zdenerwowany.

— Po prostu powiedz, co się stało.

— Obawiam się, że zabrzmiało to dziwnie, wyrwane z kontekstu.

— Mów o Berlinie — poradziła. — O tym, o czym miałeś nie mówić.

— Zgoda — mruknął. — Zgoda. — Zaciągnął się papierosem tak mocno, jakby palił skręta. —

Wyjechaliśmy z Faith ze Stanów. Tyle oczywiście wiesz — zaczął i zaśmiał się nerwowo, wydmuchując dym. — Wyjechaliśmy z powodu kiepskiej atmosfery.

— Atmosfery?

— Wiesz, zrobiło się nieprzyjemnie. Pewne sprawy dojrzały już i zaczynały przemijać... Mieliśmy wrażenie, że zachodzi jakaś zmiana: wydarzy się coś złego, sam nie wiem. — Papieros drżał w palcach Wilka. — Zdaje się, że zaczęło się od Kambodży. W kwietniu. A może nie od Kambodży?... Chyba jednak tak. chociaż problemy poja-

wiły się wcześniej. Bóg jeden wie, że inwazja na Kambodżę po tym wszystkim, co zrobiliśmy, żeby powstrzymać wojnę... Myśleliśmy: Jezu, czy ktoś w ogóle nas słyszał? A potem Gwardia Narodowa wymłóciła te dzieciaki w Kent State. Dzieciaki, wiesz? Zmiotli je pałami. Takie zło po prostu nie mieściło się w głowie.

Phoebe słyszała gorycz w jego głosie, zabarwioną sporą dawką bolesnego niedowierzania.

W samym Ruchu, mówił Wilk, też się coś zmieniło. Hell's Angels zgnoiili ludzi w Altamont, a Weathermeni dokonali aktu samozniszczenia w nowojorskim ratuszu. Wszystko to wydarzyło się w ciągu paru miesięcy. Okolice Haight też się staczały: coraz więcej było ćpunów, uciekinierów i zwykłych bandytów. Panowało przekonanie, że gdzieś po drodze Ruch wykonał fałszywy krok, i teraz nikt już nie wiedział, co robić.

— Faith i ja nie byliśmy razem od niemal dwóch lat; prawie ze sobą nie rozmawialiśmy — powiedział Wilk. — Aż wreszcie, w czerwcu, zobaczyłem ją na dziedzińcu w Berkeley podczas jakiegoś wiecu, kolejnej bezsensownej przemowy. Patrzyłem, jak słuchała tego z coraz większym znudzeniem, a kiedy zaczęła się zbierać, podszedłem do niej. Pocałowaliśmy się na powitanie. „Co myślisz o tym wszystkim?“, spytałem. „Myślę, że to jedno wielkie gówno“, odparła. „Nie mówię o tym wiecu, tylko o wszystkim. O całej sytuacji“.

To był ciepły dzień i powietrze pachniało tak jakoś słodko. Faith wyglądała naprawdę pięknie; jej włosy lśniły w słońcu. „Urwijmy się“, powiedziała. „Zróbmy wyjazd“. „Nie ma sprawy“, odparłem. Zaczęliśmy iść w stronę mojego domu i nagle poczułem, jak cholernie chciałbym znowu być z nią, jak bardzo brakowało mi jej szaleństw.

„Wiesz, nie chodziło mi o to, żebyśmy urwali się tylko z tego wiecu”, powiedziała, idąc obok mnie. „Urwijmy się totalnie”. Odpowiedziałem, że wiem, o co jej biega, chociaż wcale nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, co jej chodziło po głowie, ale w tamtej chwili było mi to obojętne: po prostu chciałem robić to, co ona. Po tygodniu już nas nie było — ciągnął Wilk. — Faith miała mnóstwo forsy; zdaje się, że po ojcu. Pięć tysięcy dolców. Ja też miałem trochę oszczędności, a do tego sprzedałem wóz za siedem stów.

— Ja też dostałam pięć tysięcy — wtrąciła pospiesznie Phoebe, choć nie bardzo wiedziała, po co to robi.

— O coś nam wtedy chodziło — powiedział Wilk. — Na czymś nam zależało. Teraz może brzmi to głupio, ale wtedy było inaczej. Były nas setki, tysiące, i wszyscy dążyliśmy do jednego celu. To potężna siła, kiedy tak wielu ludzi ma wspólne przekonania.

Phoebe chciała powiedzieć „wiem”, ale zaraz przyszła jej do głowy wręcz przeciwna myśl: „Niby skąd?”

— Widziałem, jak mój tata codziennie idzie do pracy w Chubb Insurance — kontynuował Wilk. — Rok po roku, niezmiennie, w garniturze i krawacie... Czy był szczęśliwy? Nie wiem. Wydawało mi się, że nie ma tam miejsca na szczęście.

— A mój tata? — wtrąciła Phoebe.

— Właśnie! Facet chce być artystą — jest artystą! — ale pracuje w IBM, żeby utrzymać rodzinę. Robota wysysa z niego wszystkie soki; ledwie może malować. Wreszcie zaczyna chorować... To tragiczne.

Phoebe ugryzła się w język, zanim przytaknęła. A jeśli był kiepskim malarzem? Czy nadal było to takie tragiczne?

— Faith bez przerwy o nim myślała. Wiedziałem o tym od razu, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, wkrótce po śmierci waszego ojca, ale gdy poleciliśmy do Europy, jej przywiązanie stało się jeszcze intensywniejsze. Pamiętam, że w samolocie bez przerwy gapiała się w okno. Spytałem: „Co cię tak pochłonęło?” „Gene”, odpowiedziała. Zawsze tak go nazywała. „Wiesz, myślę, że on tam jest. Obserwuje nas”.

Wilk zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i w zamyśleniu zapatrzył się na rozżarzoną końcówkę. — W Europie też często o nim wspominała — odezwał się po chwili, wypuszczając porcję dymu przy każdym słowie. — Ni stąd, ni zowąd wyskakiwała do ludzi z tekstem: „Wiesz, mój ojciec nie żyje”. Mało ich to obchodziło. Aż w końcu w Londynie siedzieliśmy grupą w Green Parku i jakaś dziewczyna miała przy sobie egzemplarz „Howl”. Faith powiedziała, że jej ojciec znał Ginsberga, Michaela McClure'a i Ferlinghettiego. Boże, żałuj, że nie widziałaś twarzy naszych koleśków — totalna fascynacja. „Naprawdę? Twój tata ich znał? Kumpłowali się? Ale jak to możliwe? Kim był twój ojciec?”

Wilk słuchał tych pytań i obserwował, jak Faith modeluje odpowiedzi — i w tej, i w późniejszych rozmowach — aż w końcu powstała z tego nowa historia: o tym, że jej ojciec należał do pierwotnej grupy bitników, popijał whiskey z Nealem Cassadym i wystawiał swoje prace w galeriach, w których Ginsberg i Kerouac czytali swoje dzieła. Wilk dziwnie się czuł, będąc świadkiem narodzin mitu Gene'a, a raczej człowieka, którym Gene mógł i powinien był się stać. Wiedział doskonale, że wszystko to gówno prawda, ale godził się na to. Dlaczego nie? - myślał. To tylko głupie gadanie, a skoro Faith ma być dzięki temu



szczęśliwa... A kiedy usłyszał, jak inni ludzie powtarzają tę historię („Widzicie tę laskę z San Francisco? Słyszeliście o jej ojcu?”), wymysły Faith nabrały znieczuła cech głębokiej prawdy. — Popisywali się nim — stwierdził Wilk. — Złapałem się na tym, że i ja to robię. W wyjątkowo zwariowanych momentach spoglądałem czasem na Faith i mówiłem: „Gene aprobeuje” albo „Zdaje się, że patrzy na nas uważnie”. Bez względu na to, czy rzeczywiście był to jej ojciec, powoaliśmy do istnienia tego gościa, malarza-bitnika, i stał się współnikiem w naszych ciemnych sprawkach. Phoebe wyprostowała się na kanapie, próbując wyobrazić sobie, że ojciec naprawdę ją obserwuje. Pragnęła, żeby uniósł ją w powietrze, tak jak robił to dawniej, gdy była dzieckiem, kiedy przewracała się w biegu, a on porywał ją w górę, zanim zdążyła pomyśleć, że należałoby zapłakać. Nie czuła go jednak. Gdyby się potknęła, upadłaby. — Wszędzie, gdzie dotarliśmy, wyczuwaliśmy niepokój — ciągnął Wilk. — W Londynie, Amsterdamie, w całej Belgii i w końcu w Paryżu. Chryste, ten Paryż! Wszyscy mieli jeszcze w pamięci sześćdziesiąty ósmy, strajk generalny. Nic nie robili, tylko rozpamiętywali. Ten ich niepokój udzielił się i nam. Pamiętam, że zastanawiałem się, co robić dalej, a Faith zaczęła na potęgę wydawać pieniądze, próbując wywołać jakieś zdarzenie, które zwróciłoby uwagę wszystkich. Któregoś dnia kupiła piętnaście poduszek z pierzem. „Tylko białe pióra”, nalegała w sklepie. „*Blanches, blancheś*”. Ja tylko przewracałem oczami; ekspedientka pewnie pomyślała, że ma do czynienia z wariatką. Zanieśliśmy je całą bandą na wieżę Eiffla i rozpruliśmy na najwyższej galerii. Był zmierzch, powietrze nad miastem jarzyło się

elektrycznym błękitem, no i te pióra... Unosiły się na wysokościach jak chmara owadów, świetlików czy czegoś takiego. Jezu, co za chwila. Ktoś musiał donieść obsłudze, że coś kombinujemy, bo zaraz otworzyły się drzwi windy i wyskoczył na nas umundurowany strażnik. Faith wyciągnęła rękę za reling i zawołała: „Patrzcie!”, jakby dopiero teraz zauważyła fruujące pióra. Strażnik spojrzał zaskoczony na te pierzaste płatki śniegu w letni wieczór i zatrzepotał powiekami, jakby zapomniał, po co przyszedł. Po minucie nieśmiało uśmiechnął się pod wąsem; widać było, że nieczęsto uśmiecha się na służbie. „Pokój”, powtarzaliśmy, „pokój, bracie”. I machaliśmy mu przed nosem palcami ułożonymi w V, kiedy wsiadał z powrotem do windy. Spojrzeliśmy z Faith po sobie i nawet nie musieliśmy nic mówić. Wiedzieliśmy, że Gene był zachwycony.

— Pióra... — mruknęła Phoebe. — Brzmi to niesamowicie.

— I takie było — zapewnił ją Wilk. — Absolutnie niesamowite. Nigdy tego nie zapomnę.

Znowu zapadła cisza. Pióra, myślała Phoebe, szukając w pamięci chwili ukształtowanej przez siebie, która mogłaby dorównać pięknemu i tajemniczemu czynowi Faith. Nie znalazłszy takiej, poczuła rozczarowanie tak dobrze znane, że niemal pocieszające.

Mimo wszystko, opowiadał Wilk, nawet w Paryżu z wielu numerów nic nie wychodziło. Faith wskoczyła raz do Sekwany i porwał ją tak silny prąd, że stateczek z turystami musiał ją ratować.

Innym razem wpadła jej w ręce butelka absyntu i skończyło się na nocy w szpitalu z atrakcją w postaci płukania żołądka.

— Wyczerpywaliśmy się nawzajem — powiedział Wilk. — Faith zawsze rzucała się z apetytem na nowe pomysły, a ja zawsze próbowałem stawiać opór.

Ostatecznym ciosem był wypadek, który wydarzył się podczas imprezy współfinansowanej przez Faith. Parę zespołów grało pod chmurką, ludzie tańczyli, a jakiś gość spadł z dachu i złamał nogę. Faith oczywiście winiła siebie — mówiła, że powinna była to przewidzieć, że należało zrobić barierkę... Nagle wszystko jej się odmieniło: uznała, że opuściło nas szczęście i że musimy jak najszybciej wynieść się z Paryża. Odwiedziła tego połamańca w szpitalu i dała mu pięćset dolarów we frankach, chociaż wcale go nie знаła.

- Przez cały czas docierały do nas ciekawe informacje o Niemczech - ciągnął Wilk. - O tym, jak grupy anarchistów organizują rozmaite hece w Berlinie. Gdy tylko spotykaliśmy Niemca, zaraz zaczynała się rozmowa o tym ich studenckim przywódcy, Rudim Dutschke, sparaliżowanym na całe życie po tym, jak w sześćdziesiątym ósmym jakiś neofaszysta postrzelił go w głowę. Ta sprawa naprawdę złamała im serca. Dosłownie szlochali, gdy tylko wspomnieli o tym gościu; zawsze też wznosili toast za jego zdrowie. Dla studentów-radykałów była to historia mniej więcej takiego kalibru, jak dla nas zabójstwo Kennedy'ego: wywołała nieopisany smutek i potworną wściekłość. Mniej więcej w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym naprawdę zaczęło się w nich gotować.

W Paryżu poznaliśmy jedną Niemkę, Inge, która pisała do lewackiej gazety „Konkret”. Przyjechała tam z mężem, Francuzem, i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wróci do Berlina. Mówiła, że Paryż jest martwy, a w Berlinie dopiero szykuje się eksplozja wydarzeń. Wybierała się z mężem do domu wkrótce po tej aferze z upadkiem z da-

chu, więc pomyśleliśmy z Faith: „Ech, co tam”. I zabraliśmy się z nimi, samochodem.

Wilk umilkł, żeby zebrać myśli. Phoebe czekała w milczeniu, mając nadzieję, że usłyszy o kolejnym wielkim triumfie siostry. Czekala, ale i bała się nowin, w taki sposób, w jaki człowiek się lęka, że może coś stracić.

— W drodze do Berlina — kontynuował Wilk — Inge opowiedziała nam o swojej przyjaciółce nazwiskiem Ulrike Meinhof, dość znanej dziennikarce, która nagle porzuciła normalne życie i zeszła do podziemia z jakąś grupą terrorystyczną. Nie znalazłabyś drugiej takiej lewaczki — po trzydziestce, od lat żona wydawcy „Konkretu”, mieszkała w dużym domu we Frankfurcie, miała córki-bliźniaczki. Inge czytywała jej artykuły już na studiach, więc kiedy Ulrike zostawiła męża i przeniosła się do Berlina, chciała się z nią zaprzyjaźnić. Ale Meinhof była raczej skryta i zdradzała objawy depresji. Jej artykuły były coraz bardziej radykalne. Sympatyzowała ze studenckimi grupami anarchistycznymi, które zaczynały używać przemocy.

— Przemocy... w jakim sensie? — spytała Phoebe. Przypomniała sobie o historii Patty Hearst.

— Powiedzmy, że chodziło o partyzantkę — odparł Wilk. — Mała dywersja, wiesz, sypanie piasku w tryby maszyny. Naczytali się mądrości z podręcznika dla miejskich partyzantów, wydanego, jeśli się nie mylę, w Brazylii. Rzucali tu i tam koktajle Mołotowa, kamienie, czasem przecinali komuś opony. Drobiazgi. Zakładali chyba, że suma małych pęknięć wystarczy, żeby odradzająca się ich zdaniem faszystowska władza zawałowała się pod własnym ciężarem.

— Mówiłeś, że to studenci? W moim wieku? — zdziwiła się Phoebe.

— Mniej więcej. Tak czy inaczej, Ulrike Meinhof postanowiła zrealizować sztukę dla telewizji i zaprosiła Inge do ekipy filmowej. Miała to być historia dziewcząt, które uciekają z domu dziecka. Zaczęła nad tym pracować, a tymczasem do więzienia trafił jeden z tych smarkatych anarchistów, Andreas Baader, skazany za podpalenie domu towarowego. Chciał napisać książkę, a Meinhof postanowiła, że mu pomoże, gdy tylko o tym usłyszała. Prawnik Baadera, Horst Mahler, słynący z lewicowych poglądów, dogadał się z władzami: Ulrike Meinhof mogła spotkać się kilkakrotnie z Andreasem Baaderem na terenie biblioteki w Dahlem, żeby pomóc mu w poszukiwaniu materiałów. Do pierwszej wizyty doszło zaraz po ukończeniu przez Meinhof tego spektaklu dla telewizji. W południe strażnicy odcięli całe skrzydło biblioteki i wprowadzili Baadera. W tym momencie rozpętało się piekło: do sali wkroczyli uzbrojeni i zamaskowani ludzie. Ulrike wyciągnęła z torebki pistolet, zaczęła się strzelanina, a zaraz potem napastnicy wymknęli się z gmachu, ciągnąc za sobą Baadera. Cały kraj był w szoku, nie tylko dlatego, że znana dziennikarka nagle zmieniła się w przestępcę, ale i dlatego, że Horst Mahler, prawnik Baadera, także zniknął. Sztuki telewizyjnej oczywiście nie puszczono; przecież nikt nie będzie propagował dzieł terrorystki. Parę tygodni później, na początku czerwca, czyli mniej więcej wtedy, kiedy wpadłem na Faith podczas wiecu w Berkeley, grupa wydała oświadczenie, w którym ujawniła swoją nazwę: Rote Armee Fraktion (RAF).

— Co to znaczy?

— Dosłownie: Frakcja Czerwonej Armii, ale w niemieckim „frakcja” to coś bliższego gangowi.

— Słyszałam o Frakcji Czerwonej Armii — powiedziała

Phoebe, nie kryjąc emocji. — Czy wy... spotkaliście się z nimi?

Wilk pokręcił głową.

— Działali w podziemiu. Nie można było do nich dotrzeć. Ba, trudno było nawet znaleźć się w pobliżu. Większość tamtego lata spędzili w Jordani, ucząc się taktyki walki partyzanckiej od speców z OWP. Pamiętam, że kiedy o tym usłyszałem, pomyślałem: Niech to szlag, a my przebimbaliśmy całe lato na haju, rozrzucając pióra.

Phoebe przypomniała sobie niesamowity ładunek podniecenia, które czuła podczas alarmu bombowego u Har-rodosa. Ludzie w moim wieku siłą zmieniający świat, pomyślała. Do czegoś takiego trzeba mieć jaja.

— Pojechaliśmy do Berlina — ciągnął Wilk. — Rzeczywiście, w powietrzu wyczuwało się niewiarygodne napięcie. Zamieszkaliśmy u jednego stolarza, przyjaciela tego gościa, który nas przywiózł, w wielkim mieszkaniu w Kreuzbergu, w pobliżu Muru. Pełno tam było imigrantów, w większości Turków, i dziwaków wszelkiej maści.

— Spotkaliście tabuny anarchistów, jak się spodziewałeś?

— Jasne — odparł Wilk. — Haszowi Rebelianci, Czarna Pomoc, Spółdzielnia Pacjentów Socjalistycznych... — wyliczał. — Mówię poważnie, to prawdziwi pacjenci szpitala psychiatrycznego, z lekarzem na dokładkę. Uznali, że to społeczeństwo jest przyczyną ich choroby, i aby wyzdrowieć, powinni je zwalczać. Tupamaros Berlina Zachodniego — ci z kolei przejęli nazwę po jakiejś urugwajskiej grupie... Mówię ci, zastaliśmy tam cały podziemny świat i tony nielegalnej prasy: „883”, „Extrablatt”, „D.P.A.”. Jedna z gazetek drukowała listy uwięzionego Haszowego Rebelianta, Michaela Baumanna, które pisał do swojej dziewczyny, Helli, a ja tłumaczyłem je Faith...

Phoebe usłyszała zmianę w głosie Wilka, jakby to wspomnienie ożywiło go nieco.

— Daliśmy się połknąć temu, co znaleźliśmy w Berlinie — powiedział. — Bywaliśmy w klubach, w tawernach, w Zodiaku, w Niewytłumaczalnym Schronisku dla Podróżnych, w Dalekim Gospodarzu i w Top Ten. Kładliśmy się o świcie i spaliśmy całymi dniami, a kiedy w końcu się budziliśmy, wciąż byliśmy w dobrym nastroju. I o to właśnie chodziło; wreszcie posuwaliśmy się naprzód i mieliśmy wrażenie, że jeśli uda nam się utrzymać ten rytm życia, to dokonamy czegoś więcej niż tylko przetrwania. Że być może zdołamy złapać to coś, co uciekło innym — Weathermenom, studentom w Paryżu, Aniołom Piekieł. Faith była w siódmym niebie. Chodziliśmy na imprezy urządzone w starych magazynach. Spoglądałem czasem przez popękane szyby na nocne niebo i gwiazdy, myśląc: Chryste, chyba zaraz uniesie mnie do nich jakaś siła.

Phoebe słuchała w napięciu, przytłoczona znajomym wrażeniem, że ześlizguje się, znika z tego punktu przestrzeni, w którym się znajdowała, że blaknie, że z każdą chwilą jej ciało staje się coraz mniej trwałe. Chciała chwycić się czegoś, zakotwiczyć się jakoś, ale miała przed sobą tylko Wilka, a on sam zatopił się w swojej opowieści.

— A co z ludźmi z Czerwonej Armii? — spytała.

— Och, czuło się ich obecność. W sierpniu wrócili z Jordanii, mniej więcej na tydzień przed naszym wyjazdem do Berlina. To dziwne, ale jakoś wszyscy mieli świadomość, że oni tam są. Zwłaszcza w Kreuzbergu. Czasem spacerowałem ulicami, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że widziałem któregoś z nich. Dopiero później okazało się, że ich wyprawa do Jordanii była totalną katastrofą... Baader chyba bał się broni; poza tym niemieckie dziew-

częta lubiły opalać się nago na dachu baraku, a to się nie podobało gospodarzom. Zapewniam cię jednak, że wtedy, w sierpniu, nikt o tym nie wspominał.

— A czy naprawdę kiedyś ich spotkałeś? — spytała Phoebe.

— Nie — odparł Wilk. — Nigdy ich nie spotkaliśmy, a jednak wywarli wielki wpływ na nasze życie. Był sierpień i dni stawały się coraz krótsze.

— Nocą czuć było w powietrzu jesień — wspominał Wilk. — Mimo ciepła pojawił się specyficzny zapach. Łapałem się na tym, że myślę o szkole, o poborze, o tym, co się stało, kiedy nie pojawiłem się na zajęciach. Czy byłem „wyjęty spod prawa”? Czy będę mógł kiedyś wrócić do kraju bez obawy, że wyląduję w więzieniu? Czasem też rodziła się w mojej głowie paniczna myśl: Co, do kurwy nędzy, zrobiłem ze swoim życiem? Budziłem się niekiedy w środku dnia i widziałem, że Faith ponurym wzrokiem wpatruje się w sufit. Nie miałem pojęcia, o czym tak rozmyśla. Czasem nawet nie pytałem. Dryfowali pośród miejsc, które warto było zobaczyć — widzieli popiersie Nefretete i gwiaździste korytarze pałacu w Charlottenburgu, a teraz, na wyleńiałym trawniku stadionu olimpijskiego pamiętającego czasy Hitlera, Faith odwróciła się gwałtownie w stronę Wilka i powiedziała:

— Coś robimy nie tak.

Wilk nie miał ochoty na rozmowę; zbyt wiele własnych spraw zaprzętało jego myśli.

— Nie może być tak, że co minutę przydarzy nam się coś nowego — zauważył.

— Bez przerwy coś się wydarza — zaoponowała. — Tylko że albo można się w to zaangażować, albo nie.

— Ejże. Wiesz, gdzie jesteśmy?



Faith rozejrzała się nerwowo, chłonąc widok rozległego pola otoczonego wysokimi ścianami i smukłych masztów flagowych, których wierzchołki znikają we mgle.

— Chodziło mi o Berlin — mruknął niechętnie Wilk.

— Wszystko jest takie samo, jak było. Tacy sami ludzie rządzą światem, depreczając innych ludzi. Nic się nie zmieniło, Wilku. Po tym wszystkim, co się już wydarzyło, nie zaszły żadne zmiany! — W głosie Faith pobrzmiwała panika. — Mam jeszcze tysiąc pięćset dolarów.

— Pieniądze kiedyś się skończą.

— Wiem — odpowiedziała i zamyśliła się na moment. — Muszę zorganizować coś dużego. Coś naprawdę dużego.

— Na początek zapal ogień — podpowiedział Wilk, rzucając jej zapalniczkę.

Faith przekreśliła kółko i mały płomyk zamigotał na wietrze. Wyjęła skręta z zabytkowej papierośnicy i zapaliła go. Wilk rozejrzał się niespokojnie, jakby się spodziewał, że lada chwila pojawią się strażnicy z SS, żeby ich aresztować. Nikt jednak się nie pojawił. Byli w muzeum.

Faith zaciągnęła się mocno i oddała skręta Wilkowi.

— Gdyby firma IBM zbudowała stadion, musiałyby wyglądać właśnie tak — odezwała się ochrypłym głosem, nie wypuszczając dymu. — To faszyci, wiesz? Wszyscy.

— Ja jestem nawrócony — odparł Wilk.

Zanim dokończyli porcję trawki, kontury budowli zmiękły w ich oczach i zmarszczyły się, jakby w kamieniu pulsowała muzyka. Wilk wyrzucił niedopałek.

— Adolf Hitler zbudował ten stadion — powiedział. — A my właśnie tu palimy sobie skręta.

Faith chwyciła go za rękę. Pocałował jej włosy.

— Pomyśl o tym, kiedy znowu będziesz miała wrażenie, że nic się nie zmienia — dodał.

Tej nocy wybrali się na imprezę zorganizowaną na przedmieściach Berlina, w wielkim budynku, w którym podobno podczas wojny składowano bomby. Przy wtórze głośnej muzyki naćpanych artystów w sali bawił się tłum dziwacznych indywiduów z całego świata. Faith i Wilk poznali tam niejakiego Erica, osobnika w różowym, skórzanym płaszczu, żywo przypominającego Mansona: był przystojny, miał wzrok lunatyka i fanatyzm wypisany na twarzy. Wilk widział go już wcześniej w okolicy Gedachtniskirche, zbombardowanego kościoła na Ku'dammie, gdzie spotykali się hipisi. Matka Erica była Angielką, więc Faith nie musiała korzystać z tłumaczenia Wilka, żeby się z nim porozumieć. W jakiś sposób w rozmowie pojawił się wątek RAF i Erie nie omieszkał wspomnieć, że studiował z dziewczyną Baadera, Gudrun Ensslin, która także dołączyła do Frakcji Czerwonej Armii.

— Czy grupa jeszcze się rozrasta? — spytała Faith. — A może należą do niej tylko ci, którzy ją zakładali?

— Pewnie w tej chwili czytają CV nowych kandydatów — odparł Erie.

Faith z powątpiewaniem zmarszczyła czoło.

— Co to jest CV?

— On żartuje — wtrącił Wilk. — CV to życiorys.

Faith zmrużyła oczy. Nie cierpiała, kiedy ktoś z niej kpił.

— Zastrzeliłam kiedyś królika — powiedziała ze śmiertelną powagą.

Erie spojrzał na nią bez słowa. Po chwili wybuchnęła śmiechem, a Wilk jej zawtórował. Erie uśmiechnął się sardonicznie.

— A kiedyż to przeprowadziłaś tę... akcję? — spytał.

— Kiedy miałam dziesięć lat — odpowiedziała, wciąż szczerząc zęby w uśmiechu.

— Genialne dziecko. Nie masz może nieco świeższych doświadczeń? — indagował, markując dłońmi ruch pisania, jakby przeprowadzał z nią wywiad.

— Butelki od coli. Erie nie zrozumiał.

— Cele ćwiczebne — wyjaśniła. — I gliniane gołębie.

— Broń? — Jakimś cudem dyskusja stała się zupełnie poważna.

— Trzydziestka ósemka. Rewolwer. Erie uniósł brwi, ale powiedział tylko:

— Amerykanie... Zawsze rewolwer.

Wilk usiłował odciągnąć Faith na bok, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. Połknął więc działkę kwasu i zaczął kręcić się w pobliżu, raz po raz włączając się do rozmowy. Nie minęło wiele czasu, nim Faith zaczęła opowiadać historię Gene'a i tego, jak firma go zniszczyła, jak wysysała z niego wszystkie soki, aż wreszcie jego krew zbuntowała się przeciwko temu drenażowi. Mówiła też o tym, o czym Wilk jeszcze nigdy nie słyszał: jak się czuła, obserwując powolne umieranie ojca, jak niewiele mogła zrobić i jak rozpaczliwie i daremnie chwytala się wszelkich sposobów. Przez całe życie próbowała się odegrać, opowiadała, przez całe życie walczyła, ale nie miała już sił. Nie mogła robić tego dłużej w samotności, bo wszystkie jej czyny były zbyt mało znaczące. Wilk słuchał z niedowierzaniem, jak otwierała duszę przed nieznanym, podawała mu ją jak znaleziony na ulicy portfel. Erie, rzecz jasna, wpatrywał się w nią jak urzeczony. Wilk wyobrażał sobie, co się dzieje w jego głowie: młoda, zapalczywa Amerykanka, lata świetlne od domu, gotowa zaryzykować wszystko i pójść na całość. To wystarczyło, by Wilk poczuł strach.

Uniósł włosy Faith i wyszeptał wprost do jej ucha:

— Urywamy się.

— Ja nie — odparła.

Sfrustrowany i zniechęcony, Wilk oddalił się, żeby po-flirtować z Włoszką w żółtych biodrówkach. Tańcząc z nią, obserwował żółtą tkaninę na jej biodrach, przesuwaną się rytmicznie pod jego palcami. Faith odprowadziła go wzrokiem, ale była zbyt dumna, żeby do niego podejść — w końcu to był jego błąd. Z ciężkim sercem Wilk podążył za Żółtą po skrzypiących, metalowych schodach na ogromny, płaski dach, z którego mogłyby startować samoloty. Położyli się na materacu pod gołym niebem usianym gwiazdami, które dla Wilka (w jego obecnym stanie) niczym nie różniły się od walających się dokoła odłamków szkła. Mógł myśleć wyłącznie o Faith i o tym, jak bardzo chciał jej dać lekcję, ale był zbyt nawalony, żeby przypomnieć sobie, czego właściwie miała się nauczyć. Kiedy wreszcie powrócił do sali, Faith i Erica już nie było. Nie był specjalnie zaskoczony; sam zafundował sobie tę sytuację. Narkotyk stłumił jednak panikę, która ogarnęła go wcześniej. Wróci, pomyślał. Nie takie rzeczy przechodziliśmy razem.

Wilk odwrócił się i po raz pierwszy spojrział w oczy Phoebe, która aż podskoczyła z wrażenia.

— Wszystko w porządku? — spytał.

Skinęła głową. Czuła się pusta, jakby jej umysł został opróżniony z wszelkiej zawartości, jakby był drogą czekającą na samochody. To wrażenie sprowadziło na nią osobliwy spokój.

— Phoebe?

— W porządku — odpowiedziała nieco bezcielesnym głosem, jakby naprawdę przestała istnieć. Wilk obserwował ją przez moment — jak się jej zdawało — z wielkiej odległości, dobrze odzwierciedlającej chwilową słabość jej bytu. Jej zrozumienie już się nie liczyło; opowieść pochłonięła Wilka bez reszty. Siedzieli w ciemności.

Faith nie wróciła tej nocy, która dobiegała już końca. I nic dziwnego. Nie wróciła też następnego dnia. Wilk zabijał czas i szukał jej, wałęsając się w okolicy Gedachtniskirche, Tawerny Parkowej i dworca Zoo. Poznał Rosjankę studiującą malarstwo — rudowłosą, tylko tyle pamiętał. Jej obrazy były pełne spiral DNA.

Po dwóch tygodniach, kiedy znowu zobaczył Faith, w zasadzie mieszkał już w pracowni Rosjanki. Kilka razy dziennie wpadał jednak do mieszkania stolarza, żeby sprawdzić, czy Faith tam nie zaglądała. Jej plecak wciąż był ukryty w szafie, pod meksykańskim kocem. W końcu pewnego dnia spotkali się w drzwiach.

— Witaj w domu — powiedział. — Co się stało z twoim królewiczem?

Faith spojrzała na niego obojętnie.

— No, wiesz, z tym... jak mu było? Z tym z rozbieganymi ślepiami. Z Erikiem.

— Aha. Nie wiem — odpowiedziała.

— Więc gdzieś się podziewała, do jasnej cholery?

— Nie pytaj mnie w taki sposób! A gdzie ty byłeś? Miała na sobie inne, proste ubranie — bluzkę w deseń

z małych, czerwonych rombów. Równo przycięte włosy sprawiały wrażenie płaskich, jakby ktoś uczesał je mokrym grzebieniem, wygładzając wszelkie nierówności.

Uderzające było to, jak zwyczajnie Faith się prezentowała. Wilk uznał za niezwykle to, że lata szaleństw nie zostawiły na niej najmniejszego śladu. Wszystko to były tylko pozy; w gruncie rzeczy wciąż była nastolatką. Czuł się teraz przy niej o tysiąc lat starszy.

— Pieprzyć to — mruknął. — Cieszę się, że wróciłaś.

— Powiedzmy, że wróciłam.

Byli sami w mieszkaniu. Kiedy Faith szła w jego stronę, Wilk zauważył coś dziwnego w jej chodzie. Nie umiał sobie tego wyjaśnić — wyglądała tak, jakby nagle przesunął się jej środek ciężkości. Złapał ją za rękę.

— Moim zdaniem wróciłaś.

Położyli się na łóżku stolarza. Wilk bardzo jej pragnął; pod tym względem nigdy nic się nie zmieniło w ich związku. Od czasu do czasu pożądał i innych dziewczyn, ale nie tak gorąco. W głębi duszy był gotów wyrzec się ich wszystkich, gdyby nie oznaczało to zdradzenia się z pewnym uczuciem.

Szczupłe ramiona Faith oplotły go mocno, przywracając głęboko ukryty spokój. Nigdy nie kochał nikogo tak mocno.

Sięgając pod bluzkę Faith, wyczuł na jej skórze coś twardego, wciśniętego z tyłu za pasek spodni.

Wyciągnął ciężki przedmiot i spojrzał na niego: miał przed sobą mały pistolet automatyczny.

— Jasna dupa — jęknął. Pistolet był ciepły od jej skóry. Wyglądał na dwudziestkę dwójkę.

Faith natomiast wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć. Wilk spojrzał na nią z uśmiechem i pokręcił głową. Znowu popatrzył na pistolet i jeszcze raz na Faith. Kochali się potem długo w gładkiej i chłodnej pościeli.

Kiedy skończyli, Faith sięgnęła po broń i zaczęła oglą-

dać ją pod światło. Pistolet rzucał na jej twarz groźny cień.

— Jestem dobrym strzelcem — powiedziała. — Tata mnie wyszkolił.

Wilk obserwował ją, wsparty na łokciu.

— Nigdy nie pozwoliłaś mi skrzywdzić choćby muchy — zauważył. — Jakoś nie wyobrażam sobie, żebyś miała strzelić do człowieka.

Roześmiała się.

— Użyję go jedynie w obronie własnej.

— Obrona czasem wystarczy, żeby kogoś zabić.

— Nigdy nie zastrzeliłabym człowieka — powiedziała z naciskiem. — Posłużyłby mi tylko jako straszak.

Wilk ułożył się na plecach i skrzyżował ramiona na piersiach.

— No, nie wiem, Faith.

Pochyliła się nad jego uchem. Czując jej oddech i ciepło rąk, przyciągnął ją bliżej i przytulił.

— Wilku... znalazłam ich — szepnęła.

Po zmroku Faith wstała i włożyła džinsy oraz wzorzystą bluzkę z taką starannością, jakby były pożyczone. Znowu wsunęła pistolet za pasek, tym razem z przodu. Wilk usiadł i postawił stopy na zimnej podłodze, próbując jakoś oczyścić umysł.

— Zaczekaj — powiedział. — Zamierzasz... tak po prostu zniknąć?

Faith przykucnęła obok i położyła dłonie na jego gołych kolanach.

— Posłuchaj mnie — powiedziała, patrząc mu w oczy.

— Słucham.

— Musisz znaleźć sobie dojsście, Wilku. Po prostu musisz. To jest to.

— Niejeden raz mówiliśmy sobie te słowa.

— Nie — odparła zdecydowanie. — Tamte sprawy się nie liczą. Daję ci słowo. To jest to; to jest prawdziwa akcja.

— Zabierz mnie do nich.

— Nie mogę — odpowiedziała, odsuwając się. — To potężna grupa; ja jestem tylko małym trybikiem. Nie mogę nawet z nimi rozmawiać. Wyjątkiem jest prawnik, pozostali nie znają angielskiego. Wilk potrząsnął głową.

— Więc co, u diabła, robisz dla tych ludzi? Załatwiała sprawy. Drobne zakupy. Kiedy działa się w podziemiu, nie można zwyczajnie pójść do sklepu, by nie zostać rozpoznanym. Robiła to Faith.

— Potrzebują rozmaitych rzeczy — wyjaśniła ogólnikowo, wyciągając z szafy plecak. — To jest to, Wilku — dodała cicho po chwili. — Powiem ci tylko, że oni planują coś naprawdę wielkiego. Wstał z łóżka i podszedł do niej.

— Skarbie — powiedział łagodnie, chwytając ją pod łokcie. — Nie rób tego.

Zmarszczyła brwi. Wilk usilnie starał się wytrzeźwieć, choćby dlatego, że umysł Faith zdawał się pracować tak precyzyjnie. Jej postawa, oczy, wszystko w niej przekonywało go, że dziewczyna wie, co robi, że to ma sens. I nic dziwnego, pomyślał. Czyż nie w tym kierunku podążali od dłuższego czasu? Miała rację; na pewno miała rację... Gdyby nie mętlik w jego głowie i ten pistolet za paskiem... Dopiero kiedy wyobraził sobie Faith ukrywającą się w cudzym mieszkaniu i biegającą po zakupy dla bandy terrorystów, z którymi nawet nie rozmawiała, dostrzegł rozpaczliwość jej położenia. To, co robiła, było równie beznadziejne, jak wszystko, przed czym próbowali uciec.



— Zaczekaj — powiedział. — Może chociaż... zwolnij na parę chwil.

Ale Faith go nie słuchała. Liczyła czeki podróżne.

— Czekaj — powtórzył Wilk, kiedy zarzucała plecak na ramiona. — Faith, zaczekaj. — Stał przed drzwiami, nieświadom tego, że blokuje przejście, póki nie zobaczył jej reakcji. Gdy próbowała go ominąć, nie ustąpił.

— Posłuchaj, to chyba nie twoja sprawa — powiedziała. — Muszę wyjść — dodała i spojrzała na niego tak lodowatym i pełnym rozczarowania wzrokiem, że Wilk poczuł się jak jej wróg. I wściekł się.

-- Dziwię się, że nie sięgasz po broń — rzucił. Faith wciąż na niego patrzyła.

— Zrób to — kusił. — Chcesz wyjść? Wyciągnij spluwę.

— Wilk, przestań. — Bez przekonania spróbowała odepchnąć jego ramię, potem pierś, ale jego kończyny zamieniły się w kamień. Nawet jemu wydawały się nieruchome. Faith przygarbiła się pod ciężarem plecaka.

— Wyjmij broń, no, dalej — powtarzał Wilk. — Przecież wiesz, co robisz, prawda? Więc działaj. Gniewny grymas wykrzywił twarz Faith. Położyła dłoń na kolbie.

— Pieprz się — warknęła i wyciągnęła pistolet, kierując lufę w dół. — Dlaczego? — spytała błagalnie. — Proszę cię, puść mnie wreszcie! Nie cierpię tego...

— Nie cierpisz! — zaśmiał się Wilk. — To cholernie nadajesz się na terrorystkę, Faith.

Niebieska żyłka na jej skroni pulsowała gniewnie. Faith uniosła broń, spoglądając na swoje dłonie, jakby należały do kogoś innego.

— Odbezpiecz — poradził.

Odbezpieczyła. Nie spuszczając pistoletu z oczu, wycelowała w pierś Wilka.

— Przyłóż — powiedział bardzo łagodnie. On także nie odrywał wzroku od broni, póki zimny, krągły koniec lufy nie dotknął jego skóry.

Lodowaty gniew Faith nie przemijał. Jej twarz wykrzywiła się w bolesnym skupieniu, jakby utrzymanie pistoletu w powietrzu wymagało od niej zaangażowania wszystkich sił. Wilk spojrzał jej w oczy, ale wydały mu się obce, nieprzejrzyste. Ku swemu zdumieniu pomyślał, że ona naprawdę mogłaby to zrobić.

— Sądysz, że teraz cię obserwuje? — szepnął.

Faith gwałtownie zadarła głowę. Musiała dostrzec w oczach Wilka swoje odbicie i zrozumieć, co właściwie robi, bo skrzywiła się nagle z odrazą i rzuciła broń. Pistolet upadł na podłogę i wystrzelił. Odrzut odepchnął go o kilka kroków. Patrzyli na niego w głuchej ciszy. Faith zaczęła płakać. Wilk zdjął plecak z jej ramion i przytulił ją mocno, drżąc podobnie jak ona. Pistolet leżał na podłodze w absolutnym bezruchu, jakby przerażony własnym zachowaniem.

— Nie odchódź — powiedział Wilk.

Faith pokręciła głową, nie przestając płakać. Nie chciała iść. Nieśmiało przemierzyła pokój, pochyliła się nad pistoletem i zabezpieczyła zamek. Wprostowała się szybko, ale nie ruszyła się z miejsca. Patrząc na nią, stojącą nad zamartwym pistoletem, Wilk trząśł się z zimna i żałował, że nie włożył czegoś na siebie. W miejscu, gdzie kula wbiła się w tynk, leżały na podłodze białe okruchy. Po chwili Faith przykucnęła nad bronią i Wilk wyczuł w niej wewnętrzną walkę; konflikt dwóch sił ciągnących ją w przeciwnych kierunkach. Która z nich była potężniejsza? Już wtedy znał skądś odpowiedź na to pytanie.

W salonie Wilka na długą chwilę zapadła cisza.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś do mojej mamy? — spytała Phoebe.

Wilk pokręcił głową.

— Tak się nie robiło. Nie biegło się ze skargą do czyichś rodziców — wyjaśnił. — Poza tym, co wasza biedna matka miałyby zrobić? Byłaby przerażona, nic więcej. — Wilk umilkł i zapalił papierosa. -

Zresztą sam nie wiem. Może powinienem był to zrobić? - Odwrócił się w stronę Phoebe. - Uważasz, że byłoby lepiej, gdybym zadzwonił?

Phoebe czuła w sobie głęboką próżnię.

— Nie mam pojęcia.

— Tak czy inaczej, następnego dnia wyjechałem z Berlina - kontynuował Wilk. — Miałem w Monachium kumpla, Timothy'ego, który mieszkał z naszą rodziną przez pierwszy rok nauki w ogólniaku. Przypiąłem jego adres do ściany w mieszkaniu stolarza, pojechałem do Monachium i czekałem.

W ostatnim dniu września zobaczyłem w gazecie olbrzymi nagłówek: poprzedniego ranka RAF dokonała trzech napadów na banki. Dwanaście osób, trzy samochody i łup w postaci dwustu trzydziestu tysięcy marek. Spojrzałem na to i pomyślałem: O Chryste...

Ku własnemu zdumieniu, Phoebe poczuła, że w jej piersi pęcznieje śmiech.

— Wiem - mruknął Wilk, spoglądając na nią z niepewnym uśmiechem.

Phoebe zachichotała, szcękając zębami.

— Dlaczego chce mi się śmiać? — spytała po chwili.

— A co innego możesz zrobić? — odpowiedział pytaniem. — Obrabowali banki. Dranie.

-Ile?

— Trzy. Miały być cztery, ale z jednym im nie wyszło. Cholera — jęknął i zaraz potem sam uległ atakowi ponurego śmiechu. — Rzecz w tym, że to wcale nie było śmieszne.

Chichot Phoebe ucichł znenacka, pozostawiając po sobie zmęczenie.

Wilk zaczął nielegalną pracę — ładował kartony w fabryce butów na przedmieściach Monachium. Podnajął pokój w czyimś mieszkaniu, zostawiwszy aktualny adres u rodziny Tima, na wypadek, gdyby Faith zechciała tropić go aż tak wytrwale. Mijały dni i tygodnie. Jadąc tramwajem do pracy, Wilk czytał codziennie wiadomości o policyjnych nalotach na kryjówki Frakcji Czerwonej Armii, o paru wielkich aresztowaniach, ale nigdzie nie natknął się na wzmiankę o młodej Amerykance. Był początek października; czwartego przedawkowała Janis Joplin, a Hendrix zmarł w Londynie jeszcze w połowie września. Wielu ludzi wybierało się w drogę powrotną, ale Wilk czuł się jak sparaliżowany.

— Miałem mętlik w głowie — wyjaśnił. — Czytałem codziennie o RAF, wiedząc, że Faith jest zamieszana w tę aferę. Czasem myślałem w panice, że powinienem być przy niej, że popełniłem życiowy błąd. Ona żyła teraz w prawdziwym świecie. Robiła coś autentycznego, a ja tylko czytałem o tym w zasranej gazecie.

Phoebe poruszyła się niespokojnie.

— Nie umiałem znaleźć dystansu do tych spraw — ciągnął Wilk. — Dreptałem więc w miejscu i czekałem. I nagle, tak po prostu, odnalazła mnie.

Był koniec października, robiło się naprawdę zimno, a Faith nie miała ubrań odpowiednich na tę porę roku.

Coś się z nią działo; sprawiała wrażenie załamanej. Wilk opatulił ją swoimi swetrami, włączył piekarnik i wszystkie palniki kuchenki, i ogrzewał ją, aż okna pokryły się parą. Faith trzęsła się konwulsyjnie. Minał dzień, zanim skłonił ją do mówienia, ale wreszcie mu się udało.

— Brała udział w tamtych napadach — powiedział. — Jej zadanie polegało na wycięciu otworu w siatce ogrodzeniowej na tyłach budynku sąsiadującego z bankiem, by terroryści mogli sprawnie się wycofać po zakończeniu akcji. Niektórzy z nich twierdzili, że nie starczy jej sił, żeby uporać się z grubym drutem, ale ona upierała się, że robiła już takie rzeczy. Dali jej sukienkę i małą, białą torebkę z przewodnikiem po Berlinie oraz plan metra — zrobili z niej prawdziwą turystkę. Faith chciała też pofar-bować włosy, jak zrobiły to niektóre dziewczyny, ale oni uznali, że lepiej będzie je obciąć.

Ulrike Meinhof stwierdziła, że długie za bardzo przyciągają uwagę; sama ostrzygła się na krótko wiele tygodni wcześniej. Faith nie miała wyboru, musiała się zgodzić, chociaż obcięcie włosów było ostatnią rzeczą na świecie, na którą miała ochotę. Petra Shelm, była fryzjerka należąca do grupy, czyniła honory — ostrzygła ją nad koszulą rozłożoną na podłodze. Wykorzystując moment ich nieuwagi, Faith wepchnęła garść włosów do kieszeni, ale potem je wyrzuciła.

Jak się okazało — ciągnął Wilk — rzeczywiście nie starczyło jej sił na rozcięcie ogrodzenia. Walczyła z nim przez dobrą godzinę; była już tak zdesperowana, że omal nie poprosiła o pomoc jakiegoś faceta wałęsającego się w pobliskim zaułku. Próbowwała naciskać na nożyce rękami i nogami; przy okazji porwała sukienkę. Kiedy po nią przyjechali, była brudna i wyczerpana, a płót nienaruszony. Dostali szału. Horst Mahler wyskoczył z samocho-

du i zrobił to na oczach wszystkich: kazał jej podtrzymywać nożyce i sam przeciął drut. Phoebe próbowała wyobrazić sobie swoją siostrę w tej sytuacji: walczącą ze wszystkich sił i publicznie upokorzoną, ale nie umiała. W jej pamięci utrwalił się obraz Faith radzącej sobie ze wszelkimi przeciwnościami.

— Totalna kłapa? — spytała niespokojnie.

— Wtedy jeszcze nie. Faith mówiła mi, że udział w napadzie był nieprawdopodobnie intensywnym doświadczeniem. Adrenalina tak jej skoczyła, że przez parę dni widziała wszystko z kryształową jasnością, jak po LSD. Pistolet, który czuła przy ciele, był jak drugie serce. Podobało jej się nawet to, że byli poszukiwani. Idąc ulicą incognito, wyobrażała sobie, że sprzedawca czy zamiatacz ulic padliby trupem na miejscu, gdyby dowiedzieli się, kim jest naprawdę. Informacje o wszystkim, czego dokonała grupa, natychmiast trafiały do gazet. Faith czuła się tak, jak na haju, kiedy widzisz własne ciało z wielkiej odległości, bo wiedziała, że miliony ludzi śledzą każdy ruch Frakcji... Spróbuj to sobie wyobrazić.

— Musiało być niesamowicie — przyznała Phoebe.

— I było. Tak twierdziła. - Wilk umilkł na chwilę i Phoebe wyczuła w pokoju ukryty prąd żalu.

— Nie umiała czytać po niemiecku, więc Horst Mahler musiał jej tłumaczyć. Po napadach na banki nie musieli nawet liczyć łupu — wszystko, do ostatniego feniga, wypisano w wieczornej prasie. Wysłali Faith do kiosku. Ręce tak się jej trzęsły, że gazety wpadły jej w błoto i jedna przemokła do cna, ale oni nawet tego nie zauważyli. Byli zbyt podnieceni.

Wilk umilkł i nagle oboje poczuli obojętność. Phoebe miała wrażenie, że zgasł wątyły płomyk i teraz mogli już śmiać się ze wszystkiego, z czego chcieli.

- Triumf nie trwał długo - dodał Wilk po chwili. - Po tygodniu od napadów policja wkroczyła do dwóch kryjówek i przymknęła czworo członków RAF, a wśród nich Horsta Mahlera. Szefowie grupy uznali, że dalsze pozostawanie w Berlinie jest zbyt niebezpieczne i należy przerzucić ludzi do Niemiec Zachodnich. Ale w tym momencie Faith była już sama.

- Sama?

- Zostawili ją. Wysłali ją w jakiejś sprawie na dalekie przedmieście Berlina, a kiedy wróciła po zmroku, mieszkanie było już puste. Urwali się, i tyle. Faith nie miała pojęcia, gdzie ich szukać.

- Boże — szepnęła Phoebe.

- Tak, to było straszne - przyznał Wilk. - Faith wpadła w totalny dół, jak po dwumiesięcznym ćpaniu. Przez jakiś czas kręciła się w pobliżu tej meliny, nocą sypiając na gołym materacu. Sytuacja była bardzo groźna, gliniarze w każdej chwili mogli wejść do mieszkania. Czasem myślałem, że być może nawet chciała, żeby ją znaleźli.

Phoebe próbowała wyobrazić sobie porzuconą siostrę, samotną w pustych pokojach, ale żadna wizja nie przychodziła jej do głowy. W każdym razie nie taka, w której byłoby miejsce dla Faith; jedynie opustoszałe mieszkanie, rozrzucone śmieci, uchylone drzwi, otwarta butelka mleka i niedopałki na parapetach. I dźwięk samotnych kroków.

- Biedna Faith - powiedziała Phoebe, czując przykry ucisk w piersiach.

- Ciągle się zastanawiała, w którym miejscu popełniła błąd - ciągnął Wilk. - Czy powinna była poczynać sobie z nimi śmieiej, czy wręcz odwrotnie? Czy wszystko było w porządku aż do porażki przy ogrodzeniu, czy skreślili

ją już dawno? Myślała o tym bez końca; nie umiała przestać. Tymczasem zostało jej zaledwie dwieście dolarów.

Phoebe czuła na skórze bolesny nacisk powietrza, jakby jej ciało było jedną wielką raną.

— Ciekawe dlaczego — powiedziała.

— Co dlaczego?

— Dlaczego ją zostawili.

— A czy to ważne? Byli gnojami!

Wymienili pełne pasji spojrzenia. Phoebe czuła, że gorzko się zawiodła — na sobie i Wilku (za to, że bezsensownie tracili czas w ciemnym pokoju), a także na Faith (bo nie spełniła pokładanych w niej nadziei).

Faith poszła raz z Wilkiem do fabryki butów, żeby posiedzieć w pokoju śniadaniowym, kiedy pakował i ładował pudła. Zaszli potem do pubu — wyłożonej drewnem i ozdobionej jelenimi rogami sali, w której spotykali się robotnicy. Wilk liczył na to, że odrobina flirtu z jego kumplami z fabryki ożywi nieco Faith, i rzeczywiście tak się stało. Lecz teraz, bez długich włosów, dziewczyna nie przykuwała już uwagi mężczyzn tak jak niegdyś. Była chuda i blada — to akurat nie zmieniło się wiele — ale dawniej burza ciemnych włosów przydawała jej postaci bardziej dramatycznego wyglądu; była wątła, ale efektowna. Teraz nie różniła się od innych szczupłych dziewczyn. Wilkowi i tak się podobała. Jej piękność stała się ukryta i nie każdy facet odkrywał ją już na pierwszy rzut oka. Faith jednak nie cierpiała swojej nowej fryzury; mawiała, że jej głowa wygląda jak żołądź. I tym boleśniej odczuwała, że intensywność otaczającego ją świata — w tym jej własnych przeżyć — została stłumiona przez fatalny błąd, który po-



pełniła. Tamtego wieczoru w pubie bawiła się jednak nie źle. Kiedy wracali tramwajem do domu, śmiała się głośno. W pewnej chwili odwróciła się w stronę Wilka i powiedziała nieswoim głosem: „Może wszystko jakoś się ułoży?”, jakby było to szalone marzenie, na którego spełnienie nie miała wielkiej nadziei.

— Dwa dni później poszliśmy do Hofgarten — opowiadał Wilk. — Miałem w kieszeni pierścioneł z turkusem i nefrytem, jej ulubionymi kamieniami. Możliwe, że wybrałem zły dzień: gdy tylko przyklęknąłem przed nią, od razu wiedziała. „Nie”, powiedziała, zanim zdążyłem się odezwać. „Proszę cię, Wilku, nie rób tego. Ja wariuję. Nie ma we mnie już nic”. Odpowiedziałem, że pieprzę to, że jesteśmy razem tu i teraz, że tylko to się liczy i że możemy wszystko! Ale ona mnie nie słyszała, jakby jakiś hałas zagłuszał słowa w jej głowie. Otarła oczy i powiedziała: „Proszę, kochany, wstań już”. Następnego dnia, gdy wróciłem z pracy, już jej nie było. Siedzieli w milczeniu.

— To wszystko? — spytała wreszcie Phoebe.

Wilk wstał z wysiłkiem i zapalił światło. Pokój zapulsował gwałtownie. Mężczyzna sztywnym krokiem wyszedł do kuchni. Jego nogi jeszcze spały. Po chwili Phoebe usłyszała brzęk butelek wrzucanych do kosza na śmieci.

— Nie wiesz nic więcej? — spytała, kiedy wrócił i usiadł obok niej. — Zupełnie nic?

Wilk odwrócił głowę. Phoebe wbiła wzrok w czarny prostokąt okna, próbując przełknąć jakoś fakt, że opowieść dobiegła końca. Faith znowu jej umknęła, zniknęła w ostatniej chwili, gdy już się wydawało, że wszystko stanie się

jasne. Oto był triumf, na który Phoebe tak długo czekała, którego tak bardzo się bała i o którym wiedziała tylko tyle, że w końcu nastąpi: Faith zniknęła.

Phoebe rozejrzała się po jasnym, lecz bezbarwnym teraz pokoju, a potem popatrzyła na Wilka. On także stał się bezbarwny; był jeszcze jedną osobą, którą zostawiła jej siostra.

Wilk zaproponował spacer. W milczeniu włączyli się między kolorowymi elewacjami domów monachijskiego Starego Miasta. Powietrze pachniało orzeszkami prażonymi w cukrze. Wysoko ponad centralnym placem mechaniczne lalki naturalnej wielkości podskakiwały radośnie wokół tarczy zegara, szykując się do wybicia pełnej godziny. Phoebe widziała to wszystko jakby przez mgłę.

— Szkoda, że nic nie mówisz — odezwał się Wilk, kiedy zeszli z placu w wąskie i cieniste uliczki.

Phoebe nie miała nic do powiedzenia. Jej myśli były puste, nic nie znaczyły, podobnie jak Wilk, Carla i odświętne piękno Monachium. Liczył się tylko spektakl, którym było życie jej siostry. Terroryzm, samobójstwo; los istoty podobnej do pięknego, szybkiego samochodu pędzącego w dół po stromym zboczu. Nic dziwnego, że ojciec przyglądał się temu z góry.

— To ładny kościół — powiedział Wilk. — Może wejdziemy?

Wszedł pierwszy. Wnętrze było nieduże i owalne, a przy tym bardziej suto zdobione niż jakakolwiek świątynia, którą Phoebe odwiedziła w Europie. Wszędzie roiło się od girland, zawijasów i złocistych liści. Kościółek wyglądał jak łapówka dla Boga.

Usiedli w jednej z tylnych ławek. Wszystko dokoła mieniło się od złota.

— Moja opowieść... — zaczął Wilk. — Zdaje się, że wytrąciła cię z równowagi.  
— Nic podobnego.  
— Phoebe, ty po prostu zniknęłaś. Jakbyś zanurkowała w głębokiej wodzie.  
— Zastanawiam się.  
— Nad czym?  
— Muszę wyjechać z Monachium. Wilk spojrział na nią niespokojnie.  
— Dlaczego? Czy zrobiłem coś, co...?  
— Muszę jechać dalej — odpowiedziała monotonnym głosem.  
— Dokąd?  
— Mówiłam ci już. — Wilk wyglądał tak, jakby nie pamiętał. — Do Włoch — podpowiedziała. — Do Corniglii. Tam, gdzie to zrobiła.  
Nazwa miejscowości uderzyła w niego jak młot.  
— Czy możesz mnie posłuchać, Phoebe? — spytał. — Skoncentrujesz się na chwilę?  
Intensywność jego spojrzenia sprawiła, że nagle znalazł się w centrum uwagi, przerywając łagodny dryf myśli Phoebe. Odwróciła wzrok. Wilk wolno wypuścił powietrze, a potem przeciągnął się, aż coś strzeliło w jego kręgosłupie.  
— Świetnie — powiedział. — Pojadę z tobą. Phoebe zmarszczyła czoło.  
— Pojadę. Do Corniglii.  
— O, nie — odparła. — Nie.  
— Możemy udawać, że mnie nie ma. Nie musimy rozmawiać. Ale w żadnym razie nie pozwolę ci jechać tam samotnie.  
— Przykro mi — odpowiedziała. — Przykro mi, Wilku. —

Z uśmiechem potrząsnęła głową i poczuła się dokładnie tak, jak wielokrotnie czuła się w swoim zwykłym życiu: kiedy przed czasem wysiadła z samochodu chłopaka, wychodziła z imprezy lub opuszczała mecz — dokładnie w tej chwili, gdy głośnie krzyki i ruchy barwnych pomponów cichły w jej głowie, obnażając pustą prawdę o sobie. Zostawiała je w tyle. Odchodziła raz za razem. Było jej ciężko tylko przez moment.

— Nie pytam cię o pozwolenie — stwierdził Wilk. Patrzył jej w oczy, raz w jedno, raz w drugie, jakby szukał

ukrytej gdzieś za nimi drogi do wnętrza umysłu Phoebe. Czuła jego ciepło, fizyczną obecność, oddech i uwagę.

— Nie chcę cię — odpowiedziała i wstała. Wyszła spomiędzy ławek i minęła drzwi kościoła. Nie biegła, nie spieszyła się, płynęła leniwym rytmem swojej samotności. Wilk był jednak tuż za nią. Na ulicy nagle chwycił ją w ramiona, jak wtedy, pierwszego dnia, na klatce schodowej. Stała nieruchomo, z rękami wzdłuż boków.

— Wróć — powiedział. — Proszę cię, Phoebe, wróć. — Wyczuła w jego głosie ból, najpierw daleki, a potem promieniujący aż do jej piersi. Otoczyła Wilka ramionami i znieruchomiała.

Stali w milczeniu. Nie wiadomo skąd dobiegał słodki, oleisty zapach przypieczonego chleba. Serce Wilka biło głośno tuż przy uchu Phoebe. Myślała o tym, jak tulił do siebie Faith, oddzielony od niej pistoletem. Nagle przeszył ją ból: dotarło do niej, że jej siostra naprawdę odeszła, zostawiając ich samym sobie. Może Wilk miał rację? Może byłoby jej łatwiej, gdyby pojechał z nią? Był tak wysoki, że jego broda opierała się na jej głowie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wysoko we włoskich Alpach, w połowie drogi, Phoebe i Wilk zatrzymali się na lunch. Miasteczko wyglądało na produkt uboczny wysokogórskiej drogi: była w nim jedna restauracja, sklep ze szczelnie zamkniętymi okiennicami i maleńki, poobijany kościółek. Chłodne, suche powietrze drażniło nozdrza i gardło Phoebe. Kiedy wysiedli z Wilkiem z samochodu, ogarnęła ich cisza przerywana nikłym szeptem, jakby chmury, które wisiały ledwie o kilka cali wyżej, ocierały się o tandetnie niebieskie niebo.

Restauracja pachniała dymem. Właścicielka była starszą kobietą o tak ruchliwych dłoniach i ożywionej twarzy, że jej wiek nie pasował do nich, sprawiał wrażenie czegoś, co dopadło ją w chwili nieuwagi. Ku zaskoczeniu Phoebe, znała niemiecki. Wilk wyjaśnił dziewczynie, że ten region należy do Włoch dopiero od pierwszej wojny światowej. Pękaty, gliniany dzbanek, który stanął na ich stoliku, był pełen czerwonego wina.

Jedynym gościem restauracji był starszy mężczyzna w zdecydowanie zbyt obszernych, czarnych spodniach, które na wysokości piersi podtrzymywały jadownicę czerwone szelki. Pośród zmarszczek na jego twarzy czaiła się młodzieńcza skłonność do zabawy. Patrząc na Wilka i Phoebe, wznosił szklaneczkę z przezroczystym płynem. Grap-

pa, jak twierdził Wilk, była dość mocnym trunkiem. Podnieśli w jego stronę kieliszki z winem i wypili.

Rozpoczęli podróż tego ranka, z tygodniowym opóźnieniem — Wilk musiał dokończyć tłumaczenie broszury na temat skoliozy. Z początku wydawało się, że w podróży bierze udział tylko jego ciało. Prawie się nie odzywał, kiedy ruszali z Monachium na południe, między zielone wzgórza, w stronę Austrii. Powietrze z każdą chwilą było bardziej rześkie i cierpkie, a spod ziemi sterczało coraz więcej tępo zakończonych, nakrapianych skał. Najwyższe góry wznosiły się prosto ku niebu, niczym kamienne kolumny wspierające portale pałaców zbudowanych wiele mil nad ziemią. Phoebe nie spotkała już Carli. Wilk twierdził, że była bardzo zapracowana, ale napięcie w jego głosie kazało Phoebe zastanawiać się, czy między nim a narzeczoną wszystko jest w porządku. Ostatniej nocy spał u Carli, zostawiwszy Phoebe swoje łóżko, zasłane świeżą, pasiastą pościelą.

Minęli Innsbruck i przekroczyli przełęcz Brenner, gdzie przystojny, wąsaty Włoch sprawdził im paszporty, nim wpuścił do swego kraju. Wkrótce potem skręcili na mniej uczęszczaną drogę. Wolniejsze tempo jazdy wyraźnie odprężyło Wilka.

— Mam nadzieję, że nie narobiłeś sobie kłopotów, zabierając się ze mną — powiedziała Phoebe.

— Jasne, że nie.

— Chodzi mi o Carłę.

— Wszystko jest już w porządku — odparł z wahaniem. — Ale to trudna sytuacja.

— Z powodu Faith?

Wilk znowu się zawahał. Ta ostrożność wywoływała w Phoebe wrażenie, że jego narzeczoną jest gdzieś blisko i słucha.

— Nie dokończone sprawy są trudne — wyjaśnił, zerkając na nią.

Phoebe poczuła, że jakiś skrawek jego życia otwiera się przed nią w zupełnie nowy sposób.

Postanowiła podpeł-znąć ostrożnie w stronę tej szczeliny.

— Ile Carla wiedziała o mojej siostrze?

— W zasadzie wszystko — odparł Wilk. — Na samym początku wyłożyłem jej całą prawdę, ale potem już nigdy nie wracałem do tematu. Nie rozmawialiśmy o Faith, chociaż... czasem bardzo tego chciałem.

Phoebe czekała przez chwilę, bojąc się zakłócić tok jego rozumowania.

— Dlaczego nie? — spytała w końcu.

— Chyba czułem się niezręcznie. Myślałem: Człowieku, przecież jesteś zakochany; nie powinienes myśleć o tamtych sprawach! Opierałem się, nawet kiedy Carla pytała mnie wprost o Faith.

Powtarzałem sobie, że to przejaw samodyscypliny z mojej strony, że w ten sposób zostawiam to wszystko za sobą. Teraz widzę, że było odwrotnie: odpuszczałem sobie, i tyle.

Pokręcił głową, jakby to odkrycie wciąż od nowa go zdumiewało. Phoebe popatrzyła na niego jeszcze cieplej — Wilk wcale sobie nie odpuścił.

Zjazd w doliny przypominał długi wydech. Wreszcie coś się rozluźniło między nimi, a zmianę odzwierciedlał nawet krajobraz: łagodniejsze wzniesienia, nagie skały, żółtawe i jakby kruche, jak ciasto. Zza ostrych zakrętów raz za razem wyłaniały się oszałamiające widoki. Phoebe wpatrywała się w nie niezdolna do jakiegokolwiek reakcji.

— Spójrz! — krzyczała. — O mój Boże, spójrz!

W porze lunchu była już wyczerpana wrażeniami.

Silny wiatr uderzał w okna restauracji. Wilk zamieszał wino w kieliszku i wziął łyk.

— Zastanawiałaś się kiedyś, czy twoje życie nie wyglądałoby inaczej, gdyby Faith nie zginęła? — spytał.

— Moje?

— Tak. Wiem, że to dziwne pytanie — przyznał. — Ale widzę, że często o niej myślisz.

— I tak bym myślała — zastrzegła ostrożnie. — Przecież była moją siostrą.

— To dziwne — mruknął Wilk w zadumie. — Niektórzy ludzie mają nad nami znacznie większą władzę wtedy, kiedy ich nie ma.

— Faith zawsze miała w sobie taką moc.

— To prawda. Ale być nad wiek rozwiniętą nastolatką to jedno, a być dwudziestosześcioletką to coś zupełnie innego. W tym wieku miałyby już za sobą najważniejsze wybory.

— Może bylibyście małżeństwem?—zasugerowała Phoebe. Wilk skrzywił się i zaraz pożałowała tego komentarza.

W głębi serca sama nie umiała wyobrazić sobie Faith prowadzącej takie życie jak większość ludzi. Było to do niej zupełnie niepodobne.

— Dziwne — powtórzył Wilk.

— Co znowu?

— Ktoś odchodzi i nagle zaczyna nad tobą dominować.

— Mów za siebie — odparła Phoebe.

— Mówię ogólnie — zastrzegł Wilk. — Powiedziałem „nad tobą”, ale nie chodzi mi konkretnie o ciebie.



Na deser zjedli małe, górskie jabłka moczone w czerwonym winie i oblane gęstą, słodką śmietaną. Posiłek rozleniwiał ich. Phoebe ułożyła ramiona na szorstkim, drewnianym stole i oparła na nich głowę. Wilk machinalnie pogładził ją po włosach. Leżała nieruchomo, marząc, by zrobił to jeszcze raz, ale on wdał się w rozmowę z właścicielką. Rozkoszny dreszcz przewędrował wzdłuż pleców Phoebe aż do czubka głowy, zmysłowy jak wspomnienie z dzieciństwa, kiedy z przyjaciółkami jak zahipnotyzowane wzajemnie szczotkowały sobie włosy. Zdumiewało ją to, jak łatwo było wtedy o fizyczny kontakt z innym człowiekiem. Pomyślała też, że minął już bardzo długi czas, odkąd ktoś dotykał jej po raz ostatni.

Stary człowiek w szelkach wstał ostrożnie, a potem włożył płaszcz i kapelusz, którego rondo musnął lekko palcami, salutując na pożegnanie.

— Ciekawe, dokąd pójdzie — szepnęła Phoebe. - To dziura w samym środku pustkowia.

— Może jest właścicielem tego sklepu obok? — odpowiedział Wilk. — Może od trzydziestu lat codziennie jada lunch w restauracji tej kobiety?

— Może kochają się w sekrecie? — dorzuciła Phoebe. Wilk spojrzał na nią, zaskoczony, a potem z zadowoleniem skinął głową.

— W takim razie założę się, że w duchu wyganiał nas stąd do wszystkich diabłów — powiedział i się roześmiał.

— Nie sędzę. Pewnie wystarczyło im to, że byli blisko siebie.

Wilk spojrzał na właścicielkę, próbując wyobrazić sobie związek, o którym rozmawiali.

— Byłoby to miłe — mruknął.

Podliczywszy rachunek, kobieta przemówiła do Wilka

i zaśmiała się cicho, wodząc wzrokiem między nim a Phoebe. Wilk odpowiedział zwięźle i mina jej zrzędała.

— Aha — rzuciła tylko.

— Co jej powiedziałaś? — spytała Phoebe, kiedy zbliżali się do drzwi.

— Że jesteśmy praktycznie rodziną.

W restauracyjnej toalecie, a ściślej w klasycznym wiejskim wychodku, Phoebe zbadała się pospiesznie, dotykając ciała w wielu miejscach, i doszła do wniosku, że jest już zdrowa. Przez ostatnich kilka dni dokuczała jej osobliwa przypadłość, polegająca na tym, że bodaj wszystkie komórki jej ciała stały się nadwrażliwe. Był to stan graniczący z bólem. Zaczęła odczuwać dokuczliwą świadomość położenia własnych ramion, nóg, dłoni, stóp, stanu każdego centymetra skóry pod ubraniem, a nawet odbicia twarzy i włosów w szybach wystawowych, które mijała. Chwilami bolało ją całe ciało; był to ten rodzaj delikatnego, chronicznego, nieprzyjemnego doznania, które towarzyszy niekiedy zmianie fryzury — mówi się wtedy, że „włosy bolą”. Phoebe nie była jednak pewna, czy źródłem bólu jest samo ciało, czy też świadomość jego stanu. Próbowwała ignorować swoje fizyczne „ja”, ale po raz pierwszy w życiu stwierdziła, że to niemożliwe — każda cząstka ciała zdawała się nawoływać ją, domagając się uwagi. Obecność własnych piersi stała się dla Phoebe tak dokuczliwie oczywista, że zaczęła półświadomie szczypać palcami koszulę, rozluźniając ją za każdym razem, gdy Wilk był w pobliżu, by ukryć ich kształt. Co ciekawe, on nie zwracał na jej biust najmniejszej uwagi; zauważył dopiero to nieustanne poprawianie garderoby.

— Co się dzieje, gorąco ci? — spytał raz, a kiedy zaprzeczyła żarliwie, i tak otworzył na oścież dwa okna.

Choć zakrawało to na szaleństwo, Phoebe była pewna, że źródłem nagłej dolegliwości było przelotne spotkanie z paryskimi prostytutkami, a ściślej moment, w którym zdała sobie sprawę, że kobiety wzięły ją za jedną z nich. Leżąc samotnie w łóżku Wilka, musiała walczyć z tym wspomnieniem, z wizją powybijanych okien i posiniaczonych ud. Kładąc jedną dłoń na piersiach, a drugą na brzuchu, czuła nienaturalne ciepło emanujące z wnętrza, gorączkę, która mogła być skutkiem infekcji organów lub krwi. Po trzech ciężkich nocach zaczęła leczyć się na własną rękę — najpierw syropem na kaszel i tabletkami penicyliny, które przywiozła z domu, a potem lekarstwem z szafki Wilka, które okazało się środkiem nasennym i zmusiło ją do przespania na kanapie całego popołudnia. Wreszcie postanowiła wypróbować pigułki antykoncepcyjne. Rozrywając plastikowe opakowanie przeczuwała, że jest w tym posunięciu pewna logika, której brakowało poprzednim próbom. Połknęła jedną tabletkę w nadziei, że zapanuje ona nad jej ciałem. Potem jednak pomyślała ze strachem, że może być dokładnie odwrotnie: że biorąc tabletki antykoncepcyjne, wykonuje kolejny krok w stronę zrzeczenia się kontroli nad sobą.

Lekarstwo podziałało. Ból w kończynach ustał; jego miejsce zajął przyjemny spokój. Do dnia wyjazdu wzięła cztery tabletki. Były różowe, a ich gładka powłoka smakowała jak cukierek.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, Phoebe wciąż musiała się zmagać z uparcie powracającymi atakami nerwowego śmie-

chu. One także dokuczały jej już wtedy, gdy czekała na wyjazd z Monachium. Zbliżająca się podróż sprawiła, że miasto wydawało się Phoebe zupełnie inne, cudowne. Zaczęła zwracać uwagę na głęboki dźwięk dzwonów, sterty białej kielbasy i zapach prażonych orzechów, a wszystkie te doznania pojawiały się potężnymi falami, jak wspomnienia. Podejrzewała, że uczucie szczęścia wiąże się z coraz bliższą chwilą spotkania z niebezpieczeństwem: jasnym płomieniem życia Faith. Chwilami prawie go widziała: drżący, jaskrawy, płonący minimalnie poza zasięgiem wzroku. Nie bała się. Po tym, co przeżyła, nie została w niej nawet odrobina strachu.

Jako dziecko, przed świętami czy urodzinami, często czuła się podobnie. Wykonywała jakąś prostą czynność — na przykład rozcinała brzoskwinie — i już przepełniało ją radosne oczekiwanie. Świat mienił się wokół niej i mrugał porozumiewawczo, a mokry owoc otwierał się przed jej oczami jak uśmiech.

Wilk też się śmiał, ale zawsze z opóźnieniem, jak gdyby dobry humor Phoebe był wirującą monetą rzuconą do niego przez głęboką wodę.

Powietrze stało się wilgotne i ciężkie od zapachu eukaliptusów. Spomiędzy sosen wychyły palce pierwszych cyprysów. Głębokie doliny między wzgórzami wyglądały jak ślady niedawnej przemocy; jak gdyby same wzniesienia zostały wyprute z ziemi zaledwie przed kilkoma godzinami.

Po raz pierwszy od dnia przybycia do Monachium Phoebe nie czuła się jak gość Wilka. Teraz dzielili się tą przygodą; to Wilk pierwszy dostrzegł rzędy winnych krzewów posadzonych starannie na nieodległym stoku wzgórza. Zatrzymał volkswagena i złożył dach. Przez kilka minut

stali obok samochodu, wdychając kwaskowy zapach gleby i dojrzewających winogron. Kiedy ruszyli w dalszą drogę, Phoebe wyczuła, że Wilk chciałby oddzielić ją jakoś od biegu historii i ciągu przypadków, które przywiodły ją do jego domu. Zaczął mówić o jej ojcu.

— Żałuję, że go nie poznałem.

— Przepadałbyś za nim — westchnęła Phoebe.

— Dobrze go znałaś? Spojrzała na niego z oburzeniem.

— Był moim ojcem!

— Chodzi mi o to, że byłaś małą, kiedy umarł — wyjaśnił Wilk. — Chociaż... do licha, wielu ojców dożywa osiemdziesiątki i w ogóle nie zna swoich dzieci. Wielu ludzi uważa, że takich jest większość.

— Mój był inny. Przepadałbyś za nim — dodała i w tej samej chwili zauważyła, że się powtarza.

— Czasem miałem wrażenie, że prawie go znam. Wszystko, co po nim zostało — dom, obrazy i oczywiście wy... Kiedy na to patrzyłem, wydawało mi się czasami, że dostrzegam jego postać.

Phoebe chciała się dowiedzieć, co właściwie widział, ale bała się, że Wilk zinterpretuje jej pytanie jako dowód na to, że nie znała własnego ojca.

— Co sądzisz o jego obrazach? — spytała.

Wilk zastanawiał się przez chwilę, a Phoebe starała się wyglądać tak, jakby odpowiedź niespecjalnie ją obchodziła.

— Zawsze się zastanawiałem, dlaczego nie malował ciebie — odparł. — Widziałem tylko parę portretów Barry'ego

i miliony podobizn Faith. Zdaje się, że pytałem ją o to, ale nie umiała odpowiedzieć.

— Byłam kiepskim modelem — odrzekła Phoebe. — Barry też.

— Robiłaś głupie miny?

— Byłam zbyt sztywna. Umiałam siedzieć nieruchomo, ale wyglądałam przy tym jak drewniana lalka

— wyjaśniła i wybuchnęła pustym śmiechem. Pamiętała głęboki niepokój, który czuła pod baczny spojrzeniem ciemnych oczu ojca; pamiętała potężną moc jego skupienia. „Nie ruszaj się”, mawiał, i Phoebe nieruchomiała w jednej chwili. Bała się nawet oddychać, by nie przerwać jego koncentracji, nie odpędzić jej jak ptaków spłoszonych z drzewa. Starła się, ale nic z tego nie wychodziło — nie potrafiła się rozluźnić. — To była moja wina — dodała. — Nie wyglądałam naturalnie.

Wilk niezobowiązująco skinął głową. Mówiła prawdę. W szpitalu, kiedy zdarzało się, że Faith chwilowo traciła energię i zostawała w domu lub zasypiała na krześle przy łóżku ojca, Phoebe próbowała ją zastąpić. Siadała na twardym stołku z determinacją Faith, starając się pozostać w absolutnym bezruchu, a jednocześnie sprawiać wrażenie, jakby lada chwila miała się poruszyć. Lecz to nie wystarczyło. Brzuch Phoebe twardniał pod wpływem stresu, kiedy obserwowała, jak twarz ojca pomału znika pod tak dobrze jej znaną maską obojętności. Choroba sprawiła, że nie miał już siły ukrywać braku zainteresowania. Wreszcie przegrywał walkę ze znużeniem i zapadał w sen, nie wypuszczając ołówka z dłoni. „Tato”, mówiła wtedy cicho Phoebe, nie ruszając się ze stołka.

Gwałtownie otwierał oczy, tłumaczył się niewyraźnie i próbował wrócić do rysowania, ale nie umiał się obronić przed sennością, a raczej Phoebe nie potrafiła go przed nią obronić. „Tato”, mówiła nieco ostrzejszym tonem. „Tato!” — woła-

ła, w nadziei, że Faith się obudzi, zanim coś złego stanie się z tatą, co z pewnością byłoby jej winą. Byłoby, bo przecież Phoebe nie wystarczała. Ojciec był bezpieczny tylko w obecności Faith.

— Byłam kiepskim modelem — powtórzyła. — A Faith miała wrodzony talent i ruch wprost wypisany na twarzy. — Dlaczego drażyła ten temat? Chciało jej się płakać. Wilk słuchał jej, nie odrywając wzroku od czarnej szosy. — Pewnie myślisz, że nie znałam własnego ojca — stwierdziła gorzko.

Spojrzał na nią w napięciu.

— Myślę, że mógł mieć do ciebie więcej cierpliwości. Bolesna cisza wypełniła wnętrze samochodu.

— Tak czy inaczej — powiedziała Phoebe, z wysiłkiem otrząsając się z posepnych myśli — nie o to pytałam. Chciałam się dowiedzieć, co myślisz o ich jakości.

— Jego obrazów? — upewnił się Wilk. Wyglądał na zaskoczonego.

— Tak. Pod względem artystycznym — sprecyzowała, kiwając głową.

Wiatr porwał chmurę dymu z papierosa Wilka.

— Myślę, że powinien był się trzymać bardziej zróżnicowanej tematyki.

Droga opadała teraz dość stromo i wkrótce zostawili góry daleko w tyle. Znaleźli się na rozległej, nudnej, rolniczej równinie. Phoebe zapadła w sen, rozmyślając o Cor-niglii, miejscowości, w której zginęła Faith. Wiele lat wcześniej zakreśliła tę nazwę czarnym markerem na mapie Włoch w domowym atlasie. Później tego żałowała; doszła do wniosku, że nie było w tym geście za grosz godności. Ku jej zaniepokojeniu, na mapie Michelina, którą kupiła w Monachium, w ogóle nie było miasteczka o takiej nazwie.

Corniglia, pomyślała. Trudna nazwa, w sam raz dla miejsca, którego nie sposób znaleźć. Matka, oczywiście, była tam na krótko po tragedii, ale tamta podróż wydawała się Phoebe czymś nierealnym. Obejrzawszy mapę, zapukała do drzwi pokoju, w którym pracował Wilk, otoczony zdjęciami rentgenowskimi przedstawiającymi młodzieńcze, pogięte kręgosłupy, pod światło żywo przypominające kocie ogony. Kopiował je pracowicie cienkim pisakiem, spędzając nieraz po kilka godzin nad jednym rysunkiem.

— Nie martw się — odpowiedział w roztargnieniu, kiedy podzieliła się z nim swymi obawami. — Znajdziemy tę dziurę.

— Ale jak? Nie ma o niej ani słowa w przewodniku.

— Popytamy i odwiedzimy biuro informacji turystycznej, jeśli będzie to konieczne. I tak pomyślałem, że dobrze będzie spędzić noc w Mediolanie; inaczej dotarlibyśmy na wybrzeże nocą.

— A jeśli nikt nie będzie wiedział? Wilk spojrzał na nią nieco przytomniej.

— Phoebe, Corniglia istnieje. A skoro tak, to ją znajdziemy.

A potem roześmiał się, potrząsając głową. Phoebe nabrała otuchy: śmiech odsłonił chwilową bezradność Wilka i ukryte pragnienie, którego przyczyną bardzo chciała być;

Obudziła się po zachodzie słońca, z zeszywniałym karkiem i twarzą rozgrzaną od ciepłego wiatru. Niebo mieniło się barwami. Spojrzała z wdzięcznością na Wilka, który niezmiennie trwał za kierownicą, i poczuła dziwną tęsknotę. Niespodziewane doznanie przetoczyło się przez



jej ciało, zostawiając po sobie ślad: pulsowanie gdzieś w głębi brzucha. Phoebe nie poruszyła się. Z trudem przełknęła ślinę i spróbowała myśleć o Faith, ale siostra wydała jej się wyjątkowo daleka, jakby zamiast zbliżać się do niej, jak to sobie wyobrażała, oddalali się od niej z każdą godziną jazdy. Wilk spojrział na nią i uśmiechnął się, widząc, że się ocknęła.

— Witaj — powiedział.

Mediolan najpierw otaczał ich powoli, a potem pojawił się zniecałkowany w pełnej krasie, jak święta Bożego Narodzenia. Latarnie uliczne zalały ich purpurowym światłem. W połączeniu z upalnym powietrzem ich blask nadawał miastu teatralnie czerwoną barwę. Wilk zatrzymał samochód w cichej uliczce i wypakował bagaże, nie pozwalając, by Phoebe niosła choćby jego niepozorną torbę. Przypiębiająco niepozorną, jak zauważyła. Skromny bagaż Wilka uświadomił jej tymczasowość i przypadkowość ich wspólnego pobytu w tych stronach.

— Znalazłaś sobie szofera, który nie tylko nosi twoje manatki, ale w dodatku zna tanie hotele — odezwał się Wilk, kiedy szli pod szpalerem cherlawych drzew.

— Masz u mnie dożywotnią posadę — odpowiedziała Phoebe i zarumieniła się w ciemności. Własne słowa wydały jej się niezręczne i dziecinne.

Wilk jednak roześmiał się ciepło.

— Umiem sobie wyobrazić gorszy los — stwierdził. Hotel znajdował się na najwyższym piętrze budynku,

który niegdyś musiał być siedzibą jednej rodziny. Na powitanie zjechała im czarna klatka windy, uwieszona na wiązce grubych lin. Jadąc na górę, Phoebe przyglądała się zaplecionej dokoła szybu, szerokiej klatce schodowej.

Na ostatnim piętrze drogę zastąpiła im starsza kobieta o wyłupiastych oczach, wąskiej, grubo umalowanej twarzy i astmatycznym oddechu, wciśnięta w czerwony żakiet. Tak, odpowiedziała, są wolne pokoje, po czym dysząc z wysiłku, poprowadziła przybyszów w głąb korytarza.

Phoebe była zachwycona swoim pokojem. Była w nim staromodna umywalka, podłoga z gładkiego, zielonkawego kamienia i łóżko z mosiężnymi słupkami. Wilk otworzył szeroko francuskie okna, wpuszczając do środka ciepłą noc i odblask papierowych liści zabarwionych na pomarańczowo światłem latarń.

— Ile płacimy? — spytała Phoebe.

Zbył jej pytanie machnięciem ręki, siłując się z drugim oknem.

— Spokojnie — przerwał jej protesty. — To tylko jedna noc.

Zabrawszy jej paszport, poszedł do recepcji, by dopełnić formalności. Phoebe wyszła na maleńki balkonik z widokiem na ulicę. Po chwili usłyszała kroki Wilka w sąsiednim pokoju i skrzypnięcie łóżka.

Zdawała sobie sprawę, że jest nienaturalnie szczęśliwa. Było to szczęście, którego doświadczała niezmiernie rzadko, zupełnie nie związane z grozą czy powagą przeżyć czekających ją lada chwila. W tym momencie wydawały się one zdumiewająco dalekie; wymknęły się z pola widzenia, korzystając z chwili nieuwagi Phoebe. Cieszyła się, że pozbyła się trudnych spraw choć na jakiś czas.

Wzięła prysznic w łazience w korytarzu i umyła włosy. Powróciwszy do pokoju, przyjrzała się uważnie swojej twarzy w mętym lustrze nad umywalką. Zazwyczaj lustra bezlitośnie podkreślały defekty jej urody: nierówne oczy i nijakość rysów. Phoebe zastanawiała się czasem, czy twarz Faith nie była minimalnie mniejsza, dzięki czemu podob-

ne elementy budowy dawały znacznie lepszy efekt. Lustro w hotelowym pokoju dawało jej jedynie mgliste wrażenie, a nie ostry obraz, jakby patrzyła na siebie z wielkiej odległości.

Ubrała się starannie i przysiadła na łóżku, czekając, aż Wilk zapuka do jej drzwi. Denerwowała się i zamierzała sporo wypić.

— Proszę, proszę — mruknął z uznaniem, dotykając jej pleców, kiedy wychodzili z pokoju.

Gdy wsiadali do windy, Phoebe miała wrażenie, że Wilk zatrzymał się na ułamek sekundy, by poczuć jej zapach, i znowu ogarnęła ją przemożna tęsknota. Nie sprawiała jej bólu, ale miała z nim coś wspólnego. lechali we dwoje w milczeniu, omiatani smugami światła z kolejnych pięter.

Postanowili, że pójda na spacer. Nie tylko ciepły mrok sprawiał przyjemność Phoebe, ale także ciężar długich i wciąż jeszcze wilgotnych włosów, a nawet delikatna pieśczota sukienki ocierającej się o ciało. Świadomość każdej cząstki ciała już jej nie przeszkadzała; wręcz przeciwnie. Być może dopiero teraz nauczyła się rozumieć przyjemność, którą doskonale znała większość dziewczyn w jej wieku.

Wilk miał na sobie miękką — zapewne jedwabną — koszulę w kolorze rdzy, o zawadiacko szerokich rękawach. Elegancką koszulę, pomyślała Phoebe, którą przywiózł tu specjalnie dla mnie.

— Mam dobrą wiadomość — powiedział Wilk. — Znalazłem w recepcji mapę, na której jest Corniglia. Jesteśmy w domu.

Phoebe mruknęła coś z zadowoleniem. Zaniepokoiło ją to, jak mało w tym momencie znaczyła dla niej Corniglia. Wilk był spragniony wina nie mniej niż ona, toteż bu-

telka była niemal pusta, kiedy kelner przyniósł makaron. Phoebe czuła, że palą ją policzki; była mocno wstawiona, beztroska i skora do głośnego śmiechu, którego nie poznawała. Wilk był nieco zdziwiony jej szampańskim humorem, ale nie patrzył na nią z niechęcią, lecz raczej z rozbawieniem i niepewnością, bo nie umiał rozszyfrować jej zamiarów. Przede wszystkim jednak Phoebe wyczuwała jego niezłomną wolę w jednej sprawie: nie zamierzał urazić jej w żaden sposób. Wydawało jej się, że z tego powodu ma nad nim przewagę.

Pytała o rodzinę. Odpowiedział, że najbliższy kontakt utrzymuje z siostrą, reporterką „Baltimore Sun”, obecnie korespondentką w Pradze. Wiadomość o samotnej dziennikarce mieszkającej w komunistycznym kraju wywarła na Phoebe wielkie wrażenie.

— Wybieram się do niej jesienią — powiedział Wilk. — Poustawiałem sobie zlecenia, żeby mieć czas na wyjazd.

Rodzice odwiedzali Niemcy co roku; Wilk bywał w Stanach trzy razy rzadziej. Bardzo interesowały go losy ludzi, z którymi dorastał.

— Niesamowite — mówił. — Spoglądam w przeszłość i wydaje mi się, że przewidywałem rozwój wydarzeń, a to nieprawda. Nikt z nas nie wyobrażał sobie tego, jak się wszystko ułoży.

Phoebe uśmiechnęła się ciepło. Jedynym wydarzeniem, którego nie wyobrażała sobie we własnym życiu, było spotkanie z Wilkiem po tylu latach. Pamiętając go z dawnych czasów, nie uważała, by jego obecne życie było nieuniknioną konsekwencją poprzedniego.

— A ty? — spytał. — Jakie życie widzisz przed sobą?

— Żadnego — odparła szczerze. — Przyszłość zawsze była dla mnie czystą kartą.

— Dziwne. Zdawało mi się, że osiemnasty rok życia to czas wielkich iluzji.  
— Może było tak w czasach, kiedy ty miałaś osiemnaście lat.  
— Coś się zmieniło?  
— Bardzo wiele — odpowiedziała Phoebe. — Dziś świat jest zupełnie inny.  
— Na pewno — przytaknął Wilk. — Ale podstawy są takie same: chodziłaś do ogólniaka, miałaś przyjaciółki i chłopaków, chodziłaś na imprezy, koncerty... Prawda?  
Phoebe kiwnęła głową, zadowolona, że Wilk uważa, iż mogła się umawiać z chłopakami.  
— A widzisz. My robiliśmy to samo. Też byliśmy nastolatkami.  
Phoebe zaprzeczyła ruchem głowy.  
— To nie było to samo. Kiedy szłam do ogólniaka, nic już nie było prawdziwe.  
Wilk spojrzał na nią ze zdziwieniem.  
— Poważnie. Wszystko było jakby... fałszywe.  
— Fałszywe — powtórzył Wilk, coraz mniej rozumiejąc. — Niby dlaczego... fałszywe?  
— Skąd mam to wiedzieć? — odpowiedziała pytaniem. — Po prostu fałszywe. Niczego nie mogłam brać poważnie.  
Wilk potrząsnął głową. Phoebe bawiła się roztopionym woskiem ze świecy, czekając, aż stwardnieje pod jej palcami.  
— Niektóre rzeczy są prawdziwe, a inne fałszywe — stwierdziła.  
— A to, co teraz robisz? Jest fałszywe? — spytał beztrąsko Wilk, ale Phoebe wyczuła, że jej odpowiedź może mieć dla niego spore znaczenie. Czuła perwersyjną chęć odpowiedzi „tak”.

— Nie — odparła. — Ta chwila jest prawdziwa. Wilk uśmiechnął się krzywo.

— Co za ulga.

Phoebe czekała na złość, którą powinna czuć z powodu jego drwin. Jednak każde szczere zdanie, które Wilk z niej wyciągał, sprawiało, że czuła się lżejsza, jakby zdejmował ciężkie pakunki z jej ramion. Teraz należały i do niego. Pomagał je nieść.

— Moim zdaniem wkrótce świat będzie wyglądał w twoich oczach zupełnie inaczej — powiedział Wilk.

— Jak? — spytała zaintrygowana.

— Będzie... po prostu twój — odparł. — Twój. — I spojrzał na Phoebe z tak dobrze wyczuwalnym współczuciem, że zaczęła się zastanawiać, co takiego w niej jest, co może wzbudzać litość.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedziała.

— Nie myślę się — potwierdził Wilk, uśmiechając się szeroko.

Cielęcina, kurczak, sałatki. Druga opróżniona butelka i puste talerze znikwały ze stołu jak ofiary ciężkiej bitwy. Spora ilość wina spłukała nową, wystudiowaną pozę Wilka, którą przypominał Phoebe młodych nauczycieli z jej szkoły. Kiedy ich spojrzenia spotkały się kolejny raz, nagle poczuła, że nie jest w stanie przerwać kontaktu wzrokowego i że pożądanie wraca do niej z nieznośną siłą. Utknęła w pół zdania, zbyt oszołomiona, by kontynuować. Niejeden raz w swym osiemnastoletnim życiu kochała się w rówieśnikach, ale nigdy jeszcze nikt nie pociągał jej tak mocno. Najczęściej było tak, że kiedy wreszcie siadała z chłopakiem na ławce, na piaszczystej plaży czy w jego samochodzie, coś zaczynało się w niej kurczyć, gdy czuła miękkość jego ust i szybkie bicie serca. Jej umysł wyrywał

się na wolność i powracał do Faith i Wilka w sypialni matki. Do białych, zamkniętych drzwi, na które patrzyła z końca korytarza, próbując przeniknąć przez nie mocą wyobraźni. „Chodź”, powiedziała wtedy Faith, chwytając Wilka za rękę. Phoebe chciała podążyć za nią myślą, ale zawsze, bez względu na to, co robiła z chłopakiem, miała świadomość, że w jej życiu nie zmieni się absolutnie nic; że nigdy nie zbliży się nawet o krok do białych, zamkniętych drzwi. Prędzej czy później nie miała wyboru: wyrывała się i uciekała, jak wtedy, u Kyle'a. Musiała to robić, musiała odwracać się od nich, jakby słyszała, że ktoś coraz głośniejsze woła ją po imieniu. Ale to był Wilk.

Ogarnęło ją uczucie absolutnej pewności siebie i siły. Wydawało jej się, że z jej oczu bije światło, a uśmiech jest parą ramion wyciągniętych w stronę Wilka i gotowych wziąć go w objęcia. Inni ludzie robili takie rzeczy — dlaczego nie ona? Dlaczego nie? Kiedy pochyliła się, żeby poprawić sandał, sukienka opadła nieznacznie, a gęste, jakby płynne włosy opadły na jej kolana. Wilk patrzył. Wiedziała, że patrzy. Umiała okiełznać własną tęsknotę, wyostrzającą każdy impuls zewnętrzny i zamieniającą go w twardy węzeł płonący gdzieś między jej żołądkiem a piersiami. Płonący jak gwiazda, pomyślała Phoebe, której pole magnetyczne może albo przyciągnąć do niej Wilka, albo spowodować implozję jej ciała. Ale co miała do stracenia? Nic! Nic, myślała Phoebe, i chciało jej się śmiać, bo rzeczywiście, w przeciwieństwie do Wilka, nie miała absolutnie nic do stracenia. Miała natomiast osiemnaście lat.

Zjadła jego deser z gruszkami i słodką polewą. Roześmiał się i zamówił drugi. Na jego ustach i zębach widziała ślady wina. Restauracja była prawie pusta.

— Czas na nas — powiedział, gasząc ostatniego papierosa. — Zbierajmy się, póki jeszcze możemy wyjść o własnych siłach.

Ciemność pachniała kwitnącymi drzewami i olejem silnikowym. Phoebe oddychała głęboko ciepłym powietrzem, próbując zapanować nad szalonym kołowrotkiem, który wirował w jej głowie. Omal nie spadła z krawężnika; na szczęście Wilk był tuż za nią.

— Tędy — powiedział. — Chodź — dodał ze śmiechem, obejmując jej smukłe ramiona.

Oparła się o niego z wdzięcznością. Zaraz też poczuła się lepiej; skrócenie dystansu złagodziło w niej napięcie, jakby setki maksymalnie naprężonych, drżących włókien rozluźniły się po raz pierwszy od wielu godzin. W milczeniu szli w stronę hotelu. Phoebe z przyjemnością chłoneła ciepło skóry Wilka.

To jakieś szaleństwo, pomyślała. Zwariowałam z kretesem. Czują, że gęsta krew zatyka jej żyły.

Kiedy dotarli do hotelu, Wilk ją puścił. W windzie stanął naprzeciwko niej, zadzierając głowę, by podziwiać płataninę kabli i lin. Phoebe patrzyła na kości w jego szerokiej klatce piersiowej. Czowała się jak drapieżnik, niemal chory z pragnienia.

Wilk odebrał klucze z recepcji i ruszyli w stronę pokojów. Światło w korytarzu było raczej marne.

Wilk otworzył drzwi pokoju Phoebe i oddał jej klucz, całując ją w czoło.

— *Schlafgut* — powiedział. Lecz kiedy próbował cofnąć się o krok, Phoebe na oślep uniosła ramiona, pragnąc znowu znaleźć ulgę w skróceniu dystansu. Stykali się nogami, brzuchami, tak wieloma punktami ciał, że zakrawało to na nieodwracalny cud. Klucz wysunął się z dłoni Phoebe i stuknął o podłogę. Wilk stał nieruchomo, z rękami



przy bokach, kiedy tak wisiała na nim, szalona i pijana, czując jego żebra, piersi i każdy ruch grdyki, gdy z wysiłkiem przełykał ślinę.

— Hej... Hej, Phoebe. Spokojnie — odezwał się z cichym śmiechem, próbując się wyzwolić z uścisku. Phoebe słyszała jednak w jego głosie słabszą nutę i nie zamierzała go puścić. Obróciła głowę tak, by jej usta dotykały gorącej skóry na jego szyi. Wilk, chwytając mocno jej biodra, gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Nie wypuszczając z dłoni klucza, uniósł ją tak, że stanęła na palcach.

Trwało to tylko moment. Potem złapał ramiona Phoebe i drżącymi rękami siłą odsunął ją od siebie.

— Przestań — wyszeptał. — Jezu, my chyba powariowaliśmy. — Obserwował ją w półmroku z takim zdumieniem w oczach, jakby przed chwilą wymierzyła mu niewyobrażalnie potężny cios. Po chwili zwolnił uścisk, jakby teraz dopiero wyczuł w rękach jej ciało. Jeden pocałunek, pomyślała Phoebe. Tak niewiele brakowało.

Wilk cofnął się nieco.

— To się zdarza, Phoebe, ale... Posłuchaj mnie — powiedział. — Słuchasz? — Jego głos, na poły zirytowany, na poły niedowierzający, długo wybrzmiewał w pustym korytarzu. — To nie jest możliwe.

Rozstali się bez słów. Phoebe stanęła w ciemnym pokoju i zdjęła przez głowę cienką sukienkę. Żółtawe światło z ulicy rozlało się po jej wilgotnej skórze. W głębi jej brzucha leżało zwinięte w kłębek małe, żarłoczne zwierzę. Phoebe wyczuwała jego oddech i rytm serca.

Zerwała z łóżka narzutę i położyła się pod cienką kołdrą. Zza ściany dobiegł cichy skrzyp sprężyn. Dotarło do niej, że dwa łóżka oddziela jedynie wątle przepierzenie:

że prawie się dotykają. Po chwili usłyszała odgłos cichutkich ruchów i wyobraziła sobie Wilka w łóżku; wyobraziła sobie to, co robił albo zamierzał robić. Wciskała głowę w poduszkę tak długo, aż poczuła ból w karku, a każdy nerw w jej ciele wyrywał się ku tej cienkiej ścianie. To było jak choroba, cudowna i straszna choroba: jej ciało stało się otwartą raną, którą ledwie mogła dotknąć, ale dotykała; bez litości, raz za razem, bo nic innego nie mogło jej uleczyć.

Kilka godzin później ocknęła się z niespokojnego snu i po omacku podeszła do umywalki. Cały pokój tonął w żółtym świetle. Miasto wrzało bezgłośnie. Phoebe wypila parę szklanek wody i połknęła kolejną cukierkową tabletkę, nim znowu zasnęła.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Phoebe obudziła się z przemożnym wrażeniem, iż spędziła długie godziny na wirującym różnie. Pochyliwszy się nad umywalką, długo wymiotowała, a potem sprzątnęła po sobie, nie otwierając oczu. Otworzyła szeroko okna, żeby przewietrzyć pokój, i wyszczotkowała zęby. Kiedy wróciła do łóżka, zapadła w nieco spokojniejszy sen.

Gdy usłyszała za ścianą kroki Wilka, zaczęła sobie przypominać wydarzenia ostatniej nocy. Chwyliła go i nie chciała puścić; chyba tak to wyglądało. Zrobiło jej się słabo ze wstydu. Pokój znowu zawirował; musiała zamknąć oczy, by się uspokoił. Bawił się z nią w tę dziecienną grę, w której trzeba się szybko obracać, by potem rozkoszować się eksplozją oszołomienia ogarniającą mózg. Czowała, że musi wyjść.

Przewróciła się na brzuch i z niedowierzaniem stwierdziła, że mocny puls pożądania wciąż przyćmiewa wszystko inne. Trwał jak bicie serca pod podłogą. Bez wysiłku mieszał się z jej chorobą; jak dwie połówki całości. Zdecydowanie musiała się od niego uwolnić.

Wreszcie Wilk zapukał do jej drzwi. Spojrzała na niego, nie wstając z łóżka. Kiedy wyszedł, jakoś zdołała się ubrać. Wilk nie wyglądał dobrze; miał ziemistą cerę i białe pęknięcia na ustach. Trzymał w dłoni klucz do jej pokoju. Jak

przez mgłę przypomniła sobie, że w nocy upuściła go na korytarzu.

Stanęli obok siebie przy kontuarze w zatłoczonej Gal-lerii w pobliżu katedry, by napić się cappuccino i uspokoić żołądki słodkimi, drożdżowymi bułeczkami. Otaczali ich Włosi w przepięknie skrojonych garniturach, prowadzący rozmowy w tempie wybitnych licytatorów. Bicie dzwonów kościelnych kołysało parkami i ulicami jak gromki śmiech. Miasto sprawiało wrażenie opustoszałego. Dzwony i potoki jaskrawego światła przypomniły Phoebe o pogrzebie ojca w słoneczny, zimowy dzień w Mirasol, kiedy granatowy ocean gotował się u pustej plaży. Spiżowe dudnienie niosło się nad miasteczkiem bez końca. Spotkali się w tym samym kościółku, do którego ojciec chodził jako dziecko, położonym tak blisko oceanu — zaledwie o dwie przecznice — że między podszwami butów a płytkami posadzki zawsze wyczuwało się ziarna piasku. W głośnym koncercie dzwonów i nienagannym błękitnie nieba było coś radosnego, odświętnego. Nawet pogiecie puszek przed kościołem błyszczały taką jasnością, że trudno było na nie patrzeć. Gdy Phoebe dochodziła z babcią do drzwi, jakiś pies podbiegł do niej, szczekając i merdając ogonem. Przykucnęła na chodniku, żeby go pogłaskać. „Och, zostaw go wreszcie”, odezwała się niecierpliwie babcia. Jej jasne, wodniste oczy były pełne smutku. Jej syn zmarł. Jego żona nie pozwoliła na czuwanie. „Wystarczy, że widzieli, jak konał”, powiedziała. „Nie będą oglądać go martwego”. Babcia ponagląco dotknęła głowy Phoebe, ale kościół wydawał się dziewczynce mroczny i ponury. Zza uchylonych drzwi sączyła się mętna, organowa muzyka. Faith śmiało weszła do środka, a Barry przyklęknął obok Phoebe i pogłaskał kosmatego, za-

niedbanego psa, który w ekstazie trzepotał ogonem, nie pojmując tej fali nagłego zainteresowania.

Barry pochylił się i ukrył twarz w zmierzwionej sierści na jego grzbiecie.

W sierpniu, mówił Wilk, wszyscy Włosi wyjeżdżają nad morze. Zobaczymy ich w Corniglii, twierdził z uśmiechem, ale Phoebe wiedziała, że przede wszystkim przyglądał się jej uważnie, próbując oszacować straty.

Ale strat nie było. Tylko to nieustające, niezręczne pragnienie bycia coraz bliżej niego. Teraz, kiedy już je poczuła, nigdy nie miało jej opuścić.

Bagaze leżały już w samochodzie, zaparkowanym tuż obok placu katedralnego. Wilk chciał jak najszybciej wrócić do swojego volkswagena; powtarzał, że Mediolan jest pełen złodziei. Kamienie zwisały ze ścian świątyni jak szary mech. Phoebe czuła suchość w oczach; jaskrawe światło raniło je nawet przez ciemne okulary. Wilk otworzył drzwi samochodu. Spojrzała na niego, mrużąc oczy za przeciwsłonecznymi szklami.

— Nie mogę z tobą jechać — powiedziała. Wilk przymknął powieki.

— Nie jedziesz ze mną — odparł po chwili. — To ja jadę z tobą.

-Nie.

Wilk przeciągnął się, błyskając w słońcu samochodowymi kluczami. Koszulka wysunęła się nieco z jego dzinsów.

— Cholera — powiedział do nieba.

— Nie mogę... — Podobała jej się prostota tych słów. Sprawa wymknęła się z jej rąk.

Wilk oparł się o uchylone drzwi wozu.

— Posłuchaj — odezwał się chrapliwym głosem. — Jesteśmy ludźmi, prawda? Napiliśmy się i na chwilę zatarły

się linie, których nie powinniśmy przekraczać. Historia stara jak świat, Phoebe. Daj spokój; nie ma nad czym rozpaczać. — Jego głos brzmiał chłodno, prawie obojętnie, ale oczy płonęły błagalnie. — W porządku? Możemy jechać dalej?

Phoebe patrzyła na jego miękki T-shirt i wyraźnie odznaczające się obojczyki. Słońce rozgrzało jej włosy; czuła ciepło na głowie. To, co Wilk mówił o ostatniej nocy, było prawdą. Nic nie mogło wydarzyć się między nimi.

— Żegnaj — powiedziała.

Schylła się i chwyciła leżący w samochodzie plecak. Omal się nie przewróciła, zrzucając go na ramię. Cała scena wydawała jej się tylko na wpół realna. Wilk chyba czuł się podobnie, bo nawet się nie poruszył. Patrzył, jak odchodzi, nie zwracając uwagi na gołębie spacerujące u jego stóp.

Phoebe szła przez plac katedralny, czekając na odgłos kroków za sobą. Nie doczekała się. Dotarłszy do przeciwległego krańca placu, przystanęła, żeby równomiernie rozłożyć ciężar plecaka na ramionach. Nadal nic nie słyszała. To już koniec, pomyślała. Wilk pewnie odetchnął z ulgą albo po prostu zrezygnował z gonitwy. Co za różnica? Phoebe przeszła na drugą stronę ulicy z mocnym postanowieniem, że nie będzie się oglądać za siebie. Znowu odezwały się dzwony. W jaskrawym słońcu miasto wyglądało jak surrealistyczna wizja. To kolejny etap wyprawy, pomyślała Phoebe. Dopóki mam pieniądze w kieszeni... Choć oczywiście była to niedziela, a w kieszeni miała pieniądze we wszelkich innych walutach, tylko nie we włoskich lirach.

Dotarła do wąskiej przecznicy i znowu stanęła, nie bardzo wiedząc, czy iść dalej prosto, czy skrócić. Zanim pod-

jęła decyzję, rozpędzony garbus wypadł z za rogu i zatrzymał się gwałtownie, odcinając jej drogę. Skrzynia biegów zachrobotła niebezpiecznie, a opony skrzypnęły o wysoki krawężnik. Wściekły Wilk wyskoczył z auta. Phoebe cofnęła się nieznacznie. Pod masywnym plecakiem czuła się jak żółw w skorupie.

— Niech to szlag! — wykrzyknął Wilk. — Niech to szlag! — powtórzył i z całej siły kopnął dekiel koła. Zaraz potem odwrócił się na pięcie i z rozmachem wymierzył podobny cios otwartym na oścież drzwiom. Wgniecione, zamknęły się z trzaskiem. Phoebe patrzyła na to wszystko z nienaturalnym spokojem. W końcu Wilk stanął nieruchomo twarzą do samochodu, z rękami złożonymi na piersiach. Słuchając jego urywanego oddechu, Phoebe domyślała się, że zapowiada się kolejny atak na volkswagena. Wilk jednak odwrócił się gwałtownie w jej stronę i przemówił z łagodnością, która musiała go wiele kosztować. — Phoebe, proszę cię... Proszę, wejdź do samochodu. To, co się stało w nocy, to... to była moja wina. Proszę, wsiadaj już. Nie pojedziemy do Corniglii; pokręcimy się tylko tu i tam. Wsiadaj. Odjeżdżamy stąd. Proszę cię.

Zbliżył się do Phoebe, położył dłonie na jej barkach i spojrzał jej w oczy. To podziałało. Natychmiast przestała się opierać. Była zmęczona i oszołomiona; pragnęła wreszcie zrzucić z grzbietu wypchany plecak. Słońce nieustannie atakowało jej głowę, w której kołatała się znowu jedna myśl: pochylić się i pocałować Wilka. Jego źrenice były zwężone i palił się w nich gniew, ale nie tylko gniew. On jej pragnął.

— Zgoda — powiedziała Phoebe i wsiadła do samochodu.

Opuścili Mediolan w pędzie, który odprężył Phoebe. Słońce stało wysoko. Wilk od czasu do czasu spoglądał na pasażerkę, jakby chciał się upewnić, czy nie zniknęła.

— Zablokuj drzwi — polecił.

Phoebe wybuchnęła dziwnie dźwięcznym śmiechem.

— Sądzisz, że zechcę wyskoczyć na środku autostrady? Wilk uśmiechnął się posepnie.

— Nie wiem — odpowiedział. — Zechcesz?

Phoebe oparła się o szybę i zamknęła oczy. Poczowała nadmiar śliny w ustach. Otworzyła okno i kilkakrotnie splunęła.

— Niedobrze ci? — spytał zaniepokojony Wilk. Znowu się roześmiała, tym samym, metalicznym głosem.

— Tak — odparła.

Minęła godzina. Wilk prowadził w takim tempie, jakby był kierowcą karetki. Przyspieszał, póki volkswagen nie zaczął wibrować z wysiłku. Phoebe wyobrażała sobie, że jest pacjentem po zawale. Prawie nie rozmawiali. Niezręczne milczenie wystarczyło, by osiągnęli porozumienie.

Wreszcie Wilk zjechał z autostrady w boczną drogę, zdecydowanie nie prowadzącą w kierunku morza. W czerwonym, popołudniowym słońcu kluczyli między płowymi wzgórzami podobnymi do kocich grzbietów. Drzewka oliwne zdobiły krajobraz, błyskając srebrzyście. Od czasu do czasu na szczytach pagórków pojawiały się sylwetki miejskich wież. Daleki dźwięk dzwonów dryfował nad drogą niesiony wiatrem. Piękny dźwięk, myślała Phoebe, jak pozytywka albo śpiew aniołów. Jej myśli także zaczęły dryfować, krążąc wokół chwili, w której wreszcie przekroczyła próg kościoła, zobaczyła trumnę z ciałem ojca i usiadła w pierwszej ławce, obok Faith. Choć bardzo się starała, nie umiała pojąć ciężaru tragedii. Przeszkadzał jej śpiew ptaków, radosny i głupkowaty, dochodzący



zza okiennych witraży. Wabił ją ku sobie, odrywał od półmroku świątyni i ponurych inkantacji księdza. Czy nikt inny nie słyszał ich śpiewu? Faith nie odrywała oczu od kapłana, jakby jej wzrok był najważniejszą nitką w delikatnej pajęczynie, której zerwanie sprawiłoby, że cały świat zawaliłby się na nią. Phoebe pochyliła się, żeby spojrzeć na Barry'ego, który siedział obok Faith. On także obserwował księdza, ale po chwili jego spojrzenie niepewnie zbłądziło w stronę okien, jakby bezradne wobec żywych kolorów witraży i bicia skrzydeł, które dochodziło spoza nich.

Wilk poprowadził samochód krętą drogą pod górę i zaparkował przed grubymi murami otaczającymi miasteczko. Dzień dobiegał końca. Phoebe zastanawiała się, czy to miejsce od początku było celem, czy Wilk po prostu miał już dość jazdy. Nie zapytała. Ograniczyli rozmowy do niezbędnego minimum; porzucili słowa, jak usuwa się ciężki ładunek z niestabilnego statku. Phoebe wysiadła z wozu i spojrzała w dół, na rozległą panoramę pagórków okrytych zbielałą od słońca trawą, z daleka przypominających piaszczyste wydmy. Tu i tam widać było żółtawe domki z zielonymi okiennicami i winnicami na tyłach. Jedyńm źródłem dźwięku był wiatr.

Zostawili bagaże w samochodzie i brukowaną uliczką przeszli przez zabytkową bramę. Phoebe słyszała głosy bawiących się dzieci, ale nikogo nie widziała. Szli oboje jak w transie, nie zbliżając się zbyt do siebie. Mijali wystawy sklepików z winami, pełne kolorowych butelek. Samotna, starsza kobieta sprzedawała bukiety czerwonych kwiatów zawinięte w papier. Jeśli nie liczyć głosów niewidocznych dzieci, miasto było pogrążone w ciszy.

Dotarli do pochylego, prostokątnego placu wybrukowanego w jodełkę żółtawymi cegłami. Dopiero tu zobaczyli dzieci: ośmiu lub dziewięciu małych chłopców, uganiających się za piłką tak zawzięcie, że jej podskoki i gwałtowne wzloty wyglądały na desperackie próby ucieczki. Plac zamykały ze wszystkich stron kamienice mieszkalne oraz kilka starych wież i trzy restauracje, otoczone gromadkami pustych stolików i krzeseł. Jak zawsze w godzinach między posiłkami, klientów nie było. Wilk poprowadził Phoebe do jednej z restauracji i przez chwilę negocjował z mężczyzną stojącym za barem. Podał mu paszporty, a w zamian dostał klucz połączony długim rzemieniem z masywnym kawałkiem drewna. Gestykulując z ożywieniem, barman opisał drogę. Kiedy spojrzał na Phoebe, wstydliwie odwróciła głowę.

Dopiero teraz, gdy po raz drugi przemierzali plac, dostrzegła setki małych, czarnych ptaków krążących w górze. Zagięte ku tyłowi skrzydła nadawały im kształt grotów strzałek. Ptaki wzbijały się gwałtownie i nurkowały, wydając z siebie przenikliwe dźwięki przypominające pisk myszy, choć zdecydowanie bardziej niespokojne, a nawet błagalne. Jak biblijne zwiastuny nieszczęścia, pomyślała Phoebe. Pożaru, trzęsienia ziemi albo suszy trwającej przez całe pokolenia.

Weszli w boczną uliczkę. Chłopcy grający w piłkę znikli im z oczu, ale Phoebe starała się łowić uchem dalekie stukanie piłki o ceglana nawierzchnię. Z podokiennych skrzynek zwieszały się girlandy kwiatów. Wilk zatrzymał się przed łukowato wykończonymi, drewnianymi drzwiami oznaczonymi numerem cztery. Przez chwilę w skupieniu mocował się z zamkiem, jakby chciał wypędzić z głowy myśl o tym, dokąd właściwie szli i po co. Phoebe poczuła

zawroty głowy. Niepewnie weszła do środka, kiedy Wilk otworzył przed nią drzwi. Ciemne wnętrze domu pachniało kurzem i czymś słodkim, może zwiędłymi kwiatami. Wilk odszukał włącznik światła i po chwili zobaczyli średniowieczny hol ze sprzętami z kutego żelaza i krzesłami podobnymi do tronów. Grube zasłony nie dopuszczały nawet sugestii słonecznego światła. Jeden z kątów pomieszczenia był pełen mebli zwalonych na chwiejną stertę. Phoebe spojrzała na Wilka z obawą. Wydawało jej się przez moment, że jest cwaniakiem, który sprowadził ją tutaj podstępem, jak Karl w Amsterdamie. Tyle że tym razem ponosiła wyłączną odpowiedzialność za sytuację, w której się znalazła. Bez trudu mogła zatrzymać bieg wydarzeń, i to dużo wcześniej.

— Czy to hotel? — spytała Phoebe, głównie po to, by przerwać ciszę.

— Powiedzmy — odparł w napięciu Wilk. — W takich małych miasteczkach zwykle nie ma hoteli w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Po prostu idzie się do barmana i dostaje się klucz do pokoju. Schody wyłożono grubym, bordowym dywanem. Phoebe z trudem przełknęła ślinę i spojrzała na Wilka, z ulgą i lękiem jednocześnie dostrzegając na jego twarzy odbicie własnej paniki. Bez względu na to, o czym myślał, na pewno nie liczył, że zajdą tak daleko. To nie była jego specjalność. Z wahaniem zbliżył się do Phoebe i położył dłonie na jej biodrach. Zaczęli się całować, tak głęboko i intensywnie, że nagle wszystkie myśli opuściły umysł Phoebe. Usta Wilka smakowały świeżo, prawie słodko, jak usta dziecka. Przyciągnął Phoebe do siebie i wtulił twarz w jej szyję. Jęknęła, czując na sobie drżące dłonie Wilka i puls jego erekcji przy biodrze.

— Chodź — powiedział.

Przeskakując po dwa stopnie, ramię w ramię wbiegli po schodach na piętro. Wilk szybko otworzył drzwi, uwalniając z wnętrza pokoju zapach cedru. Mieli przed sobą duże łóżko, a tuż za nim okno z widokiem na podwórze. Zmieszane barwy zachodu słońca wpadały do wnętrza z natężeniem, które wydawało się wprost nieprzyzwoite w porównaniu z oszczędnym półmrokiem holu i schodów. Phoebe znowu usłyszała stukot piłki o kamienie. Zamknęła za sobą drzwi, a Wilk opuścił rolety. Rozbierali się w słabym świetle z pośpiechem wieszczącym rychłą katastrofę. Phoebe bała się spojrzeć na Wilka. Nadzy objęli się ramionami, oddychając płytko. Jego skóra była gorąca. Nagle podniósł Phoebe, przeszedł kilka kroków i ułożył ją delikatnie na łóżku, a sam pochylił się nad nią jak wygłodniały drapieżca. Brakowało jej poczucia wolności wyboru. Zamknęła oczy, a kiedy znowu je otworzyła, Wilk wpatrywał się intensywnie w jej twarz, jakby za wszelką cenę chciał widzieć, co robi, w nadziei, że pomoże mu to zapanować nad sobą.

Nie spodziewała się bólu, tak przeraźliwego, przesywającego bólu gdzieś w głębi brzucha. Skrzywiła się i krzyknęła. Wilk musiał się domyślić, ale nie umiała ocenić, czy był zaskoczony. Sam jęknął chwilę później, jego twarz zastygła w wyrazie smutku, a potem opadł na Phoebe, jakby stracił przytomność. Phoebe przez długi czas nie mogła myśleć o niczym prócz bólu.

Kiedy za oknami zapadła ciemność, Phoebe usłyszała odgłosy przygotowań do kolacji, dobiegające od strony pobliskiego placu. Rozróżniała pojedyncze dźwięki: dzwo-

nienie talerzy, szcęk sztućców, szuranie krzeseł. Słyszała też szmery rozmów prowadzonych po włosku, brzmiących jak nie kończące się pasma żarliwych ultimatów. Każdy z dźwięków wywoływał ciche echo, odbijające się rykoszetem po całych milach pustkowiec otaczającego miasteczko.

Phoebe miała wrażenie, że pościel jest sztywna, jakby suszono ją na słońcu. Leżała na boku, twarzą w stronę okna, jedynie stopami dotykając Wilka. Podejrzewała, że zasnął. Do jej umysłu wciąż na nowo wdzierała się wizja z dzieciństwa, kiedy woził ją na barana... Wizja, która teraz napełniała ją przerażeniem.

— Hej — szepnął Wilk. — Jak się czujesz?

Phoebe odwróciła się i spojrzała na niego. Leżał na plecach, gapiąc się w sufit, z kołdrą podciągniętą pod brodę.

— Nie wiem — odparła. — Chyba dziwnie.

— Brzmi to rozsądnie.

Umilkli na długą chwilę. Phoebe była coraz bliższa paniki.

— O czym myślisz? — spytała, by znowu usłyszeć jego głos.

Zaśmiał się głucho.

— Myślę, że chyba zwariowałem.

— Czy to źle? — szepnęła.

Wilk odwrócił się na bok i spojrzał jej w oczy z czułością, która podziałała niespodziewanie uspokajająco.

— Nie jestem pewien, czy słowa „źle” albo „dobrze” pasują do tej sytuacji — odpowiedział.

Gdzieś w dole ludzie zasiadali do kolacji. Phoebe usłyszała czyjś śmiech i poczuła słaby zapach dymu papierosowego.

- Myślę, że to było nieuniknione — powiedział Wilk,

jakby zastanawiał się na głos. — Nic nie mogłem zrobić... Próbowałem znaleźć wyjście, ale nie umiałem.

— To prawda — przytaknęła Phoebe. — Ja też próbowałam.

— Nie próbowałaś — odparł z uśmiechem.

— Próbowałam — powtórzyła z oburzeniem. — Chciałam odejść.

— To fakt — przypomniał sobie Wilk i spoważniał. — Nie chciałem, żeby coś ci się stało — dodał po chwili.

Wydawało się, że echo podchwyciło ostatnie słowa. Coś się stało, pomyślała Phoebe.

— Posłuchaj — powiedział Wilk, unosząc się na łokciu. — Możemy wstać, ubrać się i wyjść. Nasze rzeczy są w samochodzie. Niech to będzie jedna z tych spraw, przez które musieliśmy przejść, bo inaczej się nie dało.

Phoebe w skupieniu skinęła głową, jakby zapamiętywała ważne wskazówki.

— Dobrze — powiedziała. — Masz rację.

Leżeli nieruchomo, wpatrując się w siebie. Wstać i wyjść? Wzrok Wilka przesunął się niespokojnie po twarzy Phoebe. I nagle znowu to poczuła: podniecenie, które opłynęło, ogarnęło i przeniknęło jej ból, aż wreszcie sam ból zaczął potęgować jego siłę. Przysunęła się bliżej, a Wilk pocałował ją; zrazu niepewnie, a potem głęboko, trzymając jej twarz w dłoniach. Znowu miał wzwód — być może nawet przez cały czas, kiedy rozmawiali. Myśl o tym, że Wilk pożąda jej, ale powstrzymuje się, pozostawiając jej wybór, była dla Phoebe nieodpartą zachętą. Z lękiem i ciekawością wyciągnęła rękę i dotknęła go. Nic nie wiedziała o męskim ciele. Efekt jej dotyku był zdumiewający: Wilk aż wstrzymał oddech z wrażenia; leżał na plecach, z całej siły zaciskając powieki. Z wahaniem otoczył

dłoń Phoebe ręką i poprowadził ją jak w lunatycznym śnie, z którego nie mógł się wyzwolić. Słuchając dźwięków, które wydobywały się z jego piersi, dziewczyna miała wrażenie, że dotyka jego nagiej duszy. Po chwili Wilk zatrzymał jej rękę; nie pozwolił jej cofnąć, ale i nie pozwolił ruszać. Na długie minuty zawiśli oboje w gęstej ciszy, z dłonią na dłoni. Serce mężczyzny biło tak mocno, że Phoebe słyszała jego uderzenia. Wyczuwała, że zawisł na krawędzi niesamowitej rozkoszy i że boi się spaść w jej otchłań. Poruszyła ręką. Wilk znowu ją powstrzymał. Po chwili zaczęła raz jeszcze, przeciwstawiając się jego sile.

— Przestań — szepnął, nie otwierając oczu. — Przestań! — powtórzył ochryple.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Phoebe daremnie usiłowała liczyć dni. Jej czas dawał się mierzyć jedynie drogą dzielącą pragnienie od spełnienia, rytmem bezlitosnego pośpiechu i dręczącego bezruchu. Chwile spokoju nigdy nie trwały długo. Prędzej czy później znowu zaczynali tę podróż; niekiedy tyle razy w ciągu dnia, że liczenie samych dni straciło sens — Phoebe pogubiła się po czterech.

Czas jakby się skompresował. Phoebe czuła, że starzeje się teleskopowo: była starsza niż tydzień wcześniej, niż poprzedniego dnia, niż tego ranka, niż w południe, gdy słoneczna plama była w połowie leniwej wędrówki przez ich łóżko.

Rzadko wychodzili z Wilkiem z pokoju. Kiedy wyganiał ich głód, jedli łąpczywie w jednej z trzech restauracji, nie spuszczać z siebie wzroku ponad białym obrusem, z nogami splecionymi pod stołem. Jedli grzyby wielkie jak steki, roztopione gnocchi w sosie pesto, a także jagnięcinę, cielęcinę i osso buco, nie żałując sobie chianti. Phoebe polubiła tokański chleb, szorstki i niesłony, zwłaszcza z cierpkim, kwaskowym serem, który często im podawano. Zaraz po posiłku wracali do swojego pokoju i zrzucali ubrania.

Jedzenie wydawało im się niejednokrotnie zbyt marnotrawstwem czasu. Phoebe schudła; żebra i biodra sterczały żałośnie pod jej skórą. Bolały ją wszystkie części ciała —



nogi, plecy, brzuch, każdy mięsień. Pożądanie, które ją trawiło, było dalekie od ugaszenia, a gorączkowy puls bólu zdawał się narastać. W żadnym momencie swego życia Phoebe nie czuła się tak mocno mieszkańcem własnego ciała, a jednocześnie nigdy nie była tak dalece oderwana od rzeczywistości. Czuła się jak widz obserwujący w niemym zdumieniu wyczyny fizycznego pierwiastka swej osoby, sprawiającego wrażenie gwałtownej istoty żyjącej własnym życiem i przechodzącej właśnie ciężki atak szaleństwa.

Powracały z zakamarków pamięci urywki zdań, które zasłyszała gdzieś lub przeczytała: „rozpłynęłam się pod jego dotykiem”, „nie mogliśmy oderwać od siebie rąk”, „pochłonięci namiętnością” — banały, które wciąż budziły w niej pogardę, ale już nie sceptycyzm. Nawet w głębokim śnie wyciągała dłonie w stronę Wilka; rankiem budzili się pieszczotami, a kiedy kończyli, na powrót bez słowa zapadali w sen. Apetyt wyostrzał im się z każdym dniem; czasem bywało i tak, że mijało zaledwie kilka minut od chwili, gdy wyczerpani padali na łóżko, a już Phoebe na poły wstydliwie szukała bliskości Wilka, on zaś odpowiadał chętnie na jej zew.

Na początku była nieśmiała. Nic, absolutnie nic nie wiedziała o seksie i zawsze wyobrażała sobie, że jest to dyscyplina wymagająca konkretnych umiejętności, jak golf albo tenis. Jej niedoświadczenie najwyraźniej podniecało Wilka, podobnie jak świadomość, że Phoebe przeżywa to wszystko po raz pierwszy właśnie z nim. Najtrudniej było jej wmówić sobie, że nie powinna myśleć ani się wstydzić — w tym przypadku niespodziewana kompresja czasu okazała się pomocna. Szybko nauczyła się swobodnie leżeć nago przy Wilku i nie rumienić się z zakłopotania, kiedy wydała z siebie dziwny dźwięk lub krzyknęła. Chwilami

czuła się tak, jakby ogarnęło ją dziwne szaleństwo, wymazujące wszelkie granice samokontroli. Pragnęła więcej, pragnęła wszystkiego, nawet umrzeć. Kiedy było po wszystkim, nie mogła nawet myśleć o tych zaklęciach. To nie byłam ja, myślała.

Życie erotyczne tak bardzo ich pochłaniało, że wszystko inne wydawało się w nie wpisane. Każda myśl, każda rozmowa, rozpoczęte w rzeczywistym świecie, prędzej czy później prowadziły do jednego rozwiązania. Phoebe uznała, że związek Wilka z Carlą dobiegł końca, ale nigdy o to nie pytała, a on nigdy o tym nie wspomniał. Fizyczny popęd przyćmiewał wszystko inne — nawet cień Faith wydawał się przy nim blady. Phoebe zauważyła, że zdarza się jej nie myśleć o siostrze przez długie godziny, czasem nawet przez cały dzień. Niekiedy budziła się nocą, by nasłuchiwać głębokiej ciszy pustkowia otaczającego miasto i zastanawiać się, jak bardzo nierealny stał się świat zewnętrzny w porównaniu z tym, co teraz przeżywała.

Najczystszyimi chwilami były te, w których Wilk i Phoebe odpoczywali, odzyskiwali siły. Leżąc w całkowitym bezruchu, spoglądali na siebie w głębokim wyczerpaniu i nie dzieliło ich absolutnie nic; mogli przenikać się nawzajem jak ryby swobodnie wpływające przez otwarte okna podwodnych zamków. Lecz prędzej czy później pożądanie na powrót budziło dystans między nimi, drażniąc, męcząc i raz jeszcze popychając ich w niełatwą drogę ku kolejnemu zjednoczeniu ciał.

Za dnia otwierali okna, by napełnić pokój słonecznym światłem, świeżym powietrzem i dźwiękami dobiegającymi z podwórza. Mimo to pojawiła się w nich potrzeba

wyjścia na zewnątrz, „powrotu do pozycji pionowej”, jak mawiał Wilk. Na skraju miasta stała zrujnowana wieża. Lubili spoglądać na pofałdowaną okolicę z jej wysokich, omszałych murów. Widząc Wilka w ubraniu, wśród innych ludzi, Phoebe nie mogła się nadziwić, jak niewiele zmieniło w jego aparycji to, czego wspólnie doświadczyli. Czasem wydawało im się przecież, że ich ciała rozpadną się na kawałki, a jednak pozostawały nietknięte — mieli co najwyżej spękane, lekko obolałe usta, lecz nie zaszły w nich żadne inne, stałe zmiany. Gdyby teraz każde z nich poszło swoją drogą, nie istniałby żaden dowód. Ta myśl niepokoiła Phoebe.

Podczas nielicznych interludiów, gdy wracali do normalnego świata, starali się nie dotykać siebie nawzajem; w obecnym stanie ich dusz najmniejszy gest wystarczał, by obudzić żądzę. Pocałunek oznaczał natychmiastowy powrót. Niejeden raz zdarzyło się, że ledwie po kilku minutach spaceru nagle tracili ochotę na łyk świeżego powietrza i w pośpiechu wracali do pokoju. Po takich falstartach Phoebe czuła lekkie przygnębienie, jakby znowu wygnano ją z beztroskiego świata rozciągającego się za oknami.

— Czy to bardzo nienormalne? — spytała trzeciego dnia, leżąc w skopanej pościeli, którą pracownicy układali zaledwie kwadrans wcześniej. Za oknem padał deszcz. Oboje byli prawie ubrani. Żołądek Phoebe trawił głównie powietrze.

— Ekstremalnie — odparł sennie Wilk. Jego nogi okryte były gęsto włoskami; Phoebe uwielbiała tę miękkość kryjącą twarde jak drewno kości. Wilk skrzywił się, kiedy delikatnie dotknęła jego kolana.

— Zjedzmy coś — powiedziała, siadając.

— W każdym razie tak się nie da żyć — ciągnął myśl Wilk, przewracając się na bok, twarzą ku Phoebe.

— Pewnie ludzie mieliby wtedy dzikie mnóstwo dzieci — zauważyła.

Roześmiał się.

— Tak. I pewnie to byłby koniec takiego życia. Pierwszego dnia kochali się dwa razy, zanim Wilkowi przyszło do głowy zapytać o środki antykoncepcyjne.

— A gdybym odpowiedziała „nie”? — spytała później, wprawiając go w zakłopotanie.

— Jakoś bym to załatwił — odpowiedział.

Znowu położyła się na plecach. Od restauracji dzieliło ich tak wiele kroków; od podania przez kelnera zamówionych dań — cała wieczność. Deszcz bębnił o cegły, tłocząc przez otwarte okno zapach wilgotnej świeżości.

— Tak naprawdę... to nie jest nienormalne — powiedział Wilk po długim namyśle. — To po prostu nigdy się nie zdarza.

Dotknął jej pustego brzucha. Phoebe przysunęła się bliżej. Pomyślała, że może poczekać z jedzeniem jeszcze noc. Każdego ranka Wilk szedł do jednej z restauracji i wracał z cappuccino i świeżymi bułeczkami prosto z pieca, które łąpczywie pożerali, nie ruszając się z łóżka. Dobrze nam teraz, pomyślała Phoebe. Poczekał. Zapach deszczu wystarczy za posiłek.

Następnego ranka, czwartego dnia, obudzili się z postanowieniem odwiedzenia starej wieży. Dotarli do niej przed południem. Zazwyczaj kręcili się tu turyści, ale tego pochmurnego i dość mokrego dnia nie było nikogo. Phoebe i Wilk usiedli obok siebie na półce wymoszczonej wilgotnym mchem i spojrzeli w dół. Pozbawione słońecz-

nego światła wzgórze sprawiały wrażenie zbrązowiałych, jakby przypieczonych. Phoebe zachwycała się obfitością cyprysów, które tak pięknie malował Vincent van Gogh. Postanowiła opisać Wilkowi swe pierwsze doświadczenie erotyczne. Nie wstydziła się o tym mówić; w sytuacji, w której się znaleźli, każdy temat rozmowy — z wyjątkiem Carli i Faith — wydawał się najzupełniej naturalny. Opowiedziała mu o tym, jak w wieku ośmiu lub dziewięciu lat, na placu zabaw, podczas popołudniowej fazy czyjś przyjęcia urodzinowego, poczuła coś dziwnego, wspinając się na wysoką tyczkę. Wrażenie jakoś nie miało związku z kurczowo zaciśniętymi ramionami. Wisiała tak w zachwycie parę razy po kilka minut, a potem zawołała koleżanki. Podobało im się tak bardzo, że następnego ranka, zanim zjawili się po nie rodzice, zażądały od zdumionej matki solenizantki, by znowu zaprowadziła je na ten sam plac zabaw. Dzień był jednak mglisty, a tyczka chłodna w dotyku, i nic się nie wydarzyło. Czar prysł. Wilk słuchał opowieści z wielkim zainteresowaniem.

— Czy to wrażenie przypominało orgazm?

— Nie pamiętam. Trwało tak długo, jak udawało mi się wisieć.

— Pewnie miałaś silne ramiona. Phoebe roześmiała się.

— W końcu się męczyły — odparła. — Ale kiedy zaczęłam wspinać się częściej, stały się mocniejsze.

— Kiedy robiłaś to po raz ostatni?

— Och, dawno temu. W pewnym momencie zaczęłoby to wyglądać dość głupio — wyjaśniła. — Jako szesnastolatka dotykałabym nogami ziemi.

— Szesnastolatka przesiada się na prawdziwą tyczkę zauważył ze śmiechem Wilk.

Phoebe zaczęła majtać nogami. Wilk chwycił jej dłoń i przycisnął do ust.

— Jesteśmy bardzo grzeczni — stwierdził.

Jako że w okolicy nie było żywej duszy, pozwolili sobie na pocałunek. W miejscach publicznych zawsze ogarniała ich nieśmiałość, jakby ktoś, kto by ich obserwował, mógł od razu poznać całą prawdę.

— Wracajmy już — zaproponował Wilk.

Wstali, spoglądając na brązowe wzgórza falujące w dole.

— A może tu? — mruknęła Phoebe.

Wilk zaśmiał się, myśląc, że żartuje. Ale Phoebe naprawdę podobał się ten pomysł. Długa spódnica, którą miała na sobie, ułatwiała zadanie.

— Zapomnij o tym. W każdej chwili ktoś może się zjawić — odparł Wilk.

— Poszukamy jakiejś kryjówki.

— Zamkną nas w więzieniu. Przecież to katolicy.

— Ja też jestem katoliczką.

— Co za ulga — roześmiał się Wilk.

Phoebe zignorowała jego obawy. Wąskie, rozpadające się stopnie poprowadziły ich w dół, na drugą stronę muru. U podnóża ściany, za kępą wybujałych traw, stok wzgórza opadał gwałtownie. Za załomem muru Phoebe wypatrzyła miejsce, jakiego szukali: niszę, do której można było zajrzeć jedynie z góry lub przez lornetkę z dalekich wzgórz.

Wilk szedł za nią.

— Bylibyśmy już w naszym pokoju — utyskiwał. Poprowadziła go za rękę do zagłębienia w murze. W bluszczu kłębiącym się na ziemi walały się butelki po winie i dwie niebieskie skarpetki. Kiedy zaczęli się całować, Phoebe poczuła, jak uchodzi z Wilka wszelkie poczucie odpowiedzialności. Podobała jej się ta władza. Wilk

oparł się plecami o ścianę, a ona z trudem rozpięła mu rozporek — przywykli już żartować z jego nieustannej erekcji. Syknął cicho, kiedy dotknęła go chłodną ręką. Akt, którego dokonali po chwili, był bardziej niezgrabny, niż Phoebe to sobie wyobrażała. Wilk był znacznie wyższy; musiał ugiąć kolana, ale to jakoś już mu nie przeszkadzało. Zastłaniała ich spódnica Phoebe, uniesiona tylko z przodu. Wilk zaparł się głową o ścianę, a kiedy skończyli, pozostał w tej pozycji, wolno odzyskując rytm oddechu. Po chwili położył dłonie na barkach dziewczyny. — Już — szepnął.

Chwilami czuł, że zatracą się w niej bez reszty. Leżąc w łóżku, brał pukle jej długich włosów i poruszał nimi nad jej twarzą, obserwując ruchy oczu. Zdanie „Robię, co robię” było jedyną odpowiedzią na pytanie, które sam sobie zadawał: Dlaczego naraża na szwank swoje normalne życie, spędzając tu czas z Phoebe? Tak naprawdę jednak nie była to odpowiedź, a jedynie potwierdzenie daremności jej poszukiwania. Od czasu do czasu ogarniał go mroczny fatalizm, wysoka fala posepnych myśli, których bazą, jak się zdawało, było przekonanie, że „wszystko stracone”. Początkowo jego nastroje przerażały Phoebe, ale w istocie jedynym ich skutkiem było spotęgowanie pragnienia, z jakim powracał w jej objęcia.

We śnie rzucał się obok niej, czasem krzyczał, ale wystarczyło, że wzięła go w ramiona, aby wybawić go z jednej otchłani i zwabić w inną, pełną jeszcze bardziej intensywnych przeżyć. Później przytulał się do niej, by zapaść w głębszy, sycący sen, jak dziecko zaciskając dłoń wokół jej palca. Phoebe nie zasypiała tak długo, jak wystarczało jej sił, strzegąc jego spokoju w niezachwianym przekonaniu, iż tylko ona potrafi go ocalić.

Prędzej czy później musieli powrócić do realnego świata, przypuszczała Phoebe, ale kiedy próbowała wyobrazić sobie Wilka i siebie dzielących normalne, dorosłe życie, w jej głowie powstawała jedynie pustka. Pewnie dlatego, że sytuacja jest tak nowa, myślała, mimo iż wydaje się, jakby upłynęły wieki, a nie dni. Musieli dorosnąć do tego, co przeżywali, a następna faza musiała przyjść równie naturalnie, jak pojawiła się pierwsza. Poza tym własna przyszłość zawsze wydawała się Phoebe czymś nierzeczywistym, gdy próbowała ją sobie wyobrazić.

Minęło jeszcze kilka dni, nim zdecydowali się na małą wycieczkę, która miała im przypomnieć wrażenia z życia w normalnym świecie.

-- Reasymilacja — powiedział Wilk. — I rehabilitacja.

Wybrał Lukkę, miejsce, którego nie odwiedził osobiście, ale o którym słyszał wiele dobrego.

Dziwnie się czuli, wsiadając do samochodu. Minął tydzień i dzień, odkąd pojawili się w tym mieście, jak twierdził Wilk. Phoebe nie miała pojęcia, czy to prawda. Ranne słońce raziło ją w oczy. Drzewka oliwne lśniły srebrzyście. Czowała się jak pacjent opuszczający szpital po długiej rekonwalescencji.

Zdumiał ją upór świata, jego zdolność do popychania naprzód własnych spraw nawet wtedy, gdy nie patrzyła mu na ręce.

Jazda krętymi drogami wyraźnie poprawiła Wilkowi nastrój. Phoebe zastanawiała się, czy brakowało mu tego. Po raz ostatni prowadził samochód przedtem, kiedy, jak oceniała z perspektywy czasu, praktycznie się nie znali. Czowała, że powinna zachowywać się nieco inaczej, by podkreślić jakoś zmianę łączącej ich więzi, ale nie była



pewna, na czym miałyby to polegać. Nie mogła przecież trzymać go za rękę, kiedy co chwilę zmieniał biegi.

— Nie sądzisz, że to zrzącenie losu? — spytała w końcu. — Że tak cię znalazłam.

— Szczęście — przytaknął Wilk.

— Nie o to mi chodzi. Wiesz, mam na myśli raczej przeznaczenie.

Opowiedziała mu o tym, jak przybyła do Europy gnana niejasnym przekonaniem, iż powinna czegoś szukać, i jak chwyciła się na oślep rozmaitych możliwości, aż wreszcie, w głębokiej rozpacz, natknęła się na niego.

— Rozumiem — odparł. — Ale czy nie sądzisz, że z perspektywy czasu wydarzenia zawsze sprawiają wrażenie nieuniknionych?

— I stąd wiadomo, że istnieje coś takiego jak przeznaczenie.

Wilk nie odpowiedział. Wyczuła, że pozwala jej myśleć, co chce.

— Nie wierzysz w to — stwierdziła rozczarowana.

— Nie jestem pewien — przyznał. — Kiedyś wierzyłem. To właśnie podobało mi się najbardziej w braniu prochów: wrażenie, że dostrzegam wszystkie ukryte połączenia między zdarzeniami — dzwoni się odzywa, światło pada w określony sposób, w radiu nadają jakąś piosenkę, a ty patrzysz na to wszystko i myślisz sobie „no, kapuję”.

Phoebe kiwnęła głową.

— Może po prostu mi się znudziło? — zastanawiał się Wilk. — To, że wszystko zlewało się w jeden obraz — wierzenia buddystów, Egipcjan, Apaczów, cholera, nawet i chrześcijan — że wszystko to była jedna fantastyczna sprawa. Rozumiesz, duchowość, i tak dalej...

— Przestań.

Przestraszył się.

— Śmieję się z siebie, Phoebe — wyjaśnił Wilk. — Nie z ciebie.

— Wtedy życie było naprawdę bardziej uduchowione. Koniec. Kropka — oznajmiła zdecydowanie.

Wilk spojrział na nią z ukosa.

— Obiektywnie? Chcesz powiedzieć, na przykład, że Bóg był bardziej obecny? — spytał z niedowierzaniem.

— Od kiedy to jesteś takim ekspertem?

— Ekspertem? Do licha, to się nazywa nostalgia: dostrzegasz nowe warstwy znaczeniowe w sprawach, których swego czasu nigdy byś o to nie podejrzewała.

— A jednak w swoim czasie dostrzegaliście te znaczenia — nie ustępowała Phoebe. — Dźwięk dzwonu i tak dalej... Sam powiedziałeś.

— Zdawało nam się, że dostrzegaliśmy.

— Skoro dostrzegałeś wtedy i dostrzegasz teraz, kiedy spoglądasz w przeszłość, to skąd możesz wiedzieć, że naprawdę ich nie było?

— Ha — mruknął Wilk i uśmiechnął się. Milczał przez dłuższą chwilę. — Dziwne w tamtych czasach było to — zaczął z wahaniem — że czuliśmy do nich nostalgię już wtedy, na bieżąco. Myślę, że wynikało to z faktu obserwowania samych siebie. Widzieliśmy samych siebie na żywo, w telewizji i w gazetach, naćpanych i pełnych uduchowionych haseł. To my tworzyliśmy codzienne wiadomości. Cokolwiek robiliśmy, wydawało nam się takie ważne... Nigdy nie czułem czegoś podobnego, ani przedtem, ani później. Ale to nie było prawdziwe życie. I chyba dlatego tak nam się podobało.

— Ciekawe, co powiemy o tym kiedyś — powiedziała Phoebe. — No, wiesz. O tym, co robimy teraz.

— Nasze teraz to całkiem dobre teraz — odparł Wilk. Zapadło kłopotliwe milczenie.

— Może powiesz, że to jednak było przeznaczenie. To, że cię znalazłam.

— Niewykluczone — zgodził się Wilk.

Już z daleka Lukka wznosiła się nad krajobrazem jak gigantyczna forteca otoczona potężnymi murami. Phoebe i Wilk zostawili volkswagena poza jej szanćami i trzymając się za ręce, poszli do centrum.

Soczyste trawniki ciągnęły się wzdłuż szczytów murów miejskich, przypominając szmaragdową fosę występującą z brzegów. Stąd także rozciągał się dobry widok na suchą, pagórkowatą okolicę. Jestem tu z moim kochankiem, pomyślała Phoebe i zapragnęła, żeby ktoś ją zobaczył, tak jakby obecność świadka miała przypieczętować ostateczną więź między nią a Wilkiem.

Wzdłuż wąskich uliczek ciągnęły się rzędy pięknych rezydencji. Od wieków, jak twierdził Wilk, bogaci florentczycy budowali w Lukce swoje drugie domy. Wiele starych willi przerobiono na muzea. Na sklepowych wystawach Phoebe zauważyła zegarki marki Rolex. Zatrzymali się przed pięknym kościołem San Michele, którego fasadę zdobiły płaskorzeźby przedstawiające zwierzęta. We wnętrzu rozłączyli się — Wilk zwiedzał łukowato sklepione korytarze, a Phoebe obserwowała go i z zadowoleniem porównywała z innymi turystami. Podobał jej się chód Wilka, atletyczny, a zarazem elegancki, w niczym nie przypominający szympaniego kołysania się nastoletnich gwiazdorów sportu. W ubraniu czy bez, jej mężczyzna poruszał się tak samo. Mój kochanek, myślała o nim Phoebe,

ale coś jej nie pasowało w tym słowie. Zbyt często słyszała je w szkole, używane przez dziewczyny, którym zależało na rozgłaszaniu faktu, iż sypiają ze swymi chłopakami. Jak to się nazywało...? To, co połączyło ją z Wilkiem? Phoebe patrzyła, jak wychylał się do tyłu, by podziwiać relief wyobrażający Madonnę z Dzieciątkiem. Przez krótką chwilę wyglądał jak obcy człowiek, do którego nie miała żadnego prawa. Z rosnącym niepokojem czekała przy wyjściu, aż skończy.

Na ulicy stał się milczący. Phoebe czuła, że jego myśli dryfują daleko od niej, ale nie bardzo wiedziała, w jaki sposób mogłaby odzyskać władzę nad nimi. Gdyby byli w swojej intymnej kryjówce, po prostu przysunęłyby się bliżej, może poszłyby pod prysznic albo po szklankę wody, a on już czekałby na nią niecierpliwie. Pozbawiona fizycznej bliskości czuła się bezsilna. Wałęsając się ulicami, snuła nie kończący się myślowy monolog. Czy w każdym związku takie wahania są normą? Czy nie przyjechali tu po to, by trochę utemperować intensywność doznań; by pobyc trochę w świecie normalnych ludzi? Ów świat przeszkadzał jej tylko; wdzierał się natrętnie w przestrzeń dzielącą Phoebe od Wilka. Nie wiedziała już, co ma mówić i jak się zachowywać wobec swojego mężczyzny. Zbyt wiele tematów wydawało jej się wykroczeniem poza ramy ich związku.

Zatrzymali się na lunch w restauracji podobnej do klasztoru, z fontanną bulgocącą w zamkniętym podwórzu. Kelner z namaszczeniem wyjął ości z ich porcji pieczonej ryby. Pozostali klienci lokalu byli dość wiekowi i obwieszeni biżuterią. Patrząc na nich, Phoebe i Wilk wymienili uśmiechy, ale wciąż się nie odzywali. O czym zwykle rozmawiali? A może zawsze milczeli, tylko że Phoebe była zbyt szczęśliwa, aby zwracać na to uwagę? Coraz in-

tensywniej myślała o tym wszystkim, z czego Wilk zrezygnował, żeby być przy niej. Poczowała nagłą i paraliżującą potrzebę uczynienia każdej chwili, którą z nią spędzał, wartą poświęcenia. Wilk skrzyżował ramiona na piersiach. Widziała napięcie w jego twarzy i w pozornie swobodnej pozycji przy stole.

— O czym myślisz? — spytała, nie mogąc dłużej znieść milczenia.

Mówiła zbyt głośno. Wilk skrzywił się nieznacznie, a Phoebe odezwała się ponownie, zanim zdążył odpowiedzieć.

— O Carli, prawda? Jeżeli tak, to mi o tym powiedz! Wilk zaczął mówić i urwał w pół słowa.

Dostrzegła ból

w jego oczach i spanikowała. Słowa wzięły górę nad myślami.

— Chcesz do niej zadzwonić? — krzyknęła. — Może powinienes to zrobić! No, zadzwoń zaraz! Nic mnie to nie obchodzi!

— Zrobiłbym to dla siebie, nie dla niej — odparł cicho Wilk.

Phoebe wiedziała, że go rozzłościła. Znowu ogarnęło ją to dziwne uczucie: obecność Carli była niemal namacalna, jakby Niemka siedziała między nimi, paląc papierosa. Phoebe wiedziała, że musi coś zrobić, żeby odzyskać kontrolę nad sytuacją.

— Czujesz się winny? — spytała. -- O to chodzi? Wilk drżącą dłonią przygładził włosy.

— Raczej zdezorientowany — odparł. — Rozumiesz? Zdezorientowany. Bardzo byś mi pomogła, gdybyś się na chwilę uspokoiła — dodał, sam jak najdalszy od pełnego spokoju. — Poczucie winy nie ma z tym nic wspólnego. Robisz, co robisz, tylko to się liczy.

— Zawsze to powtarzasz. Wilk spojrział na nią spode łba.

— Jezu, Phoebe, proszę cię, nie przeginaj. Odwrócił głowę. Phoebe wyobraziła sobie, że pragnie, by zniknęła. Przyszło jej do głowy, że być może powinna urządzić mu scenę rodem z filmu: wrzasnąć coś obelżywego i przewrócić na niego stół. Zamiast tego jednak pomyślała o Carli, siedzącej samotnie w swym monachijskim mieszkaniu, której nie pozostało nic prócz pierścionka ze ślicznym brylantem. Wściekłość zmieniła się niepostrzeżenie w żal.

— A ja mam wyrzuty — powiedziała.

— Nonsens — parsknął Wilk.

Czasem, kiedy spoglądał na nią w skupieniu, dostrzegała w jego oczach opadającą zasłonę i coś, co pojawiało się w głębi jakby przypadkiem. Teraz też to zauważyła i natychmiast się rozluźniła. Dopóki widziała tę jasną szczelinę, nie musiała się niczego obawiać.

— Proszę, nie miej — dorzucił po chwili. — Proszę.

— Dobrze.

— I zapomnijmy o tym, zgoda?

— A ty zapomnisz?

— Zapomnę — obiecał. — Już próbuję.

Ulżyło im. Znowu byli sobą. Phoebe wreszcie odważyła się pójść do toalety. Kiedy wracała, Wilk złapał ją w tali i przycisnął ucho do brzucha, jakby chciał usłyszeć w niej szum morza. Phoebe poczuła, że coś się w niej rozluźnia, jakby tym jednym gestem przeciął twardy węzeł. Krew popędziła ku jej policzkom.

Na zewnątrz rozpoczynała się sjesta. Okiennice domów były zamknięte. Phoebe nie była w stanie skupić się na niczym — myśl o tym, by znowu położyć się obok Wilka,

przyćmiła wszystkie inne; posiłek, wino, a nawet krótkotrwały konflikt tylko spotęgowały to pragnienie. Szła obok niego, próbując skupić się na rytmie jego kroków. Jak długo będzie musiała czekać, aż wróca do swego pokoju? Godziny, myślała, długie godziny. Świadomość tego faktu omal nie doprowadziła jej do płaczu. Zaczęła torturować się wspomnieniami poprzednich zbliżeń, tych z poprzedniego dnia i z tego ranka. Wkrótce ogarnęła ją spokojna pewność: nic się nie liczyło prócz tego, prócz odzyskania tych chwil. Do diabła z Carlą i wszystkimi innymi sprawami. Zatrzymali się w ślepych zaułku. Wilk zamknął oczy i zaczął całować Phoebe tak, jakby chciał coś z niej wyciągnąć — nie tylko z ust czy gardła, ale także z płuc, serca czy żołądka. Phoebe dostrzegła na wysokiej ścianie nad sobą ciemne plamy zielonych okiennic. Drżeli oboje; nawet ich usta drżały jak liście na wietrze. Żałowała, że nie ma na sobie spódnicy, jak poprzedniego dnia. Myśląc o tym, przeżywała katusze, jak gdyby chciało jej się sikać i nie miała dokąd pójść. Kiedyś straciła w ten sposób narty — zostawiła je w śniegu i pobiegła do ubikacji, a kiedy wróciła, już ich nie było. Skłamała później, że ktoś włamał się do jej szafki, kiedy jadła lunch. Zawstydziała ją własna desperacja. Przycisnęła się biodrami do Wilka. Kiedy pocałowała go w szyję, podskoczył, jakby poraziła go prądem.

— Znajdźmy jakiś pokój — szepnął.

W drodze na lunch mijali hotel. Ruszyli w jego stronę bez uśmiechów na ustach, jak para złodziei, którzy muszą dotrzeć do okna, zanim włączy się alarm.

Wilk dopełnił formalności w recepcji i popędzili marmurowymi schodami na górę. Hotel był elegancki. Wilk

przez moment mocował się z zamkiem, ale drzwi w końcu się otworzyły. Biegając w stronę łóżka, Phoebe zauważyła błyski ciemnego aksamitu i złota, ale zaciągnięte zasłony nie pozwalały na podziwianie szczegółów. Gdy tylko byli nadzy, zaczęła pieścić Wilka ustami — przedtem nigdy tego nie próbowała, bo była zbyt przerażona; wydawało jej się, że się udławi albo uszkodzi sobie gardło. Teraz jednak strach ustąpił, pragnęła czegoś nowego. Zamknęła oczy, wolno poruszając głową. Wilk spoczywał pod nią nieruchomo. Długo zwlekał z każdym oddechem, aż wreszcie drgnął gwałtownie i krzyknął tak głośno, że Phoebe była pewna, iż go zraniła. Wycofała się, czując w ustach bardzo mocny smak — nie zły, ale właśnie mocny, zbyt mocny. Przełknęła szybko, by się go pozbyć, ale pozostał. Z jakiegoś powodu zachciało jej się płakać. Szlochając, ułożyła się obok Wilka, który spoczywał w bezruchu jak rażony gromem. Kiedy wreszcie na niego spojrzała, przekonała się, że i jego twarz jest mokra od łez, które płynęły z kącików oczu spokojnymi strumykami, jakby nagle w głębi ciała nastąpił jakiś przeciek. Jego pierś drżała, kiedy brał oddech, ale nie otwierał oczu i uparcie milczał. Leżeli tak przez jakiś czas, w powietrzu przepelnionym poczuciem beznadziejności. Lecz nawet teraz, bez nadziei, Phoebe chciała więcej. Były w niej dwie osobowości: jedna rozpaczała, a druga, chciwa i przyziemna, trzęsła się z uciechy, kiedy Wilk ruszył się wreszcie i zaczął pieścić ją językiem. Doznania były morderczo, niezdolnie intensywne. Szczytowała niemal natychmiast; jakby straciła przytomność od nagłego ciosu w głowę. Kiedy leżała spokojnie, jakby załamana siłą przeżycia, przyszły jej skądś do głowy słowa „choroba na śmierć”. Dryfowała myślami z dala od wszystkiego i wszystkich, nawet od



Wilka. Dziękowała Bogu za te chwile wytchnienia, choć nigdy nie trwały długo. Wewnętrzne pulsowanie powracało już jak uparty ból zęba, najpierw subtelnie, a potem coraz wyraźniej, aż wreszcie Wilk oplótł ją ramionami i wszedł w nią.

Pozostali spleceni do końca. Narzuta na łóżku pachniała skórkami pomarańczowymi. Phoebe zastanawiała się, czy gdzieś w pokoju nie ustawiono naczyń z wonnymi ziołami.

— To jest złe — powiedział bezsilnie Wilk.

Phoebe skinęła głową. Czuła się tak, jakby ktoś wykorzystał ich oboje, jakby istniał trzeci, nienasycony, nieroztropny uczestnik ich igraszek.

— Czuję się jak wariat — ciągnął Wilk bezbarwnym głosem. — Przysięgam na Boga.

Phoebe rozejrzała się po pokoju pełnym cieni.

— Kocham cię — powiedział Wilk. — Kocham cię, Phoebe. Nie mówił tego nigdy wcześniej, chociaż słyszał od niej

te słowa wielokrotnie. Patrzył na nią lekko szalonym wzrokiem, ale jednocześnie wyglądał tak, jakby koncentrował się na czymś innym, jakby nasłuchiwał hałasów dobiegających z korytarza. Phoebe też słuchała, ale docierało do niej jedynie wewnętrzne pulsowanie, podobne do odgłosu złowrogich, zbliżających się kroków. Bała się i bolało ją całe ciało; nie chciała więcej, a jednocześnie chciała; jakaś jej część zawsze pozostawała pusta.

— Kocham cię — powtarzał Wilk między pocałunkami. — Phoebe, kocham cię.

Wtulili się w siebie ze smutkiem, jakby przepraszająco, niczym obcy ludzie pocieszający się nawzajem w obliczu kryzysu.

Zapadli w głęboki sen. Kiedy się ocknęli, na zewnątrz

było już ciemno. Dzień minął, zostawiając w Phoebe paniczne przeświadczenie, że ominęło ich coś ważnego. Przez chwilę dyskutowali o tym, czy lepiej będzie wracać po ciemku, czy poczekać do rana. Nie uśmiechała im się perspektywa długiej jazdy o tej porze, ale jeszcze mniej przyjemna była wizja poranka bez szczoteczek do zębów i świeżej bielizny. Poczucie porażki wisiało w powietrzu jak przykry zapach. Phoebe bardzo chciała zamknąć je w jednym dniu, uchronić jutro przed kontaktem z dziś.

Postanowili, że wrócą. Do domu, jakkolwiek by on był.

Łazienkę wyłożono marokańskimi kafelkami, a na drążkach wisały wielkie, miękkie ręczniki kąpielowe.

— Ile kosztuje ten pokój? — spytała Phoebe.

— Oto piękno karty kredytowej — odparł Wilk. — Nie mam pojęcia.

— Płacimy za całą dobę, prawda? — upewniła się. — Nawet, jeśli wyjedziemy?

Wilk uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Powiedziałbym, że i tak warto było.

Zaczęli delikatnie mydlić się wzajemnie pod prysznicem i mimo prób oporu (podejmowanych raczej bez wiary w powodzenie) już po chwili zapierali się mocno o gładkie kafelki w strumieniach gorącej wody. Wilk był bardziej blady niż kiedykolwiek. Phoebe zastanawiała się, czy utrata zbyt wielkiej ilości nasienia może być niebezpieczna dla zdrowia, ale uznała, że nie pora pytać.

Owinąwszy ręcznik wokół bioder, Wilk stanął przed lustrem, by przyjrzeć się podbródkowi. Golił się dwa razy dziennie, żeby oszczędzić Phoebe przykrych doznań, ale ceną za to była lekka wysypka na szyi. Spojrzenie, które posłał swojemu lustrzanemu odbiciu, zrobiło na dziewczynie mocne wrażenie: patrzył na siebie z mieszaniną

żału i uporu, oczami człowieka, który jest przekonany, że zrujnował sobie życie. Kiedy jednak jego wzrok znowu spoczął na Phoebe, pojawiła się w nim czułość, to bezradne otwarcie duszy, przy którym nie liczyły się inne wrażenia.

— Wytrę cię — powiedział. Dotykał jej ramion i piersi tak delikatnie, jak matka osusza czoło gorączkującego dziecka.

Teraz dopiero włączyli światło w sypialni. Pokój był naprawdę piękny. Phoebe żałowała, że nie zdążyli skorzystać z niego w bardziej przyzwoity sposób. Ubrania leżały rozrzucone na podłodze, za to posłanie wyglądało zaskakująco schludnie.

— W porządku — odezwał się Wilk, sprawdzwszy, czy niczego nie zostawili. — Jesteśmy gotowi. Noc była chłodna, bezchmurna i bezksiężycowa. Jedynym oświetleniem pustej drogi były smugi żółtawego blasku z samochodowych reflektorów. Błyszczące gwiazdami niebo wydawało się Phoebe chaotyczne, jakby ktoś zmarnował w przypadkowy sposób krople cennej, połyskliwej substancji.

— Powiem ci, co myślę — rzekł Wilk, kiedy Lukka została daleko w tyle. — Powinniśmy wyjechać z Włoch.

Ta sugestia zupełnie zaskoczyła Phoebe.

— Dlaczego?

— Trwamy tu w jakimś dziwnym zawieszeniu, a ten stan naprawdę nam nie służy.

— A co z Corniglią?

Wilk odwrócił się w stronę Phoebe na dźwięk słowa, którego nie wymieniali od wielu dni.

— Nadal chcesz tam pojechać? Phoebe wahała się krótko.

-Nie.

— Zatem powstaje pytanie: Co my tu robimy? Droga wiała się między mrocznymi wzgórzami. Phoebe czuła się niepewnie, jakby coś jej groziło. Wydawało jej się, że dotarli z Wilkiem do sedna sprawy.

— Dokąd mielibyśmy pojechać? — spytała.

— Wszystko jedno. Do Grecji, Jugosławii, a może i do Mozambiku. Możemy jechać dokądkolwiek zechcemy.

— Tylko nie do Monachium. Wilk nie odpowiedział.

— A co z twoją pracą?

— Parę rzeczy nade mną wisi — przyznał. — Mógłbym jednak... Nie wiem, jakoś bym się wyślizgał. Phoebe słuchała go z rosnącym rozczarowaniem. Nie podobało jej się ani jedno słowo. Wilk mówił tak, jakby byli uciekinierami planującymi życie w drodze. Nie widziała w tym sensu. On także musiał to czuć.

— Do licha, sam już nie wiem — westchnął po chwili. — Nie mam pojęcia, co robić.

Phoebe spojrzała na krajobraz przesuwany się za szybą. Było go tyle, że zakrawało to na boską rozrzutność. Świat wydawał się chaotycznym, w pośpiechu poskładanym miejscem — wzgórze tu, gwiazda tam. Nawet ten samochód, z Wilkiem i mną w środku, myślała Phoebe, pędzący przez noc pod bezcelowym niebem. Nic nie miało znaczenia. Sprawy mogły układać się tak lub zgoła inaczej. Przypadkowo.

Z czasem jednak coś zaczęło się dziać. Ziarniste gwiazdy poruszały się, na oczach Phoebe niespodziewanie zmieniając położenie. Siostra, o której od wielu dni prawie nie myślała, nagle znowu wydała jej się bliska. Faith powróciła z niebytu. Zbierała się wokół Phoebe jak mgła albo

zmiana temperatury, aż dziewczyna zaczęła wyczuwać jej obecność wszędzie — w ciasnym wnętrzu volkswagena, za wysoką zasłoną gwiazd — jakby wszystkie okoliczne wzgórza, a może i całe Wiochy były zamknięte w kryształowym przycisku do papieru leżącym na dłoni Faith. Wróciła. Choć oczywiście była tu przez cały czas. Musiała być; ukrywała się tylko, bo uwielbiała to robić. Dawała Phoebe posmak swojej nieobecności. Była obok niej i między nią a Wilkiem, popychała ich ku sobie — jakim szaleństwem była myśl o pozostawieniu jej własnemu losowi! I jaka ulga, że Faith powróciła, a wraz z nią powrócił dawny, tak dobrze znany świat.

— Co o tym myślisz? — spytał Wilk.

— Ze powinniśmy jednak pojechać do Corniglii. Milczeli przez dłuższy czas. Phoebe zastanawiała się,

czy Wilk jest świadomy powrotu jej siostry. Wydawało jej się, że tak, a raczej że przez cały czas zdawał sobie sprawę z obecności Faith i trzymał to w tajemnicy.

— Chyba masz rację — odparł pokonany.

Nie odzywali się więcej. Samochód nurkował w mroku, a Phoebe czuła, że pędzi naprzód przez czas, aż wreszcie mogła spojrzeć wstecz z tej niby-przyszłości, na dni spędzone z Wilkiem i tę właśnie chwilę. Moje dni z Wilkiem, pomyślała. Moje pierwsze dni z Wilkiem. Zobaczyła, jak jej pamięć załamuje się wokół tych zdarzeń, i poczuła ucisk w gardle na wspomnienie czułości i smutku, rozważań o przeznaczeniu i niepokoju o przyszłość tego związku. Wizja przetoczyła się przez umysł z mocą objawienia. Phoebe zobaczyła siebie stojącą gdzieś i spoglądającą wstecz. Czekają ją własne życie. Aż do tej chwili nigdy w to nie wierzyła.

Dotarli do miasteczka i zostawili samochód za murami. Poszli, trzymając się za ręce, tą samą stromą alejką, którą wędrowali pierwszego dnia. Nie spotkali nikogo, jeśli nie liczyć paru kocurów ocierających się o ściany domów. Maszerując pod górę, Phoebe czuła, jak z każdym krokiem powraca do terażniejszości, która teraz wydawała jej się lekko zabarwiona nostalgią. A może zawsze taka była? Wilk otworzył drzwi frontowe, a potem wziął Phoebe w ramiona i zaniósł ją na górę po schodach wyłożonych miękkim dywanem. Napięcie między nimi opadło i ze śmiechem rozbierali się nawzajem, by po chwili rzucić się na świeżo zasłane łóżko. Phoebe patrzyła na twarz Wilka i wydawało jej się, że potrafi odczytać w niej każdą myśl. A przecież on wiedział o obecności Faith, wiedział przez cały czas, i nie odezwał się ani słowem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jak się okazało, do Corniglii nie można było dojechać.

Leżała w tak górzystym rejonie wybrzeża, że wszystkie drogi skręcały w tym miejscu w głąb lądu. Podróż z jednego nadmorskiego miasteczka do drugiego mogła potrwać długie godziny. Wilk i Phoebe dowiedzieli się o tym w Pizie, gdzie Wilk zaparkował i pozostawił swego volkswagena w bocznej uliczce w pobliżu dworca kolejowego. Phoebe nie była pewna, czy to dobry pomysł. Wilk sam opowiadał jej o włoskich złodziejach, lecz teraz najwyraźniej los samochodu mało go obchodził. Strach Wilka przed wizytą w Corniglii stawał się coraz bardziej wyczuwalny z każdym dniem po wyjeździe z Lukki. Phoebe budziła się czasem w środku nocy i widziała, jak leżał bezsennie, wbijając wzrok w sufit.

— Co się stało? — pytała.

Ale Wilk tylko kręcił głową, jakby nie wiedział. Kiedy ją pieścił, czynił to z coraz większą zaciekłością, która trochę przerażała, jak gdyby wpychając Phoebe jeszcze głębiej w intensywność tych chwil, mógł przeprowadzić oboje na drugą stronę, ku wolności.

Phoebe także niepokoiła się na myśl o Corniglii, ale był to lęk kryjący w sobie obietnicę. Narastało w niej poczucie czekającego ją wkrótce objawienia, którego miała doznać razem z Wilkiem, tym samym pieczętując łączącą ich więź. Lecz mimo niecierpliwego napięcia jakoś nie

czuła impulsu, który mógłby pchnąć ją w drogę. Mijały dni. Wreszcie któregoś ranka odezwał się Wilk.

— Po prostu tam pojedźmy. Dzisiaj. Miejmy to wreszcie za sobą.

W Pizie wsiedli do pociągu jadącego do Genui. Nieuchwytna Corniglia nie była jednym z wielu przystanków na jego nadmorskiej trasie. Wiedzieli, że czeka ich przesiadka i nocleg w Vernazzy. Zbliżał się zmierzch — pakowanie, jazda i planowanie następnego ruchu zajęło im cały dzień. Pociąg był pełen florentczyków zmierzających na wybrzeże; Phoebe i Wilk musieli stać na korytarzu.

Otoczały ich grupki rozkrzyczanych dzieci i setki nastolatków raz po raz wychylających się przez okna z papierosami w ustach i wiodących po włosku jazgotliwe dysputy. Phoebe patrzyła na tę naiwną młodzież, na jej bezmyślną arogancję, której nie miała w sobie za grosz. Zazdrościła. Co ciekawe, prócz zazdrości czuła też przemożną chęć chronienia całej tej dzieciarni i jej niewinności.

Wreszcie udało im się znaleźć miejsca przy oknie. Usiedli naprzeciwko siebie. Gwar panujący w całym wagonie utrudniał prowadzenie rozmowy. Pociąg wił się leniwie w promieniach zapadającego się za horyzont słońca. Dwie starsze kobiety o świecących twarzach, z którymi Phoebe i Wilk dzielili przedział, raz po raz wyciągały z plażowych toreb słodczyce i pożerały je z lubieżną przyjemnością.

Zanim pociąg istotnie dotarł na wybrzeże, Phoebe wyczuła zapach morza i gorąco zapragnęła je zobaczyć; choćby najcieńszą nitkę wody na widnokręgu. Przywykła do tego, że widzi ocean w każdym dniu swego życia. Zdziwiła się, że aż tak bardzo za nim tęskni.



Omali nie krzyknęła z wrażenia, kiedy Morze Śródziemne po raz pierwszy ukazało się jej oczom. Powierzchnia wody wyglądała tak delikatnie, jakby zaraz miała się rozerwać, a jej bladobłękitną połączyły różowe smugi gasnącego światła słonecznego. Phoebe nie widziała jeszcze plaży, ale wyczuwała jej obecność. Wiedziała, że w stygnącym z wolna piasku leżą jeszcze ostatni plażowicze, i ta myśl obudziła w niej wspomnienia z Mirasol. Kiedyś bawiła się nad brzegiem oceanu ledwie o dwie przecznice od domu babci i dziadka O'Connorów. Ciepłe i suche dni roztopiały się w sinawe, parne noce. O zmierzchu piasek świecił jak księżyc; nigdy nie umieli z Faith i Barrym odpuścić sobie tej wieczornej zabawy. Wreszcie na pomoście zjawiał się ojciec i krzyczał do nich z góry: „Chodźcie już, łobuzy, robi się ciemno!” Był dziwnie ospały, chociaż świat — mimo ciemności — wciąż był naładowany energią słonecznego dnia. Czasem schodził do nich i kładł się na plaży z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Pozwalał, by dzieciaki zagrzebały go w piasku i uklepywały pęknięcia za każdym razem, gdy się poruszył. Nieraz udało im się zasypać go aż po szyję, a wtedy matka wychodziła na pomost i wołała w ciemność: „Gene? Dzieci? Kochanie, mówiłeś przecież, że przyprowadzisz je do domu!”

Phoebe wyprostowała się gwałtownie w fotelu. Od dłuższego czasu nie pamiętała absolutnie nic, teraz zaś poczuła wręcz fizyczną potrzebę dryfowania, poddania się nurtowi minionych zdarzeń. Wesołe miasteczko w Mirasol przez całe lato zabawiało rodziny marynarzy. Po kolacji Phoebe, Barry i Faith chodzili tam z ojcem. Kupował im kolorowe, gazowane napoje, od których szczypało w piersiach, jeśli za szybko się je wypilo. Phoebe patrzyła z wyżyn wielkiej karuzeli na błyszczący w oddali, czarny

ocean i czuła się cudownie — dawno powinna być w łóżku, a tymczasem bawiła się w parku rozrywki, skąpana w wielobarwnych światłach. Jeden z ludzi obsługujących sprzęt miał w policzku zagłębienie, w którym zmieściłaby się spora kulka do gry. Phoebe gapiła się na niego często, zastanawiając się, jakaż to tajemnicza katastrofa mogła pozostawić taką bliznę na jego twarzy. Rozmyślała i o tym, co robił po sezonie — czy nadal uśmiechał się tak krzywo, wałęsając się tu i tam z paczką papierosów wetkniętą za podwinięty rękaw koszuli? Gdzie mieszkał? Czy zajmował się czymś jeszcze, poza przestawianiem dźwigni uruchamiającej karuzelę?

— Wyglądasz, jakbyś zawędrowała myślami daleko stąd — stwierdził Wilk, przekrzykując stukot kół. Uniósł stopę Phoebe i położył ją sobie na kolanach.

Kobiety jedzące słodczyce wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Phoebe czuła ciepło jego dłoni na swojej kostce, ale jej myśli wciąż krążyły w oddali

— Nie wiesz, co się stało z terrorystami, których Faith poznała w Niemczech?

Wilk sprawiał wrażenie przestraszonego. Minęły dwa tygodnie, odkąd wymienili imię Faith po raz ostatni.

— Nie żyją — odparł. — W każdym razie ci najważniejsi.

— A ta kobieta?

— Ulrike Meinhof? Powiesiła się w więzieniu parę lat temu. — Wilk mówił powoli, mrużąc oczy. — Inni, Baader, jego dziewczyna, Gudrun Ensslin, i jeszcze jeden gość, Raspe, też popełnili samobójstwo za kratkami. Zdaje się, że rok temu, w październiku... Tak, w październiku. Wielu ludzi uważa, że zostali zamordowani.

— Więc Frakcja Czerwonej Armii już nie istnieje?

— O, nie — zaprzeczył Wilk. — Ma się całkiem nieźle. A co, chciałyby się przyłączyć?

Phoebe uśmiechnęła się.

— No jasne.

— Ostatniej jesieni porwali znanego przemysłowca, Hannsa-Martina Schleyera. Zabili trzech ochroniarzy i kierowcę tylko po to, żeby zwinąć faceta, uwięzić na dwa miesiące, a potem poderżnąć mu gardło.

— O Boże.

— Wiesz, nie na darmo nazywa się to terroryzmem.

Na myśl o tym, że jej siostra mogłaby mieć coś wspólnego z takim rozlewem krwi, Phoebe poczuła mdłości. Faith na pewno czułaby to samo.

— Ci nowi to jakieś potwory — powiedziała.

— Potwory to mało powiedziane.

— Gdyby Faith była z nimi, na pewno by ich powstrzymała.

Wilk roześmiał się.

— Cała niemiecka policja próbowała ich powstrzymać.

— Ale Faith... - zaczęła Phoebe. - To była Faith! Kiedy Barry zrzucił z dachu ślimaki, skleila im skorupki klejem Elmera i żyły dalej. Nie wierzysz mi? — spytała, spoglądając w oczy Wilka.

— Wierzę — odpowiedział cicho. — Sama mi o tym opowiadała. A Ulrike Meinhof stała się w Niemczech kimś w rodzaju bohaterki - dodał po chwili. — Ofiarą systemu. Smarkacze ją uwielbiają, ale i wśród dorosłych, zwłaszcza liberałów, ma wielu zwolenników. Uważają ją za niewinną istotę, której ideały uległy wypaczeniu.

— Może taka była.

— Może. Ale tak naprawdę trudno orzec — siedziała w więzieniu od siedemdziesiątego drugiego, więc nie miała zbyt wiele czasu, żeby narobić szkód.

— Podejrzewam, że gdyby zabiła piętnastu ludzi, jej zwo-

lennicy poszukaliby sobie innej ofiary systemu — zauważyła Phoebe.

Wilk wyszczerzył zęby, i był to pierwszy prawdziwy uśmiech na jego twarzy od wielu dni.

— Ironia — powiedział. — Z ust Phoebe O'Connor.

— Widzisz, co narobiłeś?

Mijali kolejne nadmorskie miasta: Viareggio, Lido di Ca-maiore, Marina di Pietrasanta, Marina di Massa. Phoebe rzadko dostrzegała skrawki plaży; najczęściej migały jej tylko korony palm i pastelowe elewacje starych hoteli. Zapach słonej wody mieszał się z aromatem sosen. Phoebe wyciągała szyję, by nie przegapić ani jednego fragmentu otwartej przestrzeni, z morzem i łodziami unoszącymi się na jego powierzchni jak guziki na kamizelce śpiącego. Rosło w niej znajome podniecenie, przeczucie, że coś niesamowitego wisi tuż nad jej głową. Wilk był blisko niej, lecz mimo to czuła się jak samotny wędrowiec. Martwiło ją to. Wstała niespodziewanie i zwinęła się w kłębek na jego kolanach. Objął ją rękami, zaskoczony i zadowolony. Starsze panie z zakłopotaniem odwróciły głowy.

Krajobraz stał się bardziej górzysty i pociąg raz po raz zagłębiał się w czeluść tuneli. Odgłos pracującej maszyny i stukot kół niosły się wtedy głośnym echem, jakby lokomotywa musiała torować sobie drogę w litej skale. Przedział wypełniał się wtedy wilgotnym powietrzem i Phoebe niecierpliwiła się w oczekiwaniu na świeży, morski powiew. W półmroku spoglądała od czasu do czasu na Wilka, lecz choć wymieniali uśmiechy, wyczuwała lekkie napięcie. W końcu Wilk wyszedł na korytarz, żeby zapalić.

Przez dłuższy czas stali na stacji w La Spezii. Wieczorne powietrze fosforyzowało błękitem. Dziewczęta w letnich sukienkach wyskakiwały z wagonów wprost w ramiona znacznie starszych mężczyzn w białych butach i jedwabnych apaszkach owiniętych wokół opalonych szyj okrytych obwisłą skórą. W pierwszej chwili Phoebe pomyślała, że to ojcowie witają swoje córki, ale szybko zrozumiała, że to nie to — dziewczęta przyglądały sukienki i chwyciły mężczyzn pod łokieć smukłymi ramionami. Obserwowała tę scenę, wiedząc, że to coś zakazanego, a jednocześnie czując, że tkwi w tym osobliwie pociągająca tajemnica.

Za La Spezią rozciągał się pas dzikiego wybrzeża. Tłum pasażerów przerzedził się znacznie. Wilk wrócił do przedziału przesiąknięty zapachem tytoniu.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział, siadając i chwytając dłonie Phoebe lodowatymi rękami. Spojrzał jej głęboko w oczy, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał.

— Ciekawe, czy tam jest ładnie. W Corniglii — powiedziała Phoebe. Wilk puścił jej dłonie.

Wysiedli w Vernazzy, gdzie pociąg zatrzymał się zaledwie na chwilę, nim znowu zniknął w tunelu. Miasteczko było wciśnięte w szczelinę między dwoma masywami górskimi; domy z jasnego kamienia wspinały się po ich zboczach. Phoebe czekała na ulicy, pilnując bagażu, kiedy Wilk pytał w barze o wolne pokoje. Dokoła panował dziwnie radosny nastrój; chórowi śmiechów towarzyszyła kakofonia lekkostrawnej muzyki. Pomarańczowe światło słońca potęgowało nastrój karnawału. Wilk wynurzył się z ciemnego otworu drzwi z kluczem w dłoni. Poszli stromą, kamienistą ścieżką wijącą się wzdłuż stoku, sze-

roka tylko na tyle, by zmieściło się na niej dwoje ludzi idących ramię w ramię.

Drzwi były otwarte. W holu jakiś mężczyzna ganiał małą dziewczynkę o kręconych włosach. Piasek osypywał się z bosych stóp na ciemne kafle. Z głębi domu dobiegał szmer rozmowy prowadzonej po włosku.

Pokoik, który był przeznaczony dla gości, pachniał amoniakiem. Phoebe słyszała radosne piski kąpanego dziecka i pluskanie wody. Wilk otworzył okno, by wpuścić do wnętrza wilgotny zapach morza. Na zewnątrz widać było sznury do wieszania prania z mokrymi jeszcze klamerkami.

— Dziwne miejsce — mruknęła Phoebe. Wilk uśmiechnął się krzywo i usiadł na łóżku.

— To fakt — przyznał. — Zapomnijmy o nim.

Phoebe przysiadła obok niego. Wilk otoczył ją ramionami, ale, ku własnemu zdumieniu, nie poczuła najmniejszego nawet przyływu pożądania. Czuła się tak, jakby ktoś opowiadał jej o tej scenie, a ona tylko słuchała, z zainteresowaniem, ale bez osobistego zaangażowania. Wilk wycofał się szybko.

Położył się na plecach, z rękami złożonymi na piersiach. Phoebe wyciągnęła się przy nim. Czuła zadziwiające oderwanie od własnej fizyczności, jak gdyby tygodnie spędzone z Wilkiem były ostatnimi tygodniami w życiu jej ciała, od którego teraz musiała się uwolnić. Jej umysł był za to w świetnej formie, nie istniały dla niego granice, był gotów wyskoczyć z jej ciasnej głowy. Zamknęła oczy i uwolniła go.

— Phoebe? — odezwał się Wilk. Otworzyła oczy. — Zostań ze mną.

— Jestem.

— Nieprawda.

Phoebe zwróciła się ku niemu i zobaczyła troskę, podobną do cienia czającego się gdzieś na dnie oczu.

— Phoebe? — powiedział. -Co?

— Mów do mnie. Mów, co się dzieje.

— Nie wiem.

— O czym myślisz.

— O wejściu tam, na górę. Wilk usiadł.

— Nie rób tego — powiedział. — Denerwujesz mnie.

— Czego mam nie robić?

— Nie używaj tego trupiego głosu.

— Przepraszam.

— Nadal go używasz!

— Przepraszam — powtórzyła Phoebe.

— Przestań przeproszać!

— Nie wiem, co jeszcze miałabym powiedzieć.

— Świetnie. Przestańmy rozmawiać.

Wstał i gniewnym ruchem wyszarpnął z torby świeże ubranie. Poszedł pod prysznic. Kiedy zniknął, Phoebe znowu zamknęła oczy, oddając się łagodnemu dryfowi wspomnień.

Mirasol. Ostatnia podróż za życia ojca. Koniec lata, na krótko przed jego ostatnim pobytem w szpitalu. Był słaby; nie mógł już szaleć na karuzelach w lunaparku ani pozwalać sobie na długie, poranne pływanie w oceanie, które tak uwielbiał. Choroba zmusiła go do tego, czego nie cierpiał przez całe życie — do późnego wstawania i leżenia na plaży w ubraniu nawet w najbardziej słoneczne dni — ale rzadko o niej wspominał. „Może innym ra-

zem", odpowiadał, kiedy Faith ciągnęła go w stronę kolejki górskiej. „Phoebe, może przyniosłabyś staremu, leniwemu ojcu sok pomarańczowy?” Pocieszali się z dnia na dzień iluzją, że to tylko przejściowe osłabienie. Phoebe zapamiętała, że ta ostatnia podróż miała być pod każdym względem idealna. Rodzice spacerowali po plaży, trzymając się za ręce, i drzemali razem w środku dnia. Ojciec zabrał Barry'ego do Akwarium i do Muzeum Marynarki Wojennej, sprawiając synowi tak wielką radość, że Phoebe mogła tylko patrzeć na niego z dziwnym smutkiem. Wszyscy troje starali się być wzorowymi dziećmi — wracali z plaży na długo przed zachodem słońca, żeby nikt nie musiał po nich iść, a potem szli do łóżek bez słowa protestu. Pozornie niezachwiana harmonia była jednak podszyta nicią niepokoju. Było w tym wszystkim coś nienaturalnego, wystudiowanego.

Faith zachowywała się coraz dziwniej. Codziennie zabierała Phoebe na mszę. Kiedy ksiądz zaczynał kazanie, zamykała oczy i mięsień po mięśniu naprężała całe ciało, począwszy od nóg, przez korpus, szyję, aż po twarz, zamieniając się w twardy węzeł tkanek. Potrafiła trwać w tym stanie przez zdumiewająco długi czas. Oddychała rzadko i płytko, ani na chwilę nie rozluźniając mięśni swego szczupłego, trzynastoletniego ciała. Dla Phoebe te minuty były udręką; bała się, że ksiądz coś zauważy i przerwie mszę albo że Faith wypadnie nagle z ławki, tocząc pianę z ust, a może nawet umrze — kto wie? Na szczęście w kościele bywało niewiele wiernych i cała ławka należała do sióstr O'Connor. Dopiero kiedy kapłan dochodził do przemiany chleba w ciało, Faith rozluźniała się nagle. Była wyczerpana, a po jej ustach błąkał się łagodny uśmiech.



Po mszy zazwyczaj spała w samochodzie, na kanapie albo na piasku, jakby i w tym próbowała dostosować się do ojca. Kościelne wyczyny wysysały z niej wszystkie siły, była słaba. Pewnego wieczoru na karuzeli jak zwykle zajęła zewnętrzne miejsce, ale kiedy Phoebe i Barry przechylili się w jej stronę, przestała panować nad ciałem. Dwukrotnie huknęła głową o metalową belkę, aż rozległo się głośne, dźwięczne „dum”. Kiedy jazda dobiegła końca, Barry wysiadł bez kłopotu, a Faith nie mogła się ruszyć — oszołomiona, ścisnęła głowę dłońmi.

— Powiedzieć tatusiowi? — spytała Phoebe.

— Nie! — zawołała Faith, siadając gwałtownie. — Nie. — Po chwili znowu się uśmiechała, a ściślej wykrzywiła zmęczoną twarz w maniackim grymasie. Robiła to tak uparcie, jakby jednosekundowa przerwa w sprawianiu ojcu radości miała wpędzić go w jeszcze gorszą chorobę.

— Faith, co ty właściwie robisz codziennie w kościele? — spytała wieczorem Phoebe, kiedy już leżały w łóżku, a jej siostra rozcierała guza na głowie.

— Modłę się ze wszystkich sił — odpowiedziała Faith.

Wilk wrócił spod prysznic z mokrą głową i cokolwiek spokojniejszy. Zaczęli się zachowywać nienagannie, jak obcy ludzie dzielący przedział w pociągu. Phoebe także wzięła kąpiel. Szorowała się jak opętana, by doprowadzić ciało do absolutnej czystości. Zaczesała włosy gładko do tyłu.

Wyglądała dziecinnie i bardzo jej się to podobało. Włożyła białą, letnią sukienkę. Pokój wydawał się ciasny, kiedy znajdowali się w nim we dwoje.

Wyszli na ulicę. Wilk wziął Phoebe za rękę — nie tyle w czułym geście, co na pocieszenie, jak jej się wydawało.

Przystań otaczał ochronny wał z wielkich brył wapiennych. Przysiedli na jednym z gładów, by spojrzeć na miniaturowy port, przypominający raczej zatoczkę dla kolorowych, zabawkowych łodzi rybackich. Morze było ciemne i bezkresne, naznaczone już srebrnymi pasmami księżycowego blasku. Na pobliskim placu kilka par siedziało już przy kolacji. Przez chwilę dźwięczały naczynia i czyjś śmiech, a potem wszystko ucichło.

— W którą stronę? — spytała Phoebe.

Wilk wskazał ręką na lewo, ku masywnym klifom, o dwa odcienie ciemniejszym od wieczornego nieba.

— Będzie kilka mil do Corniglii — zauważył.

— Naprawdę można tam dojść?

— Tak mówią — odparł. — Zdaje się, że jest też lokalna linia kolejowa.

— Wolę iść. Podoba mi się ten pomysł.

— Jak sobie życzysz.

— Szkoda, że nie możemy pójść teraz — odezwała się Phoebe po chwili.

— Nie zobaczylibyśmy wiele. Co nie znaczy, że jest tam wiele do oglądania.

— Jesteś okropnie ponury — stwierdziła Phoebe. — Dobija mnie to.

Wilk spojrzał na nią z ukosa.

— Zabawne, że o tym wspominasz — powiedział. — Bo ja na przykład nie mogę zrozumieć twojego zachwyty.

— Nie jestem zachwycona.

— Jesteś! Zachowujesz się tak, jakby lada chwila miał się wydarzyć jakiś cholerny cud. — W jego głosie pobrzmiwała złość, ale na twarzy Phoebe dostrzegła coś innego: troskę. Zrozumiała, że Wilk się boi. — Jakbyś uważała, że bierzemy udział w zabawie, że za chwilę spotkamy tam

twoją siostrę — ciągnął. — To surrealistyczna postawa. Absolutnie surrealistyczna.

— Może nie powinieneś być jechać ze mną?

— Żartujesz? Im bardziej wariackie masz pomysły, tym bardziej się cieszę, że pojechałem.

Phoebe nie odpowiedziała. Wilk zdjął okulary i długo rozcierał oczy.

— To tylko miejsce — powiedział. — Wejdiesz tam jak gdyby nigdy nic i normalnie wrócisz.

— Więc czego tak się boisz? Wilk milczał przez chwilę.

— Boję się tego — odpowiedział cicho — co się stanie, gdy duch, którego ścigasz od dawna, po prostu rozplynie się bez śladu.

— Nie — odparła Phoebe. — Ty się boisz tam iść. Wilk skrzyżował ramiona na piersiach i zapatrzył się

w ciemną toń.

— Dlaczego? — spytała łagodnie. — Dlaczego, Wilku?

— Nie wiem.

Phoebe objęła mocno swego jedyne go sprzymierzeńca. Oparł głowę na jej ramieniu.

— Bardziej jednak chciałbym wiedzieć, dlaczego ty się nie boisz — powiedział.

Postanowili, że zjedzą kolację — bardziej przez wzgląd na tradycję niż z prawdziwego głodu. Siedząc przy stoliku z widokiem na morze, bez apetytu dłubali w porcjach kalmarów w gęstym, czerwonym sosie. Otaczały ich pary — młode, stare, pochylające się ku sobie nad kieliszkami z winem, podające sobie z rąk do rąk małe dzieci. Phoebe obserwowała mężczyznę, który leciutko uszczypnął swo-

ją partnerkę w policzek, przekazując jej papierosa. Kobieta śmiała się, rumiana i szczęśliwa, z białym kwiatkiem wetkniętym za ucho. Jesteśmy tacy jak oni, pomyślała Phoebe. Dotknęła ręki Wilka spoczywającej na stole, ale ten gest wydał jej się blefem. Muskając jego zimną dłoń, przypomniała sobie scenę z monachijskiego mieszkania, kiedy przez szparę obok kuchennych drzwi podglądała Carlę szukającą jego ramion, a potem Wilka wdychającego zapach włosów narzeczonej, gdy czytał gazetę ponad jej ramieniem. Z nagłą i dziwną obojętnością Phoebe pojęła, że Wilk nigdy nie będzie należał do niej tak, jak należał do Carli, i że oszłamiająca przyszłość, którą wyobrażała sobie u jego boku, jest po prostu niemożliwa.

Patrząc na Wilka w blasku świec, miała wielką ochotę powiedzieć to głośno. Jego wzrok spoczywał jednak niewzruszenie na dalekim miejscu, do którego mieli pójść następnego ranka. Może on już wie, pomyślała Phoebe. Może wiedział od początku? Może właśnie to tak bardzo go przeraziło? Nieważne. Istotna była odpowiedź na pytanie: dlaczego? Dlaczego, zastanawiała się Phoebe, dlaczego w całym jej życiu wszystko to, na czym najbardziej jej zależało, należało do innych ludzi?

Kiedy wrócili do wynajętego pokoju, Wilk niemal natychmiast położył się i zasnął, nie zdejmując nawet koszuli. Phoebe także zamknęła oczy i zaraz ogarnęła ją na nowo wysoka fala wspomnień. Ostatni wieczór ostatniej podróży z ojcem do Mirasol. Po raz pierwszy od początku wakacji Phoebe została z Barrym i Faith na plaży długo po zmroku. Leżeli na plecach, obserwując pierwsze, blade jeszcze gwiazdy budzące się do życia.

Kiedy ojciec stanął nad nimi, zerwali się na równe nogi.

— Spokojnie — powiedział, machnięciem ręki zbywając ich przeprosiny. — Po prostu miałem ochotę wyjść z domu. — Sprawiał wrażenie bardziej zmęczonego niż zwykle; miał ciężką głowę, jak wtedy, gdy trochę wypił. — Może się przepłyniemy? — zaproponował. — Co ty na to, Faith?

Milczeli wystraszeni.

— Nie wiem — odparła w końcu Faith. — Chyba nie, tato.

Stali razem w stygnącym piasku. Ojciec miał na sobie kąpielówki i starą koszulkę.

— Nie mogę stąd wyjechać, nie przepłynąwszy się chociaż raz — powiedział.

— Może jutro? — zaproponowała Faith. — Przed odjazdem.

— Nie... Jutro nie starczy mi energii.

Faith spojrzała na Barry'ego. Ojciec popatrzył w niebo.

— Pięknie dziś — powiedział. — Chryste, spójrzcie na te gwiazdy. Chcę pływać pod takim niebem.

Ku radości Phoebe przez moment znowu był taki jak dawniej, pełen wigoru i niecierpliwy. Zdjął koszulkę przez głowę i rzucił na piasek. Schudł ostatnio, ale wciąż był dobrze zbudowany, jak istota innego gatunku w porównaniu z przejrzałymi ojcami koleżanek Phoebe. Łata ciemnych włosów na jego piersi przypominała kształtem serce. Był kimś więcej niż ojcem — był mężczyzną, wąsatym, o silnych nogach i twardym, płaskim brzuchu, w który swego czasu z radością tłukli ze wszystkich sił, co nie robiło na nim najmniejszego wrażenia. Dawniej prezentował się imponująco, teraz był szczupły i twardy, jakby choroba wydestylowała esencję jego ciała.

— No, chodź — powiedział ze ściśniętym gardłem, wyciągając rękę w stronę Faith. — Proszę cię, kochanie. Chodź ze mną.

Była to dziwna chwila, bo choć stali we czworo ciasną grupką, ojciec zwracał się wyłącznie do Faith. Phoebe miała przez moment podobne do halucynacji wrażenie, że sama nie stoi wśród nich, że jest dalekim świadkiem prywatnej rozmowy między ojcem a jej siostrą.

Chwycił go ostry atak kaszlu, którego słuchali z bólem.

— Chodź — powtórzył. — Zrób to dla mnie. Faith zaczęła płakać.

Ojciec uśmiechnął się przebiegle.

— No, co? Boisz się? — podpuścił ją łagodnie. Faith bez słowa otarła dłonią oczy. — To dobrze — dodał. — Bo ja też się boję.

Chwycił głowę Faith obiema dłońmi i ucałował jej czubek. Phoebe zastanawiała się, czy wyczuł guza pod włosami starszej córki. Ojciec przyciągnął Faith do siebie, tuląc jej głowę do piersi jak cenną szkatułkę, którą ktoś próbował mu odebrać. Phoebe czuła, jak stojący obok niej Barry zastyga w absolutnym bezruchu. Faith szlochała z zamkniętymi oczami. Pierś ojca unosiła się szybko w rytmie płytkiego oddechu. Wreszcie puścił córkę i zaczął iść w stronę brzegu, niepewnie, jak starzec. Było coś okropnego w widoku jego smukłej, białej sylwetki zbliżającej się do ciemnego morza.

— Idź, Faith — szepnął żarliwie Barry. — Idź!

Faith drgnęła, jakby wyrwał ją ze snu. Bez słowa zostawiła rodzeństwo i poszła za ojcem, który dotarł już na brzeg i zatrzymał się, jakby wiedział, że córka dołączy do niego. Razem bardzo powoli weszli do wody. Tylko małe fale docierały na plażę, ale ojciec musiał zbierać

w sobie siły, by stawić im opór. Faith trzymała go za rękę. Phoebe ledwie ich widziała w półmroku. Poczowała wewnętrzne napięcie, jakby coś miało za chwilę w niej pęknąć. Gdy ojciec zanurzył się po pierś, powiedziała:

— Idę z nimi, Bear.

Barry nie odpowiedział. Phoebe wbiegła do ciepłej, jedwabistej wody. Faith i ojciec płynęli już blisko siebie; widziała jedynie ich głowy. Weszła głębiej, obserwując, jak ciemna woda wspina się po jej nogach. Gdy znowu zadarła głowę, zobaczyła, że Faith i ojciec są już daleko i płyną wzdłuż plaży. Było na tyle ciemno, że na pewno jej nie widzieli. Phoebe zastanawiała się, czy nie powinna ich zawołać. Wahala się długo, słuchając coraz cichszego plusku ich rąk i nóg. Pomyślała, że wskoczy dalej i spróbuje ich dogonić, ale patrząc na wodę, czarną i niezmierną, czuła się bezsilna i mała. Gdyby coś się stało, pomyślała, w żaden sposób nie zdążyliby jej uratować.

Niechętnie odwróciła się i wyszła na plażę. Jej brat siedział skulony na ręczniku. Przycupnęła obok niego i razem śledzili wzrokiem parę głów poruszającą się wolno przez mroczne odmęty. Po chwili było już zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Barry zakrztusił się i dopiero teraz Phoebe zdała sobie sprawę, że płakał.

— Bear — powiedziała. Zobaczyła mokre smugi na jego policzkach i już miała zapytać, co się stało, gdy nagle i z jej oczu popłynęły łzy. Zanosila się głośnym płaczem; nie rozumiała dlaczego, ale i nie umiała przestać. Siedząc samotnie na plaży, nie widziała nadziei ani dla siebie, ani dla Barry'ego.

— Wracajmy — odezwał się Barry. Phoebe skinęła głową i przez moment zamierzała zawołać ojca i Faith; powiedzieć im, że odchodzą. Było jednak zbyt ciemno i jej

rozmazane płaczem oczy prawie nic już nie widziały. — Phoebe, ich to nie obchodzi — szepnął Barry.

— Nie rozumiesz? Chodźmy już.

Wstali. Barry zostawił ręcznik na piasku i chwycił dłoń Phoebe. Idąc, zaczęła drzeć, jakby od łez zrobiło jej się zimno. Weszli na pomost i po chwili byli już na uliczce, wzdłuż której stały nieduże domy, każdy w innym kolorze. Przeszli płakać, zanim dotarli do domu dziadków. To, co zaszło na plaży, wydawało im się dziwne i dalekie. Matka rozkładała sztuce do kolacji. Nieposłuszne włosy wysunęły się jej spod spinki.

— Wszystko w porządku? — spytała.

— W najlepszym — odparł Barry.

Phoebe czekała na powrót ojca i siostry, wyglądając przez okno na piętrze. Nie trwało to długo. Szli wolno ulicą zalaną wyblakłym światłem, tylko ich mokre włosy lśniły. Wyglądali jak duchy, postacie ze snu. Phoebe miała wrażenie, że niosą w sobie jakąś tajemną wiedzę. Pomyślała, że ma to jakiś związek ze wspólnym pływaniem, że stałaby się częścią ich sekretu, gdyby poszła za nimi. Miała sześć lat. Nagle poczuła, że jest wściekła na Barry'ego za to, że zabrał ją z plaży, wściekła na wszystkich, że każą jej siedzieć w tym zwyczajnym, jasnym domu. Powinnam była popłynąć, pomyślała.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Rzeźbiona tablica wskazywała drogę do Corniglii. Phoebe i Wilk szli gęsiego wąską ścieżką wysoko nad brzegiem morza. Phoebe prowadziła. Ogarnęła ich ponura rezygnacja. Każde słowo, które wypowiedzieli poprzedniego wieczoru, wydawało im się teraz niedorzeczne, śmieszne.

Dróżka wiodła wokół małego półwyspu, a potem odbijała w głąb lądu, okrążając zatokę wciskającą się w górski masyw. Z obu jej stron w głąb morza sięgały skaliste cypłe. Ląd był odmieniony ludzką ręką — unosił się nad wodą jak ciąg olbrzymich schodów, z których każdy okryty był krzewami winnymi wspartymi na srebrzystych drutach. Phoebe szła niepewnie z obawy, że schodząc ze ścieżki, wpadnie w gęstą winorośl.

Poranna mgła rozeszła się i upał stawał się z każdą chwilą bardziej dokuczliwy. Phoebe i Wilk okrążyli zatokę i minęli drugi skalisty cypel, znowu zbliżając się do brzegu. Dziewczyna czuła, że jej serce zaczyna gubić rytm. Za następnym zakrętem spodziewała się zobaczyć Corniglię, ale gdy go minęli, ich oczom ukazała się tylko kolejna, większa zatoka, zamknięta jeszcze jednym cypłem.

— Cholera — mruknęła, oddychając szybko. Na bladej twarzy Wilka perlił się pot.

— Dobrze się czujesz? — spytała Phoebe.

— To tylko ta wysokość — odparł i zaśmiał się z cicha. Phoebe nie zrozumiała. — Jesteśmy na poziomie morza — wyjaśnił.

Rozpoczęli wędrówkę wokół drugiej zatoki. Zapach ciągnącej się wstęgami winnicy kojarzył się Phoebe z rdzą. Chciała iść szybciej, ale ścieżka była wąska; naprawdę trzeba było patrzeć pod nogi. Zbliżając się do kolejnego cypla, znowu poczuła, że krew uderza jej do głowy. To będzie to, pomyślała, z niecierpliwości niemal tracąc oddech. I tym razem jednak czekał ją zawód: jeszcze jedna zatoka, jeszcze jedno pasmo lądu wbite w morze.

— Jezu — stęknął Wilk. Oparł się ciężko o skałę, układając dłonie na ugiętych kolanach.

Phoebe oddychała głęboko, zaskoczona subtelnym wrażeniem ulgi, którą poczuła, gdy po raz kolejny jej oczom nie ukazała się Corniglia. Przycisnęła dłoń do czoła Wilka. Było chłodne i mokre.

— Może jesteś chory? — powiedziała. Wilk zamknął oczy.

— Twoja ręka... pomaga.

W świetle dnia morze było czystsze, zabarwione głębokim turkusem. Niebo sprawiało wrażenie płaskiego jak kafel. Phoebe wciąż trzymała dłoń na czole Wilka i przez moment wydawało się jej, że mogliby tak stać całą wieczność, smagani ciepłym wiatrem.

W końcu jednak ruszyli w dalszą drogę. Wiatr wzmógł się nieco i wśród przyjemnych powiewów zaczęły się pojawiać nitki chłodu. Czyste, słone powietrze kłuło Phoebe w oczy. Znowu okrążyli zatokę i raz jeszcze obeszlili cypel. Wtedy ją zobaczyli.

Corniglia leżała po drugiej stronie kolejnej zatoki, owinięta wokół skalistego brzegu jak kot leżący przy słupku balustrady ze zwieszonymi łapami i ogonem, gotów ześlizgnąć się w każdej chwili. Domy mieniły się różowo, biało i pomarańczowo.

Phoebe patrzyła, nie zważając na rażące światło. Myślała o soli, o San Francisco i jego wyblakłych, suchych kolorach.

— Myślisz, że to tu? — spytała Wilka, przestraszona myślą, że być może jednak nie.

— Tak — odparł krótko.

Phoebe uśmiechnęła się; nic nie mogła na to poradzić.

— Wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam. Znowu skierowali się w głąb lądu, okrążając zatokę.

Tym razem Wilk prowadził; poruszał się mechanicznie, nie spuszczać z oka coraz bliższej miejsciny. Huk wiatru w uszach Phoebe mieszał się ze stukotem kroków: jestem prawie na miejscu, jestem prawie na miejscu, jestem prawie na miejscu. Minęli stadko zakurzonych kurczaków i małą, brudną kozę na łańcuchu. Z pobliskiego pagórka schodził kot; jego śnieżnobiałe futerko falowało przy każdym kroku. Kiedy zbliżali się do zabudowań, dzwon wybił południe. Ścieżka zmieniła się w brukowaną ulicę i wprowadziła ich do serca Corniglii.

Wysokie domy ocieniały wąskie i strome uliczki, dając wędrowcom niemal piwniczny chłód. Było tłoczno, ale — w przeciwieństwie do Vernazzy — miejscowość wydawała się raczej pełna mieszkańców niż turystów. Kobiety siedziały przed sklepikami, otoczone stertami pomidorów i dyń, z daleka wyglądającymi jak obszerne spódnice. Piekarze układali na wystawach żółtawe bochenki. W górze trzepotały na słońcu świeżo wyprane koszule, przeście-

radła i damskie majtki, rozwieszane na sznurach między przeciwległymi domami, podobne do powitalnych transparentów.

Phoebe i Wilk skręcali w te uliczki, które prowadziły ich najostrzej pod górę, wspinając się coraz wyżej, jak po zboczu piramidy. Wreszcie dotarli do placu otoczonego drzewami, przy którym stał kościół. Po lewej piętrzyła się góra, po prawej widać było jedynie niebo. Przed kościołem przysiadły grupą kobiety odziane w czerń. Echo dzwonu wciąż jeszcze wisiało w powietrzu.

Phoebe zatrzymała się, nie bardzo wiedząc, dokąd iść. Nie widziała w pobliżu żadnego urwiska. Szara twarz Wilka nie wyrażała absolutnie niczego, jakby ukryty za nią umysł odłączył się od ciała i uciekł. Phoebe zauważyła drugi, mniejszy kościół. Stał na górcie, ale sprawiał wrażenie przygarbionego, jak gdyby znużyła go wiekowa walka z wiatrem. Phoebe wyciągnęła rękę w tamtą stronę, ale Wilk nie zareagował. Minęła go, ruszając w stronę świątyni.

Kościół był opuszczony; jego okna dawno temu zabito deskami. Małe podwórko przed frontonem zwróconym ku morzu było otoczone siatką z drutem kolczastym, w której trzepotały uwięzione papierki od cukierków. Z ziemi sterczały szczątki zdewastowanej fontanny. Phoebe pochyliła się nad nią, by się napić. O dziwo, z rury pociekła stróżka ciepłej wody. Wilk dogonił Phoebe i wziął ją za rękę.

Niski, betonowy murek oddzielał kościół i podwórko od morza — w zasadzie była to półka nie sięgająca wyżej niż do talii Phoebe. Tuż za nią widać było kępy suchego zielska pełne niedopałków, a potem już nic. Ziemia po prostu się kończyła. Daleko w dole widać było morze, w którym tonęły białe skały.

Patrzyli w przepaść. Phoebe rozejrzała się też na boki, porównując sąsiednie miejsca, jakby się bała, że stoi w niewłaściwym, nic nie znaczącym. Wiatr szarpał jej włosy. Żadne miejsce nie wydawało jej się lepsze.

— Myślę, że to tu — powiedziała.

Wilk skinął głową. Pod jego oczami zobaczyła ciemne półokręgi.

Delikatnie dotknęła ściany. Jej powierzchnia była spłowiała i szorstka. Podobnie jak elewacje wielu domów w Corniglii, zabarwiono ją bladym różem. Faith musiała stać na tym murku, pomyślała Phoebe. Jej stopy... cały ciężar ciała... spoczywały właśnie tu albo tuż obok moich rąk. Stopy Faith... Phoebe odwróciła się w stronę kościoła, wyobrażając sobie ślady stóp na placyku, który miała przed sobą. Wydawało jej się możliwe, a nawet prawdopodobne, że został tam, między kamykami i odłamkami szkła, jakiś ślad, jakiś mikroskopijny okruch upamiętniający obecność Faith. Wychyliła się ponad murkiem, by spojrzeć na niedopałki papierosów, ale Wilk chwycił ją za ramiona i pociągnął z powrotem.

— Nie tak blisko — powiedział.

— Puść mnie! — zawołała Phoebe, zirytowana jego mocnym uściskiem. Puścił niechętnie, ale nie odsunął się. Phoebe zignorowała go, próbując się skoncentrować. To jest to miejsce, myślała. Tutaj się to wydarzyło. Nagle poczuła w głowie jasność, która zdawała się unosić ją nad ziemię.

To było to. Coraz mocniej dzwoniło jej w uszach. To jest to.

Tak niewiarygodnie znaczące wydarzenie nie mogło nie pozostawić po sobie śladu. Skamieliny, myślała Phoebe, poruszające się płyty tektoniczne, wszystko zostawia po sobie ślad, bez względu na to, jak jest silne czy słabe i jak

głęboko zagrzebane w ziemi. Z mocno bijącym sercem rozejrzała się dokoła. Wydawało jej się, że dopiero teraz znalazła prawdziwy cel swoich poszukiwań: musiała odszukać trop, położyć dłoń na relikwie pamiętającym śmierć Faith. Tak, jakby ten czyn miał naprawić pomyłkę czasu, w której wyniku stała dokładnie w tym samym miejscu, z którego skoczyła jej siostra, i w żaden sposób nie mogła jej powstrzymać.

Znowu wychyliła się ponad murkiem. Wilk natychmiast chwycił ją za ramiona, ale tym razem pozwoliła mu na to. Patrzyła w dół, na morze, myśląc o nieskończonej liczbie uderzeń fal o białe skały i o tym, ilu młodych ludzi przychodziło tu wieczorem, żeby zapalić, a potem rzucić niedopałek w krzaki — widać było, że to jedno z takich miejsc — i nagle poczuła się obrażona. Sponiewierano nieliczne ślady, które mogły tu pozostać. Było to więcej niż niewłaściwe, było to wprost niepojęte. Prawdziwe miejsce śmierci Faith obroniłoby się przed taką zniewagą. Coś tu nie pasuje, pomyślała Phoebe. Pewność, którą miała jeszcze przed chwilą, zaczęła się rozmywać. Spojrzała na niebo, uderzająco puste, jak cisza po głośnym hałasie.

— To chyba jednak nie tu — powiedziała. -Nie?

Phoebe pokręciła głową. Znowu narastało w niej napięcie, gniew zmieszany z niecierpliwością. Czekala tyle lat i to miało być wszystko? To? Po takich przejściach?

— Nie — powiedziała. — Musiałam się pomylić.

— Minutę temu byłaś pewna.

— Mam przeczucie, że coś jest nie tak — odparła. Spękany beton, kurz. Musiała stąd uciec.

— To miasto nie jest zbyt duże.

— A skąd wiemy, że zginęła właśnie tu? Może to było

gdzieś indziej? Jadąc pociągiem, widzieliśmy mnóstwo miejscowości.

— Phoebe, znaleziono ją tutaj.

— Ja nigdy nie widziałam raportu na ten temat, a ty? Widziałeś, co tam napisali? Ja nie miałam okazji. Wilk odetchnął głęboko.

— Nie możesz nagle zacząć kwestionować wszystkich faktów.

— Uwierz mi — odpowiedziała, siląc się na spokój. — Gdyby to było właściwe miejsce, wiedziałabym o tym.

— Ale skąd? Byłaś małą dziewczynką, mieszkałaś tysiące mil stąd. Daj spokój, Phoebe! Posłuchaj siebie. — Mówił błagalnym tonem.

Chce stąd wreszcie odejść, pomyślała Phoebe, tylko o to mu chodzi.

— Wiedzialabym — powtórzyła — ponieważ czułabym się zupełnie inaczej.

Wilk wyglądał tak, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Po chwili skrzyżował ramiona na piersiach.

— W porządku.

Phoebe rozejrzała się. Napięcie powoli ustępowało. To nie było to miejsce. Trafili nie tam, gdzie chcieli; trafili donikąd. Na południe od Corniglii dostrzegła inne urwisko, jeszcze wyższe i sięgające dalej w morze.

— Może to tam? — zasugerowała, wskazując palcem. — Założę się, że tak.

Wilk stanął między nią a murem. Oparł się o beton, chwycił dłonie Phoebe i spojrzał jej prosto w oczy.

— Możesz spędzić resztę życia, jeżdżąc po tym wybrzeżu — powiedział. — Wreszcie stwierdzisz, że to nie było we Włoszech, tylko może w Hiszpanii. Phoebe, to się musi skończyć. Gdzieś po prostu musi.

— I skończy się — odparła.

Wilk wyprostował się. Zdecydowanie chciał coś powiedzieć, coś wprost wyzierało z jego oczu.

— Posłuchaj — odezwał się po chwili. — To jest to miasto. To jest to miejsce. Przysięgam, przysięgam... Phoebe, słyszysz mnie? Przysięgam, że to tu.

Ścisnął jej ręce coraz mocniej, zbliżając twarz do twarzy tak bardzo, że na moment zaćmiła i klif, i rozciągające się za nim morze. Phoebe zaczęła protestować, ale zaraz umilkła. Powstrzymał ją wyraz twarzy Wilka. Coś w niej opadło, odsłaniając straszliwą wiedzę, którą dostrzegła niekiedy ukradkiem, ale nigdy wprost. Jego usta były niemal białe. Jęknęła cicho i cofnęła się o krok.

Wilk puścił jej ręce. Jego determinacja ustąpiła, zostało tylko chore, pytające spojrzenie. Phoebe zasłoniła oczy i przez chwilę oddychała wprost w gorące dłonie.

— Byłeś tu — powiedziała miękko.

Własne słowa sprawiły, że pewność spadła na nią nagle i brutalnie, twarda jak ziemia. Poczuli się pogrzebana przez prawdę. Pobiegnęła w stronę kościółka i szarpnęła drzwi, ale nie ustąpiły. Spojrzała na Wilka, który obserwował ją dziwnie daleki, jakby jego umysł wyłączył się lub uciekł, bo nie wytrzymał napięcia.

Wolno zbliżyła się do niego. Teraz dopiero zobaczyła w nim obraz zniszczeń — tak, jak widzi się pod wodą stłuczone szkło, pod warunkiem że wiadomo, gdzie go szukać. Wilk odwrócił się gwałtownie, wychylił ponad murkiem i zwymiotował. Phoebe znowu uciekła. Opadła na ziemię przy ścianie kościoła, nie odrywając wzroku od szarpanych konwulsjami pleców mężczyzny. Kiedy skończył, wyprostował się wolno i wytarł usta rękawem. Patrzył na morze. Phoebe spoglądała na niego, dzwoniąc



zębami. Wilk podszedł do fontanny, wziął spory łyk wody, spryskał nią twarz i włosy, potem znowu twarz.

Wreszcie zbliżył się do Phoebe i usiadł na ziemi obok niej. Woda kapiała z jego włosów; pachniał morską bryzą. Nie odzywali się. Pozwalali, by drobny pył niesiony wiatrem zderzał się z ich twarzami. Opierając się plecami o ścianę, Phoebe nie widziała morza, lecz jedynie niebo.

— Wczoraj wieczorem zacząłem myśleć, że już wiesz. — Wilk mówił tak, jakby brakowało mu tchu.  
-- Albo że się domyślasz.

Phoebe spojrzała na niego. To, co zaszło, było gigantyczną przepaścią między nimi. Wydawało się, że przepaścią nie do przebycia.

— Mów, proszę — szepnęła. — Proszę.

Wilk zgarbił się nad ugiętymi kolanami i oparł głowę o nadgarstki. Sprawiał wrażenie zbyt zmęczonego, by ją podnieść.

— Widziałem ją — odpowiedział. — Widziałem ją i pozwoliłem, żeby to się stało. Dasz wiarę? — Spojrzał w niebo, a potem na Phoebe. Na jego twarzy mieszały się smutek i niedowierzanie, jakby jakąś cząstką siebie wciąż jeszcze nie wierzył, że to, o czym opowiada, może być prawdą. — Widziałem ją. Patrzyłem na to.

— Zaraz... zaczekaj — wtrąciła Phoebe, dezorientowana. — Ona... Czy to, co mówiłeś mi wcześniej, to prawda?

— To, co...

— No, wiesz — o Frakcji Czerwonej Armii. O napadach na banki.

— Tak — odparł Wilk. — To wszystko prawda. Phoebe poczuła ulgę. Chciała, żeby to była prawda.

— I przyjechała do Monachium, tak jak opowiadałeś?

-Tak.

Phoebe czekała, aż Wilk podejmie opowieść.

— A potem zniknęła? — spytała lękliwie. Wilk uniósł głowę.

— W Berlinie wydarzyło się coś, o czym ci nie mówiłem — odrzekł bardzo powoli. — Coś złego.

Phoebe przez chwilę chłonęła jego słowa.

— Ktoś ucierpiał — powiedziała instynktownie. Sekundę później wyczuła coś jeszcze. — Ktoś zginął?

Wilk tylko na nią spojrzał.

— Kto? Ktoś z grupy, która napadła na bank?

— Nie, później — odparł Wilk. — Po tym, jak terroryści zostawili Faith. Były tam i inne grupy, więc dołączyła do jednej z nich, do Ruchu Drugiego Czerwca.

— A potem...

— Chcieli podłożyć bombę — ciągnął Wilk. - W budynku sądu. Faith zaproponowała, że wniesie ją w koszyku piknikowym. Zrobiła to. Zostawiła ładunek w piwnicy, w koszu na śmieci. Ekspłodował w środku nocy. Nikogo miało nie być w pobliżu... ale ktoś jednak był. Woźny.

— Zginął?

— Tak. Liczne urazy głowy.

Phoebe potrząsnęła głową. Była przerażona — nie tyle samą śmiercią człowieka, która wydawała jej się absolutnie abstrakcyjnym zjawiskiem, ile straszliwą presją ciężaru odpowiedzialności, który spadł zapewne na jej siostrę.

— Faith musiała szaleć... — szepnęła.

— Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo — przytaknął Wilk. — W gazetach pisali ze szczegółami o życiu tego gościa: że miał trzydzieści dwa lata, czworo dzieci, że pracował po nocach i studiował zaocznie. Dostali świra na punkcie tej historii. Trąbili, że pracujący człowiek został zamordo-

wany przez tych, którzy rzekomo bronili jego interesów — przez smarkaczy-anarchistów.

— Ale że Faith...? — jęknęła Phoebe. — Podłożyła... Nie. Wilk, to niemożliwe. Wykluczone.

— Sądzę, że wtedy jeszcze nie uświadamiała sobie niebezpieczeństwa. Wiedziała tylko tyle, że została porzucona przez Frakcję Czerwonej Armii. Wydawało jej się, że gdyby była odważniejsza, gdyby się sprawdziła.... W takim stanie umysłu była zdolna do wszystkiego. Raz już podjęła drastyczny krok, przyłączając się do Ruchu. Postawiła wszystko na jedną kartę, bo uważała, że to słuszna sprawa. Zdaje się, że według niej nie było już odwrotu.

Phoebe poczuła nieznaczną ulgę. Nie była już kompletnie zdezorientowana; znowu umiała umiejscowić osobę, którą dobrze знаła, jedyną siostrę, w dramatycznych wydarzeniach. Zaczynała rozumieć jej motywy. Wilk również sprawiał wrażenie spokojniejszego.

— Myślisz pewnie, że wyjechała z Berlina, gdy tylko dowiedziała się o śmierci woźnego, ale wcale tak nie było — ciągnął, tym razem wyrzucając z siebie słowa w coraz szybszym tempie. — Została jeszcze tydzień. Poszła na pogrzeb, dowiedziała się wszystkiego o ofierze zamachu, znała imiona dzieci, markę samochodu... Pojechała nawet na przedmieścia i odszukała jego dom. Stała po drugiej stronie ulicy przez całe popołudnie, patrząc, jak ludzie znoszą wdowie jedzenie. Widziała, jak starsze dzieci wracały ze szkoły. Niewiarygodne, że jej wtedy nie złapali, a przynajmniej nie przesłuchali. Gliniarze pomyśleli pewnie, że chorobliwie ciekawska Amerykanka może być co najwyżej turystką.

Faith dotarła do Monachium w stanie ograniczonej poczytalności, bliskim panice.

— Zabiłam człowieka — powtarzała co pewien czas i zamierała, wpatrując się w swoje dłonie albo w ścianę, gdy świadomość ponurej prawdy znowu wracała do niej rykoszetem.

Miewała napady niekontrolowanej drżączki; nie mogła wtedy ani chodzić, ani siedzieć. Zwijała się w kłębek i z zamkniętymi oczami czekała, aż atak minie.

— Zabiłam człowieka — mówiła, szcękając zębami. — Boże, pomóż mi.

Wilk brał ją w ramiona, próbując zmusić, by patrzyła mu w oczy.

— Hej, nie rozmawiajmy o zabijaniu, dobrze? — mówił. — Nikt nikogo nie zabił. To był wypadek, prawda?

Ale Faith nie słuchała. Nie otwierała nawet oczu.

— Jestem chora — odpowiadała. — Bardzo chora. Była chuda jak patyk. Jej skóra nabrała białobłękitnego

odcienia. Całymi dniami siedziała samotnie, roztrząsając w duchu to, co zrobiła, jak gdyby odpowiedź mogła powstać w jej głowie od wystarczająco intensywnego myślenia. Odpowiedź jednak zawsze brzmiała tak samo:

— Zabiłam go. Tak, jakbym przyłożyła lufę do jego głowy.

— Przestań — błagał Wilk. — Gdyby cię tam nie było, sprawy potoczyłyby się tak samo. Uwierz mi, Faith. Facet i tak by zginął.

- Ale ja tam byłam. Zrobiłam to własnoręcznie. Mogłam wykopać dziurę i zagrzebać gdzieś tę bombę albo wyrzucić do rzeki, a wtedy ten człowiek nie musiałby zginąć...

— Gdybyś wiedziała, że w ten sposób go uratujesz -perswadował łagodnie Wilk — na pewno byś to zrobiła.

— Myślałam, że właśnie to robię — odpowiadała przez

łzy. — Byłam tego pewna. Chciałam ratować takich jak on. O to właśnie chodziło.

Wilk błagał ją, żeby wróciła z nim do San Francisco. Potrzebowała pomocy, długotrwałej terapii... Do diabła, sam nie wiedział, czego tak naprawdę potrzebowała najbardziej. Cokolwiek jednak to było, na pewno nie dostawała tego, siedząc samotnie w jego mieszkaniu, kiedy pracował w fabryce butów. Zamierzał zadzwonić do jej matki i wyłożyć kawę na ławę, ale Faith zmusiła go do przysięgi, że nigdy nie powie nikomu ani słowa o tym, co zrobiła.

- Nikomu - zastrzegła. - Jedno słowo i już mnie nie będzie.

Mówiła poważnie. A właśnie tego Wilk obawiał się najbardziej: że ucieknie i przepadnie bez śladu. Dopóki była przy nim, była bezpieczna. Umiał zapewnić jej opiekę. Ale co by się stało, gdyby uciekła? Więc nie zadzwonił. Sugestie skorzystania z profesjonalnej pomocy Faith odrzucała z pogardą.

- Pomóc mi? W czym? - pytała. Morderstwo jest grzechem śmiertelnym; była pewna, że nie pomoże jej nikt prócz Boga.

- Więc niech to zrobi! - wykrzyknął Wilk, kiedy zawiodły wszelkie ziemskie argumenty.

- Najpierw mnie ukarze — odparła Faith. — I mam nadzieję, że zrobi to wkrótce.

Czekała. Dzień po dniu siedziała i czekała na początek boskiej kary. Nie rozumiała, dlaczego trwa to tak długo, aż wreszcie doszła do wniosku, że samo czekanie musi być częścią kary. Jednak i brak działania sprawiał jej ból. Zawsze była impulsywna, gotowa do czynu, ale teraz zdradziły ją własne czyny. Męczyło ją to, lecz bała się wykonać jakikolwiek ruch.

— Prawie nie wychodziła z mieszkania — ciągnął Wilk. — Gdy tylko znalazła się na ulicy, zaraz zaczynała myśleć, że zostawiła włączony piecyk albo otwarte okno i że stanie się coś strasznego. Czuła, że jest przeklęta, że stanowi zagrożenie dla innych ludzi. Czasem wsiadaliśmy do autobusu i nagle okazywało się, że Faith nie może znaleźć portmonetki. Patrzyła na mnie ze łzami w oczach, w panice przetrząsając kieszenie. Wszyscy czekali, a potem nagle się okazywało, że pieniądze są tam, gdzie powinny być... — Wilk pokręcił głową. — Wciąż wywlekała jakieś drobne sprawki z przeszłości. Opowiadała mi, jak wepchnęła chłopaka do rzeki i rozciął sobie głowę albo jak wpadła na mamę trójkołowcem — no, rowerkiem, na miłość boską — drąc jej pończochę i skórę przy okazji. Całe życie wyobrażała sobie jako pasmo nieszczęść, które za jej sprawą spadały na niewinnych ludzi. Często budziła się w środku nocy i leżała nieruchomo, zmartwiała ze strachu.

— Nie wiem, co robić, ale muszę zacząć działać — mówiła, gapiąc się w sufit. Wilk pochylał się nad nią i kładł dłoń na piersi, jakby chciał uspokoić skołatane serce. — Muszę coś zrobić.

Odpowiadał jej, że to zły pomysł. Nie miała nic do zrobienia; musiała tylko nauczyć się żyć z tym, co już zrobiła.

— Posłuchaj, tragedie się zdarzają — mówił. — A ludzie jakoś z tym żyją. Tak to jest, Faith. Takie jest życie.

— Miał czworo dzieci — odpowiadała Faith. — Najmłodsze ma dopiero trzy latka.

— Właśnie o tym mówię! — wykrzyknął, dostrzegając szansę. — Ty też przeżyłaś coś takiego. Straciłaś ojca i proszę, jakoś przetrwałaś.

Niemal natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd.

— Jasne — odparła gorzko Faith. — I spójrz, na kogo wyrosłam.

W relacji Wilka były długie przerwy, ale Phoebe tylko czekała. Nie czuła już pośpiechu, teraz bowiem już wiedziała: brakujący kawałek układanki spoczywał w jej rękach. Nieomalże bała się końca tej historii; nie wiedziała, co zrobi, kiedy Wilk umilknie na dobre.

Zgodnie z jego przewidywaniami, Faith uspokoiła się z czasem. Nawet do napadów paniki i rozpaczki można przywyknąć. Zaczęła zawierać nowe znajomości i częściej wychodzić z domu. Czasem wydawało się, że jest taka jak dawniej, ale Wilk widział różnicę: przestało jej zależeć. Nadzieja granicząca z przekonaniem o niemal ewangelicznej misji do spełnienia, która popychała ją do najbardziej szalonych kroków, zniknęła. Faith pojechała raz z amerykańskimi żołnierzami stacjonującymi pod Monachium, żeby poskakać ze spadochronem, ale i to doświadczenie nie zmieniło jej chłodu.

— Pragnienie obcowania z zagrożeniem budziło się w niej powoli — wspominał Wilk. — Tyle że stało się ono celem samym w sobie. Sposobem na zabicie czasu. Bałem się o nią jak jasna cholera. Któregoś dnia Faith spotkała grupkę smarkaczy wybierających się furgonetką na południe Europy. Kiedy Wilk wrócił z pracy, wspomniała mu, że chętnie przyłączyłaby się do nich. Odpowiedział, że nie ma nic przeciwko temu i że sam też pojedzie. Nie spodobał jej się ten pomysł.

— Myślę, że ich nie polubisz — powiedziała. - A ty?

— ja też nie.

— Więc dlaczego chcesz jechać? Faith wbiła wzrok w swoje dłonie.

— Może powinieneś wrócić do domu? — zaproponowała lekliwie. — Do San Francisco.

— A co, do ciężkiej cholery, jedno ma wspólnego z drugim?

— Powinniśmy się rozstać.

— Dlaczego?

— Dlatego że ciągnę cię za sobą w dół. Widzę to — odpowiedziała. — Powinieneś mnie zostawić.

Wilk zamknął ją w ramionach. Faith zaczęła szlochać.

— Kochanie — szepnął. — Kochanie, to się musi skończyć. Musisz pozwolić, żeby się skończyło.

Faith powiedziała coś, wtulając twarz w jego koszulę.

— Co? — spytał, odsuwając ją od siebie, by lepiej słyszeć. Miała zamknięte oczy i drżała. —

Kochanie, co powiedziałaś?

— Zabiłam człowieka — wyszeptała Faith.

Wilk porzucił pracę w fabryce i razem z Faith zabrał się furgonetką z grupą małolatów.

— Nie byli zbyt ciekawym towarzystwem — wspominał — ale za to dość zdesperowanym i to ich jakoś pchało do działania. Czasem jednak zastanawiałem się, czy nie jestem jedynym żywym człowiekiem w tej grupie.

Oficjalnym celem podróży był koncert Jethro Tuli w Rzymie, ale tak naprawdę chodziło o zabijanie czasu z prędkością stu kilometrów na godzinę. Pasażerowie telepalili się po miękko wyścielonym wnętrzu furgonetki, raz po raz witając i żegnając autostopowiczów. W słoiku po dzemie trzymali LSD w płynnej postaci. Zgubili gdzieś



kropłomierz, więc po prostu maczali palce i zlizywali narkotyki. Oprócz Faith jechała z nimi jeszcze jedna dziewczyna, szesnastoletnia Włoszka, która regularnie brała amfetaminy i szybko kończyły się jej pieniądze. Zanim dojechali do Rzymu, spędzała już większość czasu na błaganiu ludzi o działkę. Pewnego razu w radosnym podnieceniu upuściła podarowany jej wacik. Upadł na brudny, biały pled. Szukała go w panice przez dwadzieścia minut, zanim Wilk zlitował się i dał jej pieniądze na działkę. Przez kolejne dwa dni patrzyła na niego pięknymi, zniszczonymi oczami, powtarzając: „Proszę cię, skarbie. Więcej nie będę, ale teraz proszę...”

- Faith wciąż próbowała mnie wygonić - mówił Wilk. - Wstydziła się, że zadaje się z taką zbieraniną, że upadła tak nisko. Ale ja byłem pewny, że jeśli odejdę, zapomni o wstydzie i zetraci się w tym wszystkim tak jak oni.

Kiedy opuścili Rzym, Wilk wziął na siebie prowadzenie wozu. Dzięki temu nie musiał już się martwić o najgorsze: że podróż zakończy się na przydrożnym drzewie. Poza tym miał kontrolę nad tym, ilu autostopowiczów przyjmowali na pokład. Kombinował tak, by Faith jak najczęściej siadała z przodu, obok niego. Kiedy mu się to nie udawało, jechał niespokojnie, wciąż spoglądając w lusterko wsteczne. Często spała z głową na jego kolanach, ale był to sen nerwowy, podszyty strachem. Cieszył się jednak, że przynajmniej jest blisko; mógł położyć dłoń na jej czole albo masować ramiona, szepcząc jej do ucha, że los się wreszcie odwrócił, że już będzie dobrze. Czy tego nie czuła? Miał nadzieję, że dociera chociaż do jej podświadomości i że wzbudzi w niej wiarę.

Dopiero kiedy dojechali na wybrzeże, zaszła w niej zdumiewająca zmiana: Faith zobaczyła skrawek morza i na-

tychmiast wyprężyla się jak struna. Wpatrywała się w błękitną wodę jak zahipnotyzowana; od tygodni nic jej tak nie interesowało, wyjąwszy przerażającą zbrodnię, której się dopuściła.

— To było niesamowite — powiedział Wilk, spoglądając na Phoebe. — Ocknęła się nagle, jakby przypomniała sobie coś, co rzuciło zupełnie nowe światło na jej sytuację. Czekałem, aż zgaśnie w niej ta iskra, ale nic takiego nie zaszło. Faith była skoncentrowana i z każdym kilometrem wybrzeża odradzała się coraz wyraźniej — opadały z niej smutek, znużenie i wszystkie inne zmory...

W końcu musieliśmy na dłużej skręcić w głąb lądu, bo góry zagroziły nam drogę. Myślałem w panice: Niech to szlag, Faith lada chwila wróci do poprzedniego stanu, ale się myliłem. Była w świetnej formie. Wreszcie przejechaliśmy wszystkie te cholerne tunele i dotarliśmy do Mana-rolu — sąsiedniego miasteczka, na południe od Corniglii. Powiedziałem: Wsiadka, ludzie, tutaj się zatrzymujemy. Przeleżeliśmy całą noc na plaży, na tej fantastycznej plaży pełnej białych skał i wielkich muszli. Księżycowy krajobraz, mówię ci. Usiedliśmy z Faith na wielkim głazie i patrzyliśmy, jak fale rozbijają się dokoła nas. Była spokojna. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak opanowanej. Zupełnie jakby dotarła na nowy, wyższy poziom; w to przynajmniej chciałem wtedy wierzyć. Bardzo długo czekałem na choćby najmniejszy promień nadziei.

Kiedy tak siedzieli, spoglądając na rozkołysane morze, Wilk po raz pierwszy zrozumiał, jakie życie chciałby prowadzić z Faith. Możliwe, że nie dane im było wzlecieć do nieba tak, jak mu się kiedyś zdawało; możliwe, że prawdziwym życiem było robienie tego, co robili jego rodzice: płacenie czynszu, czytanie gazety... Może to była praw-

dziwa sztuka? Życ normalnie, dzień za dniem. Po prostu żyć. Ta myśl wydała mu się objawieniem. Oczyszczili skrawek plaży z kamieni i muszli, by rozłożyć niebieski śpiwór na skrzącym się, drobnym piasku. Wilk budził się kilka razy i zawsze widział Faith w spokoju spoglądającą na gwiazdy. Jaka to musi być ulga, pomyślał, nie czuć już takiej paniki.

Następnego ranka zabrali z Faith plecaki i ruszyli w stronę Corniglii. Reszta szybko została w tyle. Tylko Wilk i Faith czuli się cudownie lekcy, jak bąbelki powietrza płynące ku powierzchni wody. Niespiesznie przemierzyli ulice miasteczka. Faith nie żałowała pieniędzy na lunch dla wszystkich: kupiła figi, mortadelę i duże puszki z tuńczykiem. W Rzymie spieniżyła ostatnie czeki podróżne, ale jakoś jej to nie martwiło.

— Dlaczego nie? — powiedziała, uśmiechając się jak za dawnych czasów, gdy wypuszczali pierze z poduszek na szczycie wieży Eiffla.

Ustawili torby z jedzeniem w cieniu przy małym kościółku i usiedli na murku nad przepaścią, żeby poczekać na pozostałych.

Wilk uściskał jej rękę.

— Lepiej się czujesz, prawda? — spytał. -Tak.

— Jak to się stało?

— Tak po prostu — odparła. — Wiedziała i już. Wilk chciał się dowiedzieć, co właściwie wiedziała, ale

bał się, że pytając, złamie zaklęcie i dobry czar pryśnie. W milczeniu spoglądali na morze.

— Piękno jest blisko Boga — odezwała się w końcu Faith. - To dlatego piękne rzeczy są takie niebezpieczne.

— Bóg też jest niebezpieczny?

— Tak- odparła po chwili namysłu.

— Zawsze Go o to podejrzewałem. — Wilk oddałby wszystko, żeby usłyszeć jej śmiech.

— Bóg jest końcem — ciągnęła Faith. — Nie ma nic więcej. — Odwróciła się w stronę Wilka ze szczerym zdziwieniem w oczach. — Czego właściwie szukaliśmy przez cały ten czas?

— Bóg jeden wie.

Teraz dopiero się roześmiała.

— Właśnie — przytaknęła. — Tylko On.

W tym momencie na podwórku przed kościołem pojawili się pozostali. Wilk żałował trochę, że zjedzą cały zapas na jedno posiedzenie, ale odszedł z Faith od muru i razem zasiedli do posiłku.

— Gdzie? — spytała Phoebe. — Tutaj? Tu, guzie teraz jesteśmy? — Wydawało jej się to niemożliwe.

— Dokładnie tu, przy kościele.

— Jak wtedy wyglądał?

— Bo ja wiem? — odparł Wilk. — Pamiętam, że był większy. Może wyższy. Murek też.

Zaspokoiwszy głód, Wilk oparł się plecami o ścianę i zasnął. Obudziło go jakieś poruszenie. Otworzył oczy i zobaczył Faith stojącą na murku, plecami do niego.

— Złaż stamtąd, do cholery! - krzyknął, zrywając się na równe nogi,

Faith drgnęła, przestraszona jego głosem, a potem od-

wróciła się wolno, popychana tak silnymi podmuchami wiatru, że Wilk dziwił się, iż jeszcze nie spadła.

— Przestań — powiedziała spokojnie.

Zamiast ściągnąć ją na dół, jak pierwotnie zamierzał, Wilk chwycił tylko dłoń Faith. Była ciepła.

— Zastanawiam się tylko — dodała. — Pozwól mi pomyśleć.

— Możesz myśleć tu, na dole.

— Nie mogę - odparła. W jej głosie był tak głęboki spokój, że Wilk zaczął się zastanawiać, czy to nie on zachowuje się dziwnie.

Wciąż trzymał jej rękę, podniesiony na duchu mocą jej uścisku.

— Puść - poprosiła.

— Nie mogę.

— Możesz. Zaufaj mi tym razem. Wszystko będzie dobrze.

Wilk uparcie zaciskał palce na jej dłoni. Pragnął czuć emanującą z niej siłę. Faith górowała nad nim w swych łopoczących na wietrze, porwanych dzinsach i koronkowej bluzce, podobna do rzeźbionej, mitycznej istoty zdobiącej dziób okrętu. Czuł się przy niej mały i zmęczony światem, który kiedyś należał do nich. Faith spojrzała na daleki horyzont, a potem na Wilka.

— Teraz — powiedziała. — Puść mnie na minutę. Wilk puścił i cofnął się. Pozostali nie ruszyli się spod

ściany kościółka i szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w Faith. Scena sprawiała wrażenie nierealnej. Wilk był przerażony, ale i zafascynowany, bezradny wobec czegoś, co go przerastało.

Wycofał się aż pod ścianę i oparł się o nią. Faith wciąż stała na murku. Była odważna. Pewnego dnia będziemy umierać ze śmiechu, wspominając tę chwilę, powiedział sobie w duchu Wilk. Będę umierał ze

śmiechu, że teraz umieram ze strachu. Sięgnął myślą w przyszłość, szukając pocieszenia w tych słodkich chwilach, które jeszcze nie nadeszły. Faith osłoniła oczy przed słońcem. Wilk miał ochotę zakraść się cichcem i stanąć za nią; wiatr był na tyle głośny, że nie usłyszałyby kroków. Mógłby ściągnąć ją na dół... Porzucił ten zamiar. Wydawało mu się, że byłby to płaski gest, niegodny wizji Faith stojącej na murze twarzą w twarz z otwartym morzem i otwartym niebem, niegodny czystości i szlachetności tego obrazu. Jeżeli pozwolę jej tam postać, pomyślał Wilk, za chwilę skończy się całe to szaleństwo.

— Znowu na mnie spojrziała — powiedział. — Zobaczyłem jej twarz i już wiedziałem. Skoczyłem w jej stronę... — Ale zanim zdążył ją złapać, Faith rozłożyła ramiona i rzuciła się w dół, ku morzu. Wilk głośno przełknął ślinę. Phoebe zastanawiała się, czy znowu ogarniają go mdłości. Sama nie czuła się dobrze.

— Skoczyła — dodał po długiej przerwie. — Bez żadnego dźwięku, bez krzyku. Sterczeliśmy tam w oszołomieniu — przecież zdarzyło się coś, co nie mieściło nam się w głowach — i nagle pomyślałem: Jezu Chryste, to jakiś pieprzony żart, za murem na pewno jest półka, której wcześniej nie zauważyłem. Podbiegłem tam, wyciągając ręce po Faith, ale kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem tylko sylwetkę na dalekich skałach i zacząłem wrzeszczeć...

Wilk umilkł.

— Co było dalej? — spytała Phoebe. Miała wrażenie, że głos wydobywa się z głębi jej piersi, nie z ust.

— Ludzie poszli w rozsypkę. Po dziesięciu minutach nie było nikogo. Ja tymczasem...

Słowa znowu uwięzły mu w krtani. Nie płakał, chociaż

jego oczy były mokre. Wywlekanie z siebie tej historii szybko wyczerpywało jego siły.

— Pobiegłem do miasta, wrzeszcząc jak opętany. Miejscowi dość szybko zrozumieli, że widziałem dziewczynę skaczącą z urwiska. Miałem wtedy krótkie włosy, bo pracowałem w fabryce, więc chyba nie wyglądałem na skończonego maniaka. Paru facetów zaraz rzuciło się w stronę nieco łagodniejszego stoku. Wiedzieli, co robią — miałem wrażenie, że nie pierwszy raz ktoś zakończył życie na tych skałach. Pobiegłem za nimi, myśląc przez cały czas: Może przeżyła; Boże, spraw, żeby przeżyła, ale... Kiedy pierwszy z nich stanął nad nią... kiedy zobaczyłem, jak się pochylają... po prostu wiedziałem. Mimo to dotarłem tam, na poły biegnąc, na poły płynąc, i wtedy wiedziałem już wszystko.

— Jak? — szepnęła Phoebe.

— Jej kark... — Wilk mówił z wielkim trudem. — Coś się z nim stało. Położyłem dłoń na jej piersi...

— Zaczął płakać, z wysiłkiem i niewprawnie. — Nie pamiętam — dodał po chwili. — Nie mogę o tym mówić.

Tymczasem w miasteczku rozpętało się piekło. Ludzie pędzili ku kamienistej plaży, jedni szlochając, inni w dzikim podnieceniu, jakby przeżywali wakacyjną przygodę. Wilk stał skostniały w wodzie sięgającej mu do piersi. Dopiero teraz dotarło do niego, że to jego wina, że mógł powstrzymać Faith. Wyobraził sobie Gail, Barry'ego i Phoebe, jak patrzy im w oczy i tłumaczy, co zaszło... Nie. Jego wyobraźnia odwróciła się od tej myśli; to nie było możliwe, zniósłby wszystko, ale nie spotkanie z nimi. Nie wyobrażał sobie, by mogli się dowiedzieć o jego roli. W końcu ostatnim, szalonym wysiłkiem popędził na miejsce, w którym zostawili

bagażę. Upewnił się, czy wszystkie rzeczy Faith — jej plecak i paszport — leżą nadal pod ścianą kościoła. Potem uciekł z powrotem tam, skąd przywędrowali, do Manaroli. Stał na peronie, dysząc z wysiłku, i zaczął się zastanawiać. Co ja wyrabiam, do wszystkich diabłów? Nic już nie wydawało się realne. Faith nie żyła, a on uciekał... do czego? Czuł się tak, jakby jego głowa miała zaraz eksplodować. Podejrzywał, że straci rozum, odleci i nie wróci, ale w tym momencie otrzeźwił go gwizd pociągu wyłaniającego się z górskiego tunelu. Wydawało mu się, że Faith pojawiła się przed nim, tak wyraźna, tak niepodobna do wygiętego ciała, które spoczęło na białych skałach. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Zwariowałeś, Wilku? Wsiadaj do pociągu! Nie rozumiesz? Teraz oboje jesteśmy wolni. Wsiadaj do pociągu, kochanie. Co z tobą? Dalej, naprzód!” Popędzała go, a jej głos stawał się coraz donośniejszy, w miarę jak zbliżał się huk zwalniającej lokomotywy. Mieszanka słów i dudnienia kół wprawiła go w podniecenie; niemal z radością pomyślał, że razem z Faith raz jeszcze umknęli przed katastrofą, że udało im się jeszcze jedno efektowne, mrozące krew w żyłach wyjście.

To wrażenie nie trwało jednak długo. Zanim dotarł do Monachium, był już żywym trupem — Faith nie żyła, on był winien i wszystko inne nie miało znaczenia wobec potęgi tych ponurych faktów. Był też pewien, że ktoś z miasteczka zapamiętał go i prędzej czy później zjawi się z kajdankami. Nikt jednak nie przyjechał. Cholera, może nikt nawet o nim nie pomyślał?

Za każdym razem, kiedy rozmawiał z matką Faith, powtarzał w duchu: Teraz jej powiem, nie wytrzymam już ani sekundy dłużej... Ale za bardzo się bał. Przysiągł Faith, że nigdy nie powie nikomu o bombie i zabitym mężczyźnie. Teraz wydawało mu się, że takie było jej ostatnie



życzenie, i nie umiał się zmusić do złamania danego słowa. Ale czy mógł wyjaśnić pozostałe wydarzenia, nie wspominając o tej sprawie? Kończyło się zawsze na tym, że powtarzał: „Tak mi przykro, Gail, tak cholernie przykro...”, aż ona wreszcie przerywała mu łagodnie. „Przestań, Wilku. Co mogłeś na to poradzić?”

O dziwo, czerpał z tych słów przewrotne pocieszenie.

Wilk umilkł.

— Nie mam pojęcia, jak mogłeś żyć po czymś takim — powiedziała Phoebe.

Zaśmiał się posepnie.

— Niepewnie — odparł. — Żyłem... i żyję... bardzo niepewnie.

Przez całe lata, mówił, żył tak, jakby brał udział w dziwnym eksperymencie. Bez przerwy zadawał sobie pytanie: Jak długo mogę jeszcze pociągnąć, zanim wszystko zawali się na moją głowę? Wyobrażał sobie, że spogląda na świat zza więziennej kraty albo, co bardziej prawdopodobne, kontempluje zieleń trawnika przez okno szpitala psychiatrycznego. Myśli te nie zwyciężyły go jednak; przeciwnie, uczyniły go bardziej zdeterminowanym. Pieprzyć to, myślał. Skoro mam iść na dno, to pójdę, ale nie bez walki. Wspomnienie o Faith było częścią tej strategii. Wyobrażał sobie, jak mówi do niego: No, dalej, pokaż, na co cię stać; nigdy nie chciałam, żebyś wylądował na dnie... A później zastanawiał się, czy te myśli nie były jedynie przejawem wyrachowania. W miarę, jak kształtowało się wokół niego coś w rodzaju nowego życia, nawiedzały go coraz rzadziej. Nie uważał, że udało mu się rozwiązać problemy przeszłości, po prostu z każdym rokiem mniej o nich rozmyślał. Dopiero tego ranka przed kilkoma ty-

godniami, kiedy zobaczył na schodach Phoebe, odezwał się w nim głos: Wiedziałeś, że do tego dojdzie. Doczekałeś się. I wtedy poczuł ulgę.

— Obiecywałem sobie tysiące razy — aż do tej chwili, kiedy wreszcie otworzyłem usta i powiedziałem — że nigdy się nie dowiesz, co tu się stało. Ale z drugiej strony chyba od początku wiedziałem, dokąd zmierzamy.

Phoebe spojrzała na murek, zastanawiając się nad kolejnym pytaniem do Wilka, ale jej umysł był dziwnie pusty.

Zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę kościoła. W głębi jej duszy kłębiło się jakieś nieznośne uczucie, podobne do rozpacz, ale jeszcze silniejsze, bardziej bolesne. Wiatr sypał piasek w jej oczy. Czowała się tak, jakby umierała, jakby porażał ją ból duszy siłą wyrywanej z ciała. Przestraszona, otworzyła oczy. Wicher natychmiast nappełnił je gryzącymi drobinami pyłu, ale to nie miało znaczenia — fizyczny ból był tak nikły, że prawie przyjemny.

Faith odeszła. Naprawdę odeszła. Jej nieobecność była niemal namacalna. Phoebe czuła się tak, jakby była świadkiem jej ostatniego skoku.

Jej usta wypełniał metaliczny posmak, który zazwyczaj towarzyszy mocnym uderzeniom w głowę. Dokoła rozciągała się przeraźliwa pustka.

Czekaj, pomyślała. Czekaj...

Daremnie próbowała się otrząsnąć; jej myśli były słabe, nie liczyły się wobec ostateczności czynu, na który zdobyła się Faith. Z mocą gigantycznego wiru przyciągał Phoebe ku sobie, połykał ją w całości. Nie mogła oddychać.

Czekaj, pomyślała znowu. Przecież zawsze wiedziałam, co tu się stało...

Wiedziała, a jednak rzeczywistość i brutalna ostateczność czynu Faith nigdy jej naprawdę nie dotknęły. Były

skąpane w jaskrawym świetle, przerażającym błysku, po którym została tylko biała plama.

Phoebe otworzyła oczy. Jasne, puste niebo wydawało z siebie brzęczący dźwięk. Przeróżnie białe powietrze było przesycone paniką.

— Chodź — powiedziała Faith, wyciągając rękę do Wilka. Phoebe chciała pójść za nimi, ale białe drzwi były zamknięte. — Czujesz to? — Światło świec na ścianach kuchni. — Czujesz? — pytała Faith. — Czujesz? — Phoebe czuła. Miała siedem lat. Wiedziała, co to jest.

— Chodź — powiedziała Faith. Coś było za tymi drzwiami. Faith otwierała wszystkie drzwi, przed którymi stanęła. Phoebe się bała.

Błysk światła. Długotrwały blask.

Faith otwierała wszystkie drzwi.

Jeden gest. Wszystko wydestylowane.

Faith się skończyła. Oddała siebie. Czas się zatrzymał.

Zabiła nas obie, pomyślała Phoebe. Zabiła nas wszystkich.

Bolało ją całe ciało. Czuła, że musi się ruszać. Wstała.

Morze otworzyło się przed nią, rozległe i nieruchome. Zmartwiało ze strachu, pomyślała Phoebe.

Morze i wszystko inne. Podeszła do muru.

— Stój! — krzyknął Wilk.

Drgnęła gwałtownie. Odwróciła się i zobaczyła, że poderwał się z ziemi i sprężył do skoku. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie była w stanie — zdumienie odebrało jej mowę. Wilk sądził, że mogłaby skoczyć. Spróbowała wyobrazić sobie taką scenę: staje na murku, dokonuje wyboru... Jej umysł porzucił tę wizję z niesmakiem.

— Nigdy bym tego nie zrobiła — powiedziała, spogląda-

jąc na Wilka z niedowierzaniem. — Nigdy — powtórzyła ze zgrozą, czując, jak zmienia się jej dotychczasowa ocena tego, co zrobiła Faith.

Kiedy stała z matką i Barrym na skarpie w pobliżu mostu Golden Gate, rozrzucając prochy Faith na wietrze, czuła się taka mała... Było ich tylko troje. Namiastka rodziny. A wszystko to przez wybór, którego dokonała jej siostra.

— A my? — spytała Phoebe. — Co mówiła o nas?

— Nie pamiętam.

— Coś musiała. Mówiła cokolwiek?

— Nie wiem. — Wilk spoglądał na nią z zakłopotaniem.

— No to, o czym mogła myśleć? Na długą chwilę zapadła cisza.

— Nie wydaje mi się, żeby o czymkolwiek myślała — odparł.

Phoebe potrząsnęła głową, ale dzwonienie w uszach nie ustąpiło.

— W porządku — powiedziała. — Facet, który zginął, miał dzieci. Ale co z nami? — Spojrzała na Wilka, który nic nie wiedział, i poczuła nagłą erupcję gniewu. — Nie do wiary, że zrobiła coś takiego!

— krzyknęła. — Nie do wiary, że stanęła tu i zrobiła nam coś takiego! — Z każdym słowem była coraz bardziej wściekła; czuła, że oszaleje, jeśli nie da upustu tej złości. — Czy ona zwariowała?!

Stanęła tu i... niech to szlag! — Phoebe kopnęła ścianę kościoła. Poczowała ból w palcach, a na ziemię opadły okruchy tynku. Potem tłukła pięściami szorstką powierzchnię, aż poczuła gorącą, cudowną falę bólu. — Niech to szlag! — wrzeszczała. — Niech ją szlag!

Wilk stanął za nią i delikatnie ścisnął jej poranione ręce. Zamknął ją w ramionach i unieruchomił.

— Przestań — powiedział. — Zrobisz sobie krzywdę. Phoebe opadła na niego całym ciężarem ciała.

— Nienawidzę jej — powiedziała. — Nienawidzę jej jak nikogo innego na świecie.

— W porządku — szepnął łagodnie Wilk, tuląc ją mocniej.

Po chwili Phoebe odwróciła się twarzą ku niemu. Obserwował ją przez moment, jakby próbował ocenić, czy już się uspokoiła.

— Phoebe, muszę ci coś powiedzieć — odezwał się wreszcie. — Skrzywdzenie ciebie... czy kogokolwiek z twojej rodziny było ostatnią rzeczą, której by Faith pragnęła. To, co zrobiła, było w jej pojęciu ofiarą. Próbowała przywrócić równowagę. — Wilk urwał, oddychając z trudem. — Fakt, że sprawiła wielu ludziom jeszcze większy ból, jest tylko okrutną ironią losu. To, czego tak się bała, zaczęło się od początku.

Wypuścił Phoebe z objęć. Odeszła o kilka kroków i oparła plecy o rozgrzaną słońcem ścianę starej świątyni. Mocno zacisnęła powieki.

Czujesz to? Faith otwierała wszystkie drzwi. Sięgała, brała. Za każdą cenę.

Chodź, powiedziała Faith. Chodź, chodź. Guz na głowie. No to co? Rozbity nos? Tym lepiej. I za to ją kochali. Uwielbiali. Wszyscy.

Obserwowali ją. Zachęcali. Gdy się wspinała. Przepychała. Wchodziła na karuzelę. Kiedy szukała tej magii, która spadała na świat w chwili, gdy narażała życie.

Obcy ludzie wspinający się na skałki. Mokra głowa siostry w dłoniach nieznajomych. Nie tak Phoebe to sobie wyobrażała. Policjanci zbierający osobiste rzeczy Faith. Ca-

łe życie — takie ciepłe — rozbite na służbowe procedury. Nie tak Phoebe to sobie wyobrażała. Wręcz przeciwnie.

Nagle coś w niej pękło i zobaczyła nową wizję siostry, niepodobną do wszystkich poprzednich. Zobaczyła dziewczynę podobną do niej samej, rozpaczliwie wyciągającą ręce ku czemuś, czego nie widziała, ale wyczuwała; ku czemuś, co zawsze zdawało się umykać. Sięgała gwałtownie, siłą, i wreszcie oddała się przemocy, tylko po to, by przekonać się po powrocie do normalności, że zrobiła coś, z czym po prostu nie dało się żyć.

— Powinienem był wiedzieć — odezwał się Wilk. — W tym cały szkopał. Mogłem się domyślić.

Phoebe otworzyła oczy. Wilk stał twarzą ku morzu.

— Odszedłem — powiedział, kręcąc głową. — Tak po prostu odszedłem.

Phoebe słyszała w jego głosie niewymowny ciężar świadectwa i odpowiedzialności.

— Kiedy zobaczyłem cię na schodach — ciągnął — pomyślałem: Dzięki Bogu, nareszcie mogę coś zrobić dla Phoebe. Potrzebowałaś pomocy, więc powiedziałem sobie: Pomogę jej. Zasługuje na pomoc, mogę jej pomóc, więc pomogę. Poczuliśmy się prawie jak brat. Ale potem coś się stało. Najpierw było jak podmorski prąd i zanim się zorientowałem, było już za późno. Nie mogłem przestać.

Phoebe podeszła do niego i objęła go ramionami, by umilkł. Nie mogła znieść tego, że próbował się tłumaczyć. Wilk jednak mówił dalej.

— Gdybym tylko został wtedy przy murku. Nie musiałbym nawet trzymać jej za rękę; tylko byłbym blisko... Dlaczego odszedłem? Milion razy zadawałem sobie to pytanie.

Phoebe wciąż go tuliła. Chciała jakoś go pocieszyć, rozgrzeszyć, ale oczywiście nie miała w sobie takiej mocy.

— Gdybym tylko... — jęknął. — A potem uciekłem...

— Proszę, nie mów już — szepnęła, ściskając go mocniej. — Proszę.

— Uciekłem, kiedy ona... -Nie.

— Było już po wszystkim, a ja nawet nie miałem siły zostać. Zwiąłem.

— Ale potem wróciłeś — zauważyła Phoebe. — Znalazłam cię. — Dopiero gdy wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie prostą prawdę: jak wiele zawdzięczała Wilkowi. — Ona zniknęła, a ty wróciłeś.

— Gdzie wróciłem? — zachnął się Wilk. — Siedziałem na tyłku w Monachium.

Phoebe potrząsnęła głową. W jej głowie otworzyły się nagle drzwi i pojawiła się smuga światła, ku której mogła ruszyć razem z Wilkiem.

— Pomogłeś mi — powiedziała. — Nie miałam nikogo innego. — Mówiła nie tylko do niego, ale i do siebie. To była prawda: pomógł jej, kiedy potrzebowała wsparcia. — Tak było — dodała.

— Nie — mruknął Wilk, ale przytulił się do niej tak mocno, jakby była ostatnim włóknem wiążącym go z ziemią.

Phoebe wyobraziła sobie, jak prowadząc furgonetkę, szeptał ciepłe słowa do ucha Faith śpiącej na jego kolanach. Teraz sama szeptała je do ucha Wilka.

— Znalazłam cię. Ocaliłeś mi życie.

— Wtedy też mogłem zrobić milion rzeczy — odparł. — Milion rzeczy — powtórzył, coraz bardziej znużony.

— Znalazłam cię — szepnęła. Wilk nie odpowiedział.

Po dłuższej chwili rozdzielili się i stanęli obok siebie przy murze, spoglądając w dół. Phoebe miała wrażenie, że minął długi czas, odkąd weszli na to wzgórze. Więcej niż dzień. Więcej niż rok. Zmieniło się światło, a wraz z nim wygląd morza — marszczyło się teraz jak kora, połyskując srebrzyście.

Stali tak długo, jakby na coś czekali. Ale co jeszcze mogło się wydarzyć? Wszystko, co miało się stać, stało się przed wielu laty.

Wilk wyglądał na spokojniejszego. A może tylko błędził gdzieś myślami? Myśli Phoebe dryfowały w oddali i nic nie mogła na to poradzić.

Woda kotłowała się wokół skał, zmywając je do czysta. Mimo wszystko to było to miejsce, dokładnie to miejsce, w którym leżała Faith. Nie został po niej najmniejszy ślad.

— Wracajmy — powiedziała Phoebe.

Kiedy szli, słońce opadało z wolna, wypalając niebo. Phoebe czuła się tak, jakby byli z Wilkiem ostatnimi gapiami oddalającymi się z miejsca wypadku.

Prędzej czy później musieli to zrobić. Jaki mieli wybór? Trzeba było odejść i żyć dalej.

Phoebe zastanawiała się, czy Faith o tym wiedziała, kiedy skakała w przepaść.

Czas nigdy się nie zatrzymał; to było tylko złudzenie.



## CZĘŚĆ CZWARTA

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Phoebe wróciła do San Francisco w pierwszym tygodniu września. Było późne popołudnie, kiedy jej samolot wylądował. Przyciskając twarz do plastikowej szyby, patrzyła na miasto zmieniające się ze spłowiałej, rozmazanej plamy w labirynt ulic i domów, przedzielony turkusowymi palcami wody. Zadzwoiła do domu z Heathrow, po raz pierwszy od czerwca, od dnia wyjazdu. W głosie matki słyszała szczery zachwyty. Teraz jednak, wychodząc z samolotu w potokach jaskrawego światła wlewających się przez okno terminalu, sądziła, że nikt na nią nie czeka. Szła więc niepewnie, aż nagle znalazła się w ramionach matki. Nie poznała jej w nowej, miękkiej, bardziej naturalnej fryzurze i złotych kolczykach w kształcie maleńkich kółek.

Razem poszły po bagaż, a potem do samochodu, pospołu dźwigając nieporęczny i zakurzony plecak, który jakoś nie pasował do tego otoczenia.

— Nie do wiary, że cię nie zmiażdżył — dziwiła się matka. — I cud, że nie dostałaś garbu.

— Dostałam! — odparła bez tchu. — Ale się przyzwyczaiłam.

Zerkając przez okno pędzącego fiata, uśmiechała się na widok znajomych, żółtawych domów i brązowego wzgórza z wielkim napisem „POŁUDNIOWE SAN FRANCISCO —

MIASTO PRZEMYSŁOWE". Miejski pejzaż był przestronny, metaliczny i szklisty, zupełnie niepodobny do tego, który oglądała w Europie.

Zanim dotarły do centrum, rozmowa praktycznie zamarła. Phoebe miała wrażenie, że straciła zdolność rozumienia matki. Nowa fryzura, nowy, czarny sweterek z krótkim rękawem i smukłe ręce na kierownicy — wszystko to tylko pogłębiało jej dezorientację. Po raz pierwszy od tygodni wróciły wspomnienia kłótni i strasznych głupstw, które wygadywała wtedy pod adresem matki, a także nagłego i w sumie bezczelnego wyjazdu.

— I jak? Dobrze się bawiłaś? — zagała matka po długim milczeniu.

— Nie bardzo — odpowiedziała Phoebe. — Właściwie wcale.

Matka zerknęła na nią spod uniesionych brwi, ale nic nie powiedziała.

— Ciężko było — dodała dziewczyna.

— W jakim sensie?

— Dość przerażająco.

W oczach Gail pojawiła się troska.

— Ja też się bałam - przyznała, kiedy zapanowała nad emocjami.

— Przecież wysyłałam ci pocztówki — zaprotestowała Phoebe. — Pisałam, że wszystko w porządku!

— Po chwili jednak zrozumiała, jak niewielkim pocieszeniem mogły być te skąpe słowa na pocztowych kartkach.

Milczały już do końca podróży.

Phoebe wyobrażała sobie pierwsze tygodnie w domu jako coś w rodzaju montażu scen: bieganie na wykłady w Ber-

keley i nocne wypadki do miasta na obfite kolacje z matką, Barrym i Jackiem - tak, z Jackiem, na którego szacunek wreszcie zasłużyła, odbywając samotną wyprawę.

Tymczasem czekał na nią list z Berkeley, nadesłany wkrótce po jej wyjeździe, w odpowiedzi na jej prośbę o przesunięcie terminu rozpoczęcia studiów. Uczelnia nie mogła zaproponować takiego rozwiązania, o jakie jej chodziło, w związku z czym list Phoebe uznano za równoznaczny z rezygnacją. Jeżeli chciała ponownie złożyć papiery i zostać przyjęta na studia w przyszłym, 1979 roku, powinna wysłać stosowne dokumenty nie później niż w listopadzie.

Phoebe zareagowała na te rewelacje najpierw niedowierzaniem, a potem paniką. Natychmiast zadzwoniła do działu przyjęć, ale jedyne ustępstwo, jakie zdołała uzyskać, polegało na tym, że jej papiery miały zostać rozpatrzone pod kątem ewentualnego przyjęcia w styczniu, a nie we wrześniu następnego roku. Pod koniec października miała dostać wiadomość, czy znalazła się wśród studentów uniwersytetu.

W drugi wieczór po powrocie z Europy Phoebe spotkała się z matką, Jackiem i Barrym w lokalu Basta Pasta, nowej restauracji w North Beach. Gail i jej partner przyszli prosto z pracy, trzymając się za ręce. Barry zjawiał się później, wprost z lotniska, świeżo po podróży do Tokio w interesach.

Gdy tylko przywitała się z Jackiem, obojętnym i buchającym dymem papierosowym, Phoebe zrozumiała, jak dalece przeliczyła się co do zbawiennych skutków swego zniknięcia. Bładoniebieskie oczy Jacka spoglądały na nią

na poły sceptycznie, na poły pobłaźliwie. To spojrzenie rezerwował wyłącznie dla osób wybitnie upierdliwych, które jednak z rozmaitych powodów musiał przyzwoicie traktować.

Jack nigdy nie był w Japonii, toteż palił się do zadawania pytań, gdy tylko pojawił się Barry.

- Uwaga, przepowiednia Barry'ego O'Connora: co będzie najnowszą modą w elektronice?
- Zaraz wam pokażę — odparł Barry i wyciągnął z walizeczki miniaturowy odtwarzacz kasetowy Sony z maleńkimi słuchawkami, produkt inspirowany, jak wyjaśnił, życzeniem szefa korporacji, który zapragnął słuchać muzyki operowej podczas jazdy na nartach.

Jack założył słuchawki i zaczął manipulować przyciskami.

- Jakość dźwięku jest niesamowita! - ryknął po chwili tak głośno, że Phoebe skrzywiła się mimowolnie.
- Co ciekawego tam jadłeś? — spytała matka.
- Surowe ryby.
- Dobry Boże! Jak smakowały?
- Surowo — odparł z uśmiechem Barry.
- Zachowujecie się tak, jakbyście się nie widzieli od miesiący - zauważyła Phoebe, znacznie bardziej cierpko, niż zamierzała.

Matka spojrzała na nią z ukosa.

- To dlatego, że zazwyczaj jesteśmy w bliskim kontakcie.
- Zapadła kłopotliwa cisza. Jack zdjął słuchawki i ostrożnie położył je na stole. Kiedy spojrzał na Gail, Phoebe dostrzegła w jego oczach czułość, która ją przeraziła.

- No to się dowiedziałaś, Pheeb - powiedział Barry, ale nikt się nie roześmiał.
- Phoebe nie odezwała się do końca kolacji. Już w samolocie zastanawiała się, ile prawdy może odsłonić na te-

mat swojej podróży, ale okazało się, że zadawano jej wyłącznie zdawkowe, powierzchowne pytania. Rozmyślając o tym, przypomniała sobie nagle, że przecież wie już, co się stało z Faith. Mogła najzwyczajniej w świecie powiedzieć: „Dowiedziałam się, co się stało z Faith” i patrzeć, jak ich uśmiechnięte twarze zastygają w zdumieniu. Mogła, ale tego nie zrobiła.

Barry zaproponował, że odwiezie ją do domu. Pojechali najpierw w pobliże Coit Tower, tonącej we mgle, ale wciąż pełnej turystów, którzy uparcie wciskali monety do umocowanych na szczycie teleskopów, jakby wierzyli, że dzięki soczewkom przedrą się przez mleczną zasłonę nad miastem.

Barry zatrzymał porsche, ale nie wysiedli.

— Zauważyłem napięcie między tobą a mamą — powiedział.

— Napięcie! — zaśmiała się Phoebe.

— Myślę, że kiedy wyjechałaś, była zbyt przestraszona, żeby czuć wściekłość, więc daję ci ją odczuć dopiero teraz.

Phoebe wyjrzała przez okno.

— A ja myślę, że Jack mnie nienawidzi.

— Daj mu trochę czasu.

Phoebe popatrzyła na brata ze zdziwieniem. Najwyraźniej nie sprawiało mu przyjemności to, że czuła się odrzucona. Poczwała wielką ochotę do zwierzeń, chciała opowiedzieć mu wszystko, czego się dowiedziała o Faith, ale mijała chwila za chwilą i jakoś nie mogła zebrać się na odwagę. Po co? — pomyślała w końcu. Wysłuchiwanie opowieści o nieżyjącej siostrze było ostatnią rzeczą, której by pragnął Barry.

— Tak czy owak cieszę się, że wróciłaś — dodał po chwili.

— Nie rozumiem dlaczego, Bear.

Tym razem to on spojrział na nią z niedowierzaniem.

— Daj spokój — mruknął. — Przecież jesteś moją siostrą.

W milczeniu patrzyli na mgłę przez wypolerowaną szybę. Od czasu do czasu przez biały całun przebijała się wiązka światła, podobna do błysku rozżarzonych węgli w gęstym dymie paleniska.

— Ty też się bałeś? — spytała Phoebe. — Kiedy pojechałam.

— Tak — przyznał Barry. — Zwłaszcza wtedy, gdy nie pojawiłaś się na pierwszym pokazie Che Guevary. Pomyślałem: Jasny gwint, pojechała i przepadła...

— O Boże! — zawołała Phoebe. — Film mamy! Barry spojrział na nią z ukosa.

— To było parę miesięcy temu — powiedział. — No, ale potem nabrałem pewności, że nic ci się nie stanie. Nadzieja zwyciężyła. W końcu.

— Ha — mruknęła rozczarowana.

— Co nie znaczy, że nie ulżyło mi, kiedy...

— Masz rację — przerwała mu Phoebe. — Naprawdę. Już taka jestem, że... niełatwo się mnie pozbyć.

— Roześmiała się, nie wiedzieć czemu.

— Umiesz przetrwać — stwierdził Barry z powagą, która nadała temu prostemu zdaniu wagę głębokiej prawdy. — To fakt. Oboje umiemy.

Tej nocy, leżąc w łóżku Faith i słuchając dzwonek za oknem, Phoebe poczuła nieznośny, przemożny smutek. Przez lata kawałki metalu dźwięczące za oknem przypominały jej głos siostry; były sygnałem, że ona jest gdzieś tam i wciąż czeka. Teraz brzmiały głucho. Następnego dnia, po raz pierwszy od wielu lat, Phoebe wróciła do swojego pokoju, by zasnąć przed jasnooką publicznością wyblakłych, wypchanych maskotek.

Przypomniął jej się film, który przed laty widziała w telewizji, zatytułowany *Szerokość Zero*. Kiedy statek przekraczał równik, pewien kapitan został w cudowny sposób przeniesiony do podmorskiej krainy, w której ulice były wybrukowane diamentami. Zebrał garść kiejnotów i wepchnął je do woreczka na tytoń, by zabrać je do domu jako dowód przygody. Kiedy jednak znalazł się na powrót w rzeczywistym świecie, otworzył woreczek i przekonał się, że znowu jest w nim tylko tytoń. Nikt mu nie uwierzył.

Mimo rozczarowań, pierwszy tydzień pobytu w domu minął Phoebe pod znakiem uroku nowości. Kiedy jednak skończył się drugi, ogarnęło ją porażające przygnębienie. Tak naprawdę nic się nie zmieniło, a wobec niezmienności miasta i jej życia w nim Phoebe czuła, że jej wielka wyprawa do Europy — która dotąd wydawała jej się osobnym życiem samym w sobie — redukowałą się z każdą chwilą do rozmiarów przelotnej halucynacji.

Coraz częściej przesiadywała w domu, wałęsając się po pokojach lub leżąc na łóżku i gapiąc się w okno, nieświadoma upływu czasu. Spała długo i często, a kiedy się budziła, pogrążała się w marzeniach o podróży. Widziała w nich siebie spowitą złocistą mgiełką, jeżdżącą pociągami albo budzącą się u boku Wilka w porannym słońcu — ale czy to wszystko wydarzyło się naprawdę, czy rzeczywiście robiła to, co robiła? Wspomnienia wydawały jej się przerośnięte, jak egzotyczne życzenia. Nawet najgorsze chwile w retrospekcji zyskiwały na melancholijnej urodzie. Phoebe jednak nie umiała dopasować do nich siebie z teraźniejszości. Wręcz przeciwnie, bohaterką jej wspomnień stała się zupełnie inna osoba, bardziej godna podziwu i zazdrości.



Pojechali z Wilkiem pociągiem z Vernazzy do Genui, a potem dalej, do Francji.

— A co z twoim volkswagenem? — dopytywała się Phoebe, gdy załatwiali ostatnie formalności przed podróżą. — Nie powinniśmy go zabrać?

- Później po niego przyjadę - odpowiedział Wilk. -I tak już ledwie dyszał.

Dopiero podczas dwudniowej podróży w zatłoczonych wagonach sypialnych Phoebe wpadła na to, że prawdziwy powód pozostawienia samochodu mógł być inny: Wilk po prostu nie chciał z nią jechać.

Bał się, że znowu wydarzy się to samo, bo przecież wszystko było między nimi możliwe.

Wreszcie przekroczyli Kanał i znaleźli się w Londynie — chłodnym, ociekającym deszczem i w niczym nie przypominającym tego radosnego miasta, które Phoebe pamiętała z czerwcowej wizyty.

W ponurym nastroju poszli do biura Laker Airways, żeby kupić bilet do Stanów na następny dzień.

Potem uciekli przed deszczem do National Gallery i rozpoczęli żmudną wędrówkę między rzędami portretów i krajobrazów. Wreszcie Wilk zadzwonił do znajomych i umówił się na spotkanie w pubie w Hampstead Heath.

Zapadał zmierzch, a w powietrzu unosił się ostry zapach palącego się drewna. Niebo zaczynało się przecierać, a za resztkami chmur pojawiała się z wolna pomarańczowa łuna. Phoebe wypila pół pinty cydru i zaszumiało jej w głowie. Obserwowała roześmianego Wilka, który przy dalekim końcu stołu raczył się pintą guinnessa z grubą warstwą piany. Uderzyła ją zmiana, która w nim zaszła. Urosły mu włosy, był mocno opalony i nosił dwudniowy zarost, ale metamorfoza sięgała znacznie

głębiej: nie było w jego twarzy napięcia, które Phoebe zdążyła już uznać za stałą jej cechę. Był wolny. Wiedziała, że to ona pomogła mu odzyskać tę wolność. Nie Faith i nie Carla, ani nikt inny. Zdjęła z jego ramion straszliwy ciężar. Teraz nieśli go wspólnie, choć patrząc na spokojną twarz Wilka, Phoebe nigdy by się nie domyśliła, że spoczywa na nim choćby szczątkowe brzemię.

Jakby słysząc jej myśli, Wilk uniósł głowę znad kufla. Przez obłoki dymu, szum rozmów i smród mokrej wykładziny Phoebe wyczuła jego uznanie i wdzięczność.

Wstała i wyszła na zewnątrz, wiedząc, że podąży za nią. Hałaśliwi klienci pubu tłoczyli się wokół wilgotnych stołów. Otoczona zapachem piwa i deszczu, rozejrzała się po okolicznych trawnikach, parujących nieznacznie w niespodziewanych promieniach wieczornego słońca. Wilk stanął za nią i objął ją mocno, przyciskając twarz do szyi i wdychając jej zapach. Phoebe odwróciła się i odwzajemniła uścisk, lecz gdy zaczęła szukać jego ust, odsunął się zdecydowanie. Przez moment patrzyli sobie w oczy. Phoebe zrozumiała, że to już koniec, że to była ostatnia chwila czegoś. W twarzy i oczach Wilka nie było już pożądania — bez względu na to, jak intensywnie w nie spoglądała, pozostawały nieprzeniknione. Poczowała ból w piersi.

— Ja też jadę do domu — powiedział Wilk.

Później, kiedy powiedzieli sobie „dobranoc” i mieli już rozejść się do swoich pokojów, Phoebe poczuła się fatalnie.

— Mam wrażenie, że coś odeszło — powiedziała. — Wszystko.

Wziął ją w ramiona.

— Jest dokładnie odwrotnie — odparł. — To, co było, zostanie na zawsze. To my idziemy naprzód. Leżąc na miękkim i wąskim łóżku, Phoebe czuła bli-

skość parku Hampstead Heath, wilgotnego i spokojnego jak jezioro. Corniglia wydała jej się nieskończenie daleka, jakby dwa dni podróży koleją oddaliły ich od niej o całe lata, dopełniając aktu ucieczki.

Phoebe zadzwoniła do niego w trzecim tygodniu po powrocie.

— Phoebe — odezwał się Wilk, wyraźnie zaskoczony. — Uczysz się?

— Nie. — Niechętnie opowiedziała mu o kłopotach w Berkeley. Dziwnie się czuła, rozmawiając z nim przez telefon; nigdy jeszcze tego nie robiła, jeśli nie liczyć króciutkiej wymiany zdań tuż po powrocie, gdy zameldowała mu, że jest już w domu.

— Jak żyjesz? — spytała nieśmiało.

— Jakoś — odpowiedział. — Straciłem paru klientów.

— A czy...

— Przynajmniej...

Utknęli i roześmiali się jednocześnie, zirytowani opóźnieniem w połączeniu międzykontynentalnym.

— Lake'owie zostali w Brukseli na kolejnych sześć miesięcy — zawołał Wilk, jakby głośniejsze mówienie mogło przyspieszyć przesyłanie sygnału. — Mam trochę spokoju.

— A jak ci idzie z Carlą? — Miała nadzieję, że jak najgorzej.

— Coraz lepiej.

— Nadal planujecie się pobrać? Wilk zawahał się.

— Trudno powiedzieć.

— Ale nie wykluczasz?

- Mam nadzieję — odparł. — I na tym poprzestańmy. Phoebe poczuła nagły przypływ rozpaczy.

— A co z samochodem? — spytała. — Odzyskałeś go? Roześmiał się.

— Mój kumpel był w Pizie; powiedział, że prawie nic z niego nie zostało. Dlatego kupuję fiata.

— My też mamy fiata — odpowiedziała bezsensownie Phoebe.

— Uważaj na siebie — poradził jej Wilk. — I odzywaj się. — Czyli: „Wolałbym, żebyśmy już nie rozmawiali”, pomyślała Phoebe.

— Dobrze — odpowiedziała. — Ty też.

Podczas podróży do Europy sporo schudła. Mimo iż nie czuła się już dobrze w pokoju Faith, nie umiała odmówić sobie przyjemności przymierzenia starych ubrań siostry. Opierała się długo, ale wreszcie uległa.

Kiedy je włożyła, uwolnił się z nich pieprzowo-cynamonowy zapach. Leżały doskonale, niektóre były wręcz za luźne. Phoebe miotała się w zachwycie po pokoju Faith w sztruksowych biodrówkach i makramowej bluzce, na którą zarzuciła marynarkę z guzikami w kształcie gwiazdek. Puściła głośno King Crimson, zapaliła zbyt wiele kadzidełek i bez tchu pozowała przed lustrem w obwisłym kapeluszu z pawim piórem. W końcu rzuciła się na łóżko, wyczerpana i rozweselona. Wpatrując się w batikowy sufit i słuchając smętnego brzęku dzwonek za oknem, zapadła w sen.

Było prawie ciemno, kiedy się obudziła. Zaspana i nieświeża wygrzebała się z łóżka, by zejść do piwnicy po pięć dużych kartonów. Złożyła starannie i wpackowała do nich ubrania siostry, jej kapelusze, indiańskie koraliki, pierścionek ze skrytką i glinianego skarabeusza na rzemyku.

Musiała wrócić na dół po dodatkowe pudła. Kiedy spakowała wszystko, szczelnie zakleiła kartony taśmą. Ułożyła z nich wysoką kolumnę pośrodku pokoju Faith i wyszła.

Od czasu do czasu odwiedzała Haight, by zajrzeć do misy z pachnidłami w ulubionym sklepie okultystycznym i po-leżeć na trawiastym stoku Wzgórza Hipisów. Przyjemność, której dostarczały jej te zajęcia była jednak płytka i ulotna. Czuła się jak duch samej siebie, pozbawiony dostępu nawet do ciasnego i ciemnego królestwa, które niegdyś było jej domem. Nie wiedziała, czym mogłaby je zastąpić.

Wszystko powinno wyglądać inaczej, myślała Phoebe. Przecież wiedziała już, co się stało z jej siostrą. Tylko że świat jakoś nie zauważał tej różnicy. Może problem istotnie polegał na tym, że prócz niej i Wilka nikt nie znał prawdy? Powiedz jej! — ponaglała się Phoebe, wypakowując z matką w cichej kuchni brokuły i jogurt z toreb Cal-Martu. No, dalej, powiedz! Zawsze jednak coś ją powstrzymywało — strach przed zdradzeniem Wilka albo obawa przed wyrzutami matki, na które nie znalazłaby odpowiedzi.

W czwartym tygodniu po powrocie Phoebe do domu matka przyszła wieczorem z pracy i oznajmiła, z mieszaniną niepokoju i lekceważenia, że pośrednik od kilku tygodni negocjował z potencjalnym nabywcą i właśnie tego dnia osiągnęli porozumienie. Dom został sprzedany.

Phoebe codziennie pochłaniała ogromną porcję wiadomości z gazet. Prezydent Carter, Idi Amin, burmistrz Moscone — śledziła ich słowa i czyny, jakby ktoś miał ją odpy-

tywać z tej wiedzy. Jan Paweł Pierwszy umiera po trzydziestu czterech dniach pontyfikatu. Rekordowy kurs złota. Isaac Bashevis Singer otrzymuje Nagrodę Nobla. Sid Vicious oskarżony o zamordowanie Nancy. Sadat i Begin podpisują układ pokojowy, podczas gdy Bliski Wschód wrze. Taki był świat. I choć wydawał się niezmiernie daleki od maleńkiej sieci ulic, wśród których Phoebe wiodła swoje życie, bardzo pragnęła go dotknąć lub choćby przycisnąć twarz do szyby. Im więcej jednak o nim wiedziała, tym mniej bolesna była jego nieobecność.

Barry przyjechał po nią wczesnym wieczorem i pojechali razem do Los Gatos. Przygotował dla niej pokój gościnny, ze stokrotkami w ceramicznej wazie przy łóżku. Zjedli kolację w eleganckiej, hinduskiej restauracji upchniętej absurdalnie pośrodku pasażu handlowego. Oboje wypili zbyt dużo czerwonego wina. Denerwowali się tą wizytą; za bardzo chcieli, żeby dobrze wypadła.

Następnego ranka Phoebe ocknęła się wciąż jeszcze nieco oszołomiona i pojechała z bratem do jego firmy. Zaskoczyły ją przyjazne stosunki między pracownikami, nie mówiąc już o ich wieku. W lewisach i z dość długimi włosami przypominali raczej gromadę uczniów ogólniaka po zbyt wielu nocnych imprezach niż poważnych fachowców.

Budynek, w którym mieściła się firma, był zupełnym przeciwieństwem siedziby IBM, w której pracował ojciec — rozległy i płaski, przeszklony i pełen światła oraz imponujących, nieprzystępnych komputerów, których Barry i jego koledzy używali z taką łatwością, z jaką przeciętny człowiek używa zlew. W jednej z sal stał fortepian i dwie

potężne lodówki pełne egzotycznych soków. Phoebe spodziewała się, że jej brat będzie się popisował przed nią na swój dziecinny sposób, i przygotowała się na to psychicznie, ale władza Barry'ego nie objawiła się w spektakularny sposób. W końcu jest właścicielem tego interesu, pomyślała, a wszyscy ci ludzie pracują dla niego. Co jeszcze miałyby im udowodniać?

Od tamtej pory coraz częściej odwiedzała brata, korzystając z pociągu, który odjeżdżał ze stacji opodal dworca autobusowego Greyhound. Na pustych placach Doliny Krzemowej Barry uczył ją prowadzić samochód. Nie reagował nerwowo, kiedy raz po raz katowała skrzynię biegów w jego porsche i cudem unikała zderzenia z zapomnianymi wózkami na parkingach przydrożnych supermarketów. Kiedy poczuła się pewniej, pozwolił jej jeździć wąskimi, krętymi drogami wijącymi się pośród lesistych wzgórz. Kiedy zjeżdżali w dół, uczył ją redukcji biegów.

— Jeżeli masz kiedyś prowadzić samodzielnie, to niech to będzie przyjemne — mawiał.

Phoebe zgłosiła się na ochotnika do pomocy w poszukiwaniu nowego mieszkania, mając nadzieję, że w ten sposób zdoła jakoś zbliżyć się do matki. Nie było to wesołe zajęcie: zwiedzały opuszczone pokoje, próbując wyobrazić sobie w nich własne życie. Gniew matki zmienił się stopniowo w serdeczność, którą Phoebe uznała za jeszcze bardziej przykrą formę nacisku. Czują, że obowiązek naprawienia sytuacji spoczywa na niej, ale nie miała pojęcia, czego matka od niej oczekuje.

Wreszcie na Wzgórzu Rosyjskim znalazły mieszkanie z dwiema sypialniami, o wysokich stropach i podłogach

w kolorze jasnego miodu. Sypialnie znajdowały się daleko od siebie, co samo w sobie było (nie wymienianym głośno) atutem, jako że Jack często zostawał na noc u Gail. Jakby wbrew sobie Phoebe poczuła radosne podniecenie, zwiedzając wielkie, puste pokoje pełne zachodu słońca, wpadającego przez niczym nie osłonięte, wysokie okna. Matka także była pod wrażeniem.

— Jadalnia! — wykrzyknęła entuzjastycznie, choć ta, z której korzystały przez lata, była znacznie większa. — Możemy zacząć urządzać przyjęcia!

Potem długo dyskutowały o dywanach, biurkach, zasłonach oraz o tym, które z kanap należałoby zachować. Słowa niesły się echem po pustym mieszkaniu. Matka i córka usłyszały nagle swoje głosy i umilkły zdjęte nieśmiałością.

— Mamo — zaczęła Phoebe. Gail uniosła głowę.

Teraz, pomyślała Phoebe, teraz! Milczała długo, zastanawiając się, co właściwie chciała jej powiedzieć, pojawiła się w niej bowiem nowa myśl, która coraz głośniejsze domagała się wyartykułowania.

— Przepraszam, że tak zniknęłam — odezwała się wreszcie. — I że przegapiłam twój film — dodała niemal szeptem.

Matka podeszła do niej z otwartymi ramionami. Jej cytrynowy zapach zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

— Tęskniłam za tobą — powiedziała, biorąc córkę w ramiona.

Zatrzymały się na chwilę na ulicy, by spojrzeć na budynek z zewnątrz. Wykończono go w starym, kalifornijskim stylu: miał łososiową barwę, cukierkowe zdobienia i czarną, koronkową kratę nad potężnymi, przeszklonymi drzwiami. Niebo nad dachem, naznaczone smugami mgły, mia-



ło barwą ciemnego błąkitu. Puls Phoebe wciąż był przyspieszony po tym, co zdarzyło się w mieszkaniu. Jakaż to prawdą o Faith tak bardzo chciała ujawnić? Wydawało jej się, że nawet w myślach nie sformułowała jej precyzyjnie. Czy chodziło o to, że Wilk był świadkiem śmierci Faith? Czy o związki z terrorystami? Może o zabitego człowieka? Nie, nic z tych rzeczy. Prawda była taka, że siostra Phoebe popełniła samobójstwo. I wszyscy o tym wiedzieli.

Kiedy szły w stronę samochodu, Phoebe chwyciła matką za rękę.

Wynajęły to mieszkanie. Termin przeprowadzki wyznaczyły na piętnasty października.

Wiatr omiatał ich dom przez szeroko otwarte okna, unosząc z ogołoconych podłóg tumany kurzu.

Mężczyźni o drżących bicepsach znieśli już wszystkie meble po ceglanych schodkach i wprawnie załadowali do długiej ciężarówki Bekinsa.

Barry urwał się na całe popołudnie, żeby pomóc w przeprowadzce. Razem z Phoebe podjął się posortowania obrazów ojca. Zamierzali zatrzymać co najwyżej trzy; resztą chcieli po prostu rozdać. W milczeniu zeszli do piwnicznego schowka, od ściany do ściany pełnego byle jak upchniętych płócien. Barry rozłożył kilka wielkich pudeł Bekinsa i zabrali się do pracy. Phoebe podawała obrazy, a on układał je starannie w kartonach. Najstarsze znajdowały się w głębi schowka, toteż uwieczniona na nich Faith zdawała się młodnieć z każdą chwilą. Zmieniała się stopniowo ze smutnej nastolatki tkwiącej apatycznie przy szpitalnym łóżku ojca w słodką, rozpromienioną dziewczynę.

Phoebe uniosła jedną z prac na wysokość wątego snopa światła wpadającego z za drzwi. Miała przed sobą portret ośmio- lub dziewięcioletniej Faith, stojącej nad urwiskiem dokładnie w tym miejscu, w którym dziesięć lat później jej najbliżsi wrzucali jej prochy do morza. Miała na sobie białe, letnie ubranie i uśmiechała się szeroko, ściskając w wyciągniętej ręce mały, purpurowy kwiatek.

— Bear — odezwała się Phoebe.

Zbliżył się i przez moment razem spoglądali na obraz. W pierwszej chwili wydawało się, że Faith znajdowała się wówczas w stanie typowego dla niej, chaotycznego szczęścia, ale im dłużej Phoebe patrzyła na płótno, tym wyraźniej dostrzegała w uśmiechu siostry głęboki niepokój, jakby machając kwiatkiem, próbowała się przed czymś bronić. Phoebe odwróciła wzrok, nieprzyjemnie zaskoczona tym doznaniem. Po chwili już nie była pewna, czy widziała to, co widziała. Kiedy znowu spojrzała na obraz, Faith wyglądała już tylko na szczęśliwą.

Barry chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

— Zatrzymajmy go — mruknął tylko.

W końcu spakowali wszystkie obrazy. Zajęły cztery ogromne pudła i połowę piątego.

— Chyba powinniśmy wybrać jeszcze dwa — zauważył Barry. Sprawiał wrażenie niespokojnego, jakby znużyła go już ta robota. — Zajmij się tym, Pheeb.

Phoebe spojrzała na wielkie kartony i przez chwilę miała ochotę przejrzeć płótna jeszcze raz, cierpliwie, jedno po drugim, ale ostatecznie zrezygnowała. Miała dość wspomnień.

— Może wystarczy ten jeden — odpowiedziała. Zatargali pudła do garażu i wyszli na podwórze.

Ogród

był mocno zarośnięty i pachnący. Trawnik obsypały mi-

niaturowe stokrotki. Barry przeciągnął się, sięgając rękami ku niebu, a potem z uśmiechem rzucił się na trawę. Phoebe położyła się obok niego, głową u jego stóp. Ziemia była ciepła i miękka. Smutek zatrzepotał w piersi dziewczyny i uniósł się w powietrze jak ciemny, tłusty ptak. Odetchnęła głęboko zapachem trawy i zapatrzyła się na wolno płynące chmury.

— Słyszysz te ptaki? — spytał Barry chrapliwym i jakby dalekim głosem. — Te ich rozmowy? Słyszysz, Pheeb? Nie wiem dlaczego, ale uwielbiam ten dźwięk.

Była sobota i Phoebe siedziała na Washington Square, czytając *Bez wyjścia*, kiedy ktoś zasłonił jej światło.

— Phoebe? — odezwał się mężczyzna.

Spojrzała na niego i rozpoznała twarz, ale nie umiała umiejscowić jej w pamięci. Trzymał w ramionach małą dziewczynkę.

— Pamiętasz? Szkoliłaś mnie.

— Ach, tak. Mój Boże — odpowiedziała, potrząsając głową. — Jesteś...

— Patrick. A to moja córka, Teresa.

— Cześć — odrzekła Phoebe. Wstała, by przyjrzeć się dziecku, które odziedziczyło po ojcu kręcone, rude włosy i zielone oczy. — Jaka ładna — powiedziała. — Nie zgadłabym, że masz córkę.

Patrick roześmiał się cicho.

— Czasem i ja nie mogę w to uwierzyć. — Miał na sobie luźne dzinsy z białymi smugami czegoś, co wyglądało jak gips. — Zniknęłaś — odezwał się po chwili.

— Wyjechałam do Europy.

— Tak sobie... wstałaś i wyjechałaś?

— Mniej więcej.

— Art był pewien, że ktoś cię zamordował. Ciągłe powtarzał: „Znam tę dziewczynę, nigdy nawet się nie spóźniła!” Zdaje się, że zdołał w końcu skontaktować się z twoją matką.

— Biedny Art — mruknęła Phoebe. — Powinnam go przeprosić.

— Na pewno już ci wybaczył.

Teresa zaczęła się wiercić. Patrick postawił ją na trawie i zaraz podreptała w stronę Phoebe, klepiąc ławkę pulchnymi rączkami.

— Nadal tam pracujesz? — spytała Phoebe.

— Nie — odparł. — Wtedy moje sprawy nie układały się najlepiej, ale potem wyszedłem na prostą i mogłem zrezygnować z kawiarni. Teraz mam więcej czasu dla niej — dodał, znowu biorąc dziewczynkę na ręce. — Jestem rzeźbiarzem — wyjaśnił. — Mam pracownię tu niedaleko, przy Green Street. Trzy osiem pięć. Wpadnij kiedyś za dnia, zrobię ci dobrej kawy. Albo ty mi, jak pamiętam, jesteś ekspertem.

— Zgoda — odpowiedziała ze śmiechem Phoebe. — Może wpadnę.

Patrick ruszył w swoją stronę, a jego córka jeszcze długo kręciła główką jak mała sowa, by nie stracić z oczu Phoebe, która machała jej na pożegnanie. Powietrze zadrgało, gdy dzwony w kościele świętego Piotra i Pawła wybiły godzinę.

Coś odeszło. Ale coś także się zaczęło. Phoebe bardziej wyczuwała, niż rozumiała niespokojny puls, który pojawił się gdzieś w trzewiach miasta. Zbliżał się początek nowe-

go dziesięciolecia. Odwiedzając biura Barry'ego, Phoebe zarażała się raz po raz nastrojem intensywnego wyczekiwania i pewnością, że wkrótce świat dozna gruntownej transformacji. Wszyscy zdawali się to przeczuwać; wierzyli w czystą i niezaprzeczalną potęgę maszyn oraz w obietnicę niewyobrażalnego bogactwa. Byli pełni nadziei. Phoebe była zdumiona, że cały świat znowu czuje coś tak intensywnego, po tak krótkim czasie. Jednak nie mogła zaprzeczyć; nastrój udzielił się i jej. Kobiety ścinały włosy. Nie na wzór miękkich, modelowanych fryzur Dorothy Hamill sprzed kilku lat, ale znacznie oszczędniej, krócej, by podkreślić mocne kształty głowy. Phoebe stawała czasem przed lustrem i zbierała w garść kosmyki włosów, by przytrzymać je z tyłu, z dala od twarzy. Podobał jej się pomysł skrócenia fryzury, wrażenie świeżości i lekkości, która kojarzyła się jej z wyjściem z ciężkiej kotary.

Pod koniec listopada Phoebe pojechała o zmierzchu do Coit Tower. Turystów nie było; na parkingu nie brakowało miejsc. Phoebe zatrzymała fiata i wysiadła.

Robiło się ciemno, a powietrze sprawiało wrażenie naładowanego. Nie było mgły. Phoebe okrążyła koronę wieży, napawając się wspaniałym widokiem neonowo-błękitnego nieba i zastanawiając się, w którym to momencie jej życie nagle wskoczyło na właściwy tor. Naprawdę wskoczyło. Częścią sukcesu było choćby to, że przyjęto ją do Berkeley od stycznia. Co ważniejsze, poczuła też wewnętrzną ulgę — swoboda i przypadkowość życia, które prowadziła, już nie drażniły jej tak jak dawniej. Nadal pragnęła przekroczyć niewidzialną granicę, znaleźć się po tej dru-

giej, prawdziwej stronie. Wiedziała jednak, że takie rzeczy nie zdarzają się codziennie. Nikt nie wytrzymałby czegoś takiego.

Nadal też, rzecz jasna, rozmyślała o siostrze, ale wspomnianie jej stało się znacznie mniej gwałtownym przeżyciem. Faith odeszła, a przepaść, która powstała między nimi, była nie do przebycia. Phoebe uważała, że w ostatecznym rozrachunku to jej siostra przegrała. Przegapiła wszystko, co miało się wkrótce wydarzyć — Faith, która tak uwielbiała być zawsze w centrum uwagi! A jednak... A jednak.

Spoglądając w dół, na miasto, przypominała sobie nagle dzień, w którym całą rodziną bawili się w chowanym na polach Golden Gate Parku. To było słoneczne popołudnie; wiał mocny wiatr od morza, a na każdym liściu iskrzyły się krople wilgoci. Faith schowała się jako pierwsza. Rozeszli się, żeby jej szukać. Phoebe ostrożnie wtykała patyk nawet pod szyszki i eukaliptusowe liście, chwiejnym krokiem obchodząc okoliczne krzaki. Nie oczekiwała, że znajdzie Faith — miała co najwyżej cztery lata; zdecydowanie za mało, by liczyć się w takich zabawach.

Lecz, ku swemu zdumieniu, rozchyliwszy gałęzie gęstych krzewów, ujrzała siedzącą w kucki siostrę. Faith uśmiechnęła się od ucha do ucha. „Znalazłaś mnie”, szepnęła. „Wygrałaś!” Zamiast jednak zawołać wszystkich i zakończyć tę rundę, Faith wzięła siostrzyczkę za rękę i wprowadziła do przytulnej niszy pośród krzaków. Razem czekały w ukryciu — Phoebe usiadła na kolanach Faith, otoczona jej ciepłym oddechem, biciem serca i długimi włosami. Czuła plamy słońca i cienia na twarzy, zapach mokrej od deszczu ziemi i eukaliptusowych liści.

Ogarnęło ją poczucie niema! nieznośnego szczęścia. Zwyciężyła w tej grze. Phoebe zmieniła pozycję, by spojrzeć na twarz siostry, ale oczy Faith śledziły to, co działo się daleko za gałęziami, gdzie reszta rodziny szukała ich obu. Z daleka dobiegła cicha, meandrująca melodia fletu i dziewczynka poczuła nagle radosną wiarę, że jej zwyczajny świat zawsze może rozstać się przed nią, odsłaniając tę cudowną kryjówkę. I że będzie tam Faith, czekająca, aż Phoebe wdrapie się na jej kolana.